

TOM CCXLIII

De. II. 1.

ROK 61

SERYA 9

ZESZYT 729

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

WRZESIEŃ.

1901.

TOM III — ZESZYT 3.

WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ulica Warecka Nr. 14.

—
1901.

0.5

LITERATURA, NAUKI, SZTUKI PIĘKNE,
SPRAWY SPOŁECZNE I EKONOMICZNE, KRONIKI MIEJSCOWE I ZAGRANICZNE
KRYTYCZNY I BIBLIOGRAFICZNY PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA.

Treść zeszytu.

	<i>Stron.</i>
1. Z NIEZNANYCH RĘKOPISÓW ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO	389
2. EPILOG STANÓW GALICYJSKICH. II. ABDYKACYA STANÓW, — przez d-ra Bronisława Łozińskiego	414
3. ŚLADEM TĘSKNOTY. Powieść (dalszy ciąg), — przez Tadeusza Kon- czyńskiego	446
4. ALEKSANDER GIERYMSKI, — przez Stanisława Witkie- wieza	478
5. PLEMIEŃ PIERWOTNE, JEGO TERYTORIUM, NAZWA I ODOSOBNIENIE. (Z rzutem oka na stosunki pierwotne polskie), — przez Lud- wika Krzywickiego	509
6. PAN BALCER W BRAZYLII (poemat), — przez Maryę Konopnicką	547
7. ROZMAITOŚCI. „Prace Sekeyi Gruźliczej IX-go Zjazdu przyrodników i le- karzy polskich w Krakowie, w roku 1900“. Warszawa, 1901, — przez d-ra K. D.	556
8. PIŚMIENICTWO: „Mémoires du comte Ferrand ministre d'état sous Louis XVIII“. Publiés pour la Société d'Histoire Contemporaine par le vicomte De Broc. XVI, 313 (Paris, Picard et fils), — przez A.	559
Dr Dany: „Les idées politiques et l'esprit public en Pologne à la fin du XVIII siècle. La constitution du 3 mai 1781“. Paris, 1901; — Bertha von Suttner: „Die Haager Friedens-Conferenz“. Tagebuchblätter“, 1900, — przez A. R.	564
Eliza Orzeszkowa: „Chwile“. Warszawa, Kraków, 1901, — przez A. Drogo- szewskiego	538
9. KRONIKA MIESIĘCZNA: Kilka słów z powodu fundacyi hr. Michała Tyszkiewicza. — Stowarzysze- nie majstrów cechowych w Warszawie. — Stan i działalność stowa- rzyszeń kredytowych współdziałających u nas w roku 1900. — Ogródki dla dzieci	574
10. WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE	587



De. II. 1.

Z NIEZNANYCH RĘKOPISÓW Zygmunta Krasieńskiego.¹⁾

V.

W N O C Y.

Z uczuciem i bojaźnią w nocy pisany²⁾.

16, 17, 18 Września 1830. Genewa.

W zmroku godzinie, gdy wszystko szare i niepewne, gdy niebo nie straciło jeszcze całego swego blasku, lecz barwy jego pobladły, wołałem cię a nie przyszedłeś nigdy. Pod sklepieniami słabo oświetlonego kościoła, gdy modlitwy ucichły, a świątynia opustoszała, po mogiłach stąpając, wołałem cię i nie przyszedłeś.

Wśród cmentarzy, przy świetle księżyca, otoczony białymi nagrobkami i czarnymi krzyżami, wzywałem cię, a nie odpowiedziałeś mi. We dnie, patrząc na piękną okolicę, pełną życia i słońca, pragnąłem cię zobaczyć, a nie ukazałeś mi się. W nocy, wśród ciemności, po uderzeniach mego serca czułem obecność twoją, lecz nie widziałem cię przed sobą.

A jednak wiem, że często bywasz przy mnie. Dlaczegoż więc ujrzeć cię nie mogę? Czy dla tego, że tajemniczy lęk miesza się zawsze z mojem pragnieniem, a tobie trzeba duszy bez słabości, aby była godną ciebie? Napróżno jednak chciałem opanować tę trwozę. Świat nadmysłowy, zbliżając się do mnie, zawsze mnie o dreszcz przyprawiał. Niebezpieczeństwa trwożą mię mało lub wcale nie, lecz

¹⁾ Patrz zeszyt sierpniowy, str. 197.

²⁾ Słowa te w oryginale francuskim, po polsku przez autora dopisane.

serce we mnie drży, gdy przeczuwa, że ty, o tyle od niego wyższy, staniesz przy nim niezadługo.

A przecież bywały chwile, kiedy, myśląc o tobie, czułem, że dusza moja wezbrana jest miłością. Byłbym podeptał róże życia i kiełich rozkoszy, gdybym za tę cenę mógł cię zobaczyć lub usłyszeć. Duchy tych, których kochałem na ziemi, lub tych, których nie znając, przeczuwam, czemuż uwielbiam was czasem, jak kochanka, a uciekam od was innym razem, jak od nieprzyjaciół? Często rozmyślałem samotny, w miejscu odludnem, nad wami, i ani szyderstwa ludzi, ani sofizmaty mego rozumu nie zdołały wiary mej w was osłabić. Świat materialny, tak wielki, tak piękny, nie może być odosobniony we wszechświecie; trzeba mu równowagi moralnej: innego świata, równego tantemu w prawach, rozległości i piękności, lecz różnego w zasadach. Dla każdego atomu materii, rzuconego w przestrzeń, potrzebną jest myśl i życie w wieczności!

Przytem dusza moja zna swe dawne towarzyszeki, lub też przeczuwa swe przyszłe przeznaczenia; lecz wszystko to, co ją otacza, ma ci jej spokój i odrywa ją od wzlotu. Rzucony tu na ziemię muszę walczyć z przeszkodami i z bliźnimi. Często nie mam czasu tchu zaczerpnąć i wśród krętych ścieżek a bezdroży krzyżujących się na ziemi, tracę ślad drogi, która mię do ciebie wieść powinna.

Wplątany w tyle drobnych interesów, igraszka tyłu intryg, miotany tyłu płytkimi falami, oddalam się od ciebie za każdym krokiem; i jeżeli niekiedy chcę zawrócić na przebieżone ślady, za długo błądziłem, by móżdż natychmiast odnaleźć drogę świetlaną.

Gdy chwila każda czyni cię większym i wyżej podnosi w sferach, gdzie przebywasz, ja spadam coraz niżej tu na ziemi. Wyższość twoja wzmaga się, podczas kiedy ja stopień po stopniu pograżam się; gdy więc noc piękna ciszą swą nakłania mię do myślenia o tobie, który jesteś samem milezieniem i samym rozumem, ja drzę, bo jestem słabością, a ty siłą i szczytnością samą.

Harmonia muzyki unosi niekiedy duszę mą ku tobie, bo wszystko, co jest nieokreślone, a pięknem zarazem, jest jakby częścią twojej istoty. I oto dla czego blade promienie księżycy zdają się być ścieżkami, po których ty stąpasz w przestrzeni; oto dlaczego potok szumiący wśród nocy zdaje się być mieszaniną głosów nie z tego świata.

Przymioty, które w różnych czasach ludzie ci przypisywali, te kajdany, ten całun biały krwią zbyzgary, ta postać straszna, ciała pozbawiona, ja to wszystko porzuciłem, wyswobodziłem cię z posępnych baszt i z wieżyc gotyckich, aby ci dać nieskończoność za mieszkanie.

A przecież wciąż jeszcze uczuвам tę samą bojaźń, którą uczuwali nasi przodkowie pod republikańską togą, a potem pod stalową zbroją. Wyciągam do ciebie ramiona i znów je opuszczam; posuwam się ku tobie i cofam. Czyżbym był drugą Semele a ty Jowiszem?

Dusza moja nie ustępuje ci jednak ani na trochę w nieśmiertelności. Maluczko, a może stanie się częścią twego świata. Czyż więc to znikome ciało, które mię od ciebie oddziela, jest dostatecznie silną zaporą, ażeby nas trzymać zawsze oddalonych? Trzebaż ją złamać zupełnie, ażebyśmy się spotkali? Czyż niema sposobu przebrnąć tej zapory, zostawiając ją nietkniętą?

Gdy myśli ku tobie zwracam, czuję wtedy jak gdyby toczyła się jakaś walka między duchem, który mię ożywia, a więzami, które go łączą ze mną. Te więzy zdają się rozluźniać i słabnąć; następuje potem żywe wzruszenie, coś naksztalt przelotnego konania, które jest zapewne wiernym obrazem tego konania, które mię kiedyś gwałtownie do stóp twych rzuci.

Bywali ludzie, którzy cię znali lepiej ode mnie, a bliźni nazywali ich waryatami i wygnali ze społeczności ludzkiej. Tak, dwom panom nie można służyć; wznieść się ponad sobie podobnych, a jednocześnie pozostać wśród nich, jest rzeczą niemożliwą. Niepodobna być z tymi, którzy budzą trwogę i cześć, i jednocześnie z tymi, którzy się boją i wielbią.

Życie i śmierć: we wszechświecie istnieje tylko życie i ciągła jego przemiana. Może, gdy będę już pomiędzy wami, przeczuwać będę znowu coś wznioślejszego?

Z przypuszczeń stwierdzonych, przez przypuszczenia poczęte, dźwigać się będę ciągle i wznosić coraz wyżej, aż wreszcie znikną już dla mnie wszelkie wątpliwości i obawy; i wtedy będę... czem?

Mowo ziemską, myśli ludzka, czemuż się tak błakacie? Nie potraficie wyrazić nic poza przestrzenią i czasem. Bładzicie bezustanku, bo szukacie kombinacji tam, gdzie wszystko jest proste i dobre. Lecz takim jest nasz los i nie postąpicie dalej, przynajmniej za mego życia.

A jednak kiedy mi smutno, zdaje mi się, że zbliżam się do ciebie; niesprawiedliwości i zdrady ludzkie popychają mię do szukania ulgi i pociechy w tobie; i wtedy obawy moje słabną. Byłoby to dlatego, że dusza moja, oczyszczona w ogniu cierpienia, godniejszą jest poznania ciebie i podnosi się wtedy o stopień wyżej ku tobie?

Ogniwem będąc w nieskończoności, zmienić miejsca nie mogę; przyjdzie czas, w którym się rozkruszę, a wtedy szczątki moje sto-

pią się w pierścień wyższy i świetniejszy. Cierpliwości zatem i męstwa!

Lecz wy, duchy, ku którym serce moje często wyrwa się z piersi, wy, co zdajecie się muskać moje czoło niewidzialnymi skrzydłami, gdy się modłę, płaczę lub kocham, czy odpowiecie mi, jeżeli kiedy zawołam was już bez trwogi, bez słabości a pełen woli?

Ach! lotem błyskawicy przebiegajcie wyznaczone wam szlaki; rzucajcie w dusze ludzkie niepewne przecucia i myśli wzniosłe; zbliżcie się do nich; a jeżeli kochałyście je za życia, opiekujcie się niemi z poza grobu. Synul kiedy modlisz się na cmentarzu u mogiły matki, bądź pewnym, że ona jest przy tobie! Człowieku, jeżeli oplakujesz utraconego przyjaciela, on jest blisko ciebie! Oblubieńcze, jeżeli narzeczona twoja znalazła zimną trumnę zamiast weselnego łoża, ah! wierz, gdy klękasz na jej mogile zasypanej kwiatami, że sływa ku tobie z nadziemskiego świata, że słyszy twe westchnienia, a dusza jej w tej uroczystej chwili z twoją się jednoczy!

VI.

C H O L E R A.

I.

Naprzeciw wielkiego ołtarza, w kościele Augustyanów w Wiedniu, wznosił Canova arcyksiężniczce austriackiej pomnik z karyjskiego marmuru. Jest to grobowiec na rozcież otwarty. Z jednej strony lew, z drugiej geniusz. Anioł i zwierzę, oboje spokojni, jakby uspieni, a pomiędzy nimi postać kobieca wchodzi w ciemnię grobu, na progu jego stopę stawiając. Krok jeden jeszcze, a w przepaść się pogrąży. W tej postaci tak białej, odwróconej od świata, by lepiej myśli zebrać przed wejściem do wieczności, jest rezygnacya, nadzieja i majestat. Wpatrując się długo w tę postać, dostrzega się jakby lekki ruch w fałdach osłaniającej ją tuniki, i zdaje się, że kroki jej wloką się. zwolna naprzód, że rąbek jej szaty rozplynie się niezadługo w mroku, który wszystko ogarnie, poza temi drzwiami jeszcze z marmuru, jeszcze z materyi, jeszcze oświetlonemi słońca promieniem, jeszcze ozdobionemi dłutem człowieka.

Tam, wpatrzony w pomnik, z głową zwróconą ku mszy, która się w kaplicy za nim odprawiała, stał młodzieniec, mnąc kapelusz w ręku, nie wiedząc jaką przybrać postawę, jak gdyby był u dworu i przypominał sobie rady szambelana. Szeroka smuga światła, spadając

z szyby na szybę i z gzemu na gzem, zatrzymała się na jego czole, na wzorzystej kamizelce, na złotym łańcuchu i na ubraniu świeżem, zupełnie modnem, lecz połańdowanym wszędzie od zgniecenia i podartem około guzików; krawat czarny zawiązany miał niedbale na szyi, laskę trzymał w ręce, buty starannie wyczyszczone pokryte były kurzem.

Patrząc na tę twarz o nabiegłych krwią żyłach, na to czoło blade, żółte żółtością liści jesiennych, lub trupa, na oblicze, o wyrazie ruchliwym, nie zatrzymujące żadnej barwy, lecz mieniające się ciągle wszystkimi, można było różne rzeczy przypuszczać, snuć zagadnienia à la Walter-Scott, hipotezy à la Gall, Lavater, albo bawić się w zagadki à la Balzac lub Jules Janin. Można było domyślać się, że nieznamy przeszedł suchoty, lub proces kryminalny, że ma cierpienie śledziony ulbo też czarne knuje myśli, że jest w przededniu lub nazajutrz po zbrodni.

Na czole jego różne zmarszczki krzyżując się kreśliły tajemniczy hieroglif zbrodni. Ponieważ jednak nie były to zmarszczki spokojne, nieruchome, a w brózdach ich nie drzemała stara przeszłość, można było wnosić, że ta dusza nie zapamiętała się w złem, że błędy jej nie były bankructwem spadającym z wysoka po tysiącnych operacjach omyłonej rachuby; że zaś, przeciwnie, te zmarszczki ruchliwe mieniły się i, nie zatrzymując się ani na chwilę, przebiegały po zwiędłej skórze, niby błyskawica szarpiąca chmurę w szmaty, migając po tem czole, w okrutnej jakiejś igraszce, jakby rysunkami kalejdoskopu,—można było powiedzieć, że to dusza namiętna zarówno w dobrem, jak i złem, ulegająca bodźcom chwilowym, nie lubiąca się zastanawiać, nie znająca rozmysłu, dusza, która w miłości zna tylko uniesienia, w nienawiści szala tylko, której nie zatrzyma nigdy rada anioła stróża, ani podszept szatana, dusza, idąca swoją drogą tylko za natchnieniem, upadająca, by się podnosić, podnosząca się, by upaść znowu i spełniająca swoje przeznaczenie upadków i ekspiacyi, wśród gorączkowych upojeń i dręczących bólów, w nieustannem szaleństwie.

Spokój tych białych, kamiennych, nieruchomych postaci, które zatrzymały z życia tylko majestat jego chwil ostatnich, budził w sercu młodzieńca wyrzuty, w duszy jego zazdrość. Wpatrywał się w nie, chciwy ich nieruchomości, zazdroszcząc im tego cichego grobu, bo on nie mógł się niczego podobnego spodziewać, ani na ziemi, ani poza nią. Nieszczęsny kapelusz giął mu się w rękach, a paznogie szczybiły mu się o pierścionki. Stał tak zrozpaczony z otwartemi ustami, dręczony wyrzutami sumienia, a każdy wyrzut był jedną namiętnością w jego łonie.

Gdy tak stał, wielkie jego czarne oczy przenosiły się kolejno ze lwa na arcyksiężniczkę, a z arcyksiężniczki na anioła. Ryk lwa, łkanie kobiety, lub kłątwa anioła, były-by mu ulgę przyniosły; lecz nic, ani dźwięku, ani słowa; cała grupa usypiała przed nim pogodnie w chłodzie marmuru wiejącym naokoło.

Strasznym był widok tej sprzeczności w miniaturze między wybranymi, a potępionym, która wyprzedzała grozę sądu ostatecznego. W tem zagrały organy. Dźwięki ich wspaniałe, poważne, ogarnęły zwolna cały przestwór świątyni. Młodzieniec zadrżał, palce jego skurczyły się, trzeszcząc w splotach obu rąk, z drganiem żmiji w kawałki pokrajanej. A on nie mógł ruszyć się z miejsca.

Kiedy wreszcie wyszedł, skoczył jednym susem po stopniach z granitu, a potem szedł dalej śpieszno.

Dwóch ludzi go spotkało i jeden mu się uklonił; on, przechodząc, nie widział ich wcale, podobnie jak nie widział ulicy, bruku, ni domów.

Byli to dwaj jegomości w perukach, w czarnem ubraniu, z laskami starych kawalerów, a z żabotami podstarzałych młodzieńców, z wstążeczką orderową w klapie ubrania i z gotowym zawsze niuchem tabaki, między wielkim a wskazującym palcem, z jedną plotką zaczętą na ustach i drugą zapasową w głowie.

— Co to za waryat, panie radco?

Radca był zachwycony. Anegdotka do opowiedzenia, toż to najpiękniejsza chwila w jego życiu.

— Wasza ekscelencyo, to może długo potrwa, ale bardzo jest zajmujące.—I zatrzymał się na chodniku, ustawił swego słuchacza między sobą a murem, przypierając go coraz bliżej, trzymając go za guzik, zdecydowany nie puścić ofiary za nic, pewny swej werwy co najmniej na jakie dwie godziny.

— Ten młodzieniec służy w ambasadzie hiszpańskiej; miejsce to przyjął jedynie dlatego, żeby mózż bywać w świecie; bo zresztą ku jego wstydnowi trzeba to powiedzieć, że nie jest stworzony do dyplomacyi, wobejsciu jego niema giętkości ani elegancyi; chybił swego powołania; na żadne kłamstwo nie potrafi zdobyć się z zimną krwią. Mało pomysłów, mało kombinacyi, a dużo gwałtowności i szorstkości żywość zawsze a napady szału niekiedy; wiara egzaltowana, tradycye kastylskie, poszanowanie dla stosów, dusza ognista zamknięta w klatce z żelaza, zakratowanej po katolicku: oto jego charakter. Dodajmy do tego niepohamowaną rozpustę, namiętności wszelkiego rodzaju, furye i pojedynki Hiszpana, a będziemy go mieli w całości takiego, jakim jest, wszędzie i zawsze, czy to, gdy pada na kolana przed kochanką, czy gdy klęczy przed spowiednikiem, czy też kiedy

depcze po trupie swego rywala. Dwa lata temu przybył do naszego miasta z markizem Labrador. Z początku marzył o Praterze, o kastanietach i fandangach Madrytu, chciał mieć na zawołanie piękności ogorzale od słońca, szalejące za nim, nie za jego kiesą; szukał księży, którzy-by mu mówili o piekle i widziadłach, pragnął wieczorów woniejących różami Kadyksu, pełnych meteorów świetnych, krzyżujących się w powietrzu. Naraz wszystko go zawiodło. Wtedy rzucił się w odmęt rozpusty; grał, tańczył u dworu, urządzał wyścigi konne po angielsku, polował w Czechach z naszą młodą arystokracją, nie przestając zegnać się znakiem krzyża przed każdym kościołem i klękać przed każdą madonną. I wszystko szło dobrze, Ekscelecycy. Jeden czy dwa pojedynki urozmaiciły to młodzieńcze życie, jakby po to tylko, aby trochę krwi rozrzedzić jednostajność tyłu zabaw i festynów. I wszystko szło znowu dobrze; alerok temu młodzieniec stał się wcieloną tajemnicą. Skończyły się tyrady, wykrzykniki, intrygi, ciche miłosne szepty; czasem jeszcze kielich malagi, a krople laudanum wieczorem; potem długie posiedzenia we wszystkich kościołach, ale już bez spowiedzi. Twarz Hiszpana utraciła pierwotną świeżość, oczy rozgorzały jeszcze bardziej, a chudość przeszła zwykłą miarę szczupłości kastylskiej. Westchnienia i jęki, samotne przechadzki, napady, urywane słowa, sen letargiczny lub gorączkowy, niegrzeczność dla wszystkich na prawo i na lewo. Teraz oto nie odkłonił mi się wcale, obawiam się dla niego jakiejś zgnuśnialej *idée fixe*, tkwiącej ćwiekiem w jego mózgu. Daremne wysiłki, żeby się tej myśli pozbyć, nagłe omdlenia i szały niespodziewane—oto jego życie. Ludzie naokół szepczą, opowiadają o nim dziwy: to o jakimś wykradzeniu, uwiedzeniu, to o morderstwie, otruciu; wszystko na jego zapisują rachunek; lecz nikt pewnego nic nie wie; otoczono go siecią posądzeń, w których szamać się będzie przez całe życie, jak dziki zwierz w samotrzasku.

— Nazwisko jego, panie radco?

— Don Antonio d'...

Resztę dźwięków zagłuszył turkot powozu. Lękając się, żeby go nie obryzgało błotem, Ekscelecycya podążył z radcą dalej.

II.

Była to niedziela, wieczór, w Praterze. Na pierwszy rzut oka widać tylko tłum, sunący przez długie szpalery, płynący czarną falą pod zielenią platanów. Środkiem mkną herbowe powozy, klatki osłaniające nudę wielkich panów, książąt, ministrów, ambasadorów; wytworne landa, połyskujące eleganckim werniksem, buduary wab-

nych piękności, których jasne włosy migają przez okno, lekkie kabryolety, niby łódki, przemykają się ponad temi wszystkimi głowami, kapeluszeniami, cisnącemi się wkoło, jak fale. Wreszcie młodzieńcy nadjeżdżają wyciągniętym kłusem, wystrojeni świątecznie tryumfatorowie, popychają wierzchowców swych w tłum, który im się grzecznie usuwa, oni zaś z wysokości siodła patrzą się na pieszych z najwyższą pogardą. Stare to jak świat to uczucie, jeźdźca względem pieszego, rycerza feudalnego względem poddanego lub łucznika. Gwar, krzyki, piosenki, dym z kilku tysięcy fajek unosi się z dołu chmurą szarawą w powietrze. Po obu stronach alei kawiarnie, restauracye, domy gry i domy miłości; sale koncertowe, widowiska, dioramy, panoramy, karuzele kręcące się ciągle, poliszynele bijący i bici nieustannie.

Tam cyganka wróżyć ci będzie z ręki przyszłość za sztukę miedzi, a opowie przeszłość za sztukę złota; Włoch zaśpiewa Rossiniego lub Belliniego, Szwajcar pokaże w płaskorzeźbie swe ukochane góry; Indyanin dla rozweselenia cię wpakuje sobie szpadę w gardło, a ostremi nożami nakreśli w powietrzu ruchomą koronę. Temu biednemu paryasowi dasz coś za fatygę. Dalej Turek pieścić będzie w rękę węże zębów pozbawione, Francuz olśni ci oczy sztuką z kubkami a zmęczy uszy nieustającym paplaniem.

Potemnadejdzie Włoszka o czarnych oczach, cerze śniadej, włosach kruczych; możesz ją mieć. Potem Niemka, o oczach niebieskich, włosach blond, skórze polyskującej od pomady: i ta również może być twoją. I wiele innych, tysiąc innych, wszystkie je mieć możesz.

W obrębie Prateru spotykają się wszelkie formy życia, wszelkie jego objawy: zbytek i nędza, uczucie i zalotność, zepsucie w dobrym tonie i zepsucie gminne, radość dziecka, puszczonego latawce, i ogłupiała kontemplacya upijającego się Niemca; radość młodzieńca czekającego na schadzke i rozpacz innego, który się zgrał w karty. Tutaj niezadługo w cieniu nocy, wśród tych róż i tych tulipanów, padnie słodki pocałunek; tam znów pod tym ciemnym cisem wystrzał z pistoletu przetnie pasmo życia i strąci gdzieniegdzie liść zeschnięty.

Im dalej się posuwamy, tem bardziej tłum rzędzie, aż wreszcie nad brzegami Dunaju przechadza się samotnie kilku już tylko studentów filozofii lub Anglików, chorych na spleen; tamci rozmyślają nad jakąś teorią, ci nad mgłą. Tu już las, zające mkną swobodnie i przysiadają w trawie, prawie u stóp przechodnia; zdyszane sarny stają przy nim nawpół dzikie, nawpół oswojone; miło popatrzeć na te biedne stworzenia, które nie wiedzą, co myśleć o ludziach, o całym tym

gwarze, o tem świetle, ale podchodzą naiwnie do twej ręki po kawałek chleba, po okruchy ludzkiej uczy.

W końcu Prateru wznosi się pawilon. Jest to ostatnia kawiarnia, na samem pograniczu tego widnokregu uciech wszelkiego rodzaju. Z drugiego piętra widać cały Wiedeń, Dunaj i okolicę. Kilka gwiazd przegląda się już w rzece, choć zachód jeszcze się czerwieni.

W kawiarni znowu tłum, znowu gwar, dym tytoniu, zapach kołtów, perfum, ponczu, limonady i wina. Przy każdym stoliku towarzystwo, w każdej grupie przedsmak odurzenia i szału unosi się ponad butelkami i półmiskami. Czasem jakieś głosy smutniejsze odezwą się wśród rozmów uczujących; to wróżby, przecucia. Jedni z pomiędzy biesiadujących śmieją się jeszcze, inni wypuścili z rąk szklanice; wszyscy ze drżeniem wsłuchują się w nazwę cholery. Cholera - morbus, cholera zbliża się, jest już niedaleko.

Na te słowa w głębi pawilonu jakiś człowiek podniósł głowę którą był dotąd trzymał w dłoniach ukrytą. Siedział sam przy małym stoliku, a przed nim stał kielich alikantu do połowy wypróżniony. Mętne spojrzenie rzucił w tłum i znów pogrążył się w sobie, tonąc w długiem rozmyślaniu. W tej chwili, pomiędzy dwiema świecami spostrzegł głowę starca i na jej widok został przez chwilę bez ruchu, z ustami otwartymi, z oczyma utkwionemi w zjawisko. Był pod wpływem dziwnego czaru. Starzec siedział nieruchomy z łokciami wspartymi na marmurze stolika; wyschłe jego policzki spoczęły na dłoniach. Sam Hoffmann byłby się cofnął przed wyrazem jego oczu, obojętnych, a pełnych życia, jadu, pogardy i sarkazmu, w których białka, poprzecinane drobnymi czerwonymi żyłkami, otaczały źrenice podobne do dwóch błyszczących gwoździ, umocowanych w szkłe mlecznem; i byłby się uląkł przyćmionego a jednak pełnego kolorytu tej twarzy płaskiej, muskularnej, która mówiła o długich minionych latach, ale, niewiadomo czemu, zdawała się zapowiadać ich jeszcze wiele jak gdyby zwykły wiek człowieka, więcej nawet niż wiek zwykły, nie miał wystarczyć do rozprężenia tych żył, do wyschnięcia tego ciała, do zlodowacenia tych ust milczących a ruchliwych zarazem, do powstrzymania tego konwulsyjnego skurczu pogardy, który je ciągle wykrzywił, do wysuszenia tego czoła, spokojnego, surowego, czoła, które wydłużało się gładkie, jak zatoka morska, między dwoma kosmykami siwiejących włosów, pozostałych gdzieniegdzie, niby szczątki przez burzę oszczędzone. Bezwątpienia było coś nadprzyrodzonego w tym człowieku; wszystko, nawet ubiór, przejmowało jakąś niepewnością i trwogą. Stary strój przypominał modę z przed Rewolucyi, na palcu błyszczał pierścionek z cyframi arabskimi, krawat biały

zakończony był dwoma kawałkami muslinu haftowanego ścięciem flamandzkim.

.

Starzec pociągnął don Antonia na najwyższe piętro pawilonu. Noc już była, z oddali przelatywały niewyraźne, zamierające odgłosy Prateru; Dunaj płynął w dole i drżał w kępach sitowia.

— Młodzieńcze, popełniłeś zbrodnię!

Był to głos osobliwy, głos, który niegdyś odzywał się akcentami ludzi dawniejszych, ale teraz nie harmonizował już z głosem ludzi dzisiejszych. W odpowiedzi Hiszpana nie było ani obawy, ani zdziwienia, dźwięczała tylko rezygnacja człowieka, stojącego przed wyższym od siebie, przed mistrzem; spojrzenie starca wyznaczyło mu bowiem właściwe miejsce zanim głos jego usłyszał.

— Młodzieńcze — mówił dalej — czy chciał-bys ją odpokutować?

— Niepodobna, niepodobna! Wszystkiego próbowałem, i Boga, i ludzi: Boga, by wieczność osiągnąć, ludzi, by żyć w szale i zapomnieniu. Wszystko mię zawiodło: i szalone pieścizny kochanek, i poważne pociechy kapłanów. Źle mi było, zarówno w przybytkach rozgorzałych od rozkoszy, jak w kościołach chłodnych od ciszy i spokoju. Za taką zbrodnię niema odkupienia; to też wyrzuty sumienia dręczą mię dniem i nocą. Usiadły mi na skrzyni i zgrzytają zębami, wsuwają się pod poduszki i szepczą do mnie cicho. Od wieży św. Stefana wołają na mnie głośno, kołysząc się na gotyckich strzałkach i czepiając figur świętych. Na polowaniu wyją wraz z psiarnią skaczącą około zabitego jelenia; w teatrze stały się muzyką i przeszywają mi serce, przy mszy dźwięczą w dzwonek i jęczą w głosie organów. Przy świetle księżyca ścigają mnie i skaczą z gałęzi na gałąź. Gdy w gabinecie chcę pracować, kreślą mi na kartach książek moją historię, prozą w „Don Kiszocie“, wierszem w „Calderonie“. Żeby z niemi skończyć, skończył-bym łatwo z sobą, gdybym mógł wierzyć w nicosć z tamtej strony grobu. O ja nieszczęśliwy!

I rwał włosy, a w pierś zatapiał paznogie. Piana biaława spływała mu ze śpieczonych ust, którym sprawiedliwość boska odmówiła kropli wody na ziemi.

Starzec stał w postawie średniowiecznego sędziego, zobojętniały na lzy i katusze. Bez wzruszenia czekał, aż Hiszpan przytomność odzyska, a potem dał mu znak, by słuchał i nie przerywał:

— Za każdą winę, jakakolwiek by była, jest pokuta przejściowa tu na ziemi, lub wieczna gdzieindziej: przejściowa na tym padole, bo

temu światu przeznaczonem jest przeminąć, wieczna gdzieindziej, bo przeznaczeniem tamtego jest trwać zawsze. Dla ciebie mam objawienie i wtajemniczenie. Teraz ze wszystkimi swemi wyrzutami, katuszami, nocami bezsennemi i dniami rozpoczy pełnemi—jesteś jeszcze wolny. Lecz jeżeli z wolnej woli przyjmiesz moje objawienie myślą, słowem, czy znakiem, wtedy staniesz się moim niewolnikiem, bo ten, kto dostał objawienia, nie może się cofnąć, bo wtajemniczony musi zginąć na wieki lub spełnić zadanie, które mu objawiono, nawet wtedy, gdyby zadrżał pod jego ciężarem i grozą.

Skinienie jedno było znakiem przyjęcia umowy. Młodzieniec stał przybity, zdumiony, obezwładniony w potężnych objęciach mocy jakiejś niepojętej, lecz rzeczywistej, ciężącej na nim olbrzymiem brzemieniem.

Wtedy twarz starca zmieniła się, sarkazm i ironia znikły, a powaga natchnienia powlekła jego rysy. On sam zdawał się już tylko narzędziem, środkiem, istotą, której powierzono jakieś posłannictwo, która zniża się w chwili spełnienia misyi, a zagłębiona w wielkości swych idei, nie ma czasu urągać ludziom, lecz drży, bo te idee nie powstały w jej duszy, ale są przybyszami z daleka, mającymi prawo panowania nad wtajemniczonym, zmiażdżenia go w pochodzie, podobnie jak on depece po niższych od siebie istotach.

Głos jego był grzmiący i jednostajny; nie podnosił się, nie zniżał ani o jeden ton, podobny do muzyki religijnej, słyszanej u drzwi kościoła.

— Jeżeliś w szaleństwie swem myślał, że świat ten krąży sam w przestworzu, poznaj swój błąd, mój synu. Bóg stworzył wszędzie istoty pełne życia, przeznaczone do czuwania nad materią; jednostki tajemnicze, mające pieczę nad masami, bo opatrność w swej nieograniczonej sprawiedliwości raczyła dać każdej hierarchii istot stróżów, sędziów, zdolnych odczuwać namiętności tych istot i litować się nad niemi zanim je ukarze; w przeciwnym razie cherubin niebieski, nie rozumiejący nic z nędz i słabości ludzkich, uniesiony świętym gniewem, zgruchotał-by jednym uderzeniem swych złotych skrzydeł świat ten cały, splamiony tylu zbrodniami i tak w oczach jego spodlony i poniżony.

Od hierofantów Memfiskich począwszy, stowarzyszenie nasze nigdy nie ustawało. Odradzało się nie z pokolenia w pokolenie, jak ludzie, lecz z epoki w epokę, jak rodzaj ludzki. My to ucywilizowaliśmy świat, my broniliśmy ludów, lub karę im wymierzali. Nam-to w części udzielona jest świadomość tajemnic niebieskich; nam w części objawiono przeznaczenie rodzaju ludzkiego; lecz my jesteśmy tyl-

ko narzędziami. Jednego dnia siejemy pomyślność, nazajutrz śmierć siać musimy.

.

— Próba twoja będzie równie straszną, jak okropną była twoja zbrodnia. Jutro o północy stawić się masz na piątym stopniu schodów kościoła Kapucynów.

Młodzieniec skłonił głowę i cicho wymówił przysięgę. Starzec tymczasem przybrał pierwotny wyraz pogardy, a potem opuścili pawilon i rozeszli się.

III.

W chwili, gdy z ostatniem uderzeniem północy Antonio di... porwany z zawiązanemi oczyma ze stopni kościoła kapucyńskiego, uczył naokoło siebie chłód długich kurytarzy i wilgoć sklepień niezdrowych, przeżegnał się; siedł jednak krokiem pewnym, bo dla niego nie było już nic, prócz pokuty, lub nicości. A że tej ostatniej nie było, musiał więc wybrać pierwszą.

.

Widok tej sali, tak długiej i ciemnej z początku, a tak rozpromienionej światłem w drugim końcu, mógł, zaiste, przypawić o utratę przytomności. On stał w cieniu, a widział daleko, bardzo daleko, przez długą perspektywę ciemności, olśniewającą jasność w głębi, w której odbywały się rzeczy dziwne i tajemnicze.

Był to sąd, złożony z ludzi, niczem nieprzypominających ludzi dziewiętnastego wieku. Wszystkie inne stulecia, z wyjątkiem tego właśnie, mogły-by się w nich odnaleźć. Na tronie, otoczonym jakby mgłą ognistą, siedział arcykapłan lzydy. Cały Egipt odzwierciedlał się w tem poważnem czole, w tej brodzie białej, w postawie człowieka, niezbyt jeszcze oddalonego od początków społeczności ludzkiej, człowieka, który zachował jeszcze coś z Tytanów i jakiś odbłysk panowania bogów na ziemi.

Obok nieco widać było mędrca z Jonii, bardziej już pochylonego ciężarem życia, z oczyma łagodniejszymi, postawą mężniejszą, z brodą, w lokach spływającą, z ręką, opartą na siedmiu strunach złotej liry. Dalej wyróżniał się patrycyusz rzymski, tajemniczy stróż ksiąg sybillińskich, okrutny ciemiężca plebejusza, wspaniałały żołnierz świetnych czasów Rzeczypospolitej, surowy kapłan nieublaganych bogów, od których odbiera wyroki z obowiązkiem wykonywania ich nad ca-

łym rodzajem ludzkim. Dalej jeszcze chrześcianin, cały uduchowiony, rozogniony, odradzający ziemię słowem niebiańskim, męczennik w miastach, anachoreta w pustyniach, w tunice lniaanej, na której znać jeszcze ślady pazurów lwa z Kolosseum. Na srebrnym tronie spoczął ojciec Kościoła we wznieśliwej ekstazie; wymowa nurtuje już myśl jego, a nawpół otwarte usta drgają od szmeru myśli, wcielających się w złote słowa. Potem grupują się przedstawiciele wszystkich wielkich idei i wielkich prądów, rozwijających myśl bożą w duszach ludzkich. Lecz wszyscy zdają się pływać w jakiejś glori i ognistej. Niepodobna rozróżnić ich postaci, ni zrozumieć mowy. A co chwila obraz się zmienia. Wygląda to, jak gdyby przed trybunał tych sędziów wytaczano proces narodów. Są tam oskarżyciele i obrońcy, przeciągają całe zastępy nieszczęśliwych, błagających przebaczenia; cała ludność wielkiego miasta czołga się u stóp zgromadzenia. Potem słyhać jęki i szlochania; a potem cisza nastaje tak straszna, że lepiej było-by słyseć jęk śmierci.

Długo czekano na wyrok. Zmora tak niesłychanego widoku odebrała na czas pewien myśli nieszczęśliwego od jego wyrzutów. Uważał to za dobrą wróżbę, bo się to zdarzyło po raz pierwszy.

Wreszcie głos wielki objawił, że szala przechyliła się na stronę sprawiedliwości bożej. Wygłoszono każdy grzech, każdą zbrodnię; nazywano w nieładzie ludy i możnych tego świata, a całe jedno wielkie miasto skazane zostało na pokutę przez klęskę zarazy.

.

Wtedy od grupy świetlanej odłączyła się postać ludzka, która, zagłębiwszy się w ciemności, skierowała się ku młodzieńcowi. Długa smuga światła szła za nią i znaczyła jej drogę. Don Antonio poznał starca, pomimo, iż oblicze jego było blade i wyrażające pokorę i poddanie się. W rękach trzymał flakon kryształowy, pełen drobnego pyłu, który zdawał się kłębić niecierpliwie między przezroczystymi ściankami.

— Idź, i siej śmierć. Taki jest wyrok miłosierdzia bożego, aby pokuta za winy mas spełniła się przez pokutę jednostki. Nie cofaj się ani przed miłością, ani przed przyjaźnią. Jesteś narzędziem Wszechmocnego, który skruszy cię jak szkło w chwili, gdy się zawahasz, a dusza twoja na wieki cierpieć będzie katusze buntowników. Nim spełnisz powierzone ci zadanie, spotkasz mię jeszcze.

IV.

W piękną noc księżycową na szerokim i wielkim trawniku, otoczonym lipowemi szpalerami, pełnemi chłodu, przechadzał się don Antonio di.., ukrywszy swój złowrogi flakon pod fałdami hiszpańskiego płaszcza.

Nie był to już ten sam człowiek, który niegdyś błądził po ulicach Madrytu, po ogrodach Kadyksu, lub szczytach Sierra Moreny. Wtedy uśmiech pięknej kobiety, dźwięk gitary, szczełk dwóch ostrych a błyszczących szpad, stanowiły treść jego życia i snów nocnych. Odważnym bywał aż do narażania życia dla drobnostki; namiętnym aż do poświęcenia miłości własnej dla swych namiętności; wspaniałomyślnym aż do utraty całego mienia; nabożnym, aż do fundowania kościołów i zbogacania mnichów; lecz był też młodym, pełnym nadziei, wielkich zamiarów i śmiałych pomysłów, w potrzebie mógł stać się nieustraszonym korsarzem, walecznym wodzem, lub dumnym gerył asem. Dziś nic już z tego nie pozostało. Była to dusza postarzała w cierpieniach i niepokoju, zwiędła przedwcześnie, zawsze jeszcze gwałtowna, niepohamowana, ale już zwrócona przeciw sobie, wyniszczająca się z zaciekłością, pogrążająca się żywcem w płomieniach piekielnych. Słowem, był to duch, dręczony wyrzutami sumienia.

Aby się od tych wyrzutów uwolnić, gotów był poświęcić reputację, honor, skoczyć w morze, rozciągnąć się nad ogniwem (Guatemala¹⁾), przejść przez wszystkie próby inkwizycyi, bo bał się jedynie Boga; ludzi natomiast nie lękał się wcale. Bóg unosił się ot tam, z drugiej strony grobu, z przekleństwem w prawicy, które go zmiażdżyć miało; a tej myśli pragnął się pozbyć za wszelką cenę. Na wszystko się raczej odważy, niżby znosić ją miał jeszcze noc jedną, jeszcze jeden dzień. Oto dlaczego się zgodził, a od tej chwili czuł się pod uciskiem, w jarzmie, w roli niewolnika. Oddał się w ręce wykonawców potęgi strasznej i znosił jej skutki.

Przechadzał się tedy po zielonym trawniku, gdy w tem przejechał powóz otwarty z mnóstwem kufrów i paczek na koźle i z tyłu. W powozie jakiś Anglik z młodą Angielką o cudnej i świeżej cerze, jaśniejącej w świetle księżyca. Był to mąż, podróżujący z młodą małżonką. Lekkiem dotknięciem starał się ją obudzić, gdy już dojeżdżali do Wiednia; pragnął, by użyła widoku wielkiej stolicy, pogrążonej

¹⁾ W rękopisie: „à s'étendre sur le brasier de Guatimala.“

w cieniu, gdzieś tylko migającej światłami, niby wielka głowa Argusa o tysiącu oczu. Ona podniosła się zwolna.

Hiszpan wytrząsnął trochę zawartego we flakonie proszku. Naksztakt nieuchwytniej mgły pył wionął ku powozowi i wcisnął się między mężczyznę i kobietę, a powóz się oddalił.

Młodzieniec został skamieniały, z duszą, rozdartą tą pierwszą próbą. I cóż mi zawinił ten piękny kwiat nocy? Biedna małżonka, kto wie? może biedna matka! I w jednej chwili żal jego stał się namiętnością, bo taką już była ta kastylska natura, że cokolwiek tam padło, w żar i ogień się zamieniało.

Załamał ręce, lzy zawisły mu na rzesach, potem obraz piekła stanął przed nim wśród tych długich szeregów lip. Hiszpan zgrzytnął zębami i poszedł dalej. Spotkał starca o białych włosach, rozwiewających się pod tchmieniem letniego wietrzyka; staruszek szedł żwawo i rażno, a wyraz twarzy miał łagodny i otwarty.

— „Dobry wieczór panu“, — rzekł przechodząc. On, nie odpowiedział, lecz potrząsnął flakonem. Przeszło kilka minut. Don Antonio uczył się zbrodniarzem, przychwytanym na gorącym uczynku, i dziecko mogło być powalić go, jego, który niegdyś dla zabawy poskramał byki w arenie. W tem po drugiej stronie trawnika dał się słyszeć krzyk, jeden z tych okrzyków, jakie wydają otruci. Tłum cisnął się ku miejscu, skąd się jęk odezwał: byli tam ciekawi, a pomiędzy nimi był lekarz, który, przypatrzwszy się starcowi, leżącemu pod drzewem, rzekł, odskakując: „cholera morbus!“.

Don Antonio przechodził w tej chwili, ale już był odzyskał zimną krew, gdyż tam, gdzie widział wielu ludzi, zdawało mu się widzieć niebezpieczeństwo, a na ten wyraz: „niebezpieczeństwo“, miał zawsze w duszy odpowiedź: „odwaga“. Nad wszystkimi potrząsnął flakonem i odszedł zwolna.

Potem chodził noc całą po ulicach Wiednia, wokoło teatrów i pałaców. Widział śmiejących się gości, wychodzących z obiadu, wytwornych tancerzy, opuszczających salę balową. Widział kochanków, prowadzących się pod rękę, szambelana, spacerującego z baletnicą; wokoło wszystkich potrząsał złowrogim proszkiem, a kiedy ulice i place opustoszały, potrząsał nim jeszcze, a pył wciskał się w okna pierwszych i drugich pięter, unosił się w powietrzu, jak lekka mgła, czepiając się okien i znikając za okiennicami, żaluzjami i drzwiami.

.

Nazajutrz w całym Wiedniu ogólne panowało przerażenie. Cholera zabrała dużo ofiar w nocy. Lekarze biegali w różnych kierunkach

jak strażacy w czasie ognia, a już około południa czarny karawan, pełen trupów, zaczął krążyć zwolna koło domów, zabierając zmarłych z każdej ulicy, a posępny woźnica wołał donośnym głosem tak, aby go aż na szóstych piętrach słyszano: „cholera! cholera!”. Na ten głos wszystkie zamykano okna, szyby brzęczały, wszędzie zapuszczano firanki.

Myśl, że kara boża zawisła nad miastem, zaczęła coraz więcej utwierdzać się w umyśle ludu, bo lud, jako masa zbiorowa, ma zawsze trochę owego instynktu, którym niebiosa obdarzają cały rodzaj ludzki, odmawiając go jednostkom. To też kupcy, rzemieślnicy, fabrykanci chodzili około spraw swoich z energią fatalizmu, powierzając swoje losy przeznaczeniu.

Inaczej wyglądały towarzystwa w salonach i buduarach, inną miało fizyognomię ciała dyplomatyczne. Twarze wybladłe, spazmy, słowa urywane, brak oddechu, oto ich stan fizyczny. Suknie pomięte i zaniedbane, krawaty poprzekręcane, kamizelki zaledwie zapięte, szkła zwieszające się na piersiach w zupełnem zapomnieniu. oto wygląd zewnętrzny. Trwoga i resztki obłudy w przymusowych uśmiechach, niepokoje wszelkiego rodzaju, długie rozmyślenia nad chlorem i kamforą, szerokie rozprawy nad indyjskiem pochodzeniem moskiewskiej zarazy—oto stan moralny tych towarzystw.

Następne dni pomnożyły jeszcze liczbę ofiar. Wszelkie usiłowania na nie się nie zdały. Zaraza nie ustawała, zabierała wielu chorych, dręczyła długo, tych których zostawiała przy życiu, dotknąwszy ich w pochodzie.

Co noc nieszczęsny Antonio powtarzał swe przechadzki. Wreszcie trochę już tylko pyłu pozostało we flakonie; plaga zbliżała się do końca. Chciał właśnie wyjść z zamiarem wytrząśnięcia tej reszty na pierwszego spotkanego człowieka, kiedy na progu spotkał swego mistrza, swego władcę, tajemniczego starca.

— Synu, pierwsza część twojej pokuty spełniona. Druga, straszniejsza, zabierze ci tylko parę chwil. Ta, którą kochasz, schroniła się z rodziną na wieś w pierwszych dniach zarazy. Ona musi umrzeć.

Antonio był blizki rzucenia się na starca i uduszenia go z wściekłości.

— Synu, ona umrze młodo i będzie szczęśliwą, gdyż czystą była, a ty odpokutujesz twą zbrodnię.

Powiedziawszy to, dotknął ramienia młodzieńca i zniknął. Wtedy niepojęta jakaś siła pełnęła Antonia w ulicę i prosto wiodła go ku bramom miasta. Kiedy przybył do wioski, gdzie mieszkała jego kochanka, zegar kościelny bił ósmą.

V.

Powietrze było ciepłe, łagodne, wonne, prawdziwa noc letnia, kiedy to każda gwiazda na niebie zda się konać z rozkoszy, kiedy księżyc złotą siecią swych promieni zda się oplatać róże, jaśminy i liście w klombach. Szpaler z bzów prowadził do domku białego o zamkniętych okiennicach, który zdawał, niby wyspa śnieżna, unosił się nad morzem zieleni. Wszystko to przy księżycu było śliczne, młode i świeże. Miejsce, stworzone do rozmarzenia się nadzieją, do oczekiwania na schadzkę, do przechadzek z ukochaną, do poezji, do rojeń fantastycznych, bez kropli goryczy.

Na progu wstrzymał don Antonia dźwięk fortepianu. Członki jego drżały tak, że prawie wychodziły ze stawów. Przyszły mu na pamięć całe dzieje jego miłości, długie tęsknoty za duszą, która-by potrafiła zrozumieć przynajmniej cząstkę jego nieszczęść i katusze bezczynnego serca; bo on, Kastyleczyk, musiał jeszcze kochać bodaj w walce z wyrzutami sumienia; bo dla niego, Kastyleczyka, miłość była warunkiem życia. I przypomniał sobie niewysłowioną dobroć swojej Maryi, tę jej troskliwość dziewczęcą, trafiającą mu wprost do duszy i gojącą jej rany, te długie wieczory, spędzane przy jej muzyce i śpiewie. Ona tylko dla niego umiała grać i śpiewać, jego tylko szukały wszędzie modre jej oczy, jemu oddawała swe złote sploty, by je sobie około palców owijał; jemu nigdy nie odmówiła swych drżących ustek; ale nigdy też wśród wybuchów południowej namiętności kochanka nie poddała się jego szalowi.

Księżyc oświetlał w pełni jego twarz. Nie było w niej już nic ludzkiego: był to potępieniec, biegnący wśród grobów nad brzegami morza Martwego, lub fakir, rozbestwiony długim milczeniem myśli i słów, zrównany ze zwierzęciem przez katusze postu.

A jednak była chwila, kiedy błysk wolnej woli zdawał się wystrzelać z tej źrenicy nieruchomej i dzikiej. Ale wtedy Hiszpan poczuł obok siebie jakby woń siarki, i zdawało mu się, że widzi oczy szatana. To położyło kres walce. Jako bierna i niewolnicza istota, narzędzie, posłuszne zewnętrznemu bodźcowi, otworzył drzwi salonu.

W tym pokoju nie było ani śladu zbytku dorobkowicza, każdy kącik wyglądał tam wytwornie. Lampa paliła się na stole, przykrytym makatą, haftowaną w barwne tęczę; ściany obite na biało i niebiesko; cztery marmurowe słupy w rogach pokoju, a na nich kwiaty świeże, pachnące, rozpraszające woń swoją po całym domu. Sofki fioletowe ze śnieżnemi frendlami, fortepian mahoniowy, na nim party-cye oper w bogatych oprawach, a na taborecie królowa tego przy-

bytku siedziała z ręką na klawiszach, zamyślona snąc o swym ukochanym, bo właśnie powtarza jego ulubione melodye.

Odwróciła się i ujrzała go. Biedne dziecko, w wiosnie życia, jakież ono zachwycające i piękne! Cera raczej biała, niż różowa, choć jej i róża nie odmówiła swej barwy; źrenice niebieskie pływają w rozpuszczonym kryształe, bo lzy radości tylko co je zwilżyły; włosy w długich puklach spadają jej aż na pochylone ramiona i za chwilę zsuną się na łono, drżące pod śnieżną tkaniną jej sukni, niby fala jeziora, która pod tchnieniem wieczoru kołysze wianek lilii, zabłąkany z wybrzeża; kibić wiotka i wysmukła; wreszcie trzewiczki czarne, pończoszki ażurowe, ze skrzyżowanemi na nich wstążkami.

Szła już ku niemu, już miała powiedzieć: „Matka i brat mój wyszli, powrócą późno wieczorem, mój Alfonso!"; kiedy nagle zamilkła i zbladła, gdyż nigdy jeszcze nie widziała go w tym stanie: włosy miał w nieładzie, przekleństwo przemykało po zmarszczkach jego czoła, w oczach tlił się posępny żar dogasającego węgla.

A on zmęczony, szarpany trwogą, bez słowa, bez skargi, rzucił się na sofę i pozostał tak nieruchomy.

Pomyślała wtedy, że to może znużenie drogą, może wspomnienie cholery, srożącej się w Wiedniu, ścigało go aż u ukochanej; chciała więc rozerwać go, i roześmiana, wesola, pobiegła do fortepianu, mówiąc:

— Mój Alfonso! Nie myśl-że już o cholercze. Gdybyś wiedział, jak nam tu dobrze! Ja się wcale nie boję. Cholera jest tylko dla złych ludzi, ale ani dla mnie, ani dla ciebie. Zagram ci *cavatine* ze *Straniery*, którą tak lubisz, mój Alfonso, mój przyjacielu, mój najdroższy.

I zaczęła grać. W uniesieniu głos srebrzysty, dźwięczny, potężny, dosięgał tonów szerszych i pełniejszych, niż zwykle.

On patrzył na nią i pojmował, czem może być piekło; a im lepiej rozumiał piekło, tem goręcej pragnął uchronić się od niego w wieczności.

Wtedy ona, niby umierający łabędź, nabierając siły i cały świat harmonii czerpiąc w swej miłości, śpiewała mu wszystko, czego niegdyś lubił słuchać, zaczawszy od kastylskiej ballady, aż do piosnki prowansalskiej, od lekkiego wodewilu aż do arii włoskiej, tego kameleona muzyki.

On siedział nieruchomo, palce kurczowo zaciskały flakon, a piers palił mu płomień rozpacz. Nie mógł zdobyć się na odwagę, aby skończyć z tą kobietą, nie miał dość rezygnacyi, by skończyć z własnem życiem i stawić czoło wiecznym katuszom. Zbrodnia jego, za którą dotąd nie odpokutował, przypominała mu się od czasu do czasu, niby dźwięk oddalonego dzwonu, a potem wszystko wracało do pierwszych wspo-

mnień dzieciństwa, bo z mlekiem swej kastylskiej mamki wyssał był już widmo piekła.

— Mój drogi Alfonso, co ci jest? Nigdy jeszcze ani nieszczęście, ani smutek nie złamały do tego stopnia twego szlachetnego serca. Jakże mam cię pocieszyć w tem strapieniu, powiedz, najdroższy? Będę mówiła o ojczyźnie, o pięknych kościołach, nocach hiszpańskich takich uroczych, pełnych życia i radości. Słowo, jedno słówko powiedz, a zadowolisz swoją biedną Maryę. Potem pozwolę ci marzyć, patrzeć się tylko będę na ciebie, jak pogrążasz się w posępnych myślach; ale wymów chociaż moje imię, wyrzec raz jeden, żebym mogła wiedzieć, że to ty, mój Alfonso, moja nadzieja, radość i duma.

— Maryo...

Lecz teraz wołała-by była, by nic nie powiedział, i oddała-by życie, byle nie słyszeć powtórnie tego imienia, wymówionego głosem tak słabym, a przecież tak okropnym.

Aby odpędzić zimny dreszcz, który jej serce przeniknął, znów grać zaczęła, ale jakby fatalizmem wiedziona, zagrała rozdzierającą melodyę Belliniego, pożegnanie Romea i Julii.

Tony te zbudziły Alfonsa z jego nicości; podniósł się i zbliżył do fortepianu. Jej się zdawało, że go wzruszyła, porwała, jak dawniej. Więc duszę całą tchnęła w śpiew swój i muzykę; z okropną mocą wypowiedziała boleść pożegnania; z szalonym uniesieniem oddawała rozpacz kochanków. I głos jej panował naddźwiękami fortepianu, to znów zdawał się konać w niemocy, po chwili wznosił się na nowo, potężny, świetny, szarpiąc wściekłością i bólem pierś Alfonsa.

Nastała chwila, kiedy szal zerwał wszelkie tamy, kiedy piekło, wywołane tą rozpaczliwą muzyką, ukazało mu się w całej potępieńczej grozie, i wtedy trząsnął biały proszek na głowę ukochanej.

W tej-że chwili piękny głos jej opadł, jak skrzydło zranionego ptaka, i blada, jadem powalona, usunęła się do stóp swego kochanka, rękoma przyciskając piersi, szarpana już piekącym i ostrym bólem.

Konwulsye nastąpiły szybko, ręce podrywały się w powietrze i opadały w powietrzu, jak u człowieka, który pływa na wznak. Wyraz cierpienia, zdolnego zabić nawet miłość w jej łonie, rozlał się w jej rysach. Krzyczała, płakała, a potem zgrzytała zębami. Sam szatan mógł-by był patrzeć na to delikatne ciało i cieszyć się widokiem tych męczarni.

Było coś w tej scenie, co przechodzi pojęcie ludzkie i urąga pomysłem wyobraźni.

Nieszczęsna nie mogła znieść tych okropnych cierpień, a przecież nie mogła skonać. Pasowała się tak pomiędzy śmiercią, pochyloną nad nią, a życiem, które ją w ostatnim trzymało uścisku. Jedno i druga

szarpały ją, rozdzierały jej łono i nie myślały już o swej ofercie, lecz o wzajemnej swojej nienawiści i walce. Śmierć chciała ją porwać natychmiast, życie nie chciało oddać jej tak wcześnie; obie potęgi z zaciętością zmagaly się o to dziewczę z niebieskimi oczyma i złotemi włosami; wyrywały ją sobie bez litości, bez wytchnienia, z zazartością dwojga królewskich bliźniąt, wydzierających sobie koronę.

On patrzył na nią wzrokiem osłupiałym, bezmyślny, zlodowaciały. Wreszcie upadł tuż przy niej martwy.

Genewa, 24 października 1831 roku.

VII.

W W E N E C Y I ¹⁾.

Dałem znak gondolierowi żeby się zatrzymał. On oparł się na wiosła, ja zaś, kołysząc się w jego lekkiej łódce, oddałem się marzeniu. Wietrzyk wieczorny popychał zwolna fale ku brzegom. Niebo pokryte było ciemnymi chmurami, zachodzące słońce żegnało świat purpurowemi promieniami, a każda fala, płynąca zwolna ku Lido, wydawała się krwawym całunem, który, rozwijając się przede mną, odkrywał ciała i kości ludzi posępnych, a strasznych, co zamieszkiwali dawniej te miejsca i ze sztyletem w ręce, ze słowami wolności na ustach, tyranię żywili w sercu. Ta ich tyrania miała jednak swe piękne chwile, a łańcuchy ucisku świeciły blaskiem zwycięstwa; nawet mrocznym więzieniom nie brakowało wielkich wspomnień. Przeszłość przedstawia się zawsze w czarodziejskim jakimś uroku. Wieki łagodzą barwy zbyt ciemne, podobnie, jak fale morskie białą pianą srebrzą czarne skały. Nawet zbrodnie przybierają kształty wspaniałe, gdy lata przeszły już ponad nimi, a sztylet mordercy rzuca przez pomrokę wieku błyski straszne, ale świetne. Upadła wielkość, choć różne bywają jej podpory i podwaliny, jest zawsze zajmująca dla potomności; zapomniawszy o Moście Westehnién i katowniach, myślałem tylko o Bucentaurze i lwie Św. Marka.

¹⁾ Fragment powyższy nie ma daty w rękopisie; zdaje się, iż musiał być pisany pomiędzy 20 a 30 maja 1832 r. podczas kiedy Z. Krasiński bawił w Wenecyi w towarzystwie Henryka Reeve. Ob. „*Memoirs of the life and correspondence of Henry Reeve*“, 1898, tom I, p. 22—25.

Zdawało mi się, że widzę te puste wybrzeża zaludniające się tłumem nieprzeliczonym; te piaski jałowe, zarzucone kwiatami, te fale dźwigające świetne gondole, a wśród tego wszystkiego okręt doży, płynący uroczyście.

Zdobią go wieńce, girlandy i festony; srebrzyste wiosła pieszczą leciutko fale, konające u steru, jak westchnienia rozkochanej oblubienicy, a na żaglach igrają z wiatrem herby Wenecyi. Uroczyłość rozpoczyna się. Władca wielkiego ludu tajemniczymi słowy przemawia do Oceanu, a rzucając w toń jego wspaniały pierścień, poślubia Adryatykę. Było coś tajemniczego w tym narodzie, łączącym się ślubami z żywiołem, we wdzięczności tego ludu dla modrych fal, które go wielkim uczyniły. I romantycznie wyglądała ta instytucya, to święto państwowe, którego treścią była jedynie idea, zrodzona z poezyi, myśl poczęta w ognistej wyobraźni, a jednocześnie było coś niewypowiedziane wielkiego w tym hołdzie, składanym naturze, w tych zrękowinach śmiertelnego oblubieńca z żywiołem bezbrzeżnym, bezgranicznym, pod sklepieniem niebieskim i wśród powiewów wietrzyka, lub też pod oponą chmur ciemnych, wśród gromów i błyskawic. Teraz zdawało mi się, że morze stało się smutniejszem, piękniejszym, że błękit niebios nie będzie się w niem przeglądał, jak niegdyś, że fale ze skargą opuszczonej kochanki rozbijają się o brzegi, nie poznając tych stron dawniej ukochanych, a teraz deptanych stopą obcego najeźdźcy i zohydzonych uciskiem.

I w wyobraźni mojej kształtowały się wielkie sceny z dziejów: widziałem cienie książąt i patrycyuszów wskroś niewyraźnej mgły; zdało mi się, że przechodzą koło mnie osłonięci w szerokie płaszcze z pogardliwym uśmiechem na ustach. Odwracali oczy dumne nawet w grobowcach pałaców, które niegdyś zamieszkiwali, i sunęli powoli, rzucając przekleństwo wzgardy na swoich potomków. To znów zdawało mi się, że słyszę krzyki wściekłości: rusztowanie czarne wznosiło się przede mną pomiędzy marmurowymi kolumnami i złoconymi ścianami; głowa, posrzebrzona latami i zwycięstwami, leżała na kłocu katowskim. W oczach, które widziały osiemdziesiąt cztery zimy, dostrzegłem wejrzenie miłości i pragnienia zemsty, potem głowa ta staczała się po stopniach, aż znikła w mroku. Niekiedy złuda wyobraźni przynosiła mi do ucha dźwięk dzwonu, nagle jakaś wrzawa napelniała powietrze; sztylety i pochodnie świeciły w ciemnościach, i widziałem owe rozruchy ludowe, które piętrzyły rewolucję na rewolucyi, tych ponurych spiskowców, którzy, wiedzeni ambicyą, czy też miłością swobody, napróżno walczyli, nigdy nie zdoławszy ani ujarzmić całkowicie, ani wyswobodzić swej ojczyzny. Loredany

i Contariniowie zdążali szybkimi krokami, aby uspokoić lub też podburzać lud. Wszystko — nawet smągła twarz Otella ukazała mi się wśród światła i cieniów. Zdawało mi się, jak gdyby te postacie walczyły z mrokiem i przez chwilę oświetlone czerwonym błyskiem, znów w noc zapadały. Jedne płynęły przez potoki krwi, inne szamotały się w płomieniach, rozpalone belki, spadając, kruszyły ich przepyszne zbroje lub targały purpurowe płaszcze i łamały miecze. Widziałem korony, które, topiąc się, tworzyły potok złota i drogich kamieni, a złoto zlewało się z krwią, płynącą zewsząd; i znów marzenia moje przybrały inną, jeszcze straszniejszą, postać.

Pograżyłem się w głębię wód, widziałem znikające brzegi i cudne kościoły miasta, które nadaremnie spodziewało się być nieśmiertelnem. Nie zapadłem się jednak na dno piaszczyste, ani koralowe łóżysko, stanąłem wśród szczerbiałych murów, a nad głową słyszałem przewalające się fale z odgłosem głucho powtarzającym słowa poety: *t u n i e m a n a d z i e i*. Widziałem narzędzia tortur, ruszty rozpalone, stołki dla skazańców, i zdawało mi się, że ziemia brukowana jest trupiami głowami, a ściany obite kośćmi ludzkimi. Krople krwi sączyły się zewsząd i słychać było tysiące westchnień, które przez tyle wieków wydostać się stąd nie mogły. Sędziowie i ich ofiary przemykali się przede mną, trumny i groby bez nazw i napisów wychodziły z pod ziemi i szeregowały się w żałobnym pochodzie, a pomiędzy nimi przechadzali się inkwizytorowie, bez trwogi i żalu. Dzikie ich oczy zdawały się liczyć kamienie grobowe i wyczytałem ślad gniewu na ich czołach. Nie było im dosyć; posłali tedy szukać nowych ofiar w imię wolności i zbirom swoim rozkazali siać pełną garścią podejrzania i niezgodę, za wszelką cenę niewinności dowodzić zbrodni. Snuły się przede mną te długie i zgubne niesnaski potężnych a nienawidzących się rodzin; słyszałem ciosy wymierzone w cieniu, widziałem czary, pieniące się jadem, i wspaniałe uczyty, na których uciecha i śpiew poprzedzały zdradę i śmierć; potem szły niewinne dziewczęta, słabi starcy, ze łzami w oczach, ze drzeniem w całym ciele, zapewnijając o swej niewinności i błagając o litość. Wleczone ofiary za krucze warkocze, za włosy posrebrzone wiekiem, szydercze śmiechy mieszały się z ich jękami i widziałem, jak lśniący topór, niby błyskawica, migał się nad ich głowami. Potem dzieci dozorca więzienni zbliżali się i rzucali trupy w jakąś głęboką przepaść i słyszałem, jak odgłos spadających ciał słabł stopniowo; a potem wszystko ucichło. Ciemności otoczyły mię. Za chwilę uczułem łagodne kołysanie, podniosłem oczy, spojrzałem dokoła, a wzrok mój, pełen jeszcze obrazów śmierci, spoczął teraz na modrych falach morza i na niebie roziskrzonym gwiazdami.

Tak więc, pomyślałem, ani sława, ani cnota, ani zbrodnia, nie mogą ani na chwilę powstrzymać zagłady. Napróżno zwycięzcy bohaterowie pognębili wrogów swej ojezyny, napróżno nieposzlakowani dostojnicy trzymali w rękach ster rządu; napróżno okrutni inkwizytorowie ściągali na swe głowy pomstę niebios i przekleństwo ludzi; przyszedł czas żalobnie oskrzydłony, godzina wybiła, a wspaniałe pałace rozsypały się w gruzy, olśniewające korony poblady na czołach książąt, a miecze obróńców ojezyny skruszyły się w ich dłoniach, jakby spiż i żelazo były szkłem lub gliną, i wszystko, co było niegdyś piękne i wzniosłe, istnieć przestało. Przeznaczenie narodów w niczem nie zdaje się różnić od doli pojedynczych jednostek, ten sam los ciąży snąc na masach i na indywiduach i ten sam całun rozściela się dla jednego człowieka i dla całego państwa. Byłoby więc przeznaczeniem ludzkości nie módz kroku naprzód postąpić bez walki z tysiącem przeciwności, a po kilku takich krokach zapadać znów w otchłań nicości? Byłaż-by ziemiasiedliskiem samych tylko zapór i przeszkód bez zasobu sił do ich zwyciężenia, a potop nieszczęść miałe-by zawsze pochłaniać dzieła cnoty i talentu? Czyżby sprężyny poruszające niegdyś republikę, potężną i wielką przez całe wieki nie mogły działać znowu? czyż fatalny i nieunikniony kres ma być wiecznem rozwiązaniem wszystkich pięknych czynów i myśli ludzkich? Więc odwaga zaginęła wsród tych murów, które tak długo patrzyły na owe szlachetne wysiłki, i miałyż-by, ku hańbie rodzaju ludzkiego, ściany pałaców trwalsze być od porywów nieśmiertelnej duszy? Czyżby uczucia Wenecyan spotkał los dzwonu Św. Marka który, wywoławszy niegdyś drgnienia tyłu sere, zamilkł na zawsze? Trzeba-by zatem uwierzyć, że to, co zostało po duchu człowieka, mniej ma siły, niż jego materyalne czyny, skoro codzien róże kwitną i codzien wierzby zielenią się na grobach, zawierających trupy, gdy mało mamy przykładów, by ludy dźwignęły się z upadku i z łańcuchów niewoli wykrzesaly iskrę swobody. Nic nie śpi, nic nie ginie w fizycznym porządku rzeczy: rozsypujące się w proch kości w wieńce kwiatów się przekształcają, a bogate łąny zbóż kołyszą złociste swoje fale na polach rzezi i bitew, gdy tymczasem myśl ogólna, zasada kierownicza, która ożywiała ludy i państwa, często zdaje się zasypiać lub zanikać na zawsze. Jednej chwili tylko potrzeba, by swobodę kilku wieków zamienić w wieczną niewolę, gdy morze długo uderza w dumną skalę, zanim ją w toni swej pogrąży. Wenecya była przez długie wieki królową Italii i władczynią Oceanu, a obecnie ziemię jej deptce stopa najeżdzczy, na którego nie spojrzal-by za pięknych czasów żaden z jej obywateli. Ciężki Niemiec stuka kolbą swego muszkietu pod marmurowemi sklepieniami, które mu zawsze jednym tylko

echem zawtórują, odgłosem szlachetnych mieczów, szczękających o tarcze rycerskie. Barbarzyńska mowa wciska się do galeryi, w których harmonia wyznań miłosnych wznagała się od gitary i od melodyi włoskiego języka. Wszystko się zmieniło, a idea wielkości, swobody, ambicyi i dumy, pozwoliła pokonać się, jak dziecię, któremu zatopiono sztylet w sercu.

Czemu to przypisać? Ogólnemu przeznaczeniu rodzaju ludzkiego, czy też szczególnym miejscowym okolicznościom? Czyż wspaniały Wenecyanin mógł być wielkim tylko w Wiekach Średnich? Czyżby dla tego, że charakter jego nie miał nic wspólnego z naszym wiekiem, Wenecyanin utracił swój charakter pod wpływem tego wieku, a wolności wyzbył się przez utratę charakteru? Lub może w ogólnem powikłaniu wypadków zapisanem było, że Wenecya wyda ostatnie tchnienie i ręki nawet nie podniesie, głosu nie wyda w swojej obronie? Czy może ludy Południa mają zawsze napróżno walczyć z ludami Północy i, zniewieściałe w promieniach słońca, nie potrafią odepchnąć lawin, które na nie spadają? Widzieliśmy prawie zawsze bladą i zimną gwiazdę septentrionu, odnoszącą przewagę nad świetną i błyszczącą gwiazdą stref ukochanych od słońca. Legiony rzymskie napróżno usiłowały przyuczyć swe orły do szybowania ponad polami Germanii, a niezwyciężone zastępy Napoleona zostawiły bielejące kości w barbarzyńskich równinach. Zima zawsze zwyciężała lato, róże pochylały się pod lodowatym tchnieniem, a śniegi na szczytach gór są jedyną rzeczą niewzruszoną i niezmienną się nigdy na ziemi. Więc ciemnota i przemoc zwyciężać mogły zawsze talent i cywilizację? Więc niema serca i ramienia dość silnego, by wskrzesić naród upadły, lub zatrzymać państwo, chylące się do upadku? Więc zawsze można będzie niszczyć wszystkie piękno, wszystką wielkość, a rzadko, lub nigdy, podźwignąć to, co upadło i rozproszyć ciemności, rozniecając światła, które świecić przestały? Trzebaż będzie odtąd iść przez zmienne koleje życia i przeciwności losu, krokiem wolnym, z głową pochyloną, bez promyka nadziei, który-by rozjaśnił pobladłe czoło? Więc tyrania na zawsze pewną będzie swej zdobyczy i wolną od obawy kary? Zło rządzić będzie wszechwładnie, a światła gasnąc będą za jego zbliżeniem się? Wszystko ma umrzeć, a nic zmartwychpowstać, wszystko zginąć, a nic się nie odnaleźć?

Ah! Nie! Niechaj rozum wysila się na dowody, poparte faktami, doświadczeniem, jest przecież we mnie coś, co gardzi faktami i doświadczeniami, i co mi ukazuje we mgłach przyszłości jutrzeńkę promienną i wspaniałą, Czuję, iż napróżno walczył-bym z tem przeczuciem; ono mię pociąga, porywa w wir wielkości, unosi, i dodaje skrzydeł do wzlotu ponad korony i berła, na które z góry rzucam wejście pogardy. Próżno kajdany i katusze, więzienia i rusztowania

pomagać będą ciemnościom; próżno tyrania będzie sypać hojną ręką złoto, i rzucać oman na swe ofiary podstępem i chytryością. Przyjdzie czas, gdy zło cofnie się przed dobrem i pięknem, gdy nieuctwo i ciemnota ustąpią przed potokami światła, gdy despotyzm zadrży z trwogi i uklęknie przed Wolnością. Wenecya będzie. Czytam to w lękacie nieba, które wznosi się nad jej kopułami i w łagodnym blasku gwiazd, przeglądających się w jej wodach. Słyszę to w szmerze fal, w poświście wichru, i czuję w tchnieniu wietrzyka, które mi woń kwiecia z sobą przynosi. Nie, niebo, podobne temu, nie mogło być stworzonym dla spodlonych istot. Albo odzyskają dawną wielkość i podniosą czoła, albo strop niebieski zawali im się na głowy, a każda gwiazda, płynąca teraz spokojnie w lazurze, zmiążdży jednego z synów Adama, który-by, całując ślady stóp tyrana i paląc kadzidło bożyszczom ucisku, zapomniał, iż Bóg stworzył go na obraz i podobieństwo swoje.

Epilog Stanów galicyjskich.¹⁾

II.

Abdykacya Stanów.

W tem nad wszelki wyraz ciężkiem położeniu, w jakie wtrąciły Galicyę krwawe wypadki z lutego i marca 1846 r., kiedy-to w miejsce tak bezinteresownie przez sejm stanowy zainicjonowanej reformy stosunków włościańskich na porządku dziennym stanęła sprawa pańszczyzniana, traktowana przez hajdamacką biurokracyę z jednej strony jako źródło nagród dla splamionego krwią alianta siermiężnego, a z drugiej strony jako taran do ekonomicznego i społecznego zmiążdżenia dworów, tego wrzekomego ogniska spiskującej polskości, a w zwoływanych dla tej sprawy ankietach gubernialnych, dwaj rzecznicy szlachty, Agenor hr. Gołuchowski i Maurycy Kraiński, ograniczać się musieli do samej tylko defensywy, do wniesienia *volunté séparative*²⁾—zwołanie sejmiku stanowego, tego samego sejmiku, którego niemożność w poprzednim rozdziale przedstawiliśmy, było-by powitane w kraju jako pomyślny wypadek, jeżeli nie jako rękojmia lepszego zwrotu, to przynajmniej jako jaśniejszy promień nadziei, rozpraszający chwilowo straszną ciemność. Prosiła o to szlachta galicyjska w podaniu, wystosowanem do tronu na ręce prezydenta gubernialnego, hr. Kriega, który teraz, po wyjeździe generał-gubernatora, Arcyksięcia Ferdynanda d'Este, do Wiednia, albo raczej po jego delikatnem odwołaniu, ster rządów krajowych objął, prosiła przytem, aby, w razie niezwołania sejmiku, pozwolono jej przynajmniej odbyć zjazd prywatny dla omówienia wiadomych już wówczas fatalnych dla

¹⁾ Patrz zeszyt lipcowy, str. 105.

²⁾ Dr. Bronisław Łoziński: „Agenor hr. Gołuchowski w pierwszym okresie rządów swoich (1846—1859). Lwów, 1901, str. 7—43.

niej gubernialnych projektów uregulowania pańszczyzny. Za sprawą br. Kriega prośby te nie zostały w Wiedniu uwzględnione, a wskutek tego gubernium miało swobodne ręce w dalszych dyspozycjach swoich.

Kiedy w jesieni r. 1846 Rudolf hr. Stadion, brat późniejszego gubernatora Galicyi, hr. Franciszka, objeżdżał kraj i, na pozór w chęci zyczliwego dlań poinformowania się o stosunkach, szukał zetknięcia się z wybitniejszymi osobistościami z grona szlachty, otrzymał od wielu osób przedstawienia i memoryały, w których zwołanie sejmiku stanowego odzywa się w formie jednego z głównych dezyderatów. Nawet śmiały w swojej krytyce całego systemu rządowego memoryał Aleksandra hr. Fredry zaczyna sformułowanie życzeń i potrzeb kraju w ten sposób:

„Aby reprezentacya stanowa, wołą cesarza Józefa urządzona, a rozszerzona i zapewniona aktem kongresu wiedeńskiego, weszła w odpowiednią celowi swojemu działalność. Tak na zgromadzeniach sejmowych wnioski, tyżące się wewnętrznych interesów kraju, wolne a dyskusye nie na kilkunastu godzinach ograniczone będą. Natenczas wywinie się ze sporu zdań opinia większości, przeważna w kraju, pociągająca ku sobie i dyrygująca sobą podług zasad porządku i prawa, której niebytność opłaciliśmy drogo w ostatnich czasach. Stosunki miejscowe, potrzeby kraju, jego korzyści i szkody ewentualne przez nikogo gruntowniej i rzetelniej roztrząsane być nie mogą, jak przez tych, których tyżą się bezpośrednio. Jak protokoły obrad sejmowych będą nie ich treści wyciągiem, ale dokładnem powtarzaniem i staną się przez to u podnoża tronu wiernem zwierciadłem tak zbiorowych powodów wszelkiego postanowienia, jako i indywidualnej tendencyi i zdolności, natenczas naród z rządem łączyć się będzie związkami ufności i dobrze zrozumiałego wspólnego interesu. Wydział stanowy nie może być odgłosem rządu, przez to stał-by się bowiem zupełnie nieużytecznym. Powinien zatem mieć, aczkolwiek pod supremacyą rządu, ile możności niezawisłą działalność. Połączenie więc urzędów w tych dwóch instytucyach w jedną jakoby osobę nie zdaje się być odpowiednem jego przeznaczeniom. Podług najwyższego postanowienia, dwóch doradców, wybranych z grona obywateli stanowych, miało zasiadać na obradach gubernialnych. Ci do-

¹⁾ Stanisław Schmir-Peplowski: „Z papierów po Fredrze“. Kraków, 1899, str. 83—4. (Memoryał ten znajduje się także w papierach M. Kraińskiego).

radcy, zmienieni w konsyliarzy i zajęci specjalnym referatem, stali się dla kraju nieużytecznymi zupełnie.“

Wszystkie te przedstawienia były jednak daremne. Lata 1846 i 1847 minęły bez zwołania sesji sejmku stanowego, chociaż właśnie w tych latach głos sejmku stanowego był tak potrzebny dla sprawy włościańskiej.

Dziwnem zrządzeniem losu wkrótce potem otrzyma Galicya stamtąd, dokąd słała daremne prośby o zwołanie sejmku stanowego, wezwanie i zaproszenie do odbycia tego sejmku, a sytuacja każe jej odpowiedzieć na to wezwanie odmownie. Stało się tak w r. 1848.

W pierwszej zaraz chwili rewolucyi wiedeńskiej (marzec, 1848), po złamaniu systemu Metternichowskiego i wydaniu cesarskiego manifestu konstytucyjnego z nieokreślonymi jeszcze bliżej swobodami obywatelskimi i politycznymi, uznano to w samym Burgu wiedeńskim, że instytucya stanowa jest już anachronizmem i w dotychczasowym ustroju utrzymywać się nie da. Łudzono się jednak nadzieją, że, mimo gwałtownie wzbierającej fali rewolucyjnej, powiedzie się ocalić albo raczej przekształcić instytucję stanową w duchu zwyczajnych prądów za pomocą niezbędnej reformy. Wymagała ona jednak poprzedniego utworzenia drogi w samych Stanach, a tem samem w okresie tak burzliwym już poniekąd z góry skazana była na zwichnięcie. Bezradne w tej dobie do najwyższego stopnia centralne sfery rządowe chciały reformą tą objąć tylko Stany dziedzicznych prowincyi austriackich, ale marszałek Stanów dolno-austriackich w Wiedniu, Wojciech hr. Montecuccoli, wykonywając cesarski reskrypt w tej mierze, wciągnął w akcyę także i Stany innych prowincyi, nie wyłączając Galicyi, której wydział stanowy otrzymał 1 kwietnia 1848 r. następujące zaproszenie do udziału: „Najj. Pan reskryptem z dnia 16 marca 1848 wezwał wszystkie Stany niemieckich krajów dziedzicznych, aby śpiesznie wzięły pod rozwagę, w jaki sposób czwartemu stanowi należało-by przyznać szerszy wpływ na obrady stanowe i aby przedłożyły swoje wnioski co do odpowiadającego duchowi czasu przekształcenia i ulepszenia urzędzeń municypalnych i gminnych. Na konferencyi deputatów stanowych z kilku prowincyi powszechnie i głośno wyrażono życzenie, aby, celem gruntownego, jednolitego i śpiesznego załatwienia tych dla wszystkich prowincyi zarówno ważnych i pilnych spraw na wszystkich sejmach prowincjonalnych, wnioski omówione były bezwzględnie przez wspólny wydział wszystkich prowincyi. Na pomienionej konferencyi zgodzono się na to, że wydział centralny ma przeprowadzić tylko wstępne obrady nad dwoma punktami, mianowicie: 1) w sprawie rozszerzenia instytucyi stanowych i 2) w sprawie przekształcenia urzędzeń municypal-

nych i gminnych, a rezultat obrad przedłożył do uchwały poszczególnym sejmom prowincjonalnym; że dalej wydział centralny, celem umożliwienia wszechstronnych a szybkich obrad ma do grona swojego powołać po czterech członków z każdej prowincyi i jaknajrychlej zebrać się w Wiedniu. Wreszcie zwrócono się do mnie z prośbą, abym z powodu nagłości sprawy bezzwłocznie wystosował do Stanów wszystkich prowincyi wezwanie o wybranie czterech członków i natychmiastowe wyprawienie ich do Wiednia. Przeświadczony o potrzebie takich obrad przedwstępnych, celem zgodnego i energicznego współdziałania wszystkich Stanów, przekonany, że sam rząd musi sobie życzyć takiego zjednoczenia, nie waham się uczynić zadość wyrażonemu życzeniu i upraszam Stany innych prowincyi, aby deputatów swoich wysłały na konferencyę, rozpocząć się mającą 10 kwietnia. Stany dolno-austryackie ustanowią zaraz po dwóch deputatów ze stanów wyższych i ze stanu miejskiego, i ażeby nie stracić ani jednego dnia z czasu tak drogiego, poruczyły dwóm komitetom zajęcie się pracami wstępnymi do załatwienia dwóch powyższych kwestyi. Zawiadając o tem najuprzejmiej Stany innych prowincyi, wyrażam życzenie, aby w tych ważnych naradach wstępnych żadna prowincya nie była pozbawiona reprezentacyi. — Wiedeń, 28 marca 1848 r.— Wojciech hr. Montecuccoli.“

W papierach, pozostałych po Metternichu, a wydanych staraniem jego syna, znajdują się także zapiski pamiętnikarskie ¹⁾, w których upadły kanclerz, pierwsza i główna ofiara wiedeńskiego ruchu rewolucyjnego z marca 1848 r., stara się upadek swój upiększyć w ten sposób, że jakkolwiek przewidywał nadciągającą burzę i starał się jej zapobiedz projektami reformy, daniami stosunkami wskazanej, a mianowicie projektem reorganizacyi Stanów, celem wytworzenia centralnego ciała reprezentacyjnego; to jednak planów swoich przeprowadzić nie mógł z powodu utrudnień, doznawanych w radzie stanu i wogóle w rządach swoich ze strony arcyksięcia Ludwika i ministra hr. Kollowrata, powołanych razem z nim, albo raczej obok niego, do sterowania nawa państwową pod chorym i apatycznym cesarzem Ferdynandem. Jeżeli tak było istotnie, to powyższy projekt hr. Montecuccolego uważać należy za spuściznę po Metternichu. W chwili ułożenia projekt ów mógłby-był może stanowić, jeżeli nie wał ochronny wobec nadciągającej od zachodu ku Austryi wezbranej fali rewolucyjnej, to przynajmniej tamę, o którą fala ta złamała-by się była i osłabła tak,

¹⁾ „Aus Metternich's nachgelesenen Papieren“. Wien, 1833. (Część II, tom 5, rozdział końcowy).

że było-by możliwem przystąpienie do podtrzymania lub nawet rekonstrukcyi zachwianego do gruntu starego ustroju państwowego. W chwili jednak, gdy hr. Montecuccoli zainicyował akcyę celem wykonania tego projektu, zaciążyła już na nim owa historyczna fatalność większej części, jeżeli nie wszystkich, austryackich projektów reformatorskich, która streścić się daje w jednym słowie: zapóźno!

Zapóźno wzięto się w Wiedniu do reformy, a tem bardziej we Lwowie, gdzie od 18 marca 1848 istniał już sformułowany najpierw w historycznej petycyi do tronu przez Smolkę i Ziemiałkowskiego, a w kilkanaście dni później powtórzony w adresie, wysłanym przez deputacyę galicyjską do cesarza Ferdynanda, program polityczny, stanowczy i jasny, jak żaden inny ze współcześnie w różnych punktach austryackiego ruchu rewolucyjnego układanych programów, program tak szeroko zakreślający miarę postulatów konstytucyjnych, że wobec tego zainicywana z Wiednia reforma Stanów musiała się wydać drobnostką.

Ale ówczesny gubernator galicyjski, Franciszek hr. Stadion, stojący z tytułu urzędu swojego na czele Stanów i w tej chwili jeszcze nie wyzuty z popularności, zdobytej w społeczeństwie polkiem nie tylko całym postępowaniem dotychczasowem, lecz, i to głównie, wolnomyślnem stanowiskiem wobec pierwszych symptomatów całego ruchu, nie dał za wygraną, lecz owszem, podjął na seryo próbę pozyskania opinii kraju dla wiedeńskiego projektu. Wystosował tedy natychmiast do wszystkich we Lwowie i najbliższej okolicy bawiących członków sejmu stanowego zaproszenie na konferencyę, która odbyła się 5 kwietnia 1848 r. w pałacu Namiestnikowskim.

Zgromadzenie w dniu tym rzeczywiście odbyte, było liczne, bo zjawilo się w pałacu Namiestnikowskim 94 członków sejmu stanowego. Maurycy Kraiński, który w całej tej sprawie, jak wogóle w ówczesnem życiu publicznem, odgrywał bardzo wybitną rolę, pozostawił w papierach swoich¹⁾ notatki, z których zestawić się daje tak przebieg obrad, jak i obraz dalszych losów sprawy. Według tego źródła gubernator hr. Stadion zagał obrady krótką przemową, w której podziękował uczestnikom zebrania za jawienie się w tak pokażnej liczbie, odczytał powyższe zaproszenie hr. Montecuccolego i zawiadomił zgromadzonych, że ze strony miasta Lwowa wybrani już zostali dwaj deputaci na projektowaną konferencyę stanową w Wiedniu, mianowicie: hurtownik Floryan Singer i adwokat Jan Czajkowski. W ówczesnej organizacyi gmin, stołecznego miasta Lwowa wcale nie wy-

1) Rękopis Bibl. Ossolińskich we Lwowie Nr. 2945 (j. w.).

mując, nie można mówić o „wyborze“ w znaczeniu dzisiejszem, autonomicznem. Wybór ów był tedy raczej odkomenderowaniem dwóch wpływowych obywateli miejskich przez rząd, a nastąpił tak pośpiesznie, jeszcze przed zgromadzeniem się członków sejmu stanowego, widocznie dlatego, żeby niejako stworzyć *fait accompli*, zawiązek delegacyi, którą szlachta miała-by nie dopiero utworzyć, lecz już tylko członkami ze swojego grona uzupełnić.

Jeżeli taki miał plan gubernator Franciszek hr. Stadion, to zaszachował go odrazu pierwszy mówca z grona zgromadzonej szlachty, Aleksander hr. Fredro, wówczas nietylko głośny jako komedyopisarz, lecz także uznany w kołach szlachty jako powaga polityczna, wskutek znakomitego memoriału o stosunkach społecznych i politycznych Galicyi, napisanego dla Rudolfa hr. Stadiona, brata gubernatora, o czem już wyżej była mowa. Hr. Fredro postawił sprawę na stanowisku zasadniczem, podnosząc potrzebę jasnego określenia zasad, na których samo zgromadzenie się opiera i które też jego delegatom służyć miały-by za dyrektywę w obradach konferencyi wiedeńskiej.

„Każdy z nas zapytał zapewne samego siebie—rzekł hr. Fredro według własnych zapisków—jak ma uważać zgromadzenie, którego członkiem się staje. Dostaliśmy wezwanie do złożenia rady, ale że mamy wybierać i delegowanych, więc z doradczego zgromadzenia stajemy się decydującem; przywłaszczamy sobie poniekąd, czyli okoliczności przymuszają nas przywłaszczyć sobie reprezentację kraju, gdyż w jego imieniu działamy. Należy się więc choć tyle, ile się da, ulegalizować nasze zgromadzenie, a to przez oświadczenie, nim jeszcze wszelką dyskusję rozpoczniemy, że obecne zgromadzenie ze stanowiska pryncypiów, wyłuszczonech w adresie z 18 marca, działać chce. Przez to zaspokoimy kraj, że nie jesteśmy wyłącznie jako partya, lecz tylko tymi, którzy, równie jak prawie cały kraj, przystąpili do adresu. Przez to nietylko zaspokoimy kraj, ale i naszym wybrańcom wskażemy drogę, z której zboczyć nie mają. Jeżeli to oświadczenie nastąpi jednogłośnie lub większością, natenczas rozumie się samo przez się, że kandydaci na delegowanych będą musieli być wybrani z pomiędzy tych, którzy adres z 18 marca podpisali. Gdyby, czego się nie spodziewam, nie nastąpiła większość za zasadami adresu z 18 marca, natenczas będę musiał się cofnąć i nie mieć udziału w dzisiejszych naradach.

1) Stanisław Schnür-Peplowski: „Z papierów po Fredrze“ (j. w., str. 93—4).

Dla zrozumienia dalszego przebiegu sprawy, musimy bodaj w zarysie poznać ten adres, albo raczej petycję, dla odróżnienia od adresu, wręzonego cesarzowi przez deputację galicyjsko-krakowską dnia 6 kwietnia 1848 r. Otóż i petycja ta zaraz na wstępie podnosi potrzebę zwołania sejmu, ale sejm na szerokiej podstawie konstytucyjnej zorganizowanego.

„Od dwu lat—tak opiewa wstęp petycji lwowskiej z 18 marca 1848 r.—w Królestwie Galicyi nie zwołano sejmu. Pozbawieni jedyne go organu, przez który-by kraj swoje zażalenia i życzenia przed tron Najjaśniejszego Pana zanieść mógł, są podpisani właściciele dóbr i mieszkańcy Lwowa spowodowani, a dzisiejszemi stosunkami znagnieni w interesie pomyślności krajowej, w interesie utrzymania porządku i prawnego rozwijania się postępu, odpowiedniego czasom dzisiejszym, udać się do Ciebie, Najjaśniejszy Panie, z ufnością po usunięciu przyczyn niedoli kraju, a wysłuchanie słusznych i dzisiejszym czasom odpowiednich życzeń... Dla niedostatecznej na sejmie reprezentacyi mieszkańców kraju, nie można poznać prawdziwych potrzeb krajowych...“

Następuje potem, oprócz kategorycznego żądania „zupelnego zniesienia pańszczyzny, z czego galicyjscy właściciele dóbr swoim poddanym dar uczynić chcą“, cały szereg żądań (13 punktów), wyczerpujących program liberalno-narodowy ówczesnego stronnictwa konstytucyjnego (samorząd administracyjny, zniesienie cenzury, powszechne zaprowadzenie szkół ludowych, sądy przysięgłych, równość wobec prawa i t. d.), które ze Smolką i Ziemiałkowskim na czele zaczęło w kraju nadawać ton polityczny. Czwarty punkt tego programu opiewał: „Rewizya konstytucyi stanowej i reprezentacya wszystkich klas mieszkańców na sejmie, który jaknajrychlej zwołany być ma“.

To samo żądanie zostało powtórzone w późniejszym adresie kwietniowym jako punkt piąty w następującej formie. „Zwołanie jaknajrychlejsze Sejmu, czyli zgromadzenia narodowego, wedle zasad konstytucyjnych, wyrobionych przez komitet. Główną i konieczną jego podstawą ma być reprezentacya narodu bez różnicy klas i wyznań, przeto składać się będzie z duchowieństwa, posiadaczy ziemskich, obywateli miejskich, włościan i wszelkich inteligencyi, chociażby nie mających własności.“

Oświadczenie hr. Fredry było bardzo niewygodne dla gubernatora, hr. Stadion, nietylko ze względu na daleko idące postulata petycji lwowskiej, lecz nadto i dlatego, że nadawało zgromadzeniu *ex improviso* charakter reprezentacyi kraju, do czego rząd, nie zwoławszy od r. 1845 nawet potulnego sejmu stanowego, w tej chwili z pewnością przyczynić się nie zamierzał. Zaczął tedy hr. Stadion przed-

stawiać zgromadzonemu, że hr. Motecuccoli wystosował swoje zaproszenie w tem błędnem mniemaniu, iż tak samo jak w dolnej Austrii, także i w Galicyi Stany zgromadzają się w porze wiosennej na sesję doroczną. Skoro tak nie jest i zgromadzeniu nie może być przyznana powaga legalnej korporacyi, rząd uważa je tylko za „w nagłym razie poufnie zebrane grono osób, nikogo nie reprezentujących, oprócz samych siebie, a zatem nie może mu przyznać prawa dawania wysłannikom swoim jakiegokolwiek mandatu lub upoważnienia w imieniu kraju, ani też prawa ostatecznego orzeczenia, czy żądania, wyrażone w petycyi z 18 marca, są życzeniami kraju“. Żeby jednak salwować jako tako cel zwołanego zgromadzenia, hr. Stadion dodał uwagę, że powyższe zastrzeżenie „nie przeszkadza wynurzeniu w tej mierze osobistej opinii przez poszczególnych członków“, a w końcu ponownie wezwał zgromadzonych do wyboru delegatów, których liczbę sam „dla skuteczniejszego działania“, z dwóch, jak sobie życzył hr. Montecuccoli, na trzech podwyższył. Zakończył hr. Stadion przedstawieniem 12 kandydatów do wyboru, zastrzegając i pod tym względem zgromadzeniu wszelką swobodę.

Po hr. Stadionie zabrał głos jeden z najznakomitszych członków zebrania, znany nam już z udziału swojego w sprawie wiesienia pańszczyzny, Tadeusz Wasilewski. Głos jego miał tem większe znaczenie, ile że mówca piastował godność wicemarszałka Stanów. Wasilewski przyznał hr. Stadionowi, że „zgromadzenie nie może sobie uzurpować ani władzy, ani charakteru reprezentacyi, wskutek czego wybrać się mający wysłańcy będą reprezentantami nie kraju, stanów lub jednego stanu, lecz tylko tych stu osób, które ich wysyłają“. Do oświadczenia tego dodał jednak Wasilewski zaraz ten znaczący dodatek, że „osoby te, przystępując do wyboru, okazać powinny krajowi, iż nie działają w kierunku duchowi jego przeciwnym“. Wezwał więc mówca obecnych, aby przez powstanie z miejsc swoich oświadczyli, że stoją przy programowej petycyi z 18 marca. Na to wezwanie powstał niemal wszyscy uczestnicy zgromadzenia.

Z dalszych zapisków Maurycego Kraińskiego, mianowicie z lakonicznej uwagi, że „po przemówieniu kilku jeszcze członków zgromadzenia, kilku innych, nie chcąc mieć udziału w nastąpić mających wyborach, opuściło posiedzenie“, wnosić można, że hr. Stadion nie chciał się pogodzić z powziętą uchwałą co do łączenia sprawy na porządku dziennym zgromadzenia postawionej z lwowską petycją z 18 marca. Potwierdza to S. Peplowski w swojej zacytowanej już monografii o Fredrze, która, jako oparta na papierach rodzinnych, ma charakter źródłowego świadectwa w tej mierze. „Gdy przewodniczący—mówi ten autor—nie chciał stwierdzić ważności dopiero

powziętej uchwały, Fredro, Jabłonowski oraz ośmiu innych opuściło salę obrad“. Niezawodnie przeważna większość tych nawet członków zgromadzenia, którzy za Fredrą nie wyszli z sali, podzielała zupełnie jego zapatrywania co do misji politycznej wybrać się mających delegatów, a jeżeli opinii swojej nie zmanifestowała tak samo, jak Fredro, secesją, to chyba przypuścić należy, że miała na myśli inną drogę, do tego samego celu wiodącą, np. otwarte odmówienie wyboru delegatów. W każdym razie sytuacja po wyjściu Fredry musiała być niepomyślna dla hr. Stadiona, skoro w dalszej zaraz dyskusji dokonał się zwrot znaczący. Wykonał go nie sam gubernator, lecz najbliżsi mu członkowie zgromadzenia, mianowicie dwaj radcy gubernialni: Maurycy hr. Dzieduszycki (znany historyk) i Agenor hr. Gołuchowski, który wówczas był już w przededniu swojej historycznej kariery i w oczach hr. Stadiona uchodził za najodpowiedniejszego kandydata na gubernatora Galicji w razie, gdyby rząd centralny zdecydował się na powołanie jednego z obywateli kraju na to stanowisko. Agenor hr. Gołuchowski—tak streszcza jego przemówienie Maurycy Kraiński, zgodnie ze współczesnym sprawozdaniem urzędowego organu—wykazał, że chociaż wzmiankowana petycja, która, ściśle rzecz biorąc, jest tylko odgłosem opinii znamienitej części mieszkańców miasta Lwowa, odgadła powszechną opinię i ducha narodowego, jak to ciągle przybywające podpisy wykazują, jednakże osoby, które ją podpisały, równie jak to zgromadzenie, uwzględniając dawne urzędy, nie stanowią ciała legalnego. Wychodząc z tego stanowiska, nie mogło-by obecne zgromadzenie szukać w petycji podstawy wyborów dzisiejszych. Potrzeba tych wyborów wynika po prostu z konieczności dania objaśnień monarsze i tym, którzy nad ukonstytuowaniem państwa pracować mają, co do stosunków i położenia kraju naszego. Uchylając się od takiego wezwania utrudnilibyśmy tylko wypracowanie obiecanej nam konstytucji narodowej, której z upragnieniem wyglądamy.

Po tem oświadczeniu notorycznego wówczas męża zaufania, hr. Stadiona, zgromadzenie, mając pewność, że rząd już nie jest w stanie utrzymać się w pozycji odpornej u tego wyłomu, jaki powstał po mowie Fredry w zacieśnionym stanowem poglądami programie konferencji wiedeńskiej, że przeciwnie, delegacja galicyjska na tej konferencji będzie miała już otwarte pole do obrony i poparcia postulatów autonomicznych, w petycji lwowskiej z 18 marca 1848 r. sformułowanych, przystąpiła do wyboru swoich wysłanników. Z urny wyszli trzech już w tej dobie głośni z zasług publicznych i wielkiej powagi w kraju zażywający obywatele: Leon książę Sapieha, późniejszy

pierwszy marszałek autonomicznego sejmiku galicyjskiego (1861—1875), Tytus hr. Dzieduszycki i Maurycy Kraiński.

Jako poważni, świadomi swojej odpowiedzialności obywatele, delegaci lwowskiego zgromadzenia musieli, wobec niejasności sytuacji, sami określić sobie cele i zadania poruczonej im misji politycznej, w ogóle mandatu w ich ręce złożonego. Uczyli to w formie deklaracji, przechowanej w papierach Maurycyego Kraińskiego. „Niżej podpisani—tak opiewa ta deklaracja—Leon Sapiecha, Tytus Dzieduszycki i Maurycy Kraiński, zaszczytzeni zaufaniem obywateli stanowych na poufnym posiedzeniu dnia 5 kwietnia zgromadzonych i wybrani do udziału w obradach przygotowawczych nad ustawami organizacyjnymi w Wiedniu, mają sobie za obowiązek najwyraźniej oświadczyć, że nie mogą poufnego obywatelskiego zebrania uważać za ciało legalne, kraj reprezentujące, nie przypisują sobie żadnej legalnej powagi, ani prawa reprezentowania kogokolwiek, oprócz 84 członków stanowych, którzy ich wybrali. Dalej oświadczają, łącznie z podpisanym, przez wydział miasta Lwowa wybranym, Janem Czajkowskim, że nie uważają się być powołanymi do żadnego stanowego rozstrzygnięcia pytań, nad którymi toczyć się mają wspólne w Wiedniu obrady, a jako zadanie swoje, uważają: nie przesądzać w niczem ostatecznego postanowienia zebrać się mającego sejmiku, przygotować tylko projekty ustaw, które sejmowi do roztrząśnienia i uchwalenia, zmienienia lub odrzucenia, przedłożone być mają; że nakoniec, położywszy raz podpisy swoje na petycji z dnia 18 marca r. b., podzielają zupełnie wyrażone w niej zasady, punkta tą petycją objęte uważają jako stanowisko, którego w żadnym razie nie odstąpią i że ta petycja stanowić będzie punkt wyjścia całej ich działalności.—Lwów, 6 kwietnia, 1848 r.“. Drugi delegat miasta Lwowa, Floryan Singer, nie przyłączył się do tej deklaracji, chociaż potem w Wiedniu nie odstąpił się od swoich kolegów. Delegat miejski miasta Lwowa, adwokat Jan Czajkowski, należał tak ze swojego stanowiska społecznego, jak i z zasad politycznych, właściwie do tego grona obywatelskiego, z którego hr. Stadion zaprosił do siebie zaimprowizowaną na pręde reprezentację kraju.

Kiedy deputaci lwowscy stanęli w Wiedniu, zastali tam sytuację, utwierdzającą ich w przeświadczeniu, że mandat swój dobrze pojęli i przy złożonej w tym celu deklaracji wytrwać powinni. Właściwie wtedy adresowa deputacja galicyjska, bawiąca w Wiedniu, znajdowała się pod wrażeniem przyjęcia, jakie ich spotkało w Burgu wiedeńskim przy wręczaniu adresu cesarzowi Ferdynandowi przez przywódcę deputacji, Jerzego ks. Lubomirskiego. Przyjęcie to było łaskawe, nawet wiele obiecujące, a ponieważ ludność Wiednia, który

nadawał ton całemu ruchowi z r. 1848, była tak deputacją polską z Galicyi, jak i sprawą przez nią forytowaną, w wysokim stopniu zajęta, niemal rozentuzymowana, przeto najśmielsze oczekiwania zdawały się mieć silnie ugruntowaną podstawę. Późniejszych wypadków, rozpętania skrajnych żywiołów i spowodowanej ich ekscesami ucieczki dworu cesarskiego do Innsbrucka, co było prologiem statecznej przewagi tych żywiołów, a tem samem niejako i srogiej reakcyi późniejszej, nikt jeszcze wtedy nie przewidywał, chociaż rozważniejsi i trzeźwiejsi kierownicy ruchu przejęci już byli obawami i zlemi przecuciami.

Stany dolno-austryackie mogły być w tej chwili może jeszcze wywrzeć wpływ uśmierający na rozwój wypadków, gdyby się w nich było rozbudziło poczucie historycznej doniosłości zadania, gdyby mianowicie otrzymano od rządu wezwanie do przygotowania reform stanowych i urzędzeń gminnych, pojęły były tak samo, jak owo zgromadzenie we lwowskim pałacu Namiestnikowskim, tylko za punkt wyjścia do jasnego określenia konstytucyjnej rekonstrukcyi państwa. Miały do tego formalny mandat od rządu, były więc do tego powołane i obowiązane, ale nie posiadały w łonie swoim ludzi ze zmysłem politycznym, zdolnych do inicjatywy u góry, a przytem wyposażonych taką powagą obywatelską, żeby zdołali wywrzeć wpływ kierujący i uśmierający u dołu. O ile wyższem pod tym względem było lwowskie zgromadzenie za hr. Stadioną! Wobec takiej różnicy rola delegatów tego zgromadzenia, utwierdzonych, jak powiedzieliśmy, na bruku wiedeńskim w postanowieniach we Lwowie powziętych, była niewdzięczna, a ich działalność nie mogła doprowadzić do żadnych dodatnich rezultatów. Ale misyi swojej pozostali delegaci galicyjscy wierni od początku do końca, a z zabiegów i kroków, zgodnie z tą misją podjętych, spisali 15 kwietnia 1848 r. w Wiedniu protokół, który przytaczamy z papierów Maurycego Kraińskiego.

„Dnia 11 kwietnia 1848 r. — tak opiewa protokółarne sprawozdanie — delegowani, stanąwszy w Wiedniu, udali się do marszałka Stanów austryackich, hr. Montecuccolego, i zawiadomili go, że do obrad, do których powołani zostali, tak długo nie przystąpią, dopóki nie nadejdzie przyrzeczona przez Cesarza odpowiedź na adres, podany mu przez deputację galicyjską i krakowską. Na to hr. Montecuccoli wezwał delegowanych, aby, jeśli nie jako głosujący, to przynajmniej jako słuchacze tymczasem wzięli udział w obradach stanowych, celem dokładniejszego poznania przedmiotu obrad. Delegowani jednak, nie widząc powodu zastosowania się do tego wezwania i trzymając się ściśle manifestacyi i oświadczeń wyborców swoich, aby nie inaczej, jak tylko w duchu petycyi z 18 marca działali, pozostali przy pierw-

szem oświadczeniu w swoim. Gdy dnia 14 kwietnia deputacja galicyjska otrzymała od ministra Pillersdorffa oznajmienie, że tenże, zażądawszy od gubernatora hr. Stadiona opinii co do niektórych punktów owej petycji, po otrzymaniu relacji znieś się z członkami deputacji i na podstawie objaśnień otrzymanych da odpowiedź, ile możliwości życzeniom petentów odpowiadającą, delegowani przystąpili do wspólnej narady, celem postanowienia dalszych kroków w sprawie, dla której do Wiednia wysłani zostali. Większością głosów, Leona Sapielhy, Maurycego Kraińskiego i Jana Czajkowskiego¹⁾, uchwalono, aby się wszyscy delegowani udali do hr. Montecuccolego, oznajmili mu osnowę odpowiedzi ministra Pillersdorffa i oświadczyli, że skoro objaśnienia w sprawach, dla których do Wiednia powołani są, samemu ministrowi na jego żądanie przez członków deputacji galicyjskiej udzielone i wspólnie z nim roztrząsane były, a odpowiedź rządu bezpośrednio ma być wydana, delegowani działalność swoją wskutek tego za bezprzedmiotową uważają, a nie mając w takim odmiennym składzie rzeczy dalszej kompetencji do udziału w obradach Stanów austriackich, do obrad tych przystąpić nie mogą i nie przystąpią. Powody, które w tem postępowaniu kierowały delegowanymi, są następujące: 1) Obywatele z Galicyi i Krakowa, bawiący w Wiedniu, celem poparcia petycji i podziękowania za udzieloną konstytucyę, tak w przyjęciu, jak i w odpowiedzi Najj. Pana, innych członków rodziny cesarskiej i ministrów byli wyraźnie jako deputowani, naród reprezentujący, uznani i tytułowani. Ten charakter deputowanych, a jeszcze więcej wyraźne wezwanie ministra Pillendorffa, nadaje im właściwość prawdziwszego organu w dawaniu objaśnień o stanie i potrzebach kraju, aniżeli charakter, który nam służy. Przystąpienie nasze zatem do obrad stanowych już dla tego samego powinno być zaniechane, a to tem więcej, ile że jednoczesna narada nad tym samym przedmiotem w dwóch oddzielnych zgromadzeniach nietylko sama przez się żadnego celu nie ma, lecz nadto mogła-by osłabić i sparaliżować działanie tych, którzy, jako uznani reprezentanci narodu, zostaną w Wiedniu celem uzyskania pomyślnego skutku wniesionych petycji. 2) Potrzeba udziału naszego w obradach Stanów austriackich ustaje także dlatego, że objaśnienia, jakie w zgr. madzeniu stanowem przedmiot obrad stanowią, już bezpośrednio ministrowi przez członków deputacji udzielone i wspólnie roztrząsane będą, a na tej drodze sprowadzą w daleko krótszym czasie ten sam, a może i pomyślniejszy, rezultat. 3) Od dnia naszego wyjazdu do dnia przybycia do Wiednia, stosunki

¹⁾ Tytus hr. Dzieduszycki nie brał udziału w tych obradach.

polityczne i zasady w rządzie dotychczas przyjęte znacznej uległy zmianie. Wywieszenie chorągwi byłego cesarstwa niemieckiego na Burgu wiedeńskim oraz na wszystkich rządowych i publicznych budynkach, wysłanie delegowanych z Austrii do zgromadzenia konstytucyjnego we Frankfurcie, wysłanie uroczyste insygniów cesarskich niemieckich z Wiednia do Frankfurtu są uderzającym dowodem kierunku, jaki Austria sprawie niemieckiej pragnie nadać i że do niej widocznie przystąpić chce. Ta okoliczność i odgłos w całych Niemczech ku wskrzeszeniu Polski wzbudzają wszelką nadzieję, że Austria, chociażby nawet tego na teraz jeszcze za stosowne nie uznała, zawsze jednak, działając w duchu powszechnej opinii, nada Galicyi administracyę odrębną, z żywiołów czysto narodowych złożoną, czego tem pewniej spodziewać się możemy, ile że Czechy w reskrypcie cesarskiej z dnia 8 b. m. już to dla siebie uzyskały. W takim składzie rzeczy naradzać się nad przedmiotami, które-by miały na celu zaprowadzenie, ile możności, jednostajnej organizacyi Galicyi z innemi prowincjami, co do narodowości i wszystkich innych stosunków, od Galicyi się różniącemi, było-by zupełnie bez celu i dało-by powód do mniemania, jakobyśmy, podając objaśnienia do ułożenia projektu dla tej jednostajnej organizacyi, stawiali przeszkody odrębnej narodowej administracyi naszego kraju i opierali się życzeniom narodu, w petycyi z 18 marca wyrażonym. Dodać jeszcze należy, że deputowani z Galicyi i Krakowa dnia 6 b. m., zatem przed naszym do Wiednia przybyciem, do tronu podanie wnieśli, w którym prosili, aby narodowy komitet, przez rząd sankcyonować się mający, zajął się wewnętrzną organizacyą kraju, ustanowił prawidła wyboru do przyszłego zgromadzenia narodowego i nowych ustaw gminnych dla miast i włości. Żądaniem ich zatem jest, aby obrady nad przedmiotami, dla których tutaj powołani jesteśmy, przez krajowców w komitet zebranych w samym kraju i bez wspólnego innych prowincyi udziału przedsiębrane były. Działali-byśmy więc wbrew temu żądaniu, gdybyśmy do obrad w pomienionym przedmiocie w Wiedniu przystąpili, a pomijając inne, stąd wyniknąć mogące, skutki, nie uniknęlibyśmy zarzutu, że stajemy tym sposobem w opozycyi z życzeniami deputacyi, uroczyście do trona zanesionemi i przez pisma publiczne ogłoszonemi. 4) Nakoniec obrady nad rozszerzeniem instytucyi stanowych w pomienionem piśmie hr. Montecuccolego, jako przedmiot naszej tutaj działalności wskazane, wobec zaszłej tymczasem zmiany polityki, wobec dzisiejszych dążeń ku zniesieniu wszelkich uprzywilejowanych stanów, wobec nadania Czechom reprezentacyi narodowej dla wszystkich klas bez dawnego ich podziału i wobec wyraźnego domagania się równej reprezentacyi narodowej w petycyi naszej,—były-by sprzeczne nietylko

z dawniejszem życiem narodowem i naszą historią, nietylko nie odpowiadały-by duchowi i potrzebom czasu, lecz nawet postawiły-by nas w sprzeczności z zasadami w petycyi przez nas podpisanej i z wyznaniem naszym politycznem tylekroć publicznie powtarzanem. Zresztą i sam hr. Montecuccoli uznał wyraźnie niemożność utrzymania instytucyi feudalnych nawet w dawniejszych prowincjach austriackich i nie uznał za stosowne przystąpić do obrad nad instytucją, która dzisiejszym stosunkom nie odpowiada.—Wiedeń dnia 15 kwietnia 1848 r.“

Właśnie wtedy, gdy delegaci galicyjscy spisywali ten protokół, hr. Montecuccoli, widząc udaremniiony projekt zebrania się wspólnej konferencyi stanowej w Wiedniu, wystąpił z własnej inicjatywy, czy za wskazówkami sfer rządowych, w każdym razie jednak w porozumieniu z ówczesnem bezradnem i chwiejnem ministeryum, z pomysłem zwołania sejmu stanowego z przybraniem nowych członków inteligencyi, rektora uniwersytetu (delegatów poszczególnych wydziałów uniwersyteckich itp.) a przede wszystkim nowych posłów z miast i gmin wiejskich, jako reprezentantów stanu dotąd pozbawionego zastępstwa w sejmie stanowym. Imieniem wydziału stanowego wydał tedy hr. Montecuccoli obwieszczenie, w którem wydane zostały prowizoryczne przepisy o sposobie, w jaki ci nowi członkowie mają być wybierani. Ale jak spóźniona była pierwotnie proponowana konferencya wiedeńska, tak i to zwołanie sejmu stanowego z zaimprovizowaną na prędce reformą nie mogło stanowić tamy, która wstrzymała-by lub przynajmniej złamała, a tem samem osłabiła falę tego potężnego ruchu rewolucyjnego, jaki zapanował na bruku wiedeńskim w drugiej połowie kwietnia i w pierwszej maja. Fala ta zaczęła już uderzać o podwaliny całej budowy państwowej i wdzierać się w jej najgłębsze fundamenta. Już i konstytucya liberalna, wydana w kwietniu a rozszerzona co do prawa wyborczego w maju, nie wystarczyła skrajnym żywiołom, przed którymi ostatecznie dwór cesarski schronić się musiał formalnie ucieczką do najsilniejszej przystani wierności dynastycznej, do Tyrolu. Zwołanie sejmu stanowego w Wiedniu było wśród takich stosunków anachronizmem nawet w razie przyjscia do skutku proponowanego wyboru posłów z miast i z gmin wiejskich. W Wiedniu nikt się już nie oglądał na przeżyłą instytucję stanową i oczywiście nikt jej nie żałował, a historia, zapisując ostatnie jej znaki życia wśród zrywającej się nad Austryą burzy rewolucyjnej, musi ograniczyć się do suchego zarejestrowania faktów bez żadnej ornamentyki nekrologowej.

Równocześnie ze zwołaniem Stanów austriackich także w innych prowincjach, rząd, zagrożony do głębi w swojej egzystencji po-

litycznej, próbował tym środkiem powstrzymać lub przynajmniej zmiękczyć dobywający się zewsząd prąd rewolucyjny.

We Lwowie dziennik urzędowy w połowie kwietnia 1848 r. obwieścił zarządzone cesarskiem postanowieniem zwołanie „Stanów Królestwa Galicyi i Lodomerji na sejm nadzwyczajny, dla naradzenia się nad propozycjami względem większego udziału, następnie względem zmiany i polepszenia urzędzeń municypalnych i kameralnych“. Niema w tym komunikacie urzędowym wzmianki o ludzie wiejskim, bo zapowiedziane rozszerzenie „ograniczonego tych poddanych, którzy dotychczas w czynnościach stanowych mieli ograniczony udział, udziału“ odnosiło się tylko do żywołu miejskiego a nie włościańskiego, który w Stanach żadnego nie miał udziału. Na ten ostatni żywiół rząd liczył bezwarunkowo bez względu na to, czy udział w Stanach zostanie mu w małym tylko zakresie przyznany lub wcale odmówiony. W danych stosunkach rachuba ta była niezawodnie trafna, bo w świeżej pamięci tkwiły jeszcze wypadki z r. 1846, a biurokracja galicyjska składała się w tej dobie jeszcze z tych samych, obcych, wrogich nawet krajowi, żywołów, które umiały przed dwoma laty rozbudzić u włościan najdziksze instynkta przeciw szlachcie. Natomiast porywczy żywiół miejski, zwłaszcza we Lwowie, sprawiał troskę rządowi, więc trzeba było przymilić się doń już w chwili zwołania sejmu stanowego. To też powyższe urzędowe obwieszczenie o zwołaniu galicyjskiego sejmu stanowego zawiera jeszcze następujący dodatek: „Sejm, który na mocy tego rozporządzenia w duchu najwyższej woli Najj. Pana będzie już teraz pomnożony dodaniem większej liczby deputowanych, obranych przez miejskich obywateli z ich grona, zagaj dnia 26 kwietnia we Lwowie Jego Ekscelencya Gubernator krajowy“. Wyborem albo raczej powołaniem tych deputowanych zajął się lwowski wydział miejski, zastępujący w ówczesnym ustroju dzisiejszą radę miejską. Powołano najpierw według dotychczasowej praktyki dwóch z grona samego wydziału a nadto jeszcze z szerokiego grona obywateli, nie należących do wydziału, dziesięciu zastępców, którzy zajmowali wybitniejsze stanowiska społeczne i mogli liczyć na to, że chociaż nie wyszli z urny wyborczej z mocy swobodnego głosowania, mimo to poparci są zaufaniem i sympatją ludności.

Cały organ wykonawczy sejmu, wydział stanowy, uznał bardzo trafnie, że na nim ciąży obowiązek przedłożenia stanom gotowego już substratu do obrad nad organizacją sejmu konstytucyjnego. Przygotował też wcześniej projekt ordynacji wyborczej dla przyszłego sejmu Galicyi i złączonej z nią wówczas jako jeden z obwodów Bukowiny. Projekt ten jest elaboratem Kazimierza hr. Stadnickiego, znanego z wielu prac historycznych, wówczas członka

wydziału stanowego i rady gubernialnego. Ponieważ sejm, jak wnet zobaczymy, nie przyszedł do skutku, więc elaborat hr. Stadnickiego pozostał materiałem archiwalnym, zasługującym na przypomnienie jako dowód, że ówczesne do kierującej roli powołano koła obywatelskie przejęte były zdrową myślą polityczną i poważnymi planami rekonstrukcyi ustroju społecznego, a tylko zawierucha polityczna swoją elementarną, ani powstrzymać ani nawet złagodzić się nie dająca siłą, zmiotła wszystkie zdrowe zawiązki nowej organizacyi.

Chociażby nawet dzisiejszą miarę przyłożono do elaboratu Kazimierza hr. Stadnickiego, to uderzył-by on jednym szczegółem znamienym, zasługującym na wymienienie, mianowicie tym, że żywiołowi miejskiemu przyznaje reprezentacyę liczniejszą, aniżeli on dziś posiada, dziś, po 30-letniej, częściowemi zwycięstwami nagrodzonej walce tego żywiołu o powiększenie mandatów poselskich w obecnym sejmie. Znamienym nazwalismy ten szczegół, bo działacze z r. 1848 trafnie odgadli, że w tym żywiole właśnie tkwi główna siła polskości, krępowanej przedtem pół wieku przez absolutyzm austriacki. Kiedy przed niespełną czterdziestu laty Schmerling, podtrzymujący ducha staroautriackiej biurokracyi pod maską konstytucyjną, organizował dzisiejszy ustrój konstytucyjny Austrii, albo raczej dezorganizował i do biurokrytyczno-centralistycznych aspiracyi swoich dostrajał fundamenta konstytucyjne, położone przez Agenora hr. Gołuchowskiego w dyplomie październikowym z r. 1860, możliwe ograniczenie żywiołu miejskiego Galicyi w systemie reprezentacyjnym i wyborczym stanowiło jeden z wybitnych punktów tej akcyi.

Ciasne więzy stanowego ustroju przełamywał elaborat Kazimierza hr. Stadnickiego zaraz w pierwszym paragrafie, stanowiącym że sejm składać się ma z reprezentantów: duchowieństwa wszystkich wyznań, korporacyi naukowych, właścicieli dóbr tabularnych, miast posiadających zorganizowane magistraty i gmin wiejskich łącznie z pomniejszymi miastami i nie posiadającemi takich magistratów. W pierwszej kategoryi reprezentantów mieścili się członkowie z głosem wirylnym (arcybiskupi, biskupi, superintendent ewangelicki i rabin) i reprezentanci wybierani przez kapituły biskupie ze swego grona; do drugiej kategoryi należeli, oprócz rektorów uniwersyteckich, reprezentanci poszczególnych wydziałów uniwersytetów we Lwowie i Krakowie oraz akademii technicznej, wybrani z grona profesorów. Trzy dalsze kategorye, (wielka własność ziemska, miasta i gminy wiejskie) odpowiadają kuryom dzisiejszego prawa wyborczego w Austrii i poszczególnych krajach koronnych w skład jej wchodzących. Nietylko miejska kurya, lecz także i obie inne miały

według eleboratu hr. Stadnickiego otrzymać więcej mandatów, aniżeli ich dziś posiadają. Co do kuryi miejskiej zasadnicze postanowienie opiewało, że „jeden poseł przypada na 50,000 mieszkańców“, co przy dzisiejszym nadzwyczajnym wzroście ludności w Galicyi oznaczało-by stanowczą przewagę tej kuryi nad innymi. Wybory miały się odbywać pośrednio w ten sposób, że po wsiach na 1,000 prawyborców przypadał jeden wyborca powołany do oddania głosu na posła, a w miastach liczba wyborców miała wynosić 5 % ogólnej liczby prawyborców. Zresztą warunki prawa wyborczego i obieralności były bardzo liberalnie zakreślone.

Tymczasem bieg wypadków poza sferami gubernialno-stanowami wytworzył sytuację, wśród której wszystkie plany i rachuby ze zwołaniem sejmu stanowego połączone zupełnie pokrzyżowane być mogły. Rada narodowa we Lwowie nie chciała słyszeć o zwołaniu anachronistycznego sejmu stanowego, chociażby z rozszerzonym programem obrad, a głos jej był o tej porze już roztrzygający. To wyniesienie się Lwowskiej Rady narodowej z niepokaźnego związku, bo z pierwotnego komitetu redakcyjnego dziennika tej samej nazwy, na stanowisko poważnej korporacji albo raczej organizacji obywatelskiej, liczącej w swoim gronie obok inteligencji miejskiej także wybitnych reprezentantów ziemiaństwa (np. Aleksandra hr. Fredrę) i duchowieństwa z wyższych szczebli hierarchicznych, na stanowisko tak wpływowe, że w końcu mogła nawet udaremnić akcję konstytucyjną rządu, stanowi jeden z najwięcej charakterystycznych symptomów tej burzliwej doby. Kiedy w Wiedniu rząd centralny w swojej bezradności i niemocy cofał się w ustępstwach konstytucyjnych krok za krokiem przed naporem ulicy, a jeżeli kiedy próbował oprzeć się naciskowi i postawić na swoim, to na to tylko, aby zaraz potem tem śpieszniej cofnąć się i tem samem ośmielić radykalne żywioły polityczne do podwojenia natarczywości, szefowie rządów krajowych postawieni zostali w sytuacji prawdziwie rozpaczliwej, bo przy ówczesnej powolnej komunikacji nie mogli w porę dowiedzieć się, na czem słańdo ostatecznie w Wiedniu i jak się zachować mają wobec takiego samego nacisku w stolicach prowincjonalnych. W najtrudniejszej pod tym względem pozycji znajdował się gubernator galicyjski, Fr. hr. Stadion, urzędnik niewątpliwie wyższej miary, pierwszego rzędu, a nawet najwybitniejsza inteligencja w całym ówczesnym biurokratycznym świecie Austrii, liberalny w swoich poglądach, a w początkowym okresie swoich rządów w Galicyi za życzliwe dla kraju intencje tak sympatyczny w kołach polskich, jak żaden z jego poprzedników, z wyjątkiem chyba jednego księcia Lobkowicza, który w r. 1831

okazał wiele życzliwości dla społeczeństwa polskiego w Galicyi i znany jest nawet z wizerunków w polskim stroju narodowym.

Franciszek hr. Stadion w pierwszych tygodniach ruchu z r. 1848 niemal zentuzyazmował Lwów wczesnem i na własną rękę dokonaniem obwieszczeniem pierwszego patentu konstytucyjnego, wypuszczeniem więźniów stanu na wolność i zniesieniem cenzury prasowej. Także wobec petycyi lwowskiej z 18 marca zajął hr. Stadion w swoich relacyach do ministra i cesarza Ferdynanda stanowisko przychylne, popierając poszczególne punkta tej petycyi w tonie, który każdemu rozpatrującemu się dziś w tych aktach wydaje się nieprawdopodobnym po tak odmiennych a świeżych jeszcze wówczas wspomnieniach z r. 1846. Później dopiero, na widok coraz więcej wzbierającej fali ruchu w Wiedniu i na prowincyach, na widok słabej odporności centralnej tamy rządowej wobec tej fali, hr. Stadion we wrażliwym poczuciu swojego patryotyzmu austriackiego czuł się coraz bardziej zaniepokojonym, i w braku informacji, daremnie od bezradnego ministryum oczekiwanych, na własną rękę próbował ująć ruch w karby. Hr. Stadion już wtedy podlegał początkom ciężkiej choroby nerwowej, której w kilka lat później uległ w sile wieku, więc był też chorobliwie drażliwym, szczególnie na rzucone nań podejrzenia, że wraca do tradycyi i taktyki z r. 1846, że więc chce być kontynuatorem tej polityki, którą on w nieznaney jeszcze dotąd ale już dostępnej dla historyka informującego się u źródła archiwalnego relacyi z r. 1847, więc zaraz po zajęciu stanowiska gubernatorskiego, stanowczo i bezwzględnie zgał, niemal napiętnował. Jeżeliż tedy taka wygórowana wrażliwość i drażliwość spotykały się z jednej strony z bezradnością centralnego rządu, otwierającą w Wiedniu radykalnym tłumom drogę do Burgu cesarskiego dla wymuszenia coraz dalej idących ustępstw politycznych, a z drugiej strony z tak naturalnym w tym pamiętnym roku rozpędem burzliwych żywiołów lwowskich, które nie chciały pozostać w tyle za ogólnym prądem, to starcie stawało się nieuniknionem. Wybuchło ono, bo wybuchnąć musiało, najdobitniej właśnie w sprawie zamierzonego zwołania sejmku stanowego.

W pierwszych dniach ruchu lwowskiego hr. Stadion mógł mieć, że, broniąc wobec ministryum zapoznawanej przez nie prawnej egzystencyi Stanów galicyjskich i przemawiając za rychłem zwołaniem ich sesyi, działał poniekąd po myśli życzeń wyrażonych w petycyi lwowskiej z 18 marca i zgodnego z nią w głównej treści adresu galicyjskiego, przez osobną deputacyę do Wiednia zawiezionego. Relacya hr. Stadiona z 23 marca 1848 r. w tej sprawie, stanowiąca odpowiedź na zapytanie ministryum, czy zainicyonowane

przez hr. Montecuccolego wskutek reskryptu cesarskiego z 17 marca zwołanie stanów dla ułożenia konstytucyi ma być zakomunikowane także Stanom galicyjskim, zasługuje na przytoczenie, jako dokument historyczny, stwierdzający prawdziwość powyższych uwag o stosunku gubernatora galicyjskiego.

„Zawarta — pisze Franciszek Stadion — w wysokim reskrypcie z r. 1860 uwaga, że ściśle rzeczy biorąc w Galicyi nie istnieje sięgająca do najdawniejszych czasów konstytucya stanowa, nie powstrzymała-by mnie od wydania Stanom galicyjskim najwyższego reskryptu z 17 marca, gdyż Stany te są formalnie zorganizowane i nie stanowią instytucyi najświeższych czasów, lecz istnieją prawie już od r. 1785, a wszelkie wyjątkowe traktowanie Galicyi, wskutek czego ona uważała-by się za upośledzoną wobec innych prowincyi, mogło-by wśród wywołanego najświeższymi wypadkami i do najwyższego stopnia pociągniętego wzburzenia pociągnąć za sobą najsmutniejsze następstwa i stać się najbliższym powodem do bardzo niebezpiecznych demonstracyi, a to tem więcej, ile że wobec istniejącej obecnie wolności prasowej nie można-by zapobiedz omawianiu tej sprawy, co było-by oczywiście dolewaniem oliwy do ognia. Mimo to, nie mogę najwyższego reskryptu wydać Stanom galicyjskim, gdyż nie są zgromadzone a zwołać ich nie mogę bez wyraźnego rozkazu Jego Ces. Mości. Jakknajruchlejsze zwołanie Stanów jest tedy przedewszystkiem pilnie potrzebne i o to też jaknajusilniej upraszam. Co do treści tego najwyższego reskryptu pozwalam sobie przedewszystkiem zauważyć, że w drodze urzędowej nie otrzymałem powołanej tamże najwyższej proklamacyi z 14 marca, że treść jej wcale nie jest mi znana, że zatem nietylko nie mogę jej obwieścić, lecz nadto nie umiał-bym dać Stanom informacji na ich żądanie. W ogóle pozostawiony jestem co do zasad, według których prowadzona być ma administracya polityczna i jaki w niej przestrzegany być winien kierunek przeze mnie jako gubernatora tak wielkiej i tak nadzwyczajnie wzburzonej prowincyi, w takiej niepewności i tak dalece bez wszelkich wyższych wskazówek, iż znajduję się w największem zakłopotaniu, nie mogąc na wszelkie zapytania wydziału stanowego i w ciągle wzrastającej liczbie występujących deputacyi dać innej odpowiedzi, jak tylko wymijające oświadczenia z ograniczeniem się do ogólnikowych frazesów. Ze-bym w takim stanie rzeczy zdołał dłuższy czas utrzymać niezachwiane zaufanie ludności w szczerość poczynionych koncesyi, to, niestety, wydaje mi się bardzo wątpliwem, jeżeli się zważy, jak głęboko od lat zakorzeniona jest w kraju nieufność wobec wszystkiego, co od rządu pochodzi. Jeżeli przez zwlekanie z otwartem przedstawieniem kierunku, którego rząd odtąd przestrzegać postanowił, ludność

wprowadzona została w mniemanie, że rząd nie bierze całkiem na serio uczynionych ustępstw, ło nie mógłbym ręczyć za następstwa, a zapobieżenie wybuchowi powstania w Galicyi było-by prawie niemożliwym. Sądzę, że jestem obowiązany odezwać się z taką otwartością do Waszej Ekscellencyi, gdyż chodzi tutaj o spokój, może nawet o zatrzymanie całej prowincyi. Nie mogę także i tego pominąć, że w najwyższym patencie z 15 marca powiedziano, iż wydano potrzebne zarządzenia celem zwołania w jaknajkrótszym czasie deputatów wszystkich Stanów prowincjonalnych i centralnych kongregacyi lombardzkoweneckiego królestwa ze wzmocnioną reprezentacją stanu mieszczańskiego oraz z uwzględnieniem istniejących konstytucyi prowincjonalnych dla postanowionego przez Jego Ces. Mość wydania konstytucyi państwowej. Takiego zarządzenia jednak do tej chwili nie otrzymałem, a także w powyżej powołanym najwyższym reskrypcie niema o tem wzmianki. Jest to zatem niezbędnie potrzebnem, abym pod tym względem otrzymał jaknajrychlej rozkazy co do postępowania i aby także Stany zostały w tej mierze stosownie poinformowane. W interesie rządu i publicznego spokoju muszę upraszać o wszelkie możliwe przyspieszenie rozwiązania tej kwestyi, gdyż nie upłynie jeden dzień, nawet godzina, żebym nie był nagabywany o wyjaśnienia w tej mierze, a jest to rzecz zarówno niemila dla mnie jak niebezpieczna dla rządu, jeżeli muszę dawać odpowiedzi, z których najskromniejsza nawet intelligencya wysnuć może wniosek, że sam nie wiem. Nie chcę nagabywać Waszej Ekscellencyi wątpliwościami co do dalszej treści najwyższego reskryptu ani pytaniami co do łączności stanów prowincjonalnych z ich zjednoczoną deputacją, ale natomiast prosić muszę o łaskawą informację, czy projekty co do silniejszej reprezentacyi stanu mieszczańskiego oraz co do przekształcenia i poprawienia urzędzeń municypalnych i gminnych mają stanowić przedmiot obrad zjednoczonej deputacyi, lub będą w poszczególnych prowincyach osobno traktowane, a potem przez Jego Ces. Mość zdecydowane, czy zatem przy kierowaniu obrad stanowych należy mieć na uwadze tylko stosunki prowincyi jako odrębnej całości, lub też z uwzględnieniem innych prowincyi i całej monarchii, a w ostatnim wypadku jakie zasady służyć mają za normy celem utrzymania jedności całego organizmu państwowego“.

W trzy tygodnie po tej relacyi hr. Stadioną pojawiło się w urzędowym organie obwieszczenie zwołujące sesyę sejmu stanowego na 26 kwietnia, a stosunki tymczasem tak się zmieniły, jakgdyby obie daty przedzielał długi okres czasu. W ciągu tej przerwy bowiem rozbił się, jeżeli nie głównie, to w znacznej mierze, za przyczynieniem się deputatów galicyjskich, projekt centralnej konferencyi

stanowej w Wiedniu pod przewodnictwem hr. Montecuccolego, we Lwowie nikt już nie myślał o sesji sejmku stanowego, o Stanach w ogóle; między gubernatorem hr. Stadionem a społeczeństwem polskim stanęła wytworzona z inicjatywy ostatniego organizacja obywatelska, Rada narodowa, z każdym dniem rozszerzająca zakres swoich kierujących wpływów, tak we Lwowie jak i w całym wreszcie kraju; sam hr. Stadion z jednej strony pozostawiony przez rząd centralny bez wszelkich wskazówek informacyjnych, a z drugiej drażniony i niepokojony mnożącymi się symptomami wzrastającego ruchu, popadł w pesymizm, niemal w zwątpienie i przewidywał najsmutniejsze rozwiązanie zagadnień politycznych bieżącej chwili, za które odpowiedzialność z góry składał na niesforne żywioły ruchu i bezwiednie dla nich w swojej bezradności pracującego rządu centralnego. Wszystkie te znamienne cechy zmienionej sytuacji przebijają dobitnie z relacji hr. Stadioniana do ministerjum z 12 kwietnia 1848 r., godnej także wydobyć na jaw z pomroki archiwalnej.

„Stosunki w Galicyi — pisze hr. Stadion w tej relacji — przedstawiają się coraz posępniej. Wypatki w Poznańskim, gdzie rząd pruski zaniedbał wczesnego poskromienia wybryków stronnictwa, które w zamiarze wywalczenia niepodległości Polski opanowało publiczną administrację, i obecnie podjąć będzie musiał ciężką walkę, aby napowrót ująć w swoje ręce straconą władzę; ukonstytuowanie się tak zwanego komitetu narodowego w Krakowie dla obrad nad sprawami publicznymi: wszystko to podniosło do najwyższego stopnia nadzieje stronnictwa narodowego w Galicyi i zachęciło je do spotęgowanej działalności celem osiągnięcia równych rezultatów. Coraz głośniej i jednomyślniej odzywa się żądanie jaknajrychlejszego ustanowienia gwardyi narodowej, a w poszczególnych miastach obwodowych, jak np. w Stanisławowie i w Złoczowie, nie obeszło się bez prób ukonstytuowania gwardyi narodowej wbrew wyraźnemu zakazowi rządu. W każdym obwodzie szlachta oświadcza się za utworzeniem komitetów narodowych, a wszędzie przytaczane bywa Poznańskie, szczególnie Kraków, jako przykład, aby żądać równego prawa dla Galicyi. Lekkomyślna i nieoględna jak zawsze szlachta nie ukrywa swoich aspiracji do niepodległości, niechęci do austriackiej administracji i jej organów, nie zaniedbując żadnego środka, aby chłopu dla siebie pozyskać i wzbudzić w nim nieufność wobec władz oraz wiarę w to, że został przez rząd austriacki opuszczony, a Polacy, tj. szlachta znowu krajem o władnęła. Dla zupełnego obalamucenia chłopu nie brakuje emisaryuszy, którzy podburzają go przeciw szlachcie i rządowi, zwracając jego uwagę na własną siłę fizyczną, która może go za jednym zachodem uwolnić od szlachty i rządu, a zarazem

uczynić panem kraju. Włościanin jest jeszcze spokojny, ale śledzi każdy krok znienawidzonej szlachty, okazuje się oddanym rządowi, ale na pomoc jego nigdy liczyć nie należy. Skoro-by jej bowiem zażądano, nie można-by myśleć o kierowaniu tą dziką siłą. Nienawiść obejmie kierownictwo, a zwróci się przeciw właścicielom dóbr i szlachcie. Hasłem chłopów będzie nie popieranie rządu, przywrócenie spokoju i porządku, lecz mord i zniszczenie. Ten ponury obraz politycznych stosunków stanie się jeszcze ciemniejszy, horoskop najbliższej przyszłości jeszcze rozpaczliwszy, jeżeli się zważy, w jakim stanie rozbicia i widocznego rozstroju znajduje się administracya kraju. Oficyaliści, właściciele dóbr zajmują się tylko polityką; kto należy do stronnictwa przewrotu, pracuje tylko nad tem, aby burzyć i niemożliwą uczynić administracyę uporządkowaną według zasad austryackich, aby przygotować rychłe obalenie istniejącego stanu rzeczy. Nieliczni ludzie rozważni, jeszcze nieliczniejsi szczerzy zwolennicy rządu austryackiego milczą, z obawy o swoją egzystencyę, i zwątpiwszy o dodatniej działalności, nic nie podejmują. Cała działalność urzędów obwodowych jest skierowana ku utrzymaniu porządku. Im mniej szlachta zważa na upomnienia i ostrzeżenia organów rządowych, z tem większą usilnością muszą one starać się o to, aby szlachtę utrzymać w karbach, nie robiąc użytku z władzy. Im butniejszą i więcej wyzywającą staje się szlachta, z tem większą lekliwością muszą starać się o to, aby lud pouczać, do spokoju nakłaniać i jego zaufanie utrzymać. To też urzędnicy ciągle są poza urzędem, a sprawy zalegają.

Nadto odwaga urzędników nadzwyczajnie upadła, a większa ich część wcale straciła odwagę i zachwiała się wobec otwartych napaści, które w prasie i na wszystkich zebraniach odzywają się przeciw stanowi urzędniczemu, wobec dążności proskrypcyjnej, która objawia się we wszystkich kołach i głośno upomina się o ofiary. Podatki wpływają nadzwyczaj skąpo, środki przymusowe są zaniechane po części z obawy, aby wzburzenie nie spotęgowało się jeszcze więcej, po części z braku środków do wywarcia przymusu, gdyż siła zbrojna za-

1) W ówczesnym ustroju władz przed zniesieniem pańszczyzny najniższe organa (dominikalne) mianowicie mandataryaty, w których zakres wchodziły funkcyje: policyjna, podatkowa, wojskowa, w ogóle administracyjne, zależne były od właścicieli dóbr dominikalnych i najczęściej spoczywały w rękach oficyalistów prywatnych. Stąd taki nacisk położony na usposobienie tych oficyalistów. (Przyp. autora).

ledwie wystarcza na utrzymanie spokoju i porządku, a wskutek tego nie można wysłać egzekutorów podatkowych. Czynię, co tylko leży w zakresie sił moich, aby przesunąć się pomiędzy gęsto zastawionymi zaporami, ale z każdym dniem wzrasta moja troska, czy szczęśliwie wybrnę. Potrzeba tylko najlżejszego impulsu, a za nic nie mógłbym więcej zaręczyć. Przyjąłem zasadę i przestrzegam jej będąc z całą energią, abym ani sam nie zboczył z drogi prawa, ani nie ścierpiał nieprawego postępowania jakiegokolwiek partji. Nie szczędzę żadnego trudu celem przekonania wszystkich o konieczności panowania prawa. Co do gwardji narodowej nie ograniczyłem się tedy do wzbromienia jej organizacyi przed wydaniem ustawy w tej mierze, lecz nadto w obwieszczeniu przytoczyłem powody tego zakazu, a w artykule urzędowego dziennika wykazałem publiczności nielegalność komitetu dla obrad nad sprawami publicznymi. W okólniku gubernialnym do urzędów obwodowych wystąpiłem przeciw niepowołanemu obwieszczeniu uwolnienia od pańszczyzny. Dopóki to jest możliwym, wyteżać będę moje starania, aby wpływem moralnym zapobiedz użyciu siły fizycznej. Jednakże nadzieja, że wszystko to wystarczy, zmniejsza się z każdym dniem, gdyż nieustannie potęguje się fanatyzm, nieprzystępny dla przestrog rozumu, a wobec niezmiernego nagromadzenia się materiału palnego, który za łada iskrą wszędzie w kraju zniszczenie rozpocznie, nie mogę ani dzień jeden zaręczyć za spokój. Do tego otwartego przedstawienia stosunków galicyjskich widzę się zobowiązany, gdyż chodzi o obronę honoru Austrii w jej stosunku do Galicyi, a ja mogę wprawdzie zwrócić uwagę najwyższej władzy państwowej na stosunki tego kraju, ale z własnej woli. bez wyraźnego rozkazu działać nie mogę już z tego powodu, że skoro od wszystkich wymagam niezbachania z drogi prawa, to muszę przyświecać przykładem ścisłego przestrzegania ustaw i utrzymywać się w tej pozycji, abym każdy krok jako legalny mógł usprawiedliwić“.

Na to rozpaczliwe wołanie gubernatora, którego można-by nazwać biurokratycznym Hamletem, odpowiedział rząd centralny nie żądaną dyrektywą, na którą w ówczesnym bezradnym gabinecie wiedeńskim zresztą nikt nawet nie byłby się zdobył, lecz odwlekaniem decyzji w jednej aktualnej sprawie, która właśnie w przededniu zwołania sejmu wymagała przyśpieszenia, a porywcznością i dorywcznością w drugiej aktualnej sprawie, której załatwienie w przededniu zwołania sejmu było właśnie niestosownem, a dla dalszego kształtowania się stosunków w Galicyi, wobec drażliwości, jaka zapanowała między gubernatorem a społeczeństwem polskim, nawet fatalnem. Mamy tu na myśli najpierw sprawę petycji lwowskiej z 18 marca i kwietniowego adresu deputacyi galicyjskiej, a powtóre sprawę pańszczyznianą.

Żeby owa petycyja i zgodny z nią w treści adres miały być całkowicie przez rząd centralny przyjęte za podstawę dalszego postępowania wobec Galicyi, tego mimo na pozór przychylnego przyjęcia deputacji galicyjskiej w Burgu wiedeńskim trzeźwiejsi jej członkowie przypuszczać nie mogli. Ale skoro już wydana być miała odpowiedź, odmowna w treści, chociaż co do formy wymijająca i właściwie nie zawierająca takiej kategorycznej odmowy, jaką rząd pewny siebie i pewny swoich celów na żądania polityczne tak daleko idące, a nie odwołanej do tego korporacji politycznej, lecz niejako z inicjatywy rozentuzjazmowanej ulicy postawione, wszędzie zwykł dawać, to należało to uczynić nie jak się rzeczywiście stało, dopiero w maju, kiedy wzburzenie umysłów, nieufność i zniecierpliwienie niezmiernie wzrosły, a tem samem nawet taka wymijająca odmowa była już niejako oliwą do ognia dolewaną, lecz w połowie kwietnia, kiedy wobec blizkiej sesyi sejmu stanowego można było odmowę jeszcze więcej osłodzić przez zasłonięcie się potrzebą wysłuchania reprezentacji kraju, chociaż tak niewystarczającej jak stanowa. Byłby może w takim razie sejm stanowy urósł w powadze wobec opinii kraju, byłby może w swojej sesyi skoncentrował całą uwagę kraju, a tem samem stał się bodaj chwilowo niejako gromochromem wśród wzbierających się gęstych chmur rewolucyjnych.

Sprawa pańszczyźniana natomiast nie wymagała pośpiechu, bo skoro jej uregulowanie w innych prowincjach odłożone zostało do sesyi konstytuanty wiedeńskiej, to dorywcze dokonanie tego dzieła w samej tylko Galicyi i to w chwili właśnie, kiedy samo obywatelstwo w myśl postulatów petycyi i adresu przystępowało do dobrowolnego zrzekania się danin pańszczyźnianych, miało charakter ubiegania się o fawor polityczny ludności włościańskiej, o utwierdzenie jej w przekonaniu, że tylko rządowi zawdzięcza zniesienie pańszczyzny, tak samo jak dawniej tylko rządowi zawdzięczała opiekę wobec wrzekomych nadużyć dziedziców w wykonywaniu uprawnień pańszczyźnianych. Była to gra bardzo niebezpieczna, bo przypominająca politykę biurokracyi niemiecko-galicyjskiej z przed r. 1846, odświeżająca krwawe wspomnienia tegoż roku, a tem samem wzbudzająca obawy w dworach szlacheckich. Wprawdzie gubernator hr. Stadion w prostych okólnikach do starostów, nadmieniając o ewentualnej potrzebie zaprowadzenia w kraju straży chłopskich celem udaremnienia wędrownej propagandy radykalnych żywiołów po wsiach, dobitnie zakazał używanie do takich straży tylko poważnych gospodarzy i pod kierunkiem żandarmerji lub wojska, aby nie ponowiły się ekscesa z r. 1846, „których — własne słowa hr. Stadiona — za wszelką cenę uniknąć należy”; ale w kraju już opinia tak była podrażniona i rozgoryczona, że przypusz-

czano najgorsze zamiary rządu, więc wprost nawet powrót do taktyki r. 1846. Kto zresztą nawet przychylnie oceniał charakter hr. Stadionia i uważał go za niezdolnego do popełnienia niegodziwości, ten mimo to miał powód do obawy, iż wobec faktu, że w urzędach nie zaszły zmiany, że mianowicie personel administracyjny z czasów rzezi ciągle jeszcze stoi najbliżej chłopu, i w danym razie najprędzej wpłynąć zdoła, pożar mógłby być wzniecony nawet wbrew woli i wiedzy gubernatora, wprost poza jego plecami. To też niechęć ogólna objawiła się w kołach obywatelskich, niechęć, głośno, czasem nawet demonstracyjnie objawiana. I tak np. 57 obywateli obwodu Przemyskiego wystosowało do rządu i w dziennikach ogłosiło protest, w którym oświadczają, że rozporządzenie rządowe „nie tylko nosi pod każdym względem wszystkie cechy gwałtu (jako sprzeciwiające się zasadom konstytucyjnym), lecz nadto jest środkiem ku podkopaniu ufności i braterstwa pomiędzy ludem a właścicielami ziemi, którzy w adresach swoich do tronu podanych sami się oświadczyli jeszcze 18 marca z żądaniem zniesienia poddańczych stosunków, co w wielu miejscach, nie czekając na odpowiedź z Wiednia, już nawet w wykonanie wprowadzili.“

*

*

*

Wśród takich stosunków los zwołanej na 26 kwietnia 1848 r. sesji sejmu stanowego był z góry zdecydowany. „Niema sejmu“ — to hasło, które w przededniu sesji na poufnym zebraniu deputatów przez jednego z nich głośno wypowiedziane i przez wszystkich potem dotrzymane zostało, już długo przedtem obiegało wszystkie koła inteligencji patriotycznej i obywatelskiej w ogóle. Lwowska Rada narodowa, której wpływ wzrastał niezmiernie, w miarę jak drażliwość hr. Stadionia podkopywała jego pierwotną popularność, stanęła na czele akcji przeciw zebraniu się sejmu rozwiniętej i oczywiście od razu znalazła odgłos z całym krajem. Odezwa, wydana w tej mierze do kraju 20 kwietnia 1848, nosi podpis jednego z najznakomitszych posłów autonomicznego sejmu galicyjskiego i Rady państwa, Seweryna Smarzewskiego. Podpisał on jako „prezylujący z kolei“, ale uważany był powszechnie jeżeli nie za wyłącznego, to jednego z głównych autorów tego dokumentu. Odezwa opiera się na petycji z 18 marca i adresie 26 kwietnia, jako dwóch objawach opinii kraju, wobec których cały dawny ustrój polityczny, nie wyłączając sejmu stanowego, jako instytucji, nieopowiadającej warunkom konstytucyjnej reprezentacji kraju, ostać się nie może. „Ktokolwiek — mówi odezwa — do obu adresów przystąpił, tem samem sejm zwołany za nieważny i *de facto* rozwiązany

uważać musi. Wszedłby w oczywistą sprzeczność ze samym sobą, ktoby powołanym obywatelem w takim nieważnym sejmie jakikolwiek udział mieć radził. Samo nawet zebranie i ukonstytuowanie się jako sejm, choćby w tym celu tylko, żeby uchwałą sejmową uznać niekompetencję sejmu do przedsiębrania jakiegokolwiek czynności, sprzeciwia się zasadom adresów, które uznały sejm za *de facto* rozwiązany, więc nie istniejący, zatem nietylko do żadnej czynności, ale nawet do zebrania się niepoważniony. Były sejm nie reprezentował ani narodu, ani nawet średniowiecznych kast stanowych, które w Europie rzeczywistości już od dawna nie istnieją. Dowolny skład, w jakim były sejm do zebrania się na dzień 26 kwietnia wezwany został, w tej mierze nie zmienia. Wola narodu w państwie konstytucyjnym objawia się rzetelnie tylko przez zgromadzenie reprezentacyjne, składające się z niezawisłych obywateli kraju, obieranych przez ziomków swoich na podstawie ogólnego prawa wyborczego, które li pewien wiek i dobrą sławę uwzględnić powinno... Samo już zebranie się obywateli na sejm wskutek wydanego ogłoszenia w jakimkolwiek celu mogło-by wznieść pozór, że nie przychylają się do zasad i prośb obu adresami objętych. Pozór taki mógłby niekorzystnie wpłynąć na ostateczne w tym względzie Najjaśn. Pana postanowienie, którego z niezachwianą ufnością acz niecierpliwie cały naród wygląda... Już przy zawiązaniu sejmu Rada narodowa postanowiła, i nie odstępowała dotąd od postanowienia swego unikać każdego czynu, który-by był istniejącym ustawom i woli Najjaśn. Pana w konstytucyjnej drodze objawionej przeciwny. Zważywszy jednak, że wezwanie do udziału w obradach stanowych nie jest rozkazem, ale raczej zaproszeniem, że więc nieprzyjęcie, niedopełnienie takiego wezwania nie jest wcale oporem przeciw woli Najjaśn. Pana, Rada narodowa nie widzi żadnej przeszkody, która-by współobywateli, na sejm wezwanych, od takiego zachowania się wstrzymać mogła, jakie im Rada narodowa, jako z obu adresami, z wyrazem woli narodowej i z obowiązkiem każdego prawego obywatela jedynie zgodne, przedstawia. Rada narodowa uważa, że byłoby położeniu naszemu najodpowiedniejszym i dla sprawy naszej najkorzystniejszym postępowaniem, gdyby obywatele wszyscy, do zebrania się na sejm na dzień 26 kwietnia b. r. wezwani, każdy z osobna, lub też w mniejszych albo większych kółkach pisemnie oświadczyli, i to oświadczenie tam podali, skąd wezwanie na sejm odebrali, że po adresach z dnia 28 marca i 6 kwietnia b. r. nie czują się umocowanymi wezwaniu na sejm zadość uczynić, ale nadto za najświętszy obowiązek wszystkich razem i każdego z osobna uważają, wystrzegać się najtroskliwiej wszystkiego, coby nawet pozór odszczepieństwa od zasad i prośb w obu adresach zawartych rzucić mogło. Z powyższych powodów pochlebia sobie Rada

narodowa, że jej zdanie znajdzie poparcie i że jej wniosek jednomyślnie przyjęty i wykonany zostanie,“

Teraz sprawa publiczna weszła już nieodwołalnie na pochyłą drogę, po której stoczyć się miała tak samo, jak później sprawa konstytucyjna całej Austrii, w przepaść—nie rewolucyi formalnej, której sztandar dopiero w październiku Wiedeń jawnie wywiesił — lecz anarchii. Ta tylko nazwa bowiem odpowiada ówczesnej fazie wielkiego przesilenia, w której dwór już się przygotował do uciecki (do Innsbrucka), rząd centralny, jak trzcina chwiejny, codziennie niemal ulegał nowym naciskom i prądom, jego reprezentanci w szczególnych prowincjach pozostawieni własnemu sprytowi, albo raczej własnej nieporadności, a gorące żywioły korzystały z tego stanu i, rwąc się do samodzielnej organizacyi i akcji obywatelskiej, jak lwowska Rada narodowa, usiłowały, w braku formalnej konstytucyi, utwoczyć *via facti* stan konstytucyjny.

Powyższa odezwa Rady narodowej znalazła odgłos powszechny i akces tak liczny, że umiarkowane żywioły, które w kilka tygodni później próbowały zorganizować się w samodzielne stowarzyszenie (ziemiański) z własnym organem, w tej chwili głosu wcale nie podniosły. Ziemia Przemyska, która najpierw wystąpiła z drukowanym protestem przeciw inicjatywie rządu w sprawie zniesienia pańszczyzny, także i zwołania sejmu, najgłośniej się ozwała w ogłoszonej drukiem, a przez 88 obywateli podpisanej protestacyi. Na tę drogę wstąpił i gubernator hr. Stadion, rozsyłając drukowane adresy do „deputowanych sejmu galicyjskiego“, i zaklinając ich niemal najpierw na interes konstytucyjny, a potem i materialny, aby, nie oglądając się na agitację, odcyli sesję sejmu stanowego, który jest także organem nadzorczym ziemskiego instytutu kredytowego i w tym charakterze zająć się ma sprawdzeniem jego rachunków, uzupełnieniem dyrekcyi i t. p.

Odezwa hr. Stadionu sytuacji zmienić już nie mogła, ale była-by może w innym składzie rzeczy wywarła silniejszą refleksję w kołach umiarkowanych deputatów, pobudziła ich do akcji w chwili stanowej i w ostatecznym razie zapobiegła przynajmniej drażliwemu przebiegowi całego przesilenia, jaki faktycznie zaszedł. Ale tymczasem zaszły okoliczności, które w normalnym stanie były-by uchodziły za epizod mniej lub więcej rażący, ale w chwili takiego napięcia aspiracyi i oczekiwań z jednej, a obaw i czarnych przewidywań z drugiej strony odegrały rolę iskier, padających na materiał wybuchowy.

W wilię zamierzonego otwarcia sesyi sejmu stanowego, 25 kwietnia 1848, odbyło się uroczyste nabożeństwo z okazji urodzin cesarza Ferdynanda. Gubernator hr. Stadion zajął w kościele należne mu pierwsze miejsce, a zaraz za nim stanęła Rada narodowa *in corpore*.

Postąpiła ona w ten sposób dlatego, żeby—jak opiewa jej jednomyślnie dniem wprzód powstała umowa — „jako ciało wolą narodu powstałe i jako wyraz jego opinii stała się tego dnia solemnem zaświadczeniem uczuć, któremi-by kraj ten rad zawsze swojego dobrotliwego króla otaczać.“ W oczach gubernatora jednak, rozdrażnionego wszyskiem, co przedtem zaszło, i przewidującego lada chwila wybuch rewolucyjny, postępek Rady narodowej przybrał charakter formalnej uzurpacji buntowniczej, stanowił dowód, że rada narodowa wystąpiła — jak to później hr. Stadion sam wypowiedział w urzędowym akcie — „samowolnie i w sposób najwięcej w oczy bijący, jakoby była prawnie ustanowioną korporacją.“ Hr. Stadion zostawał jeszcze pod drażniącym go wrażeniem tej sceny kościelnej, kiedy dowiedział się, że deputaci, zjeżdżający się na jego wezwanie, odbyli w zakładzie Ossolińskich wstępne narady przy udziale delegatów Rady narodowej i za ich przyczynieniem się postanowili nie uznawać prawowitości sejmu narodowego. Przebrała się już teraz w hr. Stadionie miara cierpliwości, albo raczej drażliwości, więc zerwał się do czynu, po którym już żadna siła ludzka nie mogła powstrzymać gwałtownego rozpędu akcji demonstracyjnej. O świcie 26 kwietnia policya wtargnęła do lokalu Rady narodowej i opieczętowała go, zabrawszy wszystkie papiery i ustanowiwszy straż wojskową u wejścia do lokalu, a w kilka godzin potem już podane było do powszechnej wiadomości rozwiązanie Rady narodowej i zakaz odbywania posiedzeń w jakimkolwiek innym prywatnym lokalu pod surową odpowiedzialnością właścicieli domów i lokatorów, ułatwiających takie posiedzenia.

Opinia całego Lwowa, nie wyłączając i opinii zgromadzonych we Lwowie deputatów stanowych, została tym czynem hr. Stadionia tak podniecona, jak gdyby to był zamach, wymierzony przez obalony formalnie, ale jeszcze niezupełnie zgnieciony system absolutny, nie przeciw samemu tylko towarzystwu popularnemu, jakim była Rada narodowa, lecz zarazem przeciw wszystkim zdobyciom konstytucyjnym ostatniej doby. To też w poczuciu swojej spotęgowanej wskutek tego siły moralnej Rada narodowa, nie uginając się przed surowym zakazem gubernatora, który na domiar zamieszania zaraz po tym wysiłku energii, wpadł napowrót w nastrój hamletowski i nie był w stanie przy groźbie swojej wytrwać, odbyła posiedzenie w domu prywatnym. Zjawił się na niem także, świeżo z Wiednia do Lwowa przybyły, członek deputacji galicyjskiej do cesarza wysłany, biskup przemyski ks. Wierchlejski; a oprócz niego wielu innych wybitnych wysłanników z kraju. Było to posiedzenie niezwykle uroczyste, wprost tryumfalne. „Rada narodowa — tak posiedzenie to przedstawia jej protokół — w chwili, gdy nad nią zawisła ciężarna chmura zaciekleści dawnego systemu

absolutnego, grożąc gromami, w uroczystym spokoju do obrady zasiadłszy, rosła w potęgę i siłę, bo ze wszystkich stron kraju przystępowali wysłannicy. Przemawiał wiarą widok w Radzie członków duchowieństwa, mających na czele świętobliwego biskupa Przemyskiego. Przemówili wyrazem miłości właściciele ziemscy, gdy około godziny 12 tłumnie przybyli do izby obrad i głosem braterstwa z serc płynącym zawołali: „Niemasz niezgody! Widzimy, że Rada narodowa ma opinię publiczną, że ją ku sobie jakby w jedno ognisko zgarnęła, że jest wyrazem woli narodu. A zatem my, zebrani na wezwanie gubernatora na sejm formy dawnej, postulatowej, uznając, że ten jako sejm stanowy, gdyśmy orzekli w adresach i podaniach do tronu braterstwo w narodzie całym, miejsca nie ma, przystępujemy do Rady narodowej, wzywając, aby przypuściła nas do udziału w pracach, dla dobra ojczyzny przedsięwziętych. Rada narodowa przyjęła równie z uczuciem braterstwa, które jest jej hasłem, oświadczenie właścicieli ziemskich i zaprosiła ich, aby, wybrawszy bez zwłoki z pomiędzy swego, do 200 osób liczącego, grona kilkunastu do Rady narodowej, tychże Radzie narodowej przedstawiła. I w myśl tego 20 wybranych z grona właścicieli ziemskich przedstawiono i przez Radę narodową jednogłośnie przyjęto“.

Był to już faktyczny akt abdykacji sejmu stanowego na rzecz prądu konstytucyjnego. Zaraz potem nastąpiło niejako sformułowanie tej abdykacji. Tegoż dnia (25 kwietnia 1848) bowiem gubernator hr. Stadion otrzymał „od obywateli na sejm do Lwowa wezwanych“ dwa pisma z przeszło 90 podpisami, mianowicie „adres“ i „protestacyę.“ Adres, stanowiący historyczny już teraz akt abdykacji Stanów, tak opiewa: „Excellencyo! Niżej podpisani obywatele, właściciele dóbr wraz z duchowieństwem i delegowanymi od obwodów i miast na sejm wezwani, dzieląc to przekonanie, że Sejm postulatowy jako instytucya systemu absolutnego już w skutek najwyższego patentu z dnia 16 marca b.r., którym Najj. Pan wszystkim swoim ludom swobody konstytucyjne, na narodowości oparte, najuroczyściej zapewnił, za nieistniejący uważany być powinien, oświadczamy niniejszem, iż na sejmie obecnie ani być, ani żadnej czynności jako sejm przedsiębrać za upoważnionych się nie uważamy.“

Drugi akt, wręczony równocześnie gubernatorowi hr. Stadinowi, „protestacya“, również przeszło 90 podpisami opatrzona, zwraca się przeciw podniesionemu ze strony rządu zarzutowi, jakoby Rada narodowa w sposób terroryczny wpłynęła na zerwanie sejmu. „Przeciw wszelkim fałszywym wieściom—mówi ta protestacya—o wpływie Rady narodowej lub pojedynczych jej członków na niedojście zwołanego sejmu niniejszą protestacyę w ręce Waszej Excellencyi składamy,

czego najmocniejszym dowodem ta okoliczność, żeśmy zgodnie z Radą narodową złączyli się, takową uznać pragniemy i w tym celu z grona naszego dwadziestu obywateli wybrali, którzy Radę narodową wzmoćnić mają”.

Hr. Stadion odpowiedział na ten akt w sposób, który po poprzednim tak drastycznym wystąpieniu przeciw Radzie narodowej nazwać można niespodzianką. Nietylko bowiem nie spełnił groźby, wyrażonej w urzędowym obwieszczeniu na wypadek, gdyby Rada narodowa dalej zbierać się miała na posiedzenia, lecz nadto, jakby dla jaknajdobitniejszego zaznaczenia, że zarzucone mu z okazji zwołania sejmku stanowego reakcyjne aspiracye są mu wstrętne „uczynił — jak ogłosił ówczesny organ urzędowy z 2 maja 1848 — krok w przywieźdzeniu do skutku już dawno powziętego planu otoczenia się mężami, którzy przez inteligencyę i zacność charakteru posiadają publiczne zaufanie i na nie zasługują”, dla doradczych funkcyi a nawet dla inicjatywy w sprawach krajowych. Tę radę przyboczną (*Beirath*) chciał hr. Stadion wyposażyć atrybucyami, które wśród ówczesnych stosunków nazwać można znacznemi, a które w każdym razie świadczą o dobrych intencyach twórcy. Oświadczył bowiem hr. Stadion, że — tak opiewa dalej ów komunikat urzędowy z 2 maja 1848 — radę przyboczną ciągle będzie zawiadamiał o wszystkich ważnych sprawach i mających się wydać rozporządzeniach, że wyrzeczone na posiedzeniach zdania z zastrzeżeniem odczytania i podpisania na przyszłym posiedzeniu protokółów będą natychmiast podawane do wiadomości publicznej, że pojedynczym członkom wolno wnosić mocye i że gdy po jakiej debacie większość oświadczy się za uchwałę, do której gubernator uzna za rzecz stosowną nie przystąpić, zdanie rady przybocznej, jeżeli tego zażąda, należy przedłożyć ministrowi spraw wewnętrznych, jednakże bez ujmy dla rozporządzeń, które gubernator prowizorycznie wyda. Pierwszy porządek dzienny rady przybocznej zdawał się dobrze wróżyć o działalności nowej instytucyi. Obejmował bowiem sprawy wówczas najważniejsze w zakresie administracyi publicznej, mianowicie: Uregulowanie stosunków kameralnych, zaprowadzenie pierwszych instancyi, szkoły i środki utrzymania kredytu w kraju. Mniej szczęśliwym był hr. Stadion w wyborze członków zaimprovizowanego parlamenciku swojego. Weszli bowiem w skład rady przybocznej z polskiej strony mężowie wprawdzie dzielni, jak Agenor hr. Gołuchowski, Maurycy hr. Dzieduszycki, Kazimierz hr. Stadnicki, Karol Jabłonowski, Aleksander hr. Krasicki, Gwałbert Pawlikowski i inni; ale były to same żywiły umiarkowane, najwięcej umiarkowane w tej dobie, więc już z tego powodu pozbawione popularności w zburzonej wypadkami opinii publicznej. Była-by ona niezawodnie więcej cenila ustępstwa hr. Sta-

diona i wstrzymała się od powitania rady przyboocznej szyderstwem, gdyby w jej skład obok tych żywiołów umiarkowanych powołani byli także bodaj w nierównym stosunku reprezentanci przemagającego kierunku. A nie brakło pewnie w tym ołozie osobistości, w których popularność łączyła się z dojrzałą rozważą i wielkiem znawstwem spraw krajowych. Jeżeli już za skrajnym wydał się gabinetowi Aleksander hr. Fredro, to mógł np. przez powołanie Leona ks. Sapiehy wpłynąć korzystnie na opinię. Natomiast ze strony ruskiej powołał hr. Stadion w skład rady przyboocznej nie umiarkowane i pojedyncze żywioły, lecz właśnie tych, którzy w historii Galicyi zapisani są jako skrajni inicjatorowie separatystycznego ruchu świętojurskiego (kanonicy Michał Kuziemski, który potem był ostatnim unickim biskupem chełmskim, i Michał Malinowski). To też potem już na zawsze sprzęgła się w tradycjach politycznej tej doby pamięć Stadionowskiej rady przyboocznej z tą ciężką plagą wewnętrzną, jaką po dziś dzień stanowi stronnictwo, żyjące tradycjami inicjatorów ruchu świętojurskiego z czasów Stadionowskich ¹⁾.

Ale na wszystkie takie połowiczne reakcyje polityczne, jak rada przybooczna, a nawet rozszerzony sejm stanowy, pora była już spóźniona. W Wiedniu bowiem zerwał się taki huragan rewolucyjny, że pod nim dwór cesarski uchodzić musiał i ukryć się w stolicy wiernego Tyrolu (w Innsbrucku), dokąd także, cichaczem, w całym tego słowa znaczeniu, podążył w pierwszych dniach czerwca gubernator galicyjski, Franciszek hr. Stadion, wezwany do objęcia teki ministeryjalnej po przywróceniu porządku, a na razie do udziału w naradach nad sposobami przywrócenia porządku. Ale w tych naradach na dworze w Innsbrucku już wtedy wysłaniał się plan reakcyi wojskowej a z nim i program rządów absolutnych. Tej zmianie historycznej torował drogę radykalizm wiedeński, pogłębiając w gorączkowo przyspieszonym tempie przepaść między stolicą państwa a dworem. W przepaść tę w kilka miesięcy później stoczyć się miała cała konstytuanta austriacka ze wszystkimi aspiracyami i nadziejami konstytucyjnymi, które odżyły miały dopiero w dwanaście lat później po takich katastrofach wojennych, jak Magenta i Solferino, i pod firmą polityczną jednego z wybitniejszych członków ostatniego galicyjskiego sejmiku stanowego, pod firmą Agenona hr. Gołuchowskiego, jako twórcy dyplomu październikowego z r. 1860.

¹⁾ Dr. Bronisław Łoziński: Agenor hr. Gołuchowski (j. w. str. 125—194).

*

*

*

Dobiegliśmy do najdalszej granicy, jaką nam temat tej pracy zakresłał. Poza tę granicę już tylko krok jeden zrobić można bez obawy, że się wkroczy na teren wykluczonej tutaj z gry polityki. Zrobimy ten krok, nawiązując epilog Stanów galicyjskich do prologu autonomicznego sejmiku galicyjskiego, abdykację Stanów galicyjskich w kastowo-politycznej roli—do inauguracji ery konstytucyjnej w Galicyi. Kiedy po dwunastu latach od daty tej abdykacji Galicya przystępowała do wyboru pierwszego sejmiku autonomicznego, epigonowie dawnych Stanów stali jeszcze na widowni publicznej, a ówczesne pokolenie szlachty galicyjskiej, przystępujące do konstytucyjnie rozszerzonej akcji publicznej, liczyło w gronie jeszcze wielu działaczy z lat 1846—1848, którzy wnieśli do pracy cały bogaty zapas doświadczeń, rozczarowań i ostrzeżeń politycznych z niedawnej przeszłości. To też silne ogniwo tradycyi sprzęga obie te doby. To samo pokolenie, które abdykowało ze swojej kastowo-politycznej roli na rzecz idei konstytucyjnej, przykładą ręki do jej wcielenia i utrwalenia, a czyni to rozumnie i z wielkiem powodzeniem, jak świadczy cała dotychczasowa rola posłów polskich z Galicyi na wiedeńskiej widowni parlamentowej od pierwszej aż do dzisiejszej Rady państwa. To samo pokolenie, które w latach 1842—1845 żyło w pięknych planach i marzeniach o uwłaszczeniu włościan, rozpoczyna, mimo bolesnych rozczarowań, zgotowanych mu przez dawną biurokracyę austryacką, nowy okres konstytucyjno-obywatelskiej pracy od solennego na pierwszym zaraz sejmiku złożonego oświadczenia, że uważa pańszczyznę za niepowrotnie już przebytą przeszłość i wiąże niejako z tem oświadczeniem pracę nad podniesieniem oświaty ludowej, pracę pełną trudu i ofiarności, a uwięcnioną po upływie jednej ćwierci wieku rezultatem wprost wspaniałym, bo takim rozwojem szkolnictwa ludowego, o jakim na schyłku pierwszej połowy XIX wieku nawet idealisci z pewnością nie myśleli.

Ale kończymy, bo do dalszych refleksji w tej mierze, które już koniecznie musiały by się łączyć w dzisiejszem życiu politycznem Galicyi niemal z bieżącymi wypadkami, autor nie mógłby otrzymać głosu w piśmie naukowem nietylko z tytułu, lecz także i z treści swojej.

DR. BRONISŁAW ŁOZIŃSKI.

Śladem tęsknoty.

P O W I E Ś Ć.

Dnia 13 kwietnia.

Przez kilka dni nie opuszczałem pokoju.

Nie lubię drugim wchodzić w drogę, ani zabierać im słońca. Wolę ustąpić w chłodny cień, choć zimno mi, niżli współzawodniczyć o kilka promieni. Sam wystarczę sobie. Zresztą rozgrzałem się pracą. W takim usposobieniu, w jakim dziś jestem, tworzę zwykle najlepiej. Zapominam łatwo o tem, co bolało, i chętnie wstępuję w głąb siebie samego.

Rzuciłem na papier pierwsze ustępy mojego poematu. Cisza smutku weszła do mojego schludnego mieszkania, cisza zaległa we mnie, i cisza unosi się nad wstępnymi strofami utworu. Takim miał być początek i takim jest. Cokolwiek bądź bolesną rzeczą było dla mnie, dało mi nastrój potrzebny.

Tak więc nareszcie zacząłem tworzyć. Uroczystość to wielka dla mnie. Nikogo to pewnie nie będzie później obchodziło, co, jak i kiedy powstawało. Nikt tego nie będzie rozpamiętywał, że pierwsze rymy to wielki dzień, to poświęcenie kamienia węgielnego gmachu, który ma rość. Na świecie wylegają tłumy, dostojnicy, chorągwie, padają słowa, witając fundamenta przyszłego budynku, cisną się wszyscy, cisną się robotnicy, odświętnie wystrojeni, dźwięki orkiestry roznoszą wieść dokoła. O powstawaniu dzieła sztuki mało kto wie, a pierwsze słowa kupią się obok siebie wśród ciszy.

Uroczystość dziś wielka u mnie. Zaplószy ręce na głowie, uśmiecham się do tych pierwszych ćwiartek papieru, pokreślonych czarnymi kreskami.

1) Patrz zeszyt sierpniowy, str. 236.

Urosłem w dumę. Niema dziś dla mnie nic tak wielkiego, abym na wspomnienie o tem żywiej lub wolniej chodził, niż chodzę po moim małym pokoiku. Nic mnie nie nęci tak silną rozkoszą, żebym przestał wzruszać się mojami marzeniami.

Możny jestem, jak młody król, co po raz pierwszy włożył złotą koronę na skronie. Wszak i do mnie uśmiechają się moi poddani i czolobitność mi oddają. Książki tłumnie wyglądają z półek, przystrojone w różnobarwne sukienki, obrazy pozajmowały balkony moich ścian, nawet słońce pada mi przez okno pod nogi i rozściela świetlisty kobierzec. Każdy mój krok jest śledzony. Gdziekolwiek się zwrócę, wszędzie ktoś patrzy na mnie. Albo broń zawieszona połyskuje żelaznym bokiem, albo budzik głośno odlicza mi godziny, albo lampa wyczyszczonem szkłem przypomina się mojej pamięci.

Słodka samotności! Ty jedna byłaś powiernicą moich myśli i moich wzruszeń; ty jedna wiesz, jak kochać umiem i jak cichy jestem. Tobie też pozostaną dłużnym mimo wszystko, co może nadejść. Zawsze znajdę godziny i dnie, aby przestawać i gwarzyć z tobą — słodka samotności.

Dnia 18 kwietnia.

Spotkałem się na ulicy z Jankiem Dorębą. Wracał właśnie od Palewskiego. Dowiedziałem się od niego wielu nowin. Panna Tecia, jak dawniej, tak i teraz, bywa u chorego. Palewskiemu polepszyło się. Nie miał już dość dawno krwotoku. Może wyjedzie do Meranu. Przyjechał jego ojciec — poczciwy, siwowłosy wiarus. Z jego przybyciem wszystko poweselało. Palewski opowiadał im szkic swojej nowej sztuki. Jemu, Dorębie, zdaje się, że Palewski ma większy talent do komedyi, niż do dramatu, bo śmieli się wszyscy z niektórych dowcipnych „kawałów”. Ale lepiej już, żeby dramat pisał. Śmiech jest tylko dla tych dobry, co za dużo jedzą.

Słuchałem tych wieści, jak człowiek, który przybył z za granicy. Te imiona, te sprawy, miały dla mnie urok świeżości.

— Lecz co ty robisz? — zagadnął mię nakoniec.

— Ja? nic. Skrobię trochę piórem.

— Zawsze w tym samym gołębniku, na górze?

— Zawsze. Gdzie jednak idziemy?

— Cóż to? Nie poznajesz ulic? Dziś mamy poniedziałek. Nie sobie nie przypominasz? Herbatka u panniny Teci! Chodź — nagadasz się trochę. A nie będziesz gadał, to się nasłuchasz. A jak i to nie, to wypijesz gdzie w kącie filizankę herbaty. Chodź, chodź!

Zabrał mnie z sobą. Nie myślałem się opierać. Szedłem obok niego trochę smutny, trochę ciekawy. Tecią—Palewskimi—mój poemat—to wszystko snuło mi się po głowie. Czasem na chwilę przysmykałem oczy. Widziałem wtenczas jej sylwetkę poza czerwoną osłoną powiek. Żał mi jej było, sam nie wiem dlaczego.

Gwarno i pełno już było w obydwu pokojach. Każdy siedział, gdzie mógł. Witałem się po kolei ze wszystkimi. Panna Osocka wybiegła do drugiego pokoju. Po chwili Tecią wyszła z nią razem stamtąd. Podała mi rękę. Patrzała we mnie przez chwilę dłuższą. Niepewność wisiała w jej oczach niebieskich. Nie mogłem jednak jakoś zdobyć się na żadne słowo, aby rozwiać jej niepokój. Przeciwnie, smutniej mi było jeszcze.

— Dobrze, że pan przyszedł. Mamy tak dużo do pomówienia z sobą—odezwała się do mnie.—Widzi pan, gwarno u nas. Ale tak nie jest zawsze — dodała uśmiechając się — i u nas bywa także smutno.

Chciała mnie rozbroić. Udałem jednak, że nie rozumiem jej delikatnych przymówek.

— To źle—zauważyłem głośno—jeśli tylko czasem bywa tak rojno. Młodym paniom potrzeba wiru, tłumy.

Nie odpowiedziała mi na to ani słowa. Odeszła do tych, którzy ją wzywali. Przez jakiś czas błąkałem się między rozmawiającymi, szukając miejsca najwygodniejszego dla siebie. Wreszcie wtuliłem się między szafę i kanapę, zdobywszy niskie krzesło. Nikt nie zważał na mnie. Tem lepiej mogłem patrzeć i słuchać.

Najgłośniej rozmawiano pod oknem. Nikt inny nie rozmawia tak namiętnie, jak Kamocki i Natalka Waśniewska. Nazywają ją genialną. Ma czoło przesłicznie zbudowane, szerokie, gładkie, jak szyba, znikające w lekkich zagięciach pod bujnemi włosami. Drobnego wzrostu, zaniedbana trochę w ubraniu, przypomina chłopca, który usta czerwone powalał trochę wiśniami. A co za czupurność u tej dziewczyny! jakie niezmordowane we wszystkim „a niech tam“! Jaki połysk dużych, szarych oczu!

— Co tam panna Natalia mi mówi—preczył jej Kamocki—mam swoje zdanie, oparte na obserwacji bezpośredniej, na obserwacji niemal dotykanej. Kto raz powie „tak“, choćby przyszło mu paść, nie powinien odstąpić od tego. W tem kryje się całe nasze niedołęstwo—mówił coraz bardziej rozgoryczonym głosem, giestykując wskazującym palcem, przed którym najbliższej stojący cofali się instynktowo,—w tem przyczyna, że nie mamy ludzi zasad.

— Przesadzasz.

— Gadasz, byle gadać.

— Cicho wiara!

— Palec sobie wytkniesz,—ten i ów zauważył.

— Tak jest, nie cofnę ani słowa, choć-bym was wszystkich miał przeciwko sobie!

— Ale zapewniam pana, że pan nie ma nikogo, ani za sobą, ani przeciw sobie,—przekładała uporczywie Natałka.

— Jak? co?

— Zaraz się dowiemy. Pan zaklinał się na jakąś obserwację dotykálną—przerywała mu, mówiąc szybko i błyskając drobnymi zębami z poza śmiejących się warg.—Niechże pan nam powie zatem raz wreszcie, czy pan ma narzeczoną, czy nie? Słuchajcie! słuchajcie!—błagała z błyszczącymi oczyma, poruszając wszystkich dokoła, aby zwrócić tem silniej ich uwagę.—Mów pan, mów pan!—prosiła, splatając ręce jak do modlitwy.

— Pograży się — niskim basem odezwał się z kąta Korczak. Śmiech wtórował jego słowom.

— Jak? co?—Kamocki rzucił suchym głosem.

— Cicho—błagała Natałka—bo gotów jeszcze nie nie powiedzieć.

— No nie masz, co tu dużo gadać—ten sam głos mówił jakby z pod ziemi.

— A tak, a nie mam. Nie jestem gołowąsem, ani podlotkiem, abym wciąż...

— To jak pan mógł „dotykać się“ narzeczonej? jak pan mógł twierdzić, że „tak“, powiedziane w jakiejś desperackiej chwili, ma już prowadzić prosto do ołtarza? Jak pan mógł o takich rzeczach wyrokować? o tem, co to jest narzeczeństwo?—zasypywała go Natałka cięciami.—Iść za pierwszego lepszego chłystka, dlatego, że się „tak“ powiedziało?

— Lub żenić się z pierwszą lepszą gęsią! — wtrącił namiętnie obraźliwy Zatora, szarpiąc zarost czarny i bujny. Nosił na palcu pierścionek.

— Wszystko jedno—odpowiedziała Waśniewska żywo — i one i oni są głupi. Nie, nigdy! zerwać! zerwać, jeśli poznałyśmy kogoś, co jest lepszy. Pan się żeń—dokuczała Kamockiemu—z pierwszym z brzoza gładko uczesany warkoczem.

— Głupi - by był—przerwał nieprześlągany już niczem Zatora, —ożeni się z taką obciętowłosą, jak pani.

— Nie mów pan nic, bo już pan i tak porósł, jak puszcza, włosami. Jeszcze panu język porośnie—odcięła się Natałka.

Kamocki, który milezał, zbierając myśli, przygotował już widać pocisk bo przestępował z nogi na nogę.

— To pani — pytał jej cedząc słowa — zaręczy się najpierw z Wojtkiem, aby potem wyszukać Rafaela i móż zerwać? Jak? co? Zaśmiano się chórem.

— Jest tu jaki Wojtuś?— wołano— albo Rafael?

— Są, są—zapewniał zgryźliwy Zatora.—Starczą do wyboru dla panny Waśniewskiej.

— Pan, pan—ze łzami złości w oczach wołała urywanym głosem Natałka, pan jest!.. Co pan tak przestępuje z nogi na nogę? depcze pan kapustę?

— Z narzeczoną—ktoś dodał z tyłu.

— Jak? co?

— Kto wreszcie ma słuszość po swojej stronie?—zapytał z kąta Korczak spokojnym basem.

— Panno Teci! panno Teci!— wołano.

Przyszła uśmiechnięta. Wiedziała, o co rzecz idzie.

— Co pani sądzi o tem?

— Nikt inny tylko panna Natałka ma słuszość.

— Zaraz, aha! Kamocki!

— Co wy wszyscy wiecie.

— Cicho.

— Niech się zaręczą z sobą.

— Któż tam taki mądry?

— Silentium, panie i panowie.

— Nikt nie ma słuszości—mówiono ze wszystkich stron.

— Mnie się zdaje — odpowiedziała Teci czystym głosem — że zerwać nigdy nie można. Można się zapomnieć tylko. Pewnie, że źle jest tak, lecz i tak bywa.

— Herbata gotowa—oznajmiła panna Osocka.

Stróżka wniosła buchający białą parą samowar. Uciszyło się.

— Proszę niech każdy pamięta o swojej filizance—ostrzegła nas panna Helka—bo inaczej będzie pił ze spodka.—Śmiała się cicho, pochylona nad talerzem, na którym układała mięsiwa.

Ruszono jej na pomoc. Jedni krajali bułki, chleb, drudzy, nie żałując masła, uzbrajali kromki w szynkę. Ci ustawiali szklanki i filizanki, pożyczone od sąsiadki, owi roznosili gorącą herbatę. Najzwinniej krzątały się panie.

Tylko Natałka zachmurzona usiadła blisko mnie w kącie. Patrzyła gniewnie po pokoju. Pod krótko strzyżoną czupryną przysięgała zapewne zemstę Kamockiemu. Mówił o tem dym papierosa, puszczany przez nią umyślnie w stronę przeciwnika. Ale Kamocki zapomniał już o sprzeczce. Ręką przywiewał ku sobie dym papierosa, bardziej jeszcze złoścąc tem Natałkę.

— Pan-by nawet nad kominem oddychał — rzuciła mu szybko słumionym głosem.

— Gdyby pani paliła w tym kominie, zawsze.

Spojrzała na mnie, czy nie będę jej ratował. Anim myślał. Westchnęła, wstała i z odwróconą twarzą poszła w głąb pokoju. Po chwili wróciła i z najzabawniejszą w świecie miną podała mu filizankę herbaty i dwie bułki naładowane mięsiwem.

— Pogadamy jeszcze ze sobą—zapewniała go spokojnym głosem, jakby nic między nimi nie zaszło.

— Chętnie—odparł—ilekroć takie bułki będę miał przed sobą. —Chrupanie głośnie potwierdziło jego słowa.

Coraz rojniej i gwarniej było w obu pokojach. Przez okno otwarte wpadało świeże, wiosenne powietrze, zabierając dym papierosów. Nad dachami sąsiednich kamienic widniały kawałki błękitnej nocy. Latarnia gazowa zaglądała z ulicy do pokoju wydłużonym płomieniem, wzmacniając światło lamp, które już dawno paliły się w mieszkaniu, na wywyższonych miejscach.

Dzielono się na gromadki, kółka, pary. Samotników było kilku. Ruch nie pozwalał myśleć. Zewsząd dolatywały akcenty jędrnych, młodych głosów, śmiechy, uwagi, dowcipy. Ktoś nucił w kącie półgłosem. Zamyśliłem się.

— Pan nigdy nie pamięta o sobie.

— To pani, panno Teciu?—pytałem zdziwiony, podnosząc głowę i patrząc jej w oczy.

— Herbata dla pana. Proszę. Ja sama nalewałam.

— Dziękuję, dziękuję. Doprawdy, pani trzudzi się dla mnie.

— Tak to bywa. Dla niepocziwych zawsze więcej się trzudzimy —mówiła podając mi szklankę.

Cheiałem jej powiedzieć to, co mimowoli biegło mi na usta, lecz umknęła ozywiona, wesola. Dotychezas nie zwracałem na nią uwagi. Przesunęła się kilkanaście razy koło mnie, zawsze jednak ze smutkiem w oczach, mimo rozchylonych do uśmiechu ust. Odtąd dźwięczał mi wciąż jej głos. Słyszałem, jak rozdawała bury zasłużone i niezasłużone, jak śmiano się, jak silono na dowcipy, lub dziękowano jej.

Patrzałem i coraz mocniej przekonywałem się o tem, że tłum młodych ludzi, co usługiwał jej, lub prosił o herbatę, lubi ją, a może przepada za nią. Nie widziałem, aby kogokolwiek wyróżniała. Dla wszystkich była jedna i ta sama, dobra, łagodna, wesola. Coś jednak pociągało do niej.

Czy to to samo, co mnie roiło się po głowie?

— Cóż tak macisz herbatę, a nie pijesz—zagadnął mię Doręba—patrzysz, co? podoba ci się?

— Kto?—zapytałem krótko, nie mając ochoty do rozmowy.

— Ty myślisz, że ty tylko jeden, a więcej nikt nie widzi. Mądryś—mówił dobrodusznie, patrząc na mnie z pod oka. Dlaczego jesteś taki zimny dla niej, dyabli wiedzą. Udajesz przed nami? Leci na ciebie, nie widzisz tego? Panna niczego. Możesz być szczęśliwy. Przecież to aż uderza, jak ona cię wszędzie wyróżnia.

— Śni ci się, czy co?—powiedziałem, aby coś powiedzieć.

— Mądryś! ho ho! po literacku bierzesz się do niej. Bodajś tak był zdrów, jak tędy trafisz do domu. Ale może ty naprawdę nie widzisz? co? tak? Nie gadasz? no to siedź ze swoją herbatą—mruknął i odszedł zły, wchodząc komuś nieuważnie na nogę.

Zostałem znowu sam, ze swojemi myślami. Dziwną rzeczą zdawało mi się, że drudzy dostrzegali coś więcej ode mnie. Ale to pewnie przywidziało się Dorębie. Choć, co prawda, miałem nieraz dowody, że umiał patrzeć. Zawstydział mię często swojemi spostrzeżeniami.

Czyby tak jednak być mogło? Napewne zbyt szybko wnioskowałem. Zresztą co to mię mogło obchodzić. Wolałem słuchać muzyki, niż zatapiać się w dociekaniach.

Polonez czwarty Chopina! przepyszne dźwięki. Można zamknąć oczy i zapomnieć przy nich o wszystkim. Lubię ten czarujący potęgą hymn, w którym dusza męska w głębokich, pełnych tonach wypowiada swoją moc. Co za akcenta gwałtowne, odpychające każdą myśl płochą, każde za słodkie rozmarzenie! Co za tęsknota rozpierająca pierś za czemś, co zmiennem jest i niezmiernem, i nieugiętem, jak morze. Zdaje mi się, że widzę duże, błękitne oczy męskie zapatrzone we wszechświat i głowę o ustach do miłości stworzonych, silną i wyszlachetnioną—jak płyną w mgławicy i zawieruszel

Polonez Chopina! Część pierwsza.—Cisza w obydwu pokojach. Tacia słucha, słucha pilniej od wszystkich. Widać, że ten, który gra, czuje jej obecność, więc mu pierś mocniej opada, ręce głębiej biorą akordy, tętno duszy potężniej splywa po palcach na rozpięte struny. Rozdzwierał się instrument potęgą, co oddech ukraca i mimowolne łyzy ciśnie do źrenic. Część druga. Jak ona umie słuchać. Lecz czy słucha tak, dla tego, iż wie, że ją widzę, i że wywiera wrażenie? Jak słucha!

Zamknąłem oczy. Przebrzmiały ostatnie dźwięki. Rozmowa ożywiła się na nowo. Głuszyła inne wygrywane utwory, przypominała rzeczywistość. Spokojny, basowy głos Korczaka opanowywał wszystko.

— To rzeczą pewną jest—mówił—że kierowanie życiem publicznem nie należy do młodzieży. Nie chcę powiedzieć przez to, abyśmy obojętni byli na to, co się dzieje koło nas. Owszem, chciał-bym, aby każdy młody już z wczesnym przysłuchiwał się sprawom ogólnym. Przemawiał-bym nawet za urządzeniami spartańskimi, pod warunkiem, że młodzi będą milczeli, tak, jak milczeli u Lacedomończyków.

— Góra z górą się nie zejdzie—uderzył na niego Kalicki, pochrzakując,—ale Korczak zawsze z nepotyzmem politycznym. Ho, ho! co za doświadczenie! można-by przysiąc, że deklamuje ex cathedra! Wsteczne zachcianki i koniec! Nie mam nic więcej do powiedzenia!

— Jak? co? ale ja mam—wpadł z docinkami Kamocki.—My mamy wyrzec się swoich zasad?

— Spokojnie, spokojnie—uciszał go Korczak.

— Jak? co? o tem nie można spokojnie mówić.

Natalka, która rwała się do mówienia, pobudzała go z tyłu, szarpiąc go za rękaw.

— Moje zdanie podzielają wszyscy—wołał.

— Wszyscy, tak, tak—wyrwała się z za niego.

— Niech społeczeństwo wie, że nie toniemy w sobkowstwie.

— Musi! cała Europa!—domawiała młoda entuzyastka.

— Takie zdania, jakie wy głosicie, kolego—zwrócił się ktoś do Korczaka—zabijają w młodzieży uczucie!

— Brawo! brawo!—ten i ów zawołał.

— Materyalista!—rzucił Zatora namiętnie przez głowy drugich w stronę Korczaka.

A ten, górując wzrostem, jak górował głosem, założył ręce na piersiach i, korzystając z chwilowego milczenia, mówił znowu:

— Odpowiedzcie mi na jedno tylko. Jak sądzicie? kto więcej od da usług ogółowi, czy ten, kto, jak wy, nieprzygotowany...

— Jak? co? nieprzygotowany?!

— Nie przerywaj kolega!—zburczał ktoś z tyłu Kamockiego.

— Tak, nieprzygotowany. Bo życie dzisiejszego społeczeństwa zbyt jest złożone, aby je można rozwiązywać li tylko entuzjazmem. —Otóż, czy ten, kto nieprzygotowany rzuci się w wir życia,—wszak o to idzie wam najwięcej,—czy też ten, kto pracuje najpierw nad gromadzeniem treści, przygotowuje pole do działania i wreszcie wystąpi, kiedy i umysł uprawił i uczuciu nałożył wędzidła? kto? odpowiedzcie.

— Brawo, brawo!

— Postępowy reakcyonizm!—krzyknął ode drzwi Zatora i wypadł, trzaskając drzwiami.

.

— Martwe ciele ogonem—ktoś zawołał za nim przez okno.

— Posłuchajcie tego, co ja wam powiem—wtrącił ironicznie Tarsza. Siadł do pianina i zaczął grać szalonego mazura aż ściany drżały—tańczcie! reakcja z radykalizmem w pierwszą parę!

— Bodajś się w pedał zamienił! — huknął mu nad uchem Kamocki.

Potem cała gromada rozpalonych wywołaną dyskusją, nie mogąc się słyszeć wzajemnie, przeniosła się do drugiego pokoju. Tymczasem Janek Doręba uprzątnął szybko krzesła, pchnął stół pod ścianę i puścił się z panną Osocką w mazura.

— Kiedy ja nie tańczę—broniła się, śmiejąc się cicho.—Nie kupiłam sobie okularów, to utknę gdzie jeszcze.

— To nic, byle hulać!—i już zawijał nią hołubca.

Uciekając przed nimi, zbliżyła się do mnie Tecia. Podałem jej krzesło. Przez chwilę patrzyliśmy na zarumienioną tańcem Helkę i na Dorębę, niewyczerpanego w komicznych ruchach.

— Cóż pan tak dziś osamotniony?—zagadnęła mię wreszcie zniżonym głosem.

— Patrzę i napatrzeć się nie mogę, więc milczę — odpowiedziałem.

— Więc i na mnie pan patrzy, a mówić to panu nie wolno?

— Sam nie wiem dlaczego. Mam chwile. Ale to już minęło, odkąd gubię oczy za—nowym urokiem.

— Jak to dobrze—mówiła.—Niech pan tylko pilnie patrzy, niech pan długo patrzy—a—

— A nie zasłużę na gniew?—pytałem ożywiony. Wywierała na mnie urok, jak ta noc, która szła nad miastem.

— Nie wiem, nie wiem—przekomarzała się.

— Lecz—mimo chęci chłodno zauważyłem—pomyślałem, że Pałewski żyje.

Spojrzała mi w oczy. Pobladła trochę, lecz rzekła spokojnie:

— Dla tych, co cierpią, trzeba trochę cierpieć.—Oczy jej błędziły smutne po pokoju.

Zdumiałem się. Czyż miała na myśli tamtego? Czyż odgadła przyczynę tej nagłej zmiany we mnie? Miałaż—by taką intuicyę?

— Prawda, że tak? — pytała mię znowu. Patrzała mi w oczy. Widziałem, jak źrenice jej nabierały blasku, jak pustota zakradała się w kąty ust.

— Pan nie? proszę się uśmiechnąć. Tak, jeszcze trochę. Mnie trzeba słuchać. A tak, a tak, bo inaczej ukarzę.

— Teci! Teci! panno Teci! — wołały głosy męskie i kobiece, z drugiego pokoju, śpiewamy! prosimy do pomocy.

Wstałem zupełnie inny, jakby po świeżej kąpieli. Szedłem za nią, nie chcąc jej tracić z oczu. Strojono już głosy. Napominano się wzajemnie. Teci zręcznie przesunęła się między młodzieżą i weszła w koło.

— Zaczynamy — wołano.

— Panie niech dobrze wyciągają.

— A ty tam nie fałszuj.

— Ho, ho! co za troska! pilnuj lepiej własnych klawiszy.

— Tenor, chodź tu tenor.

— Ten to wciąż pije i je.

— Cicho.

— Czego chcecie? Płucze głos.

— Cicho.

Chór zaczął nucić.

Ktoś psyknął na mnie z pierwszego pokoju. To był Doręba. Sam był. Wszyscy skupili się dokoła śpiewających. On zaś klęczał na ziemi i szukał czegoś koło drzwi.

— Chodź no — wołał na mnie — patrz! postawił przede mną dwa małe kalosze. — Upadła mi na ziemię spinka. Szukałem jej i to znalazłem w dodatku. Patrz! jakie małe nożęta. Widzisz litery? Nikt nie ma takich małych kaloszy.

— Ale o co ci chodzi? — pytałem.

— Mądryś. To jej kalosze, jej, Teci. Boże! co za nożęta. Gdybym był na twojem miejscu, to nie wiem, alebym pewnie nie włożył się tutaj, jak sopla lodu. Co za śliczne nożęta!

Wstał i przypatrywał się im z lubością smakosza. Zaczynałem go rozumieć.

— No wiesz co? — odezwał się do mnie. — Z przeproszeniem jesteś dureń. Gdybym był tobą, a ktoś tak, jak ja teraz, śmiały-by się przypatrywać łakomie kaloszom panny Teci, to bym go w kark trzasnął.

Odszedł, nie patrząc już na mnie. Wmieszał się w chór, choć nie śpiewał.

Rozkołysała się pieśń i przez otwarte okna płynęła na pustą, szeroką ulicę, szukając dróg i serc cudzych... Przemierzałem kroka-

mi przez jakiś czas pusty pierwszy pokój. Widziałem ją w tłumie. Szukała mię oczyma. Kiedy mrużyłem powieki, widziałem wszędzie te duże, słodkie, niebieskie oczy...

Stanałem w oknie. Cisza wielka szła ciemną ulicą, mijając dom nasz pełen dźwięcznych głosów. Na ciemny błękit wysunęły się gwiazdy z mglistych, porwanych osłon.

A pieśń wypłynęła falami na królestwo nocy. Unosiła się wzdłuż wysokich domów, świecących dołem szarym połyskiem, czerniejących górą.— „Od Warszawy do Krakowa, wszędzie droga jest gotowa, choć chłodno i głodno, żyjem sobie swobodno, choć chłodno i głodno, żyjem sobie swobodno...”

Patrzałem w nocne mroki. Słyszałem pieśni. Niebieskie oczy majaczyły mi w dali.

Dnia 20 kwietnia.

Cisza na salach Towarzystwa Sztuk Pięknych. Godzina popołudniowa. O tym czasie mało kto zagląda na wystawę. Najlepsza to jednak pora dla tych, którzy chcą poddać się wrażeniom obrazu, tak, jak poddają się wrażeniom czytanego utworu. Traci się, co prawda, na sile światła, ale zyskuje na samotności. Wszystko nabiera bardziej uroczystego tonu. Fale ludzi przepływające uniosły za sobą pospolitą i czczą, dorywczą wrażeń i niemoc ich, pozostawiły wolną przestrzeń i ciszę, która wypływa ze wszystkich kryjówek i zalega wszędzie, pożądana i upragniona.

Dziś miałem zejść się tutaj z Tecią. Było poco iść i było co podziwiać. Wystawiono „Błędne koło“ Malczewskiego. Nie raz już dumałem przed tem przepyszmem płótnem. I teraz szedłem z myślą, że będę miał chwilę rozkoszy estetycznej i że nie będę sam.

Znalazłem Tecię w ostatniej sali. Oglądała rozwieszzone drobne malowidła.

— Pani tu—zagadnałem, witając ją.

— Tak, stopniuję wrażenia, jak pan widzi.

— Jakto? nie zatrzymała się pani przed obrazem Malczewskiego?

— Zamknęłam oczy, aby nic nie dojrzeć.

— Dlaczego?

— Bo—mówiła uśmiechając się prześlicznie, nie chciałam pozabawiać pana tej przyjemności, że będziemy razem podziwiali „Błędne koło“ i dzielili się pierwszymi wrażeniami.

Po ustach miało mi już przebiec „niestety“, lecz nie. Wolałem zataić prawdę. Za cudnie było jej do twarzy z tą prostotą i z tą samowiedzą, że staje mi się drogą, żebym miał odwagę wywołać inny wyraz na jej obliczu. Idąc, aby widzieć się z nią, bałem się jej ureku, choć tęskniłem za nim, teraz tych kilka słów zapadło mi w duszę, jak światła. Mocniej krew biła mi w skroniach. Czulem, że mówię głosem głębszym, świeższym.

— Jesteśmy prawie sami. Zostawiono płótna i zakłete w nich piękno dla nas wyłącznie. Słyszysz pani echo moich słów? Pusto. Nikt nawet nie będzie nam zazdrościł, a i mnie nikt.

— Cicho. Pan tak głośno mówi.

— To nie ja. To cisza roznosi słowa moje. Czy pani nie obawia się jej? Wszak słucha nas tak pilnie?

— Nie.

— A gdyby brakło ścian tym salom i ona szła niepowstrzymana w dal ze słowami naszych ust, czyby pani.

— Nie wiem. Nie chcę nic o tem wiedzieć. Wszystko może być, byłem ja nie wiedziała. Skąd panu przychodzą do głowy takie myśli—pytała z niepokojem.—Jest nas tu dwoje pośród piękna. Bądźmy sobą, sobą, dobrze? Dlaczego mamy wciąż myśleć o drugich? prawda?

— Tak, tak. Piękno i nas dwoje. Szkoda, że to nie galerie starożytnych mistrzów. Tam wszystko wydaje się trochę inne, zupełnie inne. Wieje od nich chłód wieków, a ten zbliża ludzi do siebie.

Przystanąła.

— Tak, przeszłość zbliża—odpowiedziała mi—ale i rozdziela.

Co jej jest? skąd te nagłe przeskoki od wesołości do smutku? Czy boi się czego? Czy o czem pamięta? Łudzę się może, lecz zdaje mi się, że tylko wtenczas jest sobą, kiedy zapomina się. Co jej jest?

Szła przez jakiś czas wolnym krokiem, nic nie mówiąc. Po chwili jednak ożywiła się znowu.

— Co do mnie, to wolę wszystko nasze—rzekła.—Tu jest mi dobrze, swojsko. Jeżeli znajduję piękno, podziwiam. Jeśli coś jest słabe, ganię. Nie lubię sztywnej surowości. Zresztą nic, teraz nic, nic. Mogę nawet kiedyindziej mieć zupełnie inne zdanie. Dziś mam takie.

— A to coś nowego—zauważyłem, zapatrzony w grę jej mieniących się oczu.—Trzeba strzedz się pani.

— Dopiero dziś dowiaduje się pan o tem? tak późno? A tak, kapryśna jestem. Lubię, albo nie lubię. Płaczę, albo się śmieję. Pamiętam, albo zapominam, wszystko! wszystko!

— Co za oskarżenie!

— Dlaczego pan mię dręczy? Jestem, jaką jestem. Czy nie tak?

— Dzisiaj chyba nie—odpowiedziałem, śmiejąc się.

— Tak—posmutniała—to może prawda.

— Nie, nie. Niech pani każe mi rozcierać farby dla pierwszego lepszego malarza szyldów, a niech mi pani nie smutnieje. Jestem nieznośny, straszny, lecz przyrzekam poprawę.

— A na długo?—pytała, podając mi rękę.

Szukałem wyrazu. Zbladłem na myśl, że powiem za dużo. Milczałem przeto, lecz oczom nie mogłem zabronić patrzeć! Śmiała się, cofając palce z moich dłoni, lecz pod światło widziałem, jak ciemniała jej twarz i czoło.

Poszliśmy przed „Błędne koło“. I w tej sali było już pusto. W pewnem oddaleniu nawprost płótna ustawiono wiśniową kanapkę. Usiedliśmy, nie mówiąc nic do siebie. Przed nami stało dzieło mistrza.

Rozlane, pospolite farby na deskach podłogi. Porzucone patrony. Stara drabina malarska na środku sali stercząca pod sufit. Chłopiec młody, skulony na najwyższym szczeblu. Zapomniał o wszystkim.

Musiał mieć już nieraz takie chwile. Musiał już nieraz zaprzeć się oczyma w świat wyobraźni. Może już przeczuł samego siebie, przeczuł, że mu trzeba będzie rzucić służbę czeladnika, patrony zamienić na płótno i być twórcą.

Moc widać w nim ducha. Sny, mary, to, co mu tłukło się w pierśiach i płakało, co dławilo gardło, choć ręki nie widział, to, co wypatrzył i czego zaznał, nędza i rozkosz, bunt i beznadzieja, co jego myślą było, a i czynem, co drugim życiem było, a i tragedią, szal, upojenie, kajdany i śmierć, wszystko zalane światłem, rażące kolorami, rozbastwieniem, śmiechem, wszystko inne stępione cieniem, wyblakłe i brudne, krew w twarzach i krew ran, chaos szczęścia, chaos cierpień: to wszystko wyrывało się z komórek jego wyobraźni, roztaczało swoje bogactwo i swoją rozpaczliwą nędzę, i poszło w wir dokoła drabiny, dokoła niego, jego stóp, jego źrenic.

Moc w nim ducha...

I Tekla uległa wrażeniu. Oddychała głęboko. Zamykała chwilami oczy. Ręce splotła i trochę pochylona patrzała. Przyglądała się szczególoom, co chwila obejmując wzrokiem całe malowidło.

Cisza była zupełna. Tylko z ostatniej sali dochodziło głuche echo czyichś kroków.

— Więc takim doprawdy było-by życie artysty?—zagadnęła mię wreszcie stłumionym głosem.

— Tak, innem nie jest—odpowiedziałem.—Kto patrzeć umie, dojrzy ten łańcuch, w którym rozkosz i ból nie jest ani początkiem, ani końcem. Jedno z drugim się wiąże. Wszystko jest tu, czem człowiek jest, lub czem może być. Jedno szczęście więcej, jedno mniej, nic tu nie znaczy. Nie ten dziś, to tamten cierpi.

— Więc-by szczęście i nieszczęście miały być jedną i tą samą siłą?—pytała.

— Tak, tylkodla nas różną, bo ją mierzymy natężeniem nerwów. Zniżyłem głos. Chciałem ująć coś z siły moim słowom. Zbyt byłem wzruszony pod wrażeniem i obrazu, i Teci.

— Gdyby módz zdobyć się na jakąś najwyższą filozofię życia—mówiłem dalej—gdyby módz wynieść się poza naszą klatkę fizyczną z całą samowiedzą rzeczy, to chyba już nic nie zakłóciło-by nam spokoju. Pokazało-by się może, że życie to różne stany, które muszą być, które jednak ani groźne, ani błogosławione nie są. Pokazało-by się, że słońca i pogoda dadzą się przenieść w nasze życie psychiczne z tą samą wartością, jaką przywiązujemy do nich, jako do zjawisk. Wtenczas stawali-byśmy może w oknie naszej duszy i mówili-byśmy: oto deszcz pada na łąki naszych uczuć, oto pożar w perzynę obraca las naszych nadziei i prawd, oto poranne słońce wejrzało na łany naszej pracy. Nie tracilibyśmy nigdy równowagi, nieby nie mogło nami wstrząsnąć, prócz—śmierci.

— To było-by doprawdy wielkie—rzekła mimowoli. Oczy jej błyszczwały zapałem.

— Tak-by było, gdybyśmy nie byli ludźmi.

— A przecież ten chłopiec na drabinie — zauważyła — zdaje się panować nad tą całą burzą zmieszanych wrażeń, które gnają w jego wyobraźni i targają mu duszę.

— On jest twórcą. Cierpi i cieszy się razem, nie zapominając o tem, że jest sobą. To przywilej jego talentu.

— Szczęśliwy. Zazdroszczę mu i panu zazdroszczę także. Nie mam talentu. Jestem tylko człowiekiem—jestem dziewczyną. Wy możecie uciec od własnego nieszczęścia, zamknąć za sobą owo okno duszy i żyć dla tego czegoś, co pozostaje po was na zawsze. A ja — mówiła z żalem — nie mam nic. Im dalej patrzę przed siebie, tem bardziej nie mam nic. Może miałam, teraz nie mam nic, nic.

— Coś więcej może, — przerwałem milczenie, — niżli pani sądzi. Nie dość być twórcą, trzeba... — zawahałem się, ważąc w myśli, czy mogę dalej mówić.

— Co, proszę? — pytała mię.

— Trzeba jeszcze zbudzić swą duszę, trzeba mieć czyjeś ręce na skroniach, kiedy gorączka je pali — odważyłem się powiedzieć — słyszeć czyjs głos, kiedy się pada z wysiłku, trzeba oprzeć duszę swoją o duszę drugą.

Zamilkłem. Teczka zamknęła oczy. Krew napływała jej do powiek. Usta wilgotne poczerwieniały bardziej, strzegąc słów, któreby chciały wybiedz poza wargi. Słuchała, a bała się słuchać. Niepokój przebiegał po rysach jej twarzy. Była chwila, kiedy przeraziłem się, że otworzy oczy, wstanie i odejdzie. Nie otworzyła ich jednak. Nie miała sił, albo za mało woli. Pozostała. W kątach jej ust błąkało się coś, jak uśmiech. Słuchała.

Patrzałem na nią, na tę kształtną głowę o włosach złotych, tłoczących się na wiśniowym aksamitnym obiciu, na te zamknięte powieki o długich rzęsach, które kryły niebieskie oczy, jak liście kryją kwiaty niezabudki, na tę twarz o delikatnej cerze, cichą jakąś i smutną, a taką dobrą; patrzałem i oczu nie mogłem oderwać.

Przede mną wielkie płótno z mieszaniną blasku i kontrastu cieni, ze szczęściem i bólem życia, przy mnie ona, jak jakiś blask. i jak jakieś szczęście. Nie wiedziałem, czy mówić, czy milczeć.

Zacząłem mówić.

— Najtrudniej znaleźć własną drogę. Niepewnym jest się zawsze, czy idziemy dobrze. Tyle pracy ma człowiek przed sobą. Tak wiele chciało-by się zrobić. Jeden krok nieuważny, a wszystko może potoczyć się na bezdroża.

Brakowało mi tchu. Coś dusiło mię w gardle. Musiałem odetchnąć głęboko, aby nie poznała, że głos rwał mi się, i że miał dźwięk głuchy. Przyszedłem do siebie.

— To pewną jest jednak — odezwałem się znowu — że kto mocniejszym jest, isć może śmieiej. A mocą naszą jest to, w co wierzymy. Mocą jest światło, w którym pograżyliśmy oczy nasze i z którego pijemy słodycz ulgi. Mocą jest ten ktoś, co towarzyszy wysiłkom naszym, co prostuje pokrzywione pióra lotów, co nie opuszcza nigdy. Szczęśliwy zaś ten, kto nim być może, szczęśliwy i cudotwórczy jest, jak to słońce, które towarzyszy wysiłkom ziemi i podtrzymuje jej moc swoim ciepłem i światłem...

Oddychała głęboko. Pobladało jej czoło, uśmiechały się usta. Opuściła ręce białe na karminowy aksamit siedzenia — słuchała z zamkniętymi oczyma.

— Dumnym jest — mówiłem dalej przejęty — kto ma siły, by tworzyć. Dumnym, kto te siły budzi i kto je wspiera. Nic większego nie ma nad powiązanie tych dwóch odmiennych promieni. Taka droga nie jest zawodna. Ma swoje strażę i swój dzień. Jak drogim mu-

si być wypoczynek i jak pięknym zachód dla takich dusz wędrownych.

Brakło mi głosu. Zacisnąłem usta. Bałem się własnego wzruszenia. Wtulilem się w głąb kanapy, nie mówiąc.

A ona podniosła powieki. Łzy miała w oczach, jasne, duże. Patrzała przed siebie, w obraz, w to „Błędne koło“. Wir nędzarzy i więźniów, tłum pijanych szczęściem i pijanych rozpaczą, wir mocarzy ducha i zbrodni, bezwstydu i lęku, rozbestwionego życia i zastygłej śmierci szalał koło stóp młodego chłopca. Mocne blaski szły od płótna i wrażały się w siatkówkę oczu, jak ból wżera się w pierś.

Zwróciła do mnie głowę.

— Widzi pan — rzekła — błędne koło życia. Unosi wszystko ze sobą, wszystko.

Opuściła głowę. Ból miała na ustach.

Dwa 23 kwietnia.

I znowu zaszedłem dziś do niej.

Deszcz wiosenny rozpadał się na dobre. Mył bruki ulic i chodniki, dzwonił po szybach, przelewał się przez rynny, wilgocią zaciągał parkany i mury kamienic obrócone na zachód, stukał po obnażonych, czerwonych konarach drzew, chwilami słabł, lecz z silniejszym powiewem wiatru nanowo przypadał do ziemi i szumiał, i pluskał.

Co za rozkoszna wilgoć! Chciało-by się pić ją ustami i przemyć nią oczy, bo nie dość nią oddychać. Człowiek czuje ją, że z nią razem przybywa mu siła i rzeźwość.

Ciekący parasol postawiłem przede drzwiami. Zapukałem, wszedłem. W pierwszym pokoju nie znalazłem nikogo. Za to w drugim słychać było śmiechy i ożywioną rozmowę. Zdjąłem zarzutkę.

— Kto tam? — zawołała Teczka.

— A któżby, jeśli nie pan Dorycki — mówiła panna Osocka.

— Prawda, że to nie pan, panie Krzysztofie? — pytała mię rozweselona Teczka, uchylając drzwi. — Jaki? to pan doprawdy? Cóż robić. Musimy nieszczęśliwie przyjąć pana i nie gniewać się.

Patrzała na mnie trochę zawadyacko. Drobne, białe jej zęby błyskały z poza rozchylonych warg.

— A ja byłbym takim Kafrem — odpowiedziałem, że nie wyszedlbym, choćby mię nawet pani skazała na lody obojętności.

— A odkąd to takie prawo dopominania się u mnie o względy? co?—uderzyła na mnie, naśladując w głosie dziecko, mrużąc gniewnie oczy.

— Czy ja coś takiego powiedziałem?—broniłem się.—Zresztą względami cieszy się u pani cały świat, jak u królowej angielskiej, więc i ja może.

— Helka, słyszysz? obrażona jestem. Za karę daj panu Krzysztofowi książkę do czytania i pożycz mu swego krótkiego wzroku. Będzie brodą poprawiał druk w książce. A tak.

Zachmurzona wróciła do swego pokoju, rozkazującym ruchem palca wzywając mnie potajemnie, abym wszedł za nią.

Wszedłem.

— A pan tu po co?—zapytała mię, odwróciwszy się nagle.

— Aby pani dokuczyć.

Wybuchnęła śmiechem wesołym, udając co chwila zagniewaną. Napróżno.

— A w takim razie—rzekła—będzie pan dzielił naszą dolę i niedolę. Krajemy suknie. Tu jest moja materya, tu jest Helki. Ma pan nożyczki. Proszę siadać. Tu są formy. Od czego pan zacznie? od której materyi?

— Od panny Teci.

— Tak? a to ślicznie. Umie pan krajać, czy pan nie umie?

— Nie umiem, ale się nauczę.

— Ślicznie! to pan chce uczyć się na moim batyście, psuć go, pokrajać cudacko? a Helce to już pan skroi tak, jak trzeba? Dobrze, że wiem o tem. Niech się pan pastwi nade mną. Ale ja za to będę pana oprowadzać wszędzie, wszędzie, w tej sukni koślawej, którą pan mi skraje, po koncertach, teatrach, plantacyach. A to dopiero będzie zemsta. Kraj pan.

— Cóż ja? mnie nikt o nic nie posądzi. Wiedzą wszyscy, że studuję, co mi się nawinie pod rękę. A że tam pani będzie miała stanik wcięty wyżej łokci, to powiedzą tylko, że pewnie mam zamiar pisać komedję.

— Tećka, Tećka—śmiała się cicho panna Osocka.—Ty w komedyi, w staniku wciętym wyżej łokci. Jaki ten pan Dorycki niepoczciwy.

A ona tymczasem patrzyła na mnie swojemi niebieskimi oczyma, mrużąc je najpierw, a potem otwierając powoli coraz mocniej, aż były, jak dwa duże ogrodowe bławatki. Dziwiły się mojej strasznej zdradzie, lecz słowa wymówki, bez obrony. Potem, jak zabijane jagnię, zamknęła je, tylko po rysach twarzy przebiegał chwilami niepokój

pokonywanego śmiechu. To była największa dla mnie kara, na jaką mogła się zdobyć.

Im dłuższe było nasze milczenie, im dłużej szukałem wyjścia i słowa pierwszego, które mi zawsze uciekało wtenczas z pamięci, kiedy układałem dalsze, tem ona uporczywiej przymykała powiekami oczy. Zły już byłem na siebie, choć wiedziałem, że bawi się tym moim kłopotem, lecz taka to już moja natura. Chciałem prosić pannę Osocką o pomoc, ale i na niej się zawiodłem.

— Pan Krzysztof—zdradziła mi przed Tecią—ma minę adwokata, który przegrał proces o spadek. Chce się odwołać do mojej sprawiedliwości. Prośba odrzucona.

Przypomniałem sobie, że Helka miała ojca sędzią, gdzieś w Królestwie.

Tecia położyła drobny palec na ustach i nakazała milczenie.

Tak dłużej trwać nie mogło. Siedziałem, jak na torturach. Patrzałem mimowoli po całym pokoju, czy coś przypadkiem nie nasunie mi myśli ocalenia. Nic, nic. Kocięta drapiące się po ścianach nad jej biurkiem, śmiały się ze mnie, a jeden był nawet z miny do niej podobny. Po szybach spływały ciemne krople deszczu. Panna Osocka uśmiechnęła się, jak matka, kiedy dziecko robi niepotrzebnie psotę starszemu bratu. Byłem sam. Wiedziałem, że nikt mi nie pomoże, że nie zagadam tego zajścia, ani nic nie zrobię udawaniem zucha. Na przekór mnie mogła oczu zupełnie nie otworzyć.

Wahałem się długo, wreszcie, jak mogłem najpokorniej, zapytałem:

— Czy mi wolno przeprosić?

I o to trzeba było się starać.

— Można—usłyszałem w odpowiedzi.

— A zatem skazuję pana—rzekła uroczyście panna Osocka—na całowanie obydwu rąk.

Co za rozkoszna kara. Wdzięczny postanowiłem być jej na całe życie.

— Nie, nie—bronila się Tecia, zakładając w tył ręce.

— Wyrok najwyższego trybunału nieodwoalnym jest.

Białe rączęta wysunęły się z za krzesła. Podniosłem je do ust i całowałem. Niebieskie duże oczy otworzyły się. Było w nich tyle dobroci i obawy razem.

— Skazany poniósł dostateczną karę—zawyrokowała jeszcze raz panna Helena.

Tecia cofnęła powoli palce z moich dłoni. Ciepło szło z nich. Przez chwilę nie zdawałam sobie sprawy, co stało się ze mną. Siedziałem. Kiedy spojrzałem na nią, dostrzegłem ostatnie ślady nagłego

rumieńca, który, uciekając przed bladością, zbiegł szybko z twarzy i tylko jeszcze po skroniach i skrętach drobnych uszu uchodził skryć się pod cień złotawych włosów. Zmieszałem się. Nie wiedziałem co mówić.

— Będziemy krajały— rzekła Tecia.—A pan co?

Mówiła spokojnie. O tem, co było, mieliśmy widać zapomnieć. Panna Helka wzięła igłę i nitkę, popatrzała na nas z uśmiechem i takim wzrokiem, jakim się patrzy na pogodzone dzieci, i poszła coś szyć pod okno.

— Pan nie może próżnować—zapewniała dalej Tecia, potrząsając głową;—my obie pracujemy, trzeba żeby i pan coś robił.

— To już gotów jestem czytać—zgadzałem się—byle nie notatki z wykładów, które tu widzę rozłożone. To pewnie nie ciekawe.

— Nie bardzo—westchnęła pod oknem panna Osocka.

— Todobrze, wykładownie—uspokajała mię Tecia.—Skracałyśmy sobie pracę, czytając na przemian. Ale teraz co? Prawda. Przyniosłam Tetmajera. Jest. Niech pan czyta. Tylko pięknie. A my będziemy słuchały.

Nie znałem tego tomu. Wyszedł co dopiero z druku. Kartki były nieprzecięte. Tecia pewnie nie miała go jeszcze w ręce.

Przewracałem powoli kartki. Częściej niż w tomik, zwracałem mój zwrok na Tecię. Sledziłem każdy jej krok, ruch ust, kiedy mówiła i oczu. Miałem poezję w ręce i poezję w duszy.

Nie wiedziałem dotychczas i dziś dopiero przekonałem się o tem, że można patrzeć na kobiety i nic nie mówić, a jednak mówić tak dużo. Ile razy skrzyżowały się nasze spojrzenia, zdawało mi się, że widzę wydłużoną falę światła, która na mgnienie oka łączy nasze źrenice. Nie dostrzegałem w takich chwilach zapatrzenia się nic więcej tylko jej twarz, jakby we mgle, włosy złotawe nad czołem, oczy i usta. A ona nuciła jakąś piosnkę, wesola, uśmiechnięta.

Kiedy mi zaś dawała do zrozumienia, że za długo milczymy, i że to może się wydać dziwną rzeczą pannie Helenie, przewracałem znowu kartki tomiku, lecz z zamkniętymi oczyma, aby na ciemnym tle wyobraźni wytłoczyć sobie na zawsze jej jasną głowę. Widzę ją też do tej chwili tak wyraźnie i czysto, że staje między mną a przedmiotami i osobami, z którymi rozmawiam.

— Pan uczy się na pamięć—zauważyła panna Osocka.

— Nie, nie—odpowiadała za mnie Tecia—za silne posądzenie. To tak plusk deszczu usypia pana Krzysztofa.

Prawda, deszcz padał. Wciąż szumiął i gwarzył za oknem. Przypomniałem sobie, że mam czytać. Oczy moje padały na otworzo-

na stronę książki. „Muszla“ widniał tytuł. To ma być rzecz niepospolitej piękności. Tak mi mówiono.

Zacząłem czytać cichym, spokojnym głosem.

„Niewielka stara muszla na mym stole leży. Jest to jeden z mych skarbów, choć warta tak mało. Nie wiem, z jakiego morza pochodzi wybrzeży, ni jak dawno jej morze szumieć już przestało“.

„Odkąd siebie i muszlę tę pamiętam starą, ilekroć tylko spojrzę na nią razy: owiane jakąś smętną, głęboką mgłą szarą, stają mi przed oczyma dawnych lat obrazy...“

Im dalej czytałem, tem coraz bardziej słyszałem muzykę rzewną tych zwrotek. Tacia usiadła naprzeciw mnie, zaśluchana, marząca. Od okna nie dochodził mnie już szelest z trudem przeciąganej igły. Pewnie i panna Osocka opuściła ręce i dumiała.

Deszcz szumiał na polu. Padały krople, a jak te krople padały zwrotki. Opuszczała się na nasze głowy melancholia poety, wkradała się niepostrzeżenie w duszę i snuła się koło rzęs.

Jak ten utwór, szły za nim inne, zawsze dziwnie smutne, tęskne. Były to słowa człowieka, który może kochał, lecz kochać przestał, człowieka, który pamięta czar uczuć i przypomina sobie każdą ich najdrobniejszą tkankę. Lecz wśród nich były także słowa szczęścia, rzadkie, takie rzadkie, jak rzadkiem jest słońce zimowe, lecz jak za to nieskazitelnie piękne! Zdawało mi się chwilami, że płyną mi wprost z duszy, i że ja jestem tym, który je stwarza. I coraz silniej pamiętałem o tem, że Tacia mię słucha. Niepokój rozkoszy brał mi głowę w dłonie swoje i podnosił mi oczy na nią cichą.

Czytałem „Kocham cię światło! na moje źrenice zlewasz się falą“, a potem „Pójdziemy razem na gięte przełęczce oblękitnionych gór nad morską tonią“.—Tak czytałem. Zdawało mi się jednak chwilami, że złożę książkę i będę mówił sam.

Zrozumiała pewnie blask moich oczu, bo położyła palec na ustach i popatrzała w stronę panny Helki. Obejrzałem się. Panna Osocka słuchała, zapatrzona w połyskujący rześystemi kroplami deszcz.

Trochę smutny zacząłem czytać następny utwór. Lecz z każdą nową zwrotką radość napływała mi do głowy, śmiały mi się usta, pogłębiał się oddech. Czytałem.

„A kiedy będziesz moją żoną, umiłowaną, poślubioną, wówczas się ogród nam otworzy, ogród świetlisty, pelen zorzy.“

„Rozwonią nam się kwietne sady, pachnąć nam będą winograpy, i róże śliczne, i powoje całować będą włosy twoje.“

„Gałązki ku nam zwisać będą, narcyzy piąć się srebrną grzędą i padnie biały kwiat lipowy na rozkochane nasze głowy.

„Pójdziemy cisi, zamyśleni, wśród złotych przymgień i promieni, pójdziemy w ogród pełen zorzy, kędy drzewi miłość nam otworzy.“

Zamknąłem książkę. Teczka siedziała nieruchomo na krześle. Patrzała na mnie zamysłona temi samymi błędnymi oczyma. Ale na dnie tych oczu mieniły się światła i pociemniała ich oprawa. Uporczywy uśmiech błąkał się po jej czerwonych ustach. Brakowało mi słów, aby mówić. I ona milczała.

— Dzieci nic nie powiedzą? — odezwała się po chwili panna Osocka. Szmer z trudem przeciąganej igły dolatywał na nowo od okna.

— Panie Krzysztofie! proszę mówić — rzekła do mnie Teczka, rozplatając ręce. — Albo niech pan nic nie mówi — dorzuciła żywiej, wstając z krzesła. — Tak będzie lepiej, nie prawdaż?

Nucąc, szukała po pokoju czegoś, czego pewnie nie zgubiła. Zgrabna była, jak młoda kotka. Wybiegła do pierwszego pokoju. Za chwilę wpadła z powrotem, śmiejąc się, rzuciła się na Helkę i zaczęła ją gwałtownie całować.

— Tećka, Tećka, co robisz? — bronila się panna Osocka. — Nie dam ci już czytać poezji. Zobaczysz.

— Przecież to pan Krzysztof czyta.

— Ty i pan Krzysztof to wszystko jedno. Idź, idź. Żebym miała okulary, tobyś mi zabiła je dziesięć razy.

— A kiedy tak, kiedy ja i pan Krzysztof — wołała zarumieniona Teczka — to wszystko jedno, to ja, to my, na ciebie złożymy całą winę. Doskonale! Zgodzisz się? Prawda, że się zgodzisz? Jakaś ty dobra! jakaś ty dobra! — ukłękła i śmiejąc się całowała ją po rękach.

— Tećka! jaką winę? Tećka! bo ty wkrótce zaczniesz jeszcze poezye pisać.

— Ale nie sama! A ty będziesz temu winna!

Śpiewać zaczęła: — „Wlazł kotek na płotek i mruga; piękna to piosenka nie długa“, i tańczyć po pokoju. Panna Osocka z wyciągniętą do góry igłą patrzyła ze zdziwieniem na trzpiotowstwo Tećki, a ja oczy gubiłem za nią.

Deszcz wiosenny drzwoił po oknach, krople wieszały się na szybach, zaglądając ciekawie do wnętrza pokoju, wiatr rozhułał się.

— A teraz — stając nagle, zawołała Teczka — przygotuję wam herbatę. Pan Krzysztof, zdaje się, jest taki głodny, że już nawet mówić nie może.

Przebiegła koło mnie, jasnemi oczyma przecząc temu posądzeniu.

Urok rzuciła na mnie, urok wiosny.

Dniu 24 kwietnia.

Oszalałem.

Dość tych zachwyków. Zabawiam się jak pajac w trubadura. Dzień po dniu w gorączce. Ani jednego męskiego tonu. Same kwile-nia minnesängerowskie. Dość, dość tego.

Nie rozumiem siebie. Jak śmiałem choć na chwilę stracić równowagę, jak śmiałem kraść własnemu dziełu siły i czas? dać się podejść głupstwu i zniewieściałości? Brakowało jeszcze, żebym jak Faun stroił się w liście winogrodu i pod jej oknami nocował. Trzeba mi było antyczną gęśl wziąć do ręki, lub gitarę pięciostrunną, snuć się przed jej pałacem koszarowym i liczyć, ile razy zgasi świecę i znów ją zapali.

A to śmieszne. Bawiłem się w romantyka, w przewracanie oczu, zmiekczenie wiązań głosowych, w nastrojowe aktorstwo! I mnie to spotkało! mnie! sceptyka!

I cóż mnie to może obchodzić, że ona inna jest, niż pół tuzina drugich. Niech będzie sto razy inną. To nie przeistoczy rzeczy. Jest dziewczyną. Zacznie od filozofowania, zamiast od pogody, ale skończy, jak tamte, na kołowaciznie miłosnej.

I żeby jeszcze kiedy, ale teraz, kiedy zacząłem tworzyć!

Cała praca może iść w niwecz. Pióro wypada mi z ręki. Trzech słów skleić nie mogę. Teraz, kiedy mam cierpieć z tymi, którym daję mowę rymów, błąka mi się po mózgu mgła jej przekłętogo uroku, chce mi się rzucić wszystko i kleić plan szczęścia.

Tracę spokój. Tracę przedmiotowość. Paczy mi się to, com pomyślał dobrze.

Ma być to miłością, co mi jak pryzmat rozkłada jednokolorowy promień słońca na tęczowe barwy, to zaczernię to miejsce w duszy i wytnę. Sto miłości przejdzie mi jeszcze przez drogę. Lecz nie wiem, czy kiedykolwiek później zdobędę się na to samo dzieło.

Dość już majaczenia. Muszę wolnym być znowu. Tak by musi.

Dnia 30 kwietnia.

Odwiździłem Palewskiego.

Zmienił się nie do poznania. Leżał w łóżku, kiedy przyszedłem. Zdaje się, że od paru dni nie wstawał już zupełnie.

Nie pytałem go o to, ani nikogo z rodziny. Łatwiej zgadzamy

się z naszym położeniem, jeżeli nie o niem nie wiemy i nikt nam o niem nie mówi. Przypomnienie przeraża, uświadamia w nas to, co jest wprawdzie rzeczywistością, do której jednak przyzwyczailiśmy się już, i dla tego zatraciliśmy możność jej oceny.

Zastałem ojca przy nim. Siedział skulony na krześle naprzeciw niego, gotów na każde skinienie. Biedny. W jednym tygodniu utracił całą sprężystość ruchów i postawy.

Palewski leżał w łóżku, prawie że siedząc, oparty o wysoko ułożone poduszki. Dawniej jeszcze szukało się u niego ust, rysów twarzy. Teraz oczy nadmiernie duże ścigały ku sobie wzrok jak dwie błyszczące plamy rzucone na ciemne tło. Ubrany w białą, czystą bieliznę, wywierał przygnębiające wrażenie. Obraz jego zarysowywał się w mózgu ostro, z przenikliwym kontrastem barw.

Wyciągnął do mnie rękę na przywitanie. Była rozpalona.

— Spodziewałem się, że pan przyjdzie, — mówił do mnie, — czekałem na pana. To pan jest. Tak, to pan. Uspokoilem się zupełnie. Bo jak mam co na myśli, a to się nie spełni, nie mogę dać sobie rady.

— Z tobą zawsze tak było, — zauważył ojciec. — Żeby kto mógł mu wybić z głowy, ani rusz. Jak był mały, nazywaliśmy go kozłikiem. Przypominasz sobie, Bolku? A było to żywe, jak fryga. Teraz kwęka za karę. No, no, ale za to, jak odżyje, odpuść Panie Boże! — uśmiechał się pod wąsem. Może wierzył w to, co mówił.

— Żeby to tylko prędszej się skończyło, — odezwał się Palewski, — tracę za dużo czasu, a mam tyle na głowie różnych spraw. Pomyśl pan, — zwrócił się do mnie, — że w kwietniu ani jednego zdania nie rzuciłem na papier. Ot, notatki urosły, ale co to wszystko. Żeby tylko lato nadeszło. Czy ociepla się już na polu? Drzewa puszczają może liście?

— Idzie już do nas ciepło — zapewniał go ojciec — z wiatrem od Zachodu. Noce tylko są jeszcze chłodne, ale tak, to mamy już lato. Zobaczysz, Bolku, że za dwa, trzy tygodnie będziesz u ciotki na wsi. Będziesz wózkem wyjeżdżał do lasu na porębę i wylegiwał się w słońcu.

— Tak, tak. Rano będę zawsze pracował, po południu zaszyję się w las. Ale proszę was, mój tatko, mój panie Dorycki, przyspieszcie to lato. Ja już tak tęsknię za niem.

W tych jego słowach żart był zmieszany z jakąś ufnością dziecinną, że to jednak stać się może.

— A jakże! Ja to już codzień robię, — odpowiadał mu ojciec. — Co wyjdę na pole, to mówię: wyżej, wyżej, słońce! Bolek gniewa się, że się tak lenisz. Gotów cię opisać gdzie jeszcze na wieczne ukaranie.

Śmieliśmy się z nim razem.

— No, ale,—podniósł się z krzesła,—kiedy pan Dorycki jest taki dobry, że przyszedł cię odwiedzić, to ja pójdę na miasto po Bronię. Nie męcz się, pamiętaj. Przyniesiemy ci za to coś ładnego. Ucieszysz się. Będziesz widział.

Pożegnał się ze mną i wyszedł.

Palewski leżał przez chwilę nieruchomo, zapatrzony w błyszczące szyby okna. Pożółkle ręce splótł na niebieskiej kołdrze, odruchowo rozsuwając palce. Zdawało mi się przytem, że wyteżał uwagę, jak gdyby nasłuchiwał, czy kto nie idzie, a może, czy ojciec zeszedł już na dół. Usta trochę otwarł. Na lewym boku silniej się opierał. Potem opadł na poduszki, patrzył przytomniej, ręką przecierał czoło.

— Jak dobrze, że pan przyszedł, — zaczął mówić. — Nie znamy się zbyt dawno, ale zawsze. Ja, widzi pan, nie mam z kim pogadać. Ojciec, siostra — tak. Lecz im trudno ze wszystkiego się zwierzyć. Musiał-bym jasno się tłumaczyć. Mówię bardzo nieporządnie. Przeskakuję, cofam się. Kocham ich, to jednak tak jakoś dziwnie rozpowiadać im o tem, co myślę, lub jakbym chciał wziąć się do pracy. Panu dwa, trzy słowa wystarczą. Pan był u mnie już kilka razy. Prawda, żeśmy się już dosyć nagawędzili. Mnie było zawsze lepiej po rozmowie z panem. Czy pan także lubi tak dużo gadać, jak ja?

— Zdaje mi się,—odpowiedziałem,—że my wszyscy jesteśmy tacy. Ten i ów z nas milczy, kiedy mu się podoba, ale jak zejdzie na sprawy artystyczne...

— Molière przecież—podchwycił—wołał swoją kucharkę, kiedy nie miał kogo innego, i czytał jej komedye. Molière. Nie lubię go. Za suchy jest. Z jego osób wszystka krew uciekła, zanim jeszcze przyszły na świat. Chińskie cienie mówiące. Ciasny umysł. Nasze sztuki muszą być lepsze. Mam przepyszne rysy w moich notatkach. Moja choroba oplaci mi się sownie. Co kto nowy przyjdzie, to typ w typ. Mam już ideę.

— Wspominał mi coś o tem Doręba.

— To były tylko epizody drobne. Ale czy pan uwierzy, że zakochałem się na śmierć w kałamarzu? Boję się po prostu, aby mi go kto nie wziął z pod ręki. Musi zawsze stać na tym stoliku. Muszę go widzieć. Niech go kto ruszy, albo zaniesie na biurko, pisze coś, to omal, że nie wybucznę. Co to jest, nie mogę zdać sobie sprawy. Ale wiem. To jest chęć pisania. Tylko że nic nie robię.

— To dobrze, — rzekłem. — W naszym młodym wieku nieczynność jest konieczną. Przetrawi się lepiej to, co wpadło w głąb duszy. Jeżeli się jest wciąż w robocie, zatracą się powoli jasność widzenia. Błędnie koloryt. Wszystko zaczyna upodabniać się do siebie, mieszać. Powstają rzeczy jedne po drugich, ale niema w nich żadnego

odskoku, żadnej różnicy — jest tylko powierzchowna, w zewnętrznym naskórku.

— Wybornie pan wnioskuje. Ja też choć złoścę się na moje niedołęstwo, to jednak myślę sobie: dojrzejesz, dojrzejesz. Przyznam się nawet panu, że gdybym tak chciał wstać, gdybym się ubrał i wyszedł na ulicę, to to całe chorowanie odpadło-by ode mnie, jakby ręką odjął. Lenię się jednak, lenię się tak, że odbiega mię ochota zdobyć się na ten pierwszy wysilek.

Zamilkł. Wodził oczyma po ścianach. Uśmiechał się do myśli, które przelatywały mu po delikatnych tkankach zwojów mózgowych. Wkrótce jednak poruszył się żywiej na pościeli, przewrócił się na bok i opierając głowę na ręce, która znikła w bujnych włosach, patrzył we mnie rozmarzonym wzrokiem. Kilka razy zaczął mówić, lecz urwał. Nie nalegałem na niego, aby go nie męczył. Lecz kiedy zaczął rozpowiadać mi swoje pragnienia, nie zwracałem również jego uwagi na to, czy robi źle, czy dobrze, bo wiedziałem, że to do niczego nie prowadzi. Najmniejszy opór rozstrajał go zupełnie.

— Pan będzie śmiał się ze mnie, ale to nic, — odezwał się z tą zwykłą u niego, tęskną żartobliwością. — Widzi pan, że mną jest tak. Mnie, mówiąc prawdę, jest z tą chorobą dobrze — paliły mu się oczy blaskami cichej radości.

Udałem zdziwionego.

— A co, prawda? Że to awanturnicze wyznanie? Ale są przyczyny, dlaczego tak mówię. W tej właśnie chwili stały mi się tak jasne, jak nigdy. Czy pan uwierzy, że gdyby nie to moje chorowanie, to nie był-bym tem, czem jestem teraz? Tak, jestem czemś zupełnie różnym od tego, czem byłem. Bardzo dużo rzeczy zmieniło się, jestem teraz sto razy więcej wart, niż dawniej. Nappełniła mi się głowa i pierś. Pustkę czułem przedtem w sobie, i to taką, że w największym gwarze źle mi było. Pracowałem trochę. Przyznawano mi wielki talent. Lecz ja sam śmiałem się chwilami z nich wszystkich. Drwiłem z siebie. Teraz inaczej. Teraz poczynam czuć się silnym. Nikt nie wie, skąd taka we mnie przemiana. Nikt jej nawet nie dostrzegł, ale jest i jaka. Tamto wszystko poszło ode mnie precz. Wyrzuciłem śmietnik z mojej duszy. A czego tam nie było! Ja i niewinność? Ja i stateczność? wiara? zapał? Nic, nic z tego. Dusza moja — było to boisko, na którym wytłukiwałem nasiona chwastów i pokrzyw. Anarchia — zło i dobro pomieszały we mnie tak swoje wartości, że się mylił co do nich.

— Może tak było w części, — wtrąciłem, — lecz bardziej wierzę w to, że się pan rozwija. Trzeba się wznieść przynajmniej o jeden szczebel wyżej na drabinie etyki i umysłowości, aby mózdz ten niższy krytykować.

— Niech i tak będzie. Byłem może lepszy, niż powiedziałem. Ale zawsze byłem inny, inny. Nigdy dawniej nie płonęła mi głowa. Teraz na twarzy czuję często powiew dziwnych piór. To jakieś nieznane mi myśli, idee wydobywają się z kątów mojej czaszki i krążą nade mną, i cudnie mówią do mnie. Mam chwilę, że chciał-bym zerwać się.

Niespokojnie tarł ręką o rękę, podniósł się jeszcze wyżej na łóżku, przechylił się, ujął mnie za ramię i przyciągnął do siebie. Usiadłem tuż obok niego.

— Widział ją pan dzisiaj? — pytał mnie zniżonym głosem, patrząc mi natarczywie w oczy, — pan ją przecież widuje, pannę Tecię?

— Kilka dni temu — odpowiedziałem — widziałem ją przelotnie w czytelni.

— Czy mówiła kiedy z panem o mnie? Musiała mówić. Głupstwa gadam. Kobieta nigdy nic nie powie innemu mężczyźnie. A ona tembardziej. Znać ją trzeba. A jej właściwie nikt nie zna. Jest w niej kawałek Westalki, kawałek swobodnej Greczynki, kawałek nowej kobiety. Lecz to są strony, które widać, ale czem ona jest. Ha, ha! Kto to odgadnie. Pan? co? Ją można tylko wyczuwać, analizować się nie da. Wiem o tem dobrze, i jak wiem. Tecią — Tecią — dziecko bogate, jak przyroda. Kto ją chce wciągnąć w chemiczną formułkę, traci ją. Do niej trzeba się zbliżać, jak w śnie. Głupstwo rzeczywistość. Sen jest także rzeczywistością. Różnica w formie, nigdy w treści. Pozostaje się zawsze tym, który czuje. I tu kończy się dociekanie. Życie jest sumą wrażeń. Krótkie a szumne porobi tyle głupstw, co długie a wystudzone. Zdziała tyle pędem, co tamto ciąglem padaniem kropli. Wyzdrowiałem. Zatraciłem kołkowatość duszy. Nie, ja jej nigdy nie miałem. Ale coś tam z niej było. Teraz chciał-bym mocnego szumu, iść na deszcze, żeby smagały, na bicie śniegu w twarz, żeby piekł. O tak, do niej idzie się w śnie, jak na ten deszcz, jak na ten śnieg.

— Czasem tylko chciał-bym mieć chwilę odpoczynku wysłużoną, o miękkich dłoniach, o oczach takich przejrzystych, takich bardzo przejrzystych, jak lazurowe powietrze, o ustach zadumanych, mądrych — chwilę małą odpoczynku.

— Choć to nic. Można być twardym, jak żołnierz Czarnieckiego. Bić i bić, a wypoczywać bijąc. Takim muszę być. Ostrzę stal swojej duszy. Mnie teraz gwar, bój jest wszystkim. Daleko patrzeć po co? Widnokrąg nie ruszy się z miejsca, ani zbliży. Będzie stał, gdzie stał, choćym go widział. Bić, bo tylko przy robocie można pokazać, czem się jest, i wdrzeć się w duszę cudzą tak, że się ją posiędzie już na własność.

— Czy pan wiesz, co to znaczy posiadać duszę cudzą? Na to trzeba cierpieć, choć wszystko dogadza, czuć pustkę, choć tłum napie-

ra na nas, zagubić siebie samego. Przeszedłem to. Pomieniałem swoją wartość dawną na wartość nową. Zapatrzyłem się w duszę cudzą.

Urwał. Osunął się w głąb łóżka, uspokoił się. Głowę opuścił na poduszki, przechylił mocno w tył tak, że oczyma błędził po powale. Milczał. Ale to nie trwało długo. Widziałem, że ogarniało go wzruszenie. Zębami chwycił wargi, zaciskał szczęki. Poddał się nakoniec. Łzy występowały mu z oprawy źrenic dwie, jedna po drugiej. Dał im spływać spokojnie po skroniach na białą poszewkę poduszki.

— Kocham ją,— szeptał.—Tem tylko jestem, że kocham. Jest to coś, czego od siebie nie mogę odłączyć, coś, jak ten ból w piersiach, jak to czoło gorące.

Siedziałem wciśnięty pomiędzy poręczę krzesła, bojąc się odezwać choćby jednym słowem. Powinien był zapomnieć o mnie, że jestem przy nim, że słyszę. Później mógł-by żałować tego, że ktoś drugi spoufalił się z jego czujnie strzeżonemi uczuciami.

A on podniósł się znowu. Przyciągnął do siebie kolano pod kołdrą, objął je rękoma i tak siedział skulony.

— Nie mówiłem jej nic, — zaczął urywanym głosem, — lecz wie o wszystkim. Ale tylko wie. Musi teraz widzieć czyny — musi się dać zdobyć. Drogo ją trzeba kupić, wysiłkiem.

— Tak jednak będzie, — rzekł twardo, zwracając do mnie głowę. — Czekać musi, aby widzieć, że idę po kładce nad przepaścią. Przejdę i znajdę ją, lub kładka pęknie. Dla mnie niema wstecz drogi.

Słuchałem jego słów, jak słuchałem plusku zimnego strumienia. Coś ścigało mi w tył głowę i zaciskało usta. Nic mnie nie dziwiło, tylko miałem wrażenie, że chłodna wilgoć przenika mię i że mi trudno się poruszyć.

— Nie dam sobie kraść szczęścia — mówił dalej ochrypłym głosem! — Ona nikomu nie dała duszy. A tu idzie o życie. I ona to wie także. Będzie moją, musi być. Powiem jej to, kiedy już nią będzie. Byle jej nie płoszyć, byle jej nie płoszyć — i zdrowia, dużo zdrowia.

— Panie Dorycki — mówił twardo, chwytając mię za rękę i ścisnąc mocno — prawda, że wstanę wkrótce. Ja wiem, że wstanę. Ale muszę to słyszeć. Bo wy myślicie, że ja chory jestem na „śmierć.“ Tu w piersi boli trochę, ale jak lato przyjdzie, to minie. Nie, mnie już nawet teraz nic nie boli. Szukam ręką tego bólu, niema go, niema go. Osłabłem przez jej kochanie. Ale to przeszło, to przeszło. Mam siłę jeszcze straszna. Ojciec mój zdrów jest, siostra zdrowa. Nie pozwolicie mi umrzeć, dla jakiejś głupiej chrypki. Mam głos, przecie, próbuję go. Jest. Prawda, że silny. Mogę krzyczeć, łkać. Mnie nic nie brakuje. I myśleć mogę. Sto razy lepiej niż dawniej. Widzę, czuję. Ludzi poznaję, jak botanik zioła. Mogę im dać namię-

tności tysiąc razy większe niż mają, pootwierać im mózgi i serca. Wszystko, wszystko mogę. Więc muszę żyć, muszę silnie żyć! Tak, o tak, silnie, tak!—palce jego suche wpijały mi się w ciało. Oczy paliły mu się jak fosfor w ciemności, twarz wykrzywiła się, błyskając białymi zębami. Jakaś dzika myśl przelatowała mu po tęczęwce źrenic. Gwałtownym ruchem oderwałem mu rękę i cisnąc, zmusiłem go do opadnięcia na poduszki.

Zmrok był już dobry. Palewski dyszał.

Wszedł ojciec jego z Bronką. Zapalił świecę. Myślał, że niema nikogo przy chorym. Spostrzegł mię.

— To pan? Bolek śpi?—podszedł bliżej ze świecą. Palewski poruszył się na łóżku niespokojnie. Ty nie śpisz? Patrz, co ci przyniosła Broncia.

— Fiolki — szepnął chory — Bronka! Bronka! dla mnie kwiaty!—jakaś ty dobra! Więc ty chcesz naprawdę żebym nie umarł?

— Bolek!—krzyknęła.

Kwiatami posypał sobie głowę, przyciskał je do oczu i do ust.

Wyszedłem zgnębiony.

Dnia 2 maja.

Skończyło się wszystko. Niema już nic między nami. Otrząsnąłem się z pajęczyny, która chciała mi przytrzymać ręce i wolę. Było między nami to, co nie powinno było być. Ale wczas jeszcze spostrzegłem się. Będzie odtąd inaczej.

Ufałem za bardzo swojej zimnej krwi. Chciałem wypoczywać pod zielonemi akacyami, zasypianemi białem kwieciami, nie pomnąc na to, że zapach ich silny jest i usypia.

Stało się jednak. Nie cofnę godzin wstecz, ani zniszczę słów moich i jej. Zapadłem w sen letargiczny, z którego nicby mnie może nie wyrwało później. Zdrów jestem widać, skoro mimo to miałem jeszcze tyle siły, że sam pootwierałem okna i drzwi ducha mego i odżyłem w chłodnem powietrzu krytyki.

Musiałem z nią zerwać. Ostre cięcie przecina niebezpieczne wiązania i ratuje zdrowie.

Nie wkradąłem się nigdy i nie będę się wkradł między dwie dusze, choćby z nich jedna zimną była jak lód, jeśli druga gnie się dla niej i pali. Cień Palewskiego jest tak długi, iż pada aż do jej mieszkania. Musiałbym deptać po nim, idąc do jej domu. Na to nie mam dość siły, a raczej dość gruboskórnej duszy. Niesmak mam w ustach na myśl o tem, że przywłaszczałem sobie dotychczas te

chwile, o których on marzył i gorączkował na ich wspomnienie. Dusi go niemoc. I jabym miał iść na równi z nią w zawody o to, kto dusi lepiej? To rzecz oprawcy.

Spotkałem ją na ulicy. Byłem sztywny i zimny. Pierwszy jej uśmiech i pierwsze żywsze słowo zwarzyłem ironicznym chłodem. Pomsutniała, jak one wszystkie, kiedy je rachuba pomyli.

To dziwna, jak ona mogła przedtem powodować mną w czemkolwiek. Im dłużej z nią szedłem, przypatrywałem się jej, lub ją pytałem, tem szybciej kryły się owe słodkie sentymenty, które zaraz do niej, jak jaszczurki do słońca, zwykły wylegać mi z duszy. Komedia psychologiczna! przepędziłem je mrozem obserwacji.

Czułem, że nabierałem nad nią przewagi, że mi oczy złośliwie się świecą. Nie mogłem się powstrzymać. Przeszło we mnie coś z Palewskiego. Tylko tamten kochał i cierpiał, nic nie wiedząc. Ja zaś wiedziałem wszystko i dlatego mściłem się na niej tak, jakby on mścił się pewnie. To mi dawało ulgę. Wyzwalało mię tem prędzej z pod wszelkiego jej wpływu. Gotów nawet byłem iść dalej, byle potem za żadną cenę nie módz się cofnąć.

— Jak to dobrze, że pana spotkałam — odezwała się, podając mi rękę — układamy wycieczkę. Prawda, że pan nam dopomóż?

— Czy tak bardzo paniom na mnie zależy?— pytałem chłodno.

— Mam panu o tem mówić? Pan sam wie najlepiej.

Uśmiechnąłem się skeptycznie. W tem różni się od innych panien, myślałem w duchu, że umiejętnie cieniuje swoje wady. Ale na pytania odpowiada tak samo, jak inne, nie wprost, tylko mąceniem wody.

— Nie przypominam sobie — odpowiedziałem głośno — tak dokładnie, jak i czem zasłużyłem na łaskę podobną. Ale to rzeczą pań jest myśleć o przeszłości. My mężczyźni musimy patrzeć w jutro — dodałem z umyślnym patosem.

Rzuciła na mnie niespokojnie wzrokiem. Nic już więcej nie mówiła. Szliśmy tak chwilę.

— Pani dąży na wykłady?—zapytałem.

— Tak. Ale wyszłam trochę zawcześnie. Wrócę po Helkę. Panu pewnie się śpieszy.

Chciała się mnie pozbyć.

— Jeżeli pani pozwoli, będę pani towarzyszył—ukłulem ją zbyt uczynnym zwrotem grzeczności. Nie chciałem się z nią żegnać. Postanowiłem wyzyskać sposobność. Zły byłem tylko, że ona, która umiała tak dobrze zasłaniać się od cięć, cięcia zadawać, bawiła się teraz wo-

bec mnie w bezbronną. Może chciała ująć mię dla siebie. Na myśl o tem burzyłem się jeszcze bardziej w duszy.

— Więc panie układają wycieczkę?—pytałem z naciskiem.

— Tak—odpowiedziała spokojnie—mamy zamiar jechać do źródeł Wisły. Podobno śliczne widoki. — Oczy jej pytające zawisły przez chwilę na mojej twarzy. Szukała przyczyny mojego zachowania się.

— Jak to dobrze, że zdrowi mogą przestawać z przyrodą. Zmierzałem prosto do celu. Umyślnie włożyłem to słowo zdrowi. Zyskałem punkt zaczepienia.

Drgnęła. I znowu jej wzrok prześliznął się po moich powiekach. Spuściłem oczy, bo bałem się, że w nich coś więcej wyczyta, niż w słowach.

Przečuła jednak, do czego zdążam. To łatwo było odgadnąć. Zdrowi, chorzy, Palewski. Wnioskowanie proste.

— Pan lubi, jak widzę, nasze pola i lasy. I mnie już tęskno za nimi—krzyżowała mi ogniwa myśli.

— Tak—rzekłem, torując sobie inną drogę, -- po zimie przepędzonej w mieście, niema, jak lato na wsi.

I znowu zabiegła mi w porę.

Więć, krewni na wsi, ciotka Palewskiego, on,—czytała mi w myślach.

— Pan dużo musi pracować w zimie.

— Zależy to od roku i od ludzi, z którymi przestaję—odpowiedziałem chłodno. Utopiłem oczy w jej twarzy. Teraz nie mogła mi się już wymknąć. Bładła.

— Ta niestałość mówi o talencie pana—rzekła zmieszana. Usiłowała lichem pochlebstwem zmienić tok moich słów.

— Być może—odparłem z przebłyskiem tryumfu w oczach, podniecony tem, że używa nawet takiej broni, byle się zasłonić.—Ale jeszcze więcej mówi o tem, czem są ludzie. Rzadka to jednostka, żeby odświeżała duszę cudzą tak, jak czysta woda omywa rany. Na to trzeba być mężczyzną. Kobiety wolą zawsze,—akcentowałem coraz bardziej słowa,—wślizgiwać się, jak piasek w muszlę, w uczucie drugich, aby bawić się potem połyskującymi perłami. Lecz nie nalegam na to. To już jest ich naturą. Mogą wiedzieć o tem i nie wiedzieć. Zwykle wiedzą. Mogą to robić umyślnie, lub mimowoli. Zawsze jednak jest to jedno i to samo. Piasek jest piaskiem, muszla muszlą, perła tworem cierpień. To też do wszystkiego mają prawo—mówiłem z tłumioną nienawiścią w głosie,—tylko do jednej rzeczy nigdy, nigdy! do litości. Tak, do litości. Głupstwo, jeżeli muszla zdrowa. Jeżeli zdrowa jest, to rozłoży ziarnka kwarcu, które ją pieką, kwasem

ducha i zbędzie się pasożytów. Inna rzecz, kiedy piasek wgrzyza się w chore ciało i potęguje gorączkę. Inna rzecz, jeżeli ten ktoś całą swą istotą przemienia się w perłę i przestaje żyć dla siebie, a staje się tylko cenną kosztownością. Wierzę, o mocno wierzę, że proces jest szybszy i więcej bawi oczy. Wszak życie to komedia! Pani lubi oklaskiwać aktorów. Prawda? Widziałem to w teatrze. Niech pani będzie sprawiedliwą, bardzo sprawiedliwą. O każdym aktorze powinno się pamiętać.

— Pan jest straszny — wyszeptła. Tak bładą jak była wtenczas, nie widziałem jej jeszcze. Dobrze widać mówiłem. Była winną. To patrzyła jej z oczu. Nabrały one popielatego niemal koloru. Zatrzymała się. Ręką ujętą w ciasną, żółtą rękawiczkę, oparła się o brunatny pień kasztana. Czy grała komedię, czy to była prawda? co się w niej działo, nie wiem. Zresztą nic mię to nie obchodziło.

Krew wszystka zbiegła mi w głąb piersi. Czulem jej pojedyncze krople, jak ściekały zimne. Miałem szum w głowie i ból w ustach. Nie wiedziałem już nawet, co mówię. A niechby przynajmniej tak cierpiała, jak ja cierpiałem.

— O niech pani nie sądzi — odezwałem się jeszcze, usiłując udać chłodnego, choć wargi mi sztywniały i łamały się w kątach — że to coś nadzwyczajnego. To rzecz zwykła, jak na przykład oparcie się ręką o drzewo. Forma i wyraz inny. Niech pani przełoży to na język fizyki, a dowie się pani, że to zowie się ruch i wypadkowa ruchów. To tłumaczy wszystko i serce rozpogadza! Ruch, wypadkowa, piasek, perła — nazwy. W słowniku są drukowane. Mnie się aż jaśniej w oczach robi, kiedy pomyślę, że życie da się tak bardzo upraszczać.

Zacięła usta. Przez chwilę patrzyła na mnie przerażone — mi oczyma. Lecz nie mogła wytrzymać mojego wzroku. Śpuściła je.

— Na Boga! Tylko niech mnie pani o nic nie posądza. Nie byłem jeszcze dotychczas powolnym medium.

Milczała. Dość było tego. Nie miałem jej już nic do powiedzenia. Uderzyłem dobrze.

— Ale prawda. Pani wraca po pannę Helenę. Mnie zaś czas w drogę. Zagadałem się z panią, jak zawsze. Żegnaj, — ukloniłem się sztywnie.

Nie podniosła oczu.

Uszedłem ze dwieście kroków, ani spiesząc się, ani idąc wolno. Obejrzałem się na skręcie. Stała jeszcze pod tem samem drzewem i patrzyła za mną. No, no, proszę. Rozpamiętywała to, co jej

powiedziałem. Albo też udawała tylko, że to na niej zrobiło wrażenie.

Stało się. Skończyłem z nią. Niech sobie myśli co chce. Niech myśli, że to zazdrość, że cierpię.

Ani jej bronię, ani jego. I ona i on mi obcy, jak te jaskrawe afisze nawprost mych okien, co zapraszają mię do cyrku. Tylko to, co między nami jest, to żyje dla mnie i to łamie mi palce, aż do bólu.

TADEUSZ KONCZYŃSKI.

(C. d. n.)

Aleksander Gierzyński.¹⁾

IV.

Jakkolwiek niezgoda jednostki ze współczesnem jej społeczeństwem jest źródłem nieszczęść, osamotnienia, bolesnych zawikłań i tragicznych nieraz rozwiązań życia, wynika ona jednak z faktów, z grubej płątaniny rzeczywistych zdarzeń i, przy pewnej zmianie stosunków, może być usunięta. Rany dają się wygoić, żale ukoić a cześć i sława, choćby przyszły późno, nie przychodzą jeszcze zapóźno dopóki człowiek żyje. Historia lat dawnych i dni dzisiejszych zapisała tysiące przykładów ludzi, którzy, doszedłszy do krańca przeciwieństw ze swoim otoczeniem, do szczytu walki z większością społeczeństwa, zbuntowani przeciw wszystkiemu, obowiązującym w danej chwili, więzom społecznego ustroju, pokonani, przypadkiem tylko uniknęli zemsty tłumu, karabinowej kuli, lub może gilotyny; a jednak w końcu wracali jak tryumfatorowie. Faktyczna niezgoda, wynikająca z przyczyn wiadomych, daje się załatwić przez usunięcie tych przyczyn, i człowiek, który dziś czuł się nieszczęśliwym samotnikiem, może się jutro znaleźć otoczonym tłumem, który go będzie czcił, kochał i uwielbiał. Ale są stosunki między ludźmi, w których niezgoda opiera się na głębszych, subtelniejszych, nieraz materialnie nieuchwytnych, niedających się określić powodach; na przeciwieństwie najistotniejszych pierwiastków psychicznego ustroju, na drgnięciach uczuć, które w stanie ciągłego napięcia i przenikliwej drażliwości, nieustannie, niezmordowanie czuwają w głębiach ludzkiej duszy, i które tworzą dokoła jednostki fatalną atmosferę, skazującą ją nieraz na samotność najrzeczywistszą, najboleśniejszą, gdyż niezależną od dobrej nawet woli i uczuć ludzi, których życie jest z nią związane.

1) Patrz zeszyt majowy, str. 215; — czerwcowy, str. 474.

Dokoła każdego *Ja* zatacza się zaczarowane, nieprzenikliwe koło, którego inne *Ja* przekroczyć nie może, w którym człowiek jest w zupełnej, bezbrzeżnej pustyni, samotny, o ile najboleśniejże towarzysztwo, swoje własne, go nie nuży i nie dręczy.

Gierymski, który umarł, nie doszedłszy do zgody ze społeczeństwem, miał jednocześnie w swojej naturze całą moc pierwiastków, skazujących go na nieustanne nieporozumienia z ludźmi mu blizkimi, z ludźmi, których sam szukał, lub którzy zbliżali się do niego, wiedzeni sympatją dla człowieka i czią dla talentu; nosił w sobie nie dające się usuwać przyczyny zawikłań, dla których był takim nieszczęsnym samotnikiem. Ludzie, współczujący komuś, czyje życie przechodzi w męce i cierpieniu, muszą szukać środków dopomożenia, sposobów usunięcia tych ujemnych warunków istnienia. Zmiana miejsca pobytu, zerwanie z pewnymi ludźmi i zbliżenie się do innych, wejście w stosunki rodzinne, jeżeli to jest człowiek samotny, i oddalenie od rodziny, jeżeli to jest człowiek z nią związany, są zwykle temi nawiwnemi środkami, które w takich razach przychodzą na myśl.

Gierymski rodziny nie miał, nie jednemu też zdawało się, że ożenić go było-by to rozwikłać wszystkie trudności jego życia. Gierymski jednak, bodaj że nie miał żadnych właściwości, potrzebnych do przejścia przez tę sferę uczuć i stosunków z jakimi takimi szansaami szczęścia i spokoju, przez tę sferę, gdzie właśnie zadziergają się najzawilsze węzły tragicznych losów jednostki, tłą się zarzewia najsubtelniejszych i najsilniejszych przeciwieństw między ludźmi; gdzie ludzie, związani wszystkimi chwilami i interesami życia, wbrew faktycznemu, materyalnemu zbliżeniu, czują się oddaleni od siebie nieskończonością, opuszczeni i samotni. Akt stanu cywilnego i wspólny dach nie zawsze stanowią istotną wspólność życia. Gierymski mówił o tych rzeczach z brutalnym sceptycyzmem, streszczającym pojęcia, wynikające z powszechnego doświadczenia, pojęcia, które się stały, komunałami, powtarzanemi bezmyślnie, a w których tkwi jednak mnóstwo prawd bolesnych i głębokich.

Czy i co Gierymski przeżywał w tej sferze stosunków, nie wiem nie zwierzał on się nigdy z jakichkolwiek wydarzeń, mających związek z temi uczuciami, a jeżeli była o tem mowa, wybuchał ironicznym śmiechem i kłątwą. To pewna, że uświadamiał stale wszystkie pesymistyczne poglądy o tej sprawie, i że z jego naturą, z jego bezwzględnością, nietolerancją, niemożnością otamowywania się, [niezdolnością do hipokryzyi, ruchliwością wzruszeń, skłonnością do podejrzeń, w tej sferze życia znalazł-by tylko splot ciężkich cierpień dla siebie, i że zgotował-by nie mniej ciężkie i gorzkie życie dla istot, których istnienie było-by z nim związane. Gierymski podzielał powszechny

i pospolity sąd o kobietach, tę łatwą i banalną ironję, która jest zszarzanym komunałem, o ile nie jest mściwym wybuchem zranionych i zawiedzionych uczuć.

Co się z Gierymskim działo, nie wiem; to tylko pewna, że teoretycznie kobietą pogardzał, a w życiu, w stosunkach bał się jej towarzyskiej przewagi, bał się niedyskrecyi, z jaką dzięki tej przewadze kobiety często dotykają tych właśnie uczuć, z którymi człowiek zenujający się kryje się najstaranniej. Gierymski był w takich razach ciągle na straży, a przyparty natarczywością wybuchał w brutalnej odpowiedzi. Kiedy go raz pewna gadatliwa pani wyciągała na rozmowę o jego uczuciach i stosunkach do kobiet, i kiedy w końcu spytała: jaką-by chciał, żeby była jego żona, Gierymski zawołał z gniewem: Żeby milczała!

Dlatego też Gierymski zawsze wolał swobodę knajpy, gdzie był na neutralnym gruncie, zabezpieczony od towarzyskich zawikłań, niż zebrania, na których musiał się spotykać z kobietami. Szukając tej sfery stosunków, która-by mogła wyprowadzić go z samotnego zjadania się i pastwienia nad sobą, nie widzi się możliwości przystosowania się jego do warunków życia rodzinnego. Był to świat całkiem dla niego niedostępny. Kiedy raz była o tem mowa, ktoś powiedział, że on mógłby się ożenić tylko z kobietą od niego *mędrszą*, rozumiejąc pod tem taką mądrość, która-by pozwoliła jej całą wysokością uczuć górować nad wszystkimi porywami szaleństwa, które w nim się szamotały. Gierymski na to wrzasnął piskliwym głosem: — A cóż mnie zostanie?! Myśląc zapewne o tem poślednim stanowisku, jakie-by, jak mu się zdawało, w takim razie zajmował. Było to drgnienie tej drażliwej ambicyi, które wskazywało jeden z pierwiastków rozkładu, jaki-by szarpał jego życie, gdyby go los związał z życiem innej istoty.

Tak więc Gierymski ominął to źródło nieszczęść, lecz pozostało mu ich jeszcze dosyć w tej sferze stosunków, gdzie niema żadnego przymusu, gdzie współżycie wynika z bezpośredniego objawienia się sympatyi, z nieprzymuszonej dobrej woli wzajemnego zbliżenia się, w sferze stosunków przyjaźni i koleżeństwa.

Żeby nieszczęścia i utrapienia ludzkie wynikały jedynie z rzeczywistych ujemnych zdarzeń, życie było-by co najmniej znośne, gdyż dni naprawdę nieszczęśliwych, w których nacisk zewnętrznych, wrogich wypadków przygniata ludzi, jest w istocie znacznie mniej, niż dni, które przechodzą niepostrzeżenie, w szarem pasmie jednostajnej kolei pospolitych zdarzeń, lub niekiedy bywają dniami szczęścia. To, co głównie rozstrzyga o tem, jakie jest życie ludzkie, to ten wewnętrzny ustrój duszy, to *Ji* stałe, niezmiennie, fatalistyczne, które wy-

twarza dokoła człowieka pewną szczególną atmosferę, a wewnątrz niego pewien układ uczuć i pojęć, który stale prowadzi do jednakich skutków w życiu.

Gierymski miał jedną właściwość, zresztą bardzo rozpowszechnioną, właściwość, z której dla niego, jak i dla każdego innego człowieka, wynikają pewne przykrości, a niekiedy nieszczęścia życia, był on skryty, ale umiał ukrywać tylko swoje myśli—nie uczucia. Umiał zataić przyczyny pewnych swoich stanów, pobudki pewnych czynów, ale nie umiał otamować tych stanów, tych uczuć tak, żeby się one nie odbiły w jego mieniającej się wyrazem twarzy, w jego głosie, który pod wpływem rozmaitych uczuć przechodził od dźwięcznego barytonu do pisku obitego dziecka, nie umiał i zwykle nie chciał hamować jakiegoś ruchu ręki, jakiegoś obejścia się, które dla niego było koniecznym skutkiem stanu jego uczuć i pojęć, dla tego zaś, kogo dotyczyły, zagadkowym a wrogiem i budzącym również wrogi oddźwięk zachowaniem się.

W życiu rodziny Gierymskiego był jakiś bolesny fakt, który mu w niczem nie ubliżał, o którym, jak mu się zdawało, wszyscy wiedzieli, uważali za hańbiący i ciągle go obrażali, okazując pogardę lub lekceważenie. Przywidzenie to było tą zatajoną, głęboko ukrytą przyczyną całego mnóstwa nieporozumień, przykrych zająć i nieszczęsnego osamotnienia. Była to ta faktyczna sprężyna uczuć i czynów, które prowadziły do fatalnego gmatwania się stosunków, a przez to do coraz głębszego rozgoryczenia, podejrzliwości i ostatecznie manii prześladowczej, która czyniła dokoła niego tę nieprzenikliwą atmosferę, ciężącą jemu samemu tak srodze, z której on się wyrwał, wyciągał do ludzi ręce i cofał je, podejrzewając, że je odtrąca z pogardą. Przywidzenie to szarpało całym jego tak skomplikowanym, przeczulonym mechanizmem psychicznym i wytwarzało ten obłądny świat ponurych myśli, bolesnych uczuć i męczących stanów, skazujących go na samotność i ciągle nieporozumienie z ludźmi, nieraz serdecznie mu przyjaznymi i oddanymi.

— No już ten twój Gierymski! Niech jego dyabli! — mówił mi nieraz Paweł Kowalewski, który w owych czasach mieszkał w Warszawie. Kowalewski, sam kapitalny malarz, był zarazem człowiekiem nadzwyczajnej dobroci, prawości i serdeczności, człowiekiem inteligentnym z niezwykłą skłonnością i zmysłem do analitycznych zaciekań się w kwestyach sztuki; umiał on, znalazłszy dobrego ku temu towarzysza, zaczawszy nad wieczorem, przewłóczyć się noce całe po pustych ulicach, roztrzygając jakieś subtelności refleksów od refleksów. Nieraz godzinami całymi stało się gdzieś na brzegu chodnika, z którego przechodzący co chwila strącali nas na ulicę, stało się i bez

wytechnienia zastanawiało się nad jakąś kwestyą formy, barwy czy światła. Otóż Kowalewski znał Gierymskiego osobiście i wysoko cenił, jako malarza. Pamiętam dotąd, ile godzin, do zupełnego znużenia, wystąpiłem raz z nim na rogu Ś-to Krzyskiej i Nowego-Świata, słuchając subtelного, mikroskopowego rozbioru zalet „Trąbek“ Gierymskiego. Tusquez, hiszpan, którego Kowalewski uważał za niesłychanie doskonałego kolorystę i technika, służył za miarę porównań, które wypadły na korzyść Gierymskiego. Słowem, Kowalewski szanował w Gierymskim wielki talent i wiedzę malarską, a jednocześnie ciągnęła go do niego szczerą sympatya i zainteresowanie się oryginalnością i śmiałością jego umysłu. I kiedy już mu się zdawało, że się do Gierymskiego zbliżył, że znalazł i kolegę z fachu, i miłego sobie człowieka, naraz Gierymski wchodził do knajpy i ledwo mu kiwał głową, lub mijał go na ulicy, potrącając ramieniem i nie uchylając kapelusza. Wtenczas-to Kowalewski z entuzjazmu przechodził w oburzenie i mówił: — „No już ten twój Gierymski! Niech jego dyabli!“ — I z tą samą subtelnością, z jaką analizował Gierymskiego kolor, lub światłocień, zabierał się do analizy jego charakteru, analizy zaprawnej żalem i goryczą, — i oto zawiązywał się jeden z tych węzełków niechęci, które potem składały się na biedną i smutną atmosferę osamotnienia, w której Gierymski się zjadał w niezgodzie z ludźmi i sobą. Gdyż te jego nagłe niechęci do ludzi, wynikające z przywidzeń, nie mogły trwać długo w jednakiem napięciu. Brak niezbitego dowodu ich słuszności wywoływał w duszy Gierymskiego reakcyę. Czuł on, że może niesłusznie postąpił, że obraził niewinnego człowieka, że może popełnił jakieś bolesne głupstwo, którego się wstydził, a jednocześnie harda i ambitna jego natura nie chciała się ugiąć, uczynić zadość sprawiedliwości, przeprosić obrażonego i więcej go nie podejrzewać. Z tego splotu sprzeczności wyłączających się wzajemnie porywów uczuć wytwarzała się dla niego męcząca i drażniąca sytuacya, z której nie było innego wyjścia, tylko zamknięcie się w swojej norze, niezaczepianie ludzi, niezadawanie się z nimi, — pustka i samotność, w której znowuż jego duszę, potrzebującą i szukającą sympatyi i zrozumienia, ogarniał żal i tęsknota za kimś bliższym.

Przeżyłem i ja z nim całą taką zakończoną historyę bolesnego zatargu, zanim przyszło do zupełnego porozumienia i zbliżenia, zanim doszło do tego, że Gierymski przemógł się i, popełniwszy jakąś podobną niesłuszność, wpadał nazajutrz do pracowni i wołał od progu z wyciągniętą rękę: — Świnia jestem! Daruj! — I po spełnieniu tego czynu poświęcenia ambicyi dla lepszych uczuć, miewał chwile szcze-

gólnego zmiękczenia i dobroci, która przeświałała chmurną zwykle jego twarz wyrazem jasności i zadowolenia.

Jest pewien stan duszy, szczególnie fatalny tam, gdzie chodzi o zbliżenie się między ludźmi, to jest pewna *harda skromność*. Nie wiara w to, że się jest komuś potrzebnym, wątplenie o wartości dla kogoś stosunku z nami, ale połączone z dummem, nie dającym się zhamować, cofnięciem się i oddaleniem. Są ludzie tak w tym kierunku przeczuleni, że wyciągając rękę do uścisku ręki innego człowieka, zanim to zrobią, już się cofają, pełni zwątpienia, a zarazem obrażonej dumy. Gierymski w najwyższym stopniu posiadał tę właściwość psychiczną i gorzko płacił za to dniami samotności, rozterki i żalu, szerząc oczywiście dokoła siebie pustkę i niechęć, niechęć w gruncie rzeczy najniesłuszniejszą go dotykającą, ale będącą koniecznym, nieuniknionym następstwem stanów jego duszy — zewnętrznym skutkiem wewnętrznych, niedających się usunąć ani zmienić, procesów psychicznych.

Któryś z ojców Kościoła mówi, że rozum Boga musi być i jest tak bezwzględnie różny od rozumu ludzkiego, że gdyby człowiek mógł znać Boga takim, jakim On jest naprawdę, Bóg wydał-by mu się szaleńcem. W gruncie rzeczy, dusza ludzka, objawiająca się w całej swojej nienaruszonej prostocie, z niezachwianą zewnętrznymi wpływami szczerością i swobodą, dusza ludzka, nie krępowana wymaganiami społecznymi, etyką, hipokryzyą, przystosowywaniem się, dusza ludzka, objawiająca się z całym niespodziewanym bogactwem wyobrażeń i niezmierną różnorodnością wzruszeń, wydawała-by się i wydaje szaleństwem. Niejeden człowiek, którego zamykają do szpitala wariatów, jest najnormalniejszym, przyrodniczo-logicznym, najkonsekwentniejszym przejawem ludzkiej duszy takiej, jaką ona jest sama w swojej najistotniejszej treści, nie skierowana w łożyska i tamy społecznego życia.

Lokomotywa, która ucieknie z relsów, prowadzących do jakiejś wiadomej stacji, nie przestaje jednak funkcyonować normalnie i logicznie, zgodnie z założeniem swej wewnętrznej treści, chociaż skutek tej działalności jest tak zgubny dla ludzkich celów i dla istnienia jej samej. Tak też jest z duszą ludzką, wykojejoną z relsów, prowadzących do jakichś wiadomych, określonych społecznych celów. Działała ona zgodnie z prawami najistotniejszymi swego życia, choć wbrew warunkom społecznego bytu jednostki, którą włada. Wyrwać ją z tego jej świata niezależnego i zaprowadzić napowrót w koleiny społecznego życia, ustawić na relsach, wiodących do celów, które uważamy za słuszne i pożyteczne, — nazywamy uzdrowieniem szaleńca, lub neurastenika. I w wielu razach tak jest naprawdę. Tam mianowicie, gdzie

naturalna podległość ciągnie ludzką duszę w stronę ciemnych i męczących stanów, takie oderwanie człowieka od siebie, przełamanie wewnętrznej logiki jego duszy, zmuszenie do wyjścia z swego ja, — jest dobrodziejstwem, jest rozjaśnieniem życia, które inaczej zapadłoby w nicość, zgasło w ponurym mroku rozpaczy.

Gierymskiego nieszczęsne stany, dziwaczne wyobrażenia, męczące przywidzenia, tak zwykle niezgodne z tem, co się naprawdę dookoła niego działo, wynikały ściśle i logicznie z najistotniejszej treści jego organizacji psychicznej, były ściśle logiczne, jako przejaw uczuć, lecz, uczepione do fałszywych spostrzeżeń, prowadziły do zawikłań, nieporozumień, zatargów, i sprawiały ból i jemu, i ludziom go otaczającym. I całe jeszcze szczęście, że kiedy nieraz, w ciągu jego męczącego się życia, dochodził on do samej krawędzi przepaści, w której czaiło się obłąkanie, że się udawało go zatrzymać i wrócić do tego życia, jakim żyć można. W końcu jednak przepaść go pociągnęła...

Kiedy w roku 1882, po paroletnim pobycie za granicą, wróciłem do Warszawy, stosunki artystyczne były niezmienione. To samo obojętne otoczenie, ten sam brak miejsca i współczucia dla ludzi, pracujących nad sztuką, ta sama pustka dookoła i ta sama świadomość w sobie, że się jest nikomu na nic niepotrzebnym. Ludzie, w jakikolwiek sposób biorący udział w życiu umysłowym, przedsiębiorcy jakiegoś wydawnictwa, kierujący jakimiś robotami, które stykały się ze sztuką, ujawniali zupełny brak wiadomości i zmysłu, potrzebnego do ocenienia wartości uzdolnień i talentów, okazywali zakrzepłą rutynę, niezdolność odczuwania postępu, który się gdzieindziej dokonał, i zupełne niereagowanie na nowe kierunki i nowe talenty.

Malarz, który przyjeżdża do jakiegoś miasta, gdzie jest całkiem nieznany, nie ma stosunków, nie ma urządzonej pracowni i nie ma gotowej roboty, którą może natychmiast wystawić i dać się poznać, malarz taki nie ma prawa narzekać na to, że go nikt nie zna i nie potrzebuje. Ale ci, co stale w tem mieście siedzą, jeżeli są nieznani, choć są wielkimi artystami, jeżeli są w nędzy, choć pracują i tworzą — ci mogą myśleć z goryczą o swoim otoczeniu. Kiedym wtenczas wrócił do kraju, zastałem kolegów, drepcących w dobrze mi znanym deptaku lekcyi rysunku i zarobków ilustracyjnych, lub brnących w długi dla namalowania jakiegoś obrazu, wiodących marne gospodarstwo na swoich talentach, zapewniające im tylko przeżycie jako tako dni bez przyszłości. Ale każdy świeżo przybyły miał trudniejsze przeciwności do pokonania, gdyż właściwie nie miał absolutnie możności rozpoczęcia jakiegokolwiek pracy, zapewniającej możność życia i tworzenia.

Były wtenczas w Warszawie trzy pisma ilustrowane: „Tygodnik ilustrowany“, „Kłosa“ i „Tygodnik powszechny“, trzy pisma, które wegietowały, nie podejmując żadnych ulepszeń, nie dążąc do żadnych celów artystycznych. Wydawane i redagowane tylko z dążeniem utrzymania prenumeratorów, przez zgodność z najszerzej i najpłycej rozlaną letnią wodą pojęć, utrzymania prenumeratorów, których się zresztą dobrze nie znało, i których ciągle jeszcze usiłowało się „brać“ na nazwiska Matejki i Siemiradzkiego, i na podpisy pod rysunkami Andriollego, pisma te nie umiały absolutnie zużytkować żadnego nowego talentu. Nowy człowiek, albo taki, który przez parę lat opuścił miejsce przy tej misce z pomysłami, jaką były zarobki artystyczne, przychodząc z powrotem, zastawał miejsce zajęte i był w tej pozycji, o której Francuzi mówią: — Il n'a qu'à se pendre ailleurs. — Powieś się, byle gdzieindziej...

Otóż wtenczas siedzieliśmy znowu z Owidzkim w pracowni i rysowaliśmy obstalowane przez pewnego znajomego urzędnika kolei Wiedeńskiej: „Obrazki na szyfionach“, obrazki do dziecinnej książeczki, które po wydrukowaniu miały być naklejone na płótnie (chiffon) i zalakierowane tak, żeby dzieci nie mogły tego porwać, ani zlizać. Ja rysowałem rzeczy ożywione, Owidzki nieożywione. Były to akwarele wielkości, o ile sobie przypominam, ośmiu cali długości, na pięć szerokości, wykonane „na własnym papierze i własnym tuszem“, jak mówi dawny kontrakt z malarzem, — wszystko po dwa ruble za sztukę. Nie było to dużo, ale było to jedyne pole, na jakim mogliśmy zużytkować nasze zdolności i być użytecznymi społeczeństwu... Otóż, kiedy w dobrym humorze kolorowaliśmy, Owidzki: baki, patelnie, kanapy i gitary, ja: motyle, wieprzki, woły i róże, drzwi się otworzyły i wszedł młody człowiek, mocno zażenowany. Po wymienieniu nazwiską objawił, że nabył pismo ilustrowane: „Wędrowiec“; dalej widać było, że właściwie nie wie dobrze, co ma z tym „Wędrowcem“ zrobić. Ostatecznie, po dłuższej rozmowie, skończyło się na tem, że zostałem zaangażowany przez Artura Gruszeckiego, który właśnie przyszedł obstalować winietę tytułową do pisma, na artystycznego kierownika „Wędrowca“. Nie miałem pojęcia, co mam z tem zrobić. Znani mi kierownicy przyjmowali od nas rysunki w przedpokoju redakcyjnym, ginęli w głębi jakichś izb dalszych i wychodzili, albo z pieniędzmi, albo też oddawali z powrotem bukszpanową płytkę, którą się w domu zmywało, gruntowało na nowo i, narysowawszy nową kompozycję szło się znowu do redakcyi w następną sobotę; i tak dalej, dopóki nakoniec nie trafiło się na gust redakcyi. Takie kierowanie było dla mnie niezrozumiałe, — nie mogłem w sobie odnaleźć żadnych do tego stanowiska kwalifikacyi. Poszedłem

więc do ludzi świadomych poradzić się i spytać, co mam zrobić z tym uśmiechem losu. Poszedłem do cukierni Paraviciniego, gdzie Gierymski grywał w bilard i gdzie siadywał Ksawery Pillati, kierownik artystyczny „Tygodnika Powszechnego“. Z Gierymskim widywałem się wtenczas częściej i po naradzie z nimi propozycję Gruszeckiego przyjąłem.

Pismo było doprowadzone do ostatniego kresu upadku, było płachtą zadrukowaną byle czem i byle jak, bez żadnego interesu, bez prenumeratarów, bez niczego prócz tytułu. Nie był to już ten „Wędrowie“ Sulimierskiego, który budził taki interes młodzieży żywością podróźniczych opowiadań i doskonałością ilustracji czerpanych z *Tour du Monde*. Trzeba było od razu, i to w krótkim czasie, zreformować wszystko, od papieru i czcionek, do treści literackiej i ilustracyjnej, trzeba było znaleźć inny typ pisma — zrobić wszystko na nowo i inaczej. Czasu było tak mało, żeśmy pierwsze klisze zapisywali z zagranicy telegraficznie, ale w planie odrazu postawiliśmy sobie za zadanie wydobyć na wierzch jak najteższe siły artystyczne, a pod względem reprodukcji stanąć na równi z najdoskonalszemi wydawnictwami świata. Spełnienie tego zadania polegało na jaknajwszechstronniejszym zużytkowaniu talentów, daniu im swobody wykazania najistotniejszych cech indywidualnych, na wydobyciu naprzód tych artystów, którzy dotąd zajmowali drugorzędne, lub nie zajmowali żadnego stanowiska w opinii ogółu. W pierwszym rządzie tych mało znanych i mało cenionych byli bracia Gierymscy, dalej Chełmoński; był całkiem niedoceniony Rodakowski i ta cała młodzież, która dopiero zaczynała wkraczać w sferę twórczości, a pomiędzy którą znajdowały się kapitalne talenty. O nie to, o ich współpracownictwo należało przede wszystkim się postarać, a zarazem wprowadzić do pisma to, co stanowiło najnowsze zdobycze sztuki europejskiej, a co było u nas całkiem nieznanne. Z drugiej strony, należało od razu pomyśleć o zjednaniu najlepszych sił drzeworytniczych, gdyż był to jeszcze czas, kiedy cynkotypia zaledwie rozpoczynała swoje istnienie, które z czasem miało całkiem prawie zabić drzeworytnictwo. A nakoniec, biorąc szerzej zadanie ilustracji, odrazu stawialiśmy sobie za cel reformowanie artystycznej krytyki, rozbicie tego, co dotąd w niej panowało, zmianę pojęć ogółu o sztuce. Wszystkie te sprawy, oprócz strony faktycznej, czynnej, przedstawiały ogromny kompleks zagadnień teoretycznych, będących dla nas samych często nie dość ściśle sformułowanemi, bardziej przeczuwanemi; z chwilą więc kiedy należało je sformułować dla innych, rzucić jako hasło bojowe i zrobić z nich broń i naboje, trzeba było nad nimi się zastanowić, przemyśleć, przegadać, roztrząsnąć i jasno sobie samym określić. Gierymski,

który, pomimo wszystkich swoich subiektywizmów, miał umysł badawczy i lubiący z pewną metodą zaciekać się w teoretyczne roztrząsanie zagadnień sztuki, czując przy tem, że tu idzie o rzeczywiste, najżywoźniejsze jej interesy, o jej treść istotną i zwycięstwo idei, która była dotąd ignorowana, z całą swoją wrażliwością i żywością umysłu oddał się tej sprawie. Gierymski, Sygietyński, Dygasiński, nasz wydawca Artur Gruszecki, byliśmy w nieustannym stosunku, w ciągłej wymianie myśli, dyskusjach, robieniu różnych planów wspólnej pracy, planów, z których bardzo mało tylko zostało urzeczywistnionych — większość pozostała w sferze myśli, ledwie wypowiedzianych słowami. Ale słowa, jak mówi William Morris, nie są tylko rozdzieraniem powietrza. są one, co najmniej, jak muzyka, przy której się idzie do szturmów...

Jakkolwiek schodziliśmy się u siebie w domu lub redakcyi, nie wystarczało to jednak, a Gierymski, który był dziki i żyjąc samotnie przywykł do knajpy, jako najswobodniejszej formy towarzyskich stosunków, ciągnął zawsze do jakiegoś zadymionego kąta, i tam się czuł dopiero swobodnym i oddawał się niekępowanej rozmowie w słowach nieraz brutalnych, a zawsze silnych i zaprawnych często goryczą lub ironią. Nie byliśmy alkoholikami, co jest wielkiem szczęściem naszego pokolenia, gdyż w tych warunkach, w jakich nam żyć wypadało, poprzedzające pokolenie chętnie topiło zgryzotę w kieliszku, a za zgryzotą wolę, — do utraty duszy. W tym wypadku urok knajpy nie polegał na ilości wypitych kieliszków, lub opróżnionych butelek, tylko na tej neutralnej, obojętnej sferze materialnej, nieobowiązującej do niczego więcej, prócz posiadania pieniędzy na zapłatę za picie i jedzenie, sferze, w której gość nikomu nie ciąży, nikogo nie kępuje, a jeżeli utrudza kogo, to za wiadomą zapłatę, która jest jego tytułem do współwłasności chwilowej w lokalu knajpy. Psychologia knajpy ma jeszcze inną stronę. Dla ludzi zmęczonych, a których instynkty obżarstwa i opilstwa nie są w ciągłym podnieceniu, ta sfera całkiem obojętna, ten tłum, z którym się nie ma nic wspólnego, ten szum i hałas, w którym niema cech tego, co się dzieje w duszy, ta sfera, z którą nic nie łączy, jest sferą odpoczynku. Niegdyś, w Monachium, określaliśmy to tak: że w knajpie człowiek jest jak *k l u c z* rzucony na stole, w stanie zupełnej atonii wrażliwości na zjawiska otaczającego świata, i nazywaliśmy ten stan, stanem *s k l u c z e n i a*, jakiegoś oddalenia od wszystkich stosunków i wrażeń, zawieszenia w próżni poza psychiczną wspólnością z tłumem. Rzecz oczywista, że ten *i d e o w y* stosunek do knajpy z łatwością może się zachwiać i przejść w proste, pospolite, bezmyślne obżarstwo i opilstwo, — jak też tak nieraz bywa. Myśmy na razie dyskutowali.

Gierymski, chociaż z takim interesem należał do teoretycznych roztrząsań nad sposobami prowadzenia „Wędrowca“, gdy chodziło o czynne współpracownictwo był pełen zastrzeżeń i z trudnością dawał się do tego nakłonić. Kiedy nareszcie postanowiliśmy wydać: „Album Gierymskich“, zabrał się do roboty, jakkolwiek zawsze wahając się i ciągle jakby się bojąc, żeby nie znaleźć się w jakimś fałszywym stosunku, który-by mógł drażnić jego ambicję. „Album Gierymskich“ miało wyjść nakładem Artura Gruszeckiego, który, nie będąc nic wydawcą spekulacyjnym, chętnie podejmował się tej ryzykownej dla kieszeni próby. Tekst miał napisać Antoni Sygietyński, który wtenczas nie był jeszcze tym czcicielem „Iojówki“ komunałów, jakim jest dzisiaj. Przeciwnie, chętnie przyjmował i wcielał do swoich robót literackich „oślniewające błyskawice paradoksów“, którego dziś tak bardzo rażą. Takie stadyum w rozwoju ludzkiego umysłu zdaje się być, niestety, koniecznem. Dopóki umysł jest młody, świeży i silny, brzydzi się komunałami; z chwilą kiedy przychodzi niedołęstwo i bezwład, boi się paradoksów, w których tkwią iskry prawd nowych, niedostępnych dla umysłu zakrzepniętego w rutynie.

Wzięliśmy się zatem do wydania tego „Albumu“, który, zdawało się, powinien był wybić wyłom w pojęciach o sztuce i rozszerzyć ten Panteon, zbudowany przez polską krytykę, w którym były wypisane tylko trzy imiona: Matejki, Siemiradzkiego i Brandta. Wogóle krytyka nasza lubiła trójki, a że Mickiewicz, Krasiński i Słowacki stanowili dobry precedens, więc też ta trójca malarska była krańcem wiadomości o sztuce, a sama konwencyonalna symetria tego układu zdawała się już nie do naruszenia, nie do rozerwania. Układano z trzech portretów, obwiedzionych odpowiedniami laurkami, malownicze stronicie pism ilustrowanych, fotograficzne obrazy do albumów, a prasa estetyczna budowała różne wspaniałe metafory na podstawie „Trójcy“. Kossak i Grotger ginęli w cieniu, o Rodakowskim nie wiedziano nic, imiona innych mogły być wypisane ledwie na marginesach stronic, z których przelewała się w bezmyślnych frazesach troista sława.

Otóż naruszyć tę symetrię, wydobyć na wierzch nowe imiona, godne czci najwyższej, nowe talenty, do których nie dawała-by się doczepić anekdotyczna treść, stanowiąca dotychczas jedynie właściwie zrozumiałą dla naszej estetyki stronę dzieła sztuki, wydobyć talenty, które należało czcić za artyzm, za sztukę, a tym sposobem otworzyć sztuce szerokie widnokreśli we wszystkich kierunkach, taki był cel najogólniejszy, do któregośmy dążyli. Oprócz wydawnictwa „Albumu“, zaczęliśmy zbierać składkę na zakupno obrazu Maksa

Gierymskiego do muzeum narodowego, które nie miało dotąd nic, żadnego śladu jego twórczości. Zatem: doprowadzić do uznania zmarłego Maksa Gierymskiego za pierwszorzędny talent, za jedną z największych chwał polskiej sztuki, do uznania Aleksandra Gierymskiego za to, czem był w istocie, za wielki talent o olbrzymich zaletach artystycznych, a przez nich zmienić opinie ogółu o sztuce i doprowadzić do uznania pierwiastku artystycznego za najważniejszą jej część składową, której nie należy podporządkowywać pod treść anekdotyczną, pod jakieś bieżące hasła etyczne czy umysłowe, oto, cośmy zamierzali osiągnąć przedewszystkiem, wydając „Album Gierymskich“.

Chociaż Gierymski bywał na wszystkich zgromadzeniach „Wędrowca“, nie poddawał się jednak całkowicie i co chwila zapadał w sztywność i tę swoją, nie dającą się przełamać, drażniącą, konwencyonalną formę stosunków. Wtenczas-to właśnie warunki jego życia były najhaniebniejsze, a stan jego duszy graniczył z obłędem. Były to czasy bilardu u Paraviciniego i ostatecznego poszarpania nerwów, a chociaż zbliżyłem się z nim o tyle, że niektóre zatajone dotąd strony jego życia stały się jawnymi i zdawało się, że się związuje prosty, szczerzy i dobry stosunek koleżeński, jednak na dnie leżała ciągle zagadkowa nieufność, z której nieraz wynikały męczące przejścia towarzyskie. Czasem umawiał się, że przyjdzie na jakieś zebranie i nie pokazywał się wcale. Kiedysmy późno w noc, poszli go odnaleźć na Żórawiej, gdzie najął sobie pokój, z ciemnego okna na trzecim piętrze majaczyła jego głowa, a na pytanie rozlegała się gdzieś z góry, w nocnej ciemni, odpowiedź głosem zduszonym, w którym pod udaną obojętnością drgał jakiś przytłumiony gniew i żal. Słowem było coś, co ciągle go powstrzymywało od porozumienia się i oddalało, jakaś żądza, której przyczyny istotnej nie mogłem znać, jakaś niezgoda, która, pomimo wszelkich starań, pomimo serdecznej sympatii, jaką się dlań miało, pomimo wielkiej czci dla talentu, o którego uznanie właśnie mieliśmy stoczyć walkę, nie dawała się usunąć, a jednocześnie nie była usprawiedliwioną żadnym faktem, żadnym wypadkiem w naszym rzeczywistym stosunku. Był to właśnie objaw tej fatalnej konsekwencji życia ludzkiej duszy, przejaw najgłębszych, najbezpośredniejszych drgnień uczucia, pod które podkładała się obłędna myśl o jakiejś zniewadze, którą mu wyrządzono. Była to poprostu mania prześladowcza, skierowana właśnie ku mnie, który w tej chwili nie miałem nic innego na celu, jak tylko wydobyć Gierymskiego z biedy, a jego talent otoczyć jak największą czcią i chwałą.

Fatalne, tak częste w życiu nieporozumienie, które nieraz prowadzi do tragicznego rozstrzygnięcia stosunków między ludźmi.

Pojęcie, że dusza ludzka jest czemś niezależnem od stanów ciała, istotą, którą rządzą tylko prawa rozumu i etyki, więc istotą zawsze świadomą i odpowiedzialną, jest przyczyną, że zwykle tak późno, najczęściej za późno, przychodzi się do wniosku, że dany człowiek, narażający się wszystkim swoim postępowaniem, jest naprawdę psychicznie chory, że go porywa i niesie, niedająca się otamować siła uczuć wyzwalających się z pęt społecznych, wewnętrzna, fatalna logika psychicznego ustroju, i że w takiej chwili nie moralizowanie, nie represye, nie kłótnie i pojedynki, ale opieka psychiatry lub neuropaty jest właściwym, jedynym środkiem, do usunięcia nieporozumień i bolesnych zatargów. Ranę zadaną nożem opatrujemy i zabezpieczamy od wpływu szkodliwych jądów zewnętrznych, — w ranie duszy wiercimy nieraz etycznym ostrzem, szarpimy ją drzazgami honoru, społecznej odpowiedzialności, lub pretensjami własnych egoistycznych uczuć.

Nieprzeparta logika wewnętrznych stanów duszy jest niezależna od faktycznego fałszu punktu wyjścia pewnych wyobrażeń. Doświadczenia nad poloryzacją uczuć wykazały, jak elementarnie niepokonaną jest ta logika z chwilą, w której umysł, poddany doświadczeniu, ustawi się raz w pewnym kierunku, wykazały jak konsekwentnie konieczne są kojarzenia się wyobrażeń, jakie ich bogactwo snuje się z raz powziętego założenia zmyślonego faktu. Tak też było z Gierymskim. Stosunki nasze, związane bez żadnego przymusu, bez żadnych formalnych, materialnych więzów, wynikające ze szczerzej sympaty dla człowieka i interesu, jaki budził jego artyzm, stosunki te miały, zdawało się, wszystkie dodatnie strony, z jakich się układa dobre i trwałe współżycie między ludźmi. Nie było w tem społecznego przymusu, jak w stosunkach rodzinnych, nie było zależności materialnej, ani impozycji czemkolwiek bądź. Byłem takim samym biedakiem jak on, na służbie w redakcyi pisma, w którego interesie leżało pozyskanie takiego talentu, jak Gierymskiego, otoczyć się tą chwałą, która mu się należała, zjednoczyć swój tytuł z imieniem Gierymskiego. W stosunkach z nim zachowywaliśmy, tak wydawca, jak i ja, wszystkie względy, i współpracownictwo jego przyjmowaliśmy jako jego uprzejmość, przejaw dobrej woli i życzliwości. A tymczasem w duszy Gierymskiego snuła się przedza dzikich uprzedzeń, całego jakiegoś potwornego wyobrażenia o rzekomych zniewagach, o jakimś złem obejściu się, o pogardzie mu okazywanej p r z e z e m n i e.

W niezglębionych zresztą przepaściach ludzkiej duszy, pod całym gmachem uczuć dodatnich dla jakiegoś człowieka, kryje się cza-

sem atom niechęci, wynikający z bezwzględnej niezgody dwóch natur, atom, który, zatajony, niedopuszczony do uświadomienia, co chwila jednak narusza zgodność stosunku, każdemu wzruszeniu nadaje pewne ujemne zabarwienie, powoli i stale ryje się w głębi uczuć, niszcząc i rozsadzając najserdeczniejsze związki. Może i na dnie duszy Gierymskiego kryło się takie ziarenko niezgody elementarnej ze mną i wywoływało stany, objawiające się na zewnątrz skrępowaniem, niepokojem, nieraz bardzo przykrym i bolesnym tonem, jakim mówił, zachowaniem się sztucznym, nienaturalnie obojętnym, lub przymuszono grzecznym. Wszystko to nie wybuchło jednak nigdy w jakimś sformułowanym oskarżeniu, w jakiejś jasno określonej i wypowiedzianej pretensyi. Widać było tylko skutki starannie ukrywanych przyczyn, — zatajonych, więc niedających się naruszyć i usunąć.

W czasie przygotowywania „Albumu“ Gierymski wyjechał do Monachium, skąd miał nadsyłać niektóre rysunki. Wyjechał w stanie wielkiego zmęczenia, zdenerwowania i, jak się potem pokazało, z dużą przepełnioną po brzegi materyałem na obłęd.

Pewnego też dnia, o godzinie szóstej rano, najniespodziewaniej zbudził Sygietyńskiego Gierymski, z twarzą zdręzioną i wyblakłą, wołając: — I ty nie?! I ty nie?!

Zanim przyszło do wyjaśnień, Gierymski wybuchnął nerwowym płaczem. W końcu opowiedział, że przychodzi prosto z kolei, przyjechał z Monachium, żeby raz ze mną skończyć w jakikolwiek sposób pojedynku czy czegokolwiek bądź, byleby raz się pozbyć mego przesładowania, tych obelg i zniewag, które nawet w Monachium nie przestają go dotykać. Jako fakt przytaczał jakąś zawiłą historję o jakiejś k. mizelce, którą mu ktoś przyniósł, a która, podług niego, była przysłana przeze mnie, była jakimś symbolicznym wyrazem tej pogardy, którą ja mu okazywałem! Słowem obłęd.

Sygietyński zaproponował mi, żeby po prostu widział się ze mną i rozmówił się, zanim coś postanowi. Gierymski się zgodził, ale do mieszkania zejść nie chciał. Podczas kiedy Sygietyński opowiadał mi, co się stało, widziałem go chodzącego niespokojnie po ulicy. Wyszedłem i powitałem go, oczywiście równie serdecznie jak dawniej. Na nim znać było ciężką mękę: blada twarz drgała, a okrągłe, wypłowiałe oczy patrzyły z niepokojem, żalem, jakąś niepewnością, czemś tak żalosem, a razem chwilami hardem i złośliwym, że cała treść jego nieszczęsnej, męczącej się duszy, była w tych oczach wypisana. Poszliśmy do tej knajpy, w której zwykle siadywaliśmy, i tam po prostu serdecznie i otwarcie rozmówiliśmy się z nim, dowiedliśmy, przekonaliśmy go, że to jest choroba, że teraz w tej chwili jest jeszcze czas, żeby złapać lecącą w obłęd duszę, i póki on ma tę świadomo-

mość, póki może to rozumieć, niech się leczy. Biedny Oleś! Z jaką dobrą, uspokojoną twarzą szedł potem razem z nami do doktora Gajkiewicza na konsultację. Odprowadziliśmy go do drzwi i dopilnowaliśmy, żeby wszedł, żeby go nie porwał jakiś wstyd przyznania się do stanu, w jakim się znajduje, i żeby ta chwila świadomości i opanowania się nie rozwiązała w powrotnym napadzie obłędu. Nazajutrz pożegnaliśmy go na kolei w drodze do Wiednia, dokąd pojechał leczyć się z porady d-ra Gajkiewicza. Co robił w Wiedniu, jak i u kogo się leczył, nie opowiadał nigdy. Jedynym epizodem, o którym mówił, była humorystyczna historia o nieskutecznym leczeniu się na solitera u jakiegoś wiedeńskiego szarlatana. Gdyż Gierymski był imaginatykiem na punkcie chorób i nieraz przechodził rozmaite wątplenia co do swego zdrowia, wątplenia, do których wstydział się przyznać, podejrzliwie jednocześnie słuchając i kombinując w pamięci wszelkie uwagi, jakie mu co do jego wyglądu i zachowania się robiono.

Będąc w Wiedniu, przygotowywał niektóre prace do „Albumu”, a chociaż to było już po ostatecznem, zdawało się, porozumieniu, każda wątpliwość co do naszego stosunku co chwila przezierała z listów.

„Mów ze mną tak, jeżeli naturalnie możesz, jak gdyby nic między nami nie było nigdy”—pisał, i dodawał: „Może ci się co niedodobało w moim poprzednim liście, powiedz”. Nawet, pisząc o sprawie „Albumu”, co do której nie było już żadnej wątpliwości, gdyż była w robocie, nie może powstrzymać pewnych drgnień nieufności i podkreślenia, że mu ostatecznie na tem nie zależy. „Słuchaj, chcesz te rzeczy, o których zdaje mi się kiedyś mówiłeś, morskie: młodego ze starym na plecach z Heist? Ale z Twojego listu zdawało mi się, że Ci to *ganz Wurst*. Nie żenuj się tego. Chciałem je skończyć przed moim wyjazdem z Wiednia, żeby mieć gotowe pieniądze,—bo od was jedynie mogę mieć je zaraz, na inne muszę czekać. Seryo, jak nie chcesz, nie bierz—tem więcej, że nie będę żadnych starań dokładał do zrobienia dobrze, jak to już widziałeś z Warszawy, którą ci posłałem. Byłem gawron, zem Ci pozwolił robić tę całą głupią historię!”

„Historia” nie była wcale głupia, a obietnica, że nie będzie się starał robić dobrze, była tylko wyrazem tej hardej nieufności, która, czuć, jak mu w miarę pisania listu pod piórem rośnie. Gierymski nie umiał robić lichy i niedbale, wkładając we wszystko, czego się podejmował, całą sumę swego talentu i umiejętności. Potrzebowałem jego fotografii dla zrobienia portretu do „Albumu”. Odpisuje mi: „Co do fotografii, to tu są tak drogie, że mi szkoda pieniędzy na to wydać. Co tam! weź tę starą, rozstaw ślipsea,—no i dla... podkreć wąsy!”

Ostatecznie rysunki się kompletowały, drzeworyty się robiły i sprawa, choć przewlekana, dobijała do końca: „Album“ można było oddać drukarni. Nie wypadł on tak dobrze, jakbyśmy chcieli. Brakło mi doświadczenia w sprawie druku i papieru; techniczne trudności z fotografiami na drzewie, bardzo jeszcze u nas prymitywnymi, stawiały nieraz nieprzewyżnione przeszkody najlepszym siłom drzeworytniczym i najlepszym ich chęciom. Bądź co bądź, „Album“ ten jest jedynym dokumentem do historii dwóch świetnych talentów polskiej sztuki i dał możność wypróbowania naszych środków w wydawnictwach artystycznych. Drzeworytnictwo nasze miało doskonałych i wypróbowanych pracowników, mogących się mierzyć z najtęższymi siłami zagranicznymi. Józef Holewiński w swoich portretach, drukowanych w „Wędrowcu“, pokazał, że dla niego nie istnieją żadne trudności, tam, gdzie chodzi o oddanie najsubtelniejszych tonów światłocienia, gdzie się wymaga najwytworniejszego stopienia modelacyi, a jednocześnie pokazał, że rytując *facsimile*, potrafi z bukszpanowej płyty wydobyć czystość i delikatność kresek akwaforty, co w drzeworytnictwie jest niesłychanie trudnem.

Drzeworytnictwo jest sztuką nadzwyczaj pracowitą, i czas, który na wykonanie płyty jest potrzebny, dla każdej skali talentu, jest proporcjonalny do delikatności i wykończenia, którego się żąda,—a jeżeli czas, więc i płaca powinna być odpowiednią, proporcjonalną. Drzeworytnicy z „Century“, którzy drzeworyt doprowadzili do szczytu doskonałości, i którzy służyli nam za wzór w dążeniu, zarabiali w owych czasach pięć do ośmiu tysięcy dolarów rocznie. U nas, przy najwyższej możliwej wówczas płacy: jednego rubla i dziesięciu kopiejek za cał, o takich zarobkach, rzecz oczywista, nie mogło być mowy. Cóż mówić o tej normalnej, przeciętnej płacy, która redukowała do minimum możność połączenia artystycznej pracy z zarobkiem, odpowiednim do potrzeb życia. Tylko najwyższa miłość do samej sztuki, przy zwykłych zarobkach, mogła utrzymać nasze drzeworytnictwo na tym poziomie, na jakim ono było wogóle, i wydać tyle rzeczywiście doskonałych robót. Drzeworytnicy uważani i traktowani byli jako niższy stopień składu redakcyi pism, i rzadko komu przychodziło na myśl, jak dalece ich praca jest artystyczną, chociaż wymagania stawiało się nieraz wielkie i wiadomo było, że drzeworytnik jest w stanie wszystko zniszczyć, a wiele rzeczy naprawić. Paroletnie istnienie „Wędrowca“ pod tym względem zmieniło o wiele stosunki na lepsze. Nie wynaleźliśmy nowych talentów, gdyż na to nie było czasu, ale te, co już istniały, zostały zużytkowane umiejętniej: praca ich została ocenioną, jako rzeczywiście artystyczna działalność, a zarobki podniosły się. Jak dalece inaczej te same siły zaczęły praco-

wać, widąc stąd, że po wydrukowaniu pierwszych naszych drzeworytów, nie wierzone, że są one wykonane w Warszawie.

Ostatnią instancją, w której rozstrzyga się los mającego być reprodukowanym obrazu, jest drukarnia. Może ona to, co w obrazie jest białe, zrobić czarnem, i naodwrot, wszystkie najczarniejsze cienie zrobić białemi plamami. Bajeczny w swej dokładności organizm maszyny drukarskiej, w którym jednocześnie działają potężne stalowe belki i zwykle nici do szycia, jest tak unormowany, tak subtelnie czuły, że grubość angielskiej bibułki, przyklejonej na walcu tłoczącym, już daje wyraźną zmianę tonu w odbitce. Maszyna ta robi wrażenie dziwnej istoty, o niesłychanie subtelnej, silnej i logicznej organizacyi, której centralny narząd, mózg inteligencya, nie jest z nią zrośnięty, — lecz pomimo to, włada tym skomplikowanym mechanizmem z bezwzględna ścisłością i sprawnością.

Kiedyśmy zaczęli drukować „Wędrowca“, nie miałem o tem pojęcia. Dopiero długie przesiadywanie na maszynie, wystrzyganie podkładek, czuwanie nad unormowaniem ciśnienia i ilością farby, nauczyło mnie trochę tej subtelnej a pracowitej sztuki, jaką jest drukarstwo. Pocziwy, inteligentny i chętny pan Stanisław Bleszyński, maszynista w drukarni „Braci Jeżyńskich“, tak się zapalał do otrzymania możliwie, w naszych warunkach, dobrego, wytwornego odbicia, że nieraz, kiedy już cały personel drukarni dawno się rozszedł i kotły zgaszono, myśmy jeszcze własnemi rękami obracali koło rozpędowe maszyny, dla otrzymania ostatecznej odbitki, która miała być k a n o n e m przy drukowaniu pisma. I w tym kierunku, amerykański miesięcznik „Century“ nauczył nas dużo, nauczył, że dotychczasowy sposób drukowania, który dążył do pedantycznego wydobywania wszystkich kresek płytki drzeworytu, nie jest ideałem, że trzeba dążyć do wydobywania tonu, koloru, światła, za pomocą ustosunkowania farby i ciśnienia, i że, jeżeli tego trzeba, można dla wydobywania światła przesiać, to jest drukować tak lekko, że ledwie będzie znać przecinającą się siatkę drzeworytu.

Wogóle, „Wędrowiec“, żeby istniał dalej i rozwijał się w powziętym na początku kierunku, mógł-by był stać się ogniskiem odrodzenia i udoskonalenia całego naszego ruchu wydawniczego. Niestety, „Wędrowiec“ upadł, upadł raczej ze względów administracyjnych, gospodarczych, a chociaż naraził wydawców na duże straty, mogą jednak dziś mieć tę pociechę, że strat tych nie ponieśli na próżno. Radykalna zmiana pojęć o sztuce i jej teorii, wydobywanie na światło kilku talentów, pokazanie najlepszych prac drzeworytniczych w chwili przełomowej, kiedy drzeworytnictwo miało upaść, wyparte przez nowe sposoby reprodukcji, to są niedające się zaprzeczyć

dotądnie skutki paroletniego istnienia „Wędrowca“, w rękach ówczesnych wydawców.

Wracając jeszcze do drzeworytnictwa: Dlaczego nikt nie zabierze się dziś do napisania jego historyi u nas, dziś, kiedy po składach redakcyjnych leżą jeszcze masy nie zniszczonych płytek, kiedy jeszcze żyje tylu ludzi, którzy tę sztukę sami zrobili i mogą opowiedzieć, jak ona powstała i jak zginęła. Jest to zamknięty, skończony okres istnienia pewnego pierwiastku cywilizacyjnego, który zasługuje na zbadanie i zachowanie od niepamięci. Badania nad sztuką są u nas ciągle tak związane z zagadnieniami archeologicznymi, że rzeczy, których nie przegryzła pleśń wieków, których nie stoczyły kołatki, wydają się ludziom wciąż za świeże do studyowania. Dziś robią się skrzętne i drobiazgowo poszukiwania nad odbudowaniem z ułamków, okruchów, resztek, całości jakiegoś dzieła sztuki dawnych wieków, i biada się słusznie nad tem, że czas i ludzie tak strasznie te zabytki dawnej twórczości zniszczyli. A tymczasem dokoła nas żyje i w naszych oczach ginie taki objaw arcyzmu, jak polskie drzeworytnictwo i nikt nie zajmie się ocaleniem go od zapomnienia, nikt nie myśli, ile przyszłym historykom polskiej cywilizacji oszczędziłoby trudu, przechowując współczesne mu dzieła, notując nazwiska, czyny, daty i zdarzenia, towarzyszące im lub warunkujące ich powstanie. Przypatrzmy się dziś pracy historyków sztuki. Jakich trudów kosztuje ich zdobycie jakiegoś szczątka dzieła sztuki z przed kilkuset lat; na jak subtelnych rozumowaniach z ledwie dostrzegalnych faktów opierają się ich wywody; jaki zasób pracy i cierpliwości wkładają oni w wyjaśnienie całkiem w teorii sztuki drugorzędnych rzeczy, jakiejś daty lub miejsca powstania rzeźby, obrazu, miedziorytu czy strzępka tkaniny. W dodatku jest to często praca bezskuteczna, jest to becicka bez dna, pochłaniająca góry erudycyi i morza dyalektyki po to tylko, żeby ktoś inny, znalazłszy gdzieś nowy ułamek dzieła lub jakąś wzmiankę archiwalną, zbudował nową, odmienią co do danej sprawy, teoryę.

Drzeworyty do „Rozmów sprośnego Marchołta“ zdają się bezcennymi świadkami kultury, świetne prace Holewińskiego, Styfiego, Regulskiego, Zajkowskiego, Gorazdowskiego, Kleina i innych czekać będą znowu setki lat, nim ktoś się zabierze do badań nad niemi, przedzierając się przez gąszcze i zmroki niepewności, i zatartych świadectw, które w tej chwili są żywe, są pod ręką w rocznikach pism ilustrowanych, w takich wydawnictwach, jak „Album Matejki“, „Album Gierymskich“, jak ilustrowane wydania „Starej Baśni“, „Maryi“ i innych, w których często sztuka drzeworytnicza ma większą od ilustratorskiej wartość.

Po kuracyi w Wiedniu Gierymski pojechał do morskich kąpieli w Blankenberge, a głównie przebywał w Heist an Zee, gdzie zebrął mnóstwo motywów do ilustracyi i obrazów. Kiedy wrócił do Warszawy, był zupełnie innym, nowym człowiekiem. Jasna pogoda była mu ze zdrowej, ogorzałej twarzy, serdeczna ufność w stosunkach i zupełna swoboda w wypowiedaniu się. Nigdy go takim nie widziałem przedtem, ani potem, a z tego, co wiem o jego dalszych losach, z tego, co widać z jego późniejszych listów, okazuje się, że nigdy więcej nie przeszedł przez jego życie podobny promień ukojenia i zdrowia.

Byłem wtenczas chory i Gierymski od rana przychodził i zawsze z tą samą jasnością i bystrością spostrzegawczą, z tą samą siłą inteligencyi i doskonałym władaniem słowem, prowadził niewyczerpane dyskusye, albo świetnie opowiadał zdarzenia z dawniejszych lat swego życia we Włoszech, lub z ostatnich czasów pobytu w Wiedniu i nad morzem. Opowiadał z taką plastyką obrazów i z taką ciągłością akcji, z takim odczuwaniem stanu dusz ludzkich, z takim życiem, żeś ny go zaczęli namawiać do pisania. Nie chciał się wziąć do tego, ale skomponował cały szereg nowel, które opowiadał z pamięci tak, jakby je czytał z rękopisu lub książki. To komponowanie po literacku sprawiało mu szczególną przyjemność i przez szereg dni przychodził codzień z rana z nowem, gotowem opowiadaniem. Jedno z nich pod tytułem „Genia“ spisał Sygietyński, drukowaliśmy je z ilustracją Gierymskiego w „Wędrowcu“. Nie pamiętam dokładnie wielu innych; jedno miało tytuł „Aqua acetosa“, od miejsca, w którym się rzecz rozegrywała. W jednej z tych nowel był ponury, kapitalny obraz człowieka, który, w ataku malaryi, leży nad wieczorem, na pustym gościńcu rzymskiej kampanii i chce ucześcić się przejeżdżającego dyliżan-u, ale wszyscy jadący boją się zarazy, woźnica zacina konie i na drodze, w nadciągającej nocy i burzy, zostaje czerniejąca plama człowieka, skazanego na samotne konanie. Wogóle, wszystkie te nowele były komponowane na tle włoskiem i opowiedziane z precyzyą szczegółów, która wykazywała całą siłę jego pamięci, rzeczywiście nadzwyczajnej. Miał on szczególną słabość do geografii i z niezachwianą dokładnością i ścisłością potrafił wyliczyć wszystkie drobne miasta i miasteczka jakiejś pruskiej regencyi, nie mówiąc już o Włoszech, o których opowiadał tak, jak gdyby to był jego własny pokój, w którym wszystkie kąty są mu znane, do ostatniego drobiazgu. Wyliczenie wszystkich stacyi kolejowych od Warszawy do Rzymu nie przedstawiało dla niego żadnej trudności.

W umysłowości Gierymskiego leżała nadzwyczajna ścisłość obserwacyi faktów i jasność formułowania wniosków, wniosków, które pomimo całego jego subiektywizmu, w pierwszej chwili, zanim się za-

łamały w jakichś stronach uczuć, uderzały trafnością i prawdą. Pamięć zdarzeń, pamięć rzeczy przeczytanej dawały mu możność obejmowania dużego materiału dowodowego w uzasadnianiu sądów, wypowiedzianych bez żadnego konwenansu słów i form językowych. W zwykłej rozmowie umiał on paru wyrazami scharakteryzować człowieka i wartość jego czynu ze ścisłością i prawdą, nie dającą się naruszyć. Kiedy raz porównywano przy nim Chełmońskiego z innym znanym malarzem, Gierymski zawołał: „Chełmoński?—talent i odwaga! N. N.?—talent i bezczelność!“—zestawiając wartość dwóch natur ludzkich ze ścisłością matematycznego równania. Kiedy Wyczółkowski wystawił jeden ze swoich obrazów, takich, jakie malował dawniej, w świetnych plamach barw lokalnych, zharmonizowanych z kapitalnem poczuciem tonu i nazwał: „Obrazek, jakich wiele“, Gierymski zawołał: „O, pardon! to jest obrazek, jakich mało!“

Wogóle Gierymski, który tak łatwo o dziełach sztuki wydawał sądy ujemne, tchnące zupełną bezwzględnością, nie powodował się w tem jakąś zgryźliwością, tem stałem napięciem ujemnego krytycyzmu, który już z góry jest przygotowany na to, żeby się niczemu nie dziwić, a we wszystkim znaleźć rzecz godną potępienia. Przeciwnie, w pierwszej chwili uderzała go zawsze najlepsza strona obrazu i dopiero potem, rozejrzawszy się bliżej i rozważywszy ściślej, wypowiadał jeden z tych bezwzględnych, w jednym wyrazie streszczonych wyroków, jak naprzykład w liście z Monachum: „Sławny Roll—pies, Bonnat portret—driań, Gervais—lichy. Niemcy lepiej niż przeszłego roku, tylko za dużo okien holenderskich i oświetleń z tyłu—*banal!* Anglicy mogą zdziwić i podobać się, ale przez pierwsze pięć minut, mimo tego, *hier und da*, są zupełnie nieznanymi ludźmi doskonale rzeczy“.

Kiedy wchodził do czyjejs pracowni i od progu rzucił okiem na obraz, na razie zawsze zwrócił uwagę na najlepsze jego cechy, potem dopiero mówił:—Pardon!—i krytykował, a że w jego naturze leżała taka konieczna łączność i zgoda uczuć i wniosków rozumowych, więc stopniowo do jego zdania napływała domieszka ujemnego uczucia, i wtedy obraz sądzony był często bez żadnej apelacji: *driań!*

Ta jasność i szczerość, mieszaną z podrażnieniami uczuć, ta zdolność przedmiotowego ocenienia człowieka czy zjawiska i niezdolność przytem otamowania subiektywnych poruszeń czucia, jak była źródłem nieustannej zewnętrznej rozterki, tak była też przyczyną niejednej przykrości w życiu, w stosunkach z ludźmi. Był on skazany, w skutek swojej organizacji psychicznej, na błądzenie bez wyjścia w zaczarowanym lesie, gdzie czasem wprawdzie z góry wdzierały się promienie światła i rozsnuwał się skrawek pogodnego błękitu, lecz gdzie na każdym miejscu, z poza każdego pnia, wykrotu wyglą-

dała czająca się z mora cierpienia, niepewności, udręczeń, z każdego bagniska wstawała mgła wątpliwości i niweczyła wszystko dokoła.

To też jaśniejsze, spokojniejsze chwile w jego życiu są rzadkie; uświadamia on je wśród chaosu splątanych ujemnych wrażeń i stanów i cieszy się nimi. Z Wiednia, gdzie pojechał się leczyć i gdzie, pamiętając warunki, w jakich żył w Warszawie, rozważał, gdzie po świecie ma szukać lepszych stosunków, pisał: — „Po Włoszech pewnie nie zostanie nic, jak Ameryka. Im więcej sił, tem większe żądania i bez możliwości urzeczywistnienia. Cieszę się tylko, że we mnie coraz mniej goryczy, więcej spokoju“.

Kiedy Gierymski, wyleczony i ożywiony, pozostał znowu w Warszawie, zabrał się do malowania „Trąbek“ dla hr. Milewskiego, które były powtórzeniem obrazu malowanego dawniej, a będącego własnościami Władysława Matlakowskiego, jednego z tych nielicznych ludzi, którzy się w owych czasach do sztuki pasjonowali, ceniąc nadewszystko Gierymskiego i Chełmońskiego. Jednocześnie z „Trąbkami“ zaczął też doskonały portret Artura Gruszeckiego, wydawcy „Wędrowca“, który właśnie upadał i przechodził w inne ręce. Razem z tem rozpoczął się związek szczególnych stosunków, które zaczęły jednoczyć coraz większą grupę ludzi, dążących do jednakich celów, celów mało jeszcze uświadamianych w społeczeństwie, a dla których osiągnięcia posiadanie pisma, wydawanego bez interesów spekulacyjnych, było najdzielniejszym środkiem, jak było jedynym warsztatem do pracy dla ludzi, którzy dążyli do zupełnego wypowiedzenia swojej indywidualności, do najswobodniejszego przejawienia myśli. W tej przełomowej dla pisma chwili umieściliśmy w „Wędrowcu“ kopię, nie pamiętam z czyjego obrazu, zatytułowanego: „Wędrowiec na rozdrożu“, a przedstawiającego nagiego człowieka, zbląkanego w jakiejs pustce. Dla nas, którzyśmy pracowali w „Wędrowcu“ i wiedzieli dokładnie wszystkie okoliczności, w jakich pismo i wydawca się znajdowali, był to symboliczny znak, wyrażający dokładnie położenie. Razem z upadkiem „Wędrowca“ zginęło całe mnóstwo spraw, celów, prac, któreśmy wspólnie mieli przeprowadzić, myśli, któreśmy wspólnie rozwijali, i każdy wracał do swego osobistego, samotnego warsztatu i na własną rękę miał dalej robić to, co zamierzał. Całe też mnóstwo wspólnych interesów, które nas codziennością ściągały do jakiegoś kąta w domu, czy w knajpie, zginęło. Gierymski malował, a wieczorami grywał w milczeniu w szachy, z dotychczasowymi towarzyszami ożywionych i energicznych dysput. Przychodziłem tam rzadko, a chcąc rozerwać tę milczącą nudę, która wisiła nad szachownicą, rzucałem jakieś tak krańcowe zdanie z teorii sztuki, że Gierymski nie mógł wytrzymać i porzuciwszy pionki i laufry, wpadał na

mnie z pasyą. Gierymski, który miał tak trafny, tak niezachwiany sąd o wartości malarskiej obrazu, w ogóle o wartości artystycznej każdego dzieła sztuki, w formułowaniu ogólnych zasad teorii sztuki miał jeszcze wtenczas zastrzeżenia, wynikające z tej jego realistycznej konsekwencyi układu obrazu i z uznawania tego, co jest, lub nie jest motywem malarskim, na podstawie tego, co przemawiało bardziej do jego osobistych upodobań, co było zgodniejsze z jego temperamentem. Moje bezwzględne uznanie niezależności indywidualnej i twierdzenie, że prawda obrazu nie polega na prawdziwycy sytuacji, były jeszcze wtenczas dla niego pojęciami, które mu zdawały się zbyt szerokie, niekonsekwentne, sprzeczne i wywoływały za każdym razem gwałtowną polemikę.—Pardon!—wołał. Więc ja tu mam kotlety, a sam siedzę tyłem odwrócony do stołu, a tu jakaś driań unosi się na pół łokcia w powietrzu! I to ma być obraz prawdziwy?

Dyskusya z nim była interesująca i dawała możność wypróbowania wypowiedzianej tezy, tak pod względem logicznym, jak i pod względem obszaru faktów, które ona obejmowała, gdyż Gierymski rozumował logicznie, polemizował z wielką swobodą i umięjętnością, władał myślą, a znał sztukę doskonale i mógł zawsze wystawić całe baterye faktów przeciw faktom przeciwnika. Ostatecznie, z czasem, kiedy już czytał to wszystko w książce i mógł spokojnie przerobić w myśli całą tę sprawę, pisał:—Dobrze, że ci książkę puścili, potrzebna była (bardzo w niej pięknie wyglądam). Książka trzyma się kupy zupełnie; myślałem, że w artykułach będzie trochę niekonsekwencyi, w sztuce to tak łatwo—nie. Napisz, czy idzie.

Kiedy w jakiś czas po upadku „Wędrowca“ zostałem kierownikiem artystycznym „Kłósów“, gdzie w najgorszych dla przeprowadzenia artystycznych zadań warunkach męczyłem się przez pół roku nad wyprowadzeniem pisma z bagna, w którym było ugrzęzło i starałem się rozpocząć w „Wędrowcu“ sprawę rozwiniąć, rzecz oczywista, przedewszystkiem myślałem o Gierymskim.

Miałem z dawnych lat plan wydania książki o Warszawie, Warszawie żywej, obecnej, tak, jak ona w starych murach drga nowem życiem, jak ogarnia sąsiednie pola swemi ohydnyemi kamienicami; jak cierpi i jak się cieszy, z całą szczytnością i całym plugawstwem, jakie w niej istnieje; od poddaszy do piwnic, od pałaców do dziur w wiślanych brzegach, w których guije zdziczała, zjadana przez wszy i choroby ludność. Słowem, dania całkowitego obrazu tej rzeczy dziwnej i potwornej, jaką jest wielkie miasto; wydobyć na jaw tych krain, graniczących z sobą, a nic o sobie nie wiedzących; ukazania w słowie i obrazie tych dziwnych sprzeczności zjawisk, tych szczytów myśli i czucia i ciemnych przepaści zdziczenia i upodlenia. Pokazanie ludzi

żywych wszelkiego rodzaju, od bogaczy, którym się z przejedzenia strawa wraca na brzegi ust, do nędzarzy, którzy wyszukują resztki nieogryzionych kości po śmietnikach; od sióstr miłosierdzia z duszą prostą, zatopioną w miłości i współczuciu dla nędzy i cierpienia, do biednych kobiet, sponiewieranych w błocie ulicznym, przez niemilośmierne i złośliwe stosowanie praw społecznej etyki. Słowem, ukazanie Warszawy żywej, zmiennej, ruchliwej, dygocącej takim szalonym temperamentem, tak czasem szczytnej i wzniosłej i tak nieraz płaskiej i pospolitej.

Kiedy pierwszy raz powziąłem ten zamiar, nie myślałem, że sam będę pisał, chciałem się stowarzyszyć z jakimi literatami i p r z e ży ć wspólnie tę całą Warszawę, a następnie stopić ilustracje z tekstem na jeden wyraz, na jedno wrażenie. Teraz naodwrot chciałem pisać, zostawiając ilustracje innym. Myślałem zrobić to z Gierymskim, z Podkowińskim i Pankiewiczem; poddawałem im rozmaite temata, proponując, żeby na własną rękę zbadali pewne strony życia i zebrali ilustracyjny materiał. Naprzykład: wziąć ogłoszenie Biura o nędzy wyjątkowej i pójść od piwnicy do piwnicy, od nory do nory, i pokazać, jak to wygląda: „Wyrobница, chora obłożnie, dzieci drobnych pięcioro, mąż w szpitalu dla obłąkanych“... Było-by czem zatargać najgrubsze nerwy i poruszyć najbardziej zapłynięte egoizmem sumienia. Wydobyć na wierzch to życie ludzi nieznanych, drobnych kółek, bez których życie olbrzymiej maszyny miejskiej nie mogło-by się ruszać. Kto sobie zdał kiedy sprawę, co znaczą słowa: „Latarnie miejskie palą się od godziny 5 minut 30 do 7 rano?“ Kto, kiedy zastanowił się, jak się one zapalają, czyja ręka i kiedy wytarła to szkło i jakim cudem o godzinie 5 minut 30 nagle rozpala się tysiące płomyków w długich szeregach? A dawny stróż warszawski, który z jednej strony był ostatniem ogniwiem policji, a z drugiej częścią, i to zasadniczą, miejskiej kanalizacji, którego miotła zastępowała spadki ścieków i pędziła wbrew hydraulicce cuchnące i brudne zlewy ku Wiśle, a który jednocześnie był niewolnikiem służącym gospodarza i sumieniem olbrzymiej kamienicy, gdyż na jego ucziwości spoczywało bezpieczeństwo i spokój setek mieszkańców. A Warszawskie targowisko, a Wisła, a konie—słowem wszystko. W „Wędrowcu“ i „Kłosa ch“ pozostały rozmaite próby urzeczywistnienia tego planu, zrobienia tego obrazu żywej Warszawy, ale tylko próby. Podkowiński rysował i latarnika, rozpraszającego mroki wieczorne, i stróża, i śmieciarkę; Gierymski rysował też śmieciarkę, zresztą on miał ogromny zbiór szkiców i pomysłów do zapełnienia setek stronici takiej książki; ja próbowałem opisywać i rysować konie, targowisko za Że-

lazną Bramą, ale „Wędrowiec“ upadł, a z „Kłosoś“ po półrocznych walkach usunąłem się.

Zanim to jeszcze nastąpiło, mieliśmy zamiar z Gierymskim opracować dobroczynność Warszawską. Poszliśmy więc do Towarzystwa dobroczynności i tam, oprowadzani przez siostrę miłosierdzia, poznaliśmy, na razie ogólnie, wszystkie rodzaje biedy, wszystkie rodzaje starzyzny ludzkiej, ciał zestarzałych, dusz wynędzniałych, od cynicznych dziadów, z zazdrością głodnych zwierząt zaglądających w miski sąsiada, do rzeczywistej dramatycznej nędzy ludzi, którzy przeżyli swoje życie w czynach wzniosłych i dobrych, przeżyli silnie i, nie mając ani sił do dalszej walki o istnienie, ani zaoszczędzonych środków, a możliwości rzeczywistego umarcia, poszli do tego składu zszarżanych istnień ludzkich, do archiwum wyblakłych i zbutwiałych, rozsypujących się szpargałów, jakimi są wszelkie przytułki. Spokojna, łagodna, ale stanowcza twarz siostry miłosierdzia zdawała się unosić na białych skrzydłach czepca, który jak jasny ptak leciał cicho przez szare i duszne korytarze. Nikt nie może sobie wyobrazić, ile fałszywej pokory, udanej skromności, jakie skulenie duszy i ciała, jakie rozmyślne poniżenie ukazywały się wszędzie, tam, gdzie zajaśniało białe nakrycie głowy dobrej siostry. Widzieliśmy tam dziwnych ludzi, których przedtem widywało się na ulicach Warszawy z pozorami dobrobytu, spotykaliśmy znajomych dawniej modeli, przeżywających razem ze znanymi malarzami chleb miłosierdzia. W jednej z sal, na tle ogromnego, jasnego półkola okna, ujrzelśmy ostrzyżoną, rudą głowę i odstające, przeświecające się czerwono uszy żydka, przed nim zapadła w fotelu siedziała ociemniała staruszka, nauczycielka, która po dziesięć groszy za godzinę dawała lekcye biednym chłopcom z Nalewek, przyszłym może sławnym bogaczom i potentatom giełdowym. Żydek jękał się nad wypisami, a staruszka miłym, dźwięcznym głosem poprawiała mu akcent. Gdzieindziej zdzieciniałe ze starości babcie ze szronami szurpatych główek kapusty, z zapadłymi oczkami, darły pierze. Olbrzymi Chrystus patrzył z Krzyża na te zgrabiałe ręce, które automatycznie skubały kacze i kurze piórka w tumanie drobnych puszków, unoszących się w powietrzu. Widzieliśmy jadalnię w czasie obiadu, słyszeliśmy mlaskanie setek ust, warkot zwierzęcej energii setek szczęk i zębów. W innej części gmachu dobra siostra pokazała inny obraz—dzieci, sieroty wychowywane w przytułku towarzystwa. Gdziekolwiek się zwróciło, wszędzie cudowny materiał dla malarza i dla pisarza. Nietylko pod względem typu i charakteru ludzi, malowniczości ich postaci, na których życie wypisało dziwne zygzaki, lecz również całe to tło, jako malownicze zestawie-

nie plam barwnych, jako ciekawe studjum szczególnych zjawisk światłocienia — wszystko było nad wyraz interesujące.

Gierymski wyszedł zapałony do tej roboty. Z tą, jemu właściwą, jasnością uogólniania i precyzją szczegółów, zaczął w pierwszej z brzegu kawiarni obgadywać plan całej roboty, wyliczając na palcach, jak miał zwyczaj, wszystko, co będziemy mieli do zrobienia. Był to materiał bogaty, z którego oprócz ilustracji do zamierzonej pracy, powstałby napewno nie jeden obraz Gierymskiego. Niestety! nic z tego nie zrobiliśmy. Zerwanie z „Kłosa mi“, ostateczne zniechęcenie do podobnych stanowisk, przeświadczenie, że takiej maszyny w tych warunkach wydawniczych z miejsca ruszyć niepodobna, w końcu moja choroba zakończyła ostatecznie tę krótką chwilę wspólnych prac i dążeń. Rozjechaliśmy się. Gierymski jakiś czas próbował osiedlić się w Krakowie, potem przez Monachium, Paryż, Rzym włócił swoje męczące życie, pozostały nam listy, które po paru latach urwały się.

Dziś, odczytując je, czuję jasno, że względem Gierymskiego stała się niesprawiedliwość, skutek niezupełnego rozumienia go, nie właściwego oceniania jego natury, niedostatecznego współczucia jego uczuciom. Dziś dopiero z całą jasnością mogę ocenić tę głęboką potrzebę współczucia, którą on odczuwał, tę zdolność przywiązywania się, tę jakąś biedną słabość, z jaką szukał przyjaznego człowieka, a co wszystko kryło się pod temi szczególnymi pozorami hardości, siły, pod tym ciągłym strachem, żeby się nie okazać zależnym, lub żeby nie okazać dobrego wzruszenia, w obawie, że może być ono odtrącone pogardliwie. Dziś widzę, jak źle się stało, że się nie utrzymało to zbliżenie, że się go opuściło, kiedy stosunki artystyczne u nas zmieniły się na lepsze, że się nie skorzystało z tego i nie próbowało usunąć z jego życia tego ciężkiego, bolesnego nieporozumienia, które go oddzielało od własnego społeczeństwa i które stanowiło jakżeby wielką chmurę, zasłaniającą przed nim wszelkie jaśniejsze widnokreśli życia. Nieporozumienie to, w połączeniu z fatalistycznymi wrodzonymi właściwościami psychicznymi, stanowiło tę wiecznie otwartą przepaść, w którą ciągle się staczał, po chwilowem uspokojeniu.

„W roku 1891 pisał z Paryża:— „Za książkę i dobre słowo dziękuję Ci bardzo, nie pisałem, bo nie warto pisać przy psim humorze. Przeszedłem ja masę katzenjammerów w tym czasie, może nigdy takich nie miałem, szczęściem nie skomplikowanych z biedą, jak bywało. Idzie mi nieźle, co miałem sprzedałem, szkoda tylko, że już nie mam nic więcej do sprzedania; małe tu ceny, Warszawskie, ale żyć można. Ale te katzenjammary! O Jezu! Wyobrażałem, że mi

z tym obrazem trudno będzie, ale nie w tym stopniu, dochodzi się do zupełnej apatii. Teraz pójdzie już, zdaje się, nie będzie tak, jak myślałem, ale niech spróbuje kto to zrobić, to zobaczy, co to za choroba! Lżej mi trochę, więc piszę do Ciebie i mówię o tem“.

W czasie tego pobytu w Paryżu, nieraz wraca w jego listach świadomość, że nie tylko jest mu lepiej materyalnie, ale i poczucie, że w nim samym jest więcej spokoju, więcej zdrowia i możliwości wytrzymania w życiu i pracy.

W liście z r. 1891, pisze znowu:— „Słuchaj, nie miejże mnie za driania, że Ci ciągle piszę o sobie i moich biedach, kiedy ty tam siedzieć musisz i pewnie nie wiele robisz; pocieszam się że z nieludzkich czynów, to jeden z mniejszych. Wogólności, od niejakiego czasu wypogodniałem, mogę jako tako żyć ze sobą i nie znęcam się już tak, jak dawniej. Znajduję od czasu do czasu w sobie jakiś przymiot nie do odrzucenia. Nie sądzę, żeby tak wyglądała śmierć zdaleka i wszystko, co przedtem idzie: trwanie sił, energii, — przeciwnie, czuję to dobrze przy robocie obrazu. Przychodzę do niego tylko z większą wiedzą i zdecydowaniem. Jakżeż ja się przez całe życie nad sobą znęcałem. O ile mi teraz zaczyna być lżej. I to prawda, że zaczynam na równi, jeżeli nie więcej, jak ambicyę, cenić niezależność; im się mniej może znosić ludzi, tem mniej się ceni ich sąd, a więcej środki, pozwalające żyć od nich dalej, z naturą i sztuką samą. Piszę Ci o tem, bo jak jest, tak jest, źle czy dobrze, przyjemnie jest trochę siebie rozumieć i wiedzieć, jak się bronić od niepokoju ciągłego“.

Ale rozumieć i wiedzieć to wcale nie znaczy umieć się bronić od niepokoju, bólu i szarpaniny, wynikającej, jako fatalna konieczność, z psychicznego ustroju. To też Gierymski po dniach ukojenia wpadał znowu w znęcanie się nad sobą i wszystkim, i jeśli w takich razach każdy spotkany Polak zdawał się mu „psem“, to nie dla uzasadnionej rozumowemi dowodami przyczyny, tylko wskutek nieszczęsnego stanu jego duszy, przesłaniającego całkowicie możność jasnego pojmowania tego, co się dokoła niego dzieje.

W innych listach donosi o powrocie wśród krytyków, o licznych zgłaszających się o kupno obrazów amatorach, — słowem, zdaje się, że się tam stopniowo zaaklimatyzuje, że, przebolawszy raz tę rozpaczliwą rozterkę z własnem społeczeństwem i uświadamiając dobrze, co zyskuje w Paryżu, jako artysta, że się z tą nową sferą życia zgodzi ostatecznie. „To, mój kochany, com pisał dawniej do Ciebie, szamoczając się, bo mi tak żal było wielu rzeczy, dziś piszę spokojniej. Co za los parszywy: ja, który tylko tu mogę

mieszkać żeby mózż żyć, ze spokojnemi nerwami, dostałem się tu tak późno.

„Niech różną w skórę, wszystko jedno, aby było za co żyć i dalej robić. Ja tych szelmów (Francuzów) tylko szanuję. Gdybym tu coś dostał, kpiłbym ze wszystkich innych sukcesów. Dłużej żyjąc wśród nich, widzi się ich szaloną wiedzę artystyczną, i choć z początku trudno — trudno, zgadza się nareszcie na rolę uczniaka wśród nich, uczniaka, w każdym razie z talentem, z którym może coś zrobić. Nie to parszywe barbarzyństwo w sztuce, którego się tyle widzi poza Francją, — nadęte, wrzeszczące. Jechał go kat!“

Dostał się tam późno, ale dostawszy się w ten wielki wir artystycznego życia, nie zginął w nim, jak kropla w wirach oceanu, — odrazu go dostrzeżono, od razu miał wyraźne i zaszczytne miejsce w świecie artystycznym; on tymczasem nie żywa się z Paryżem tak, żeby zapomniał o kraju, żeby mu było wszystko jedno, co o nim tam myślą; ani na chwilę nie czuć w nim tego pogardliwego machnięcia ręką ludzi zrezygnowanych, którym pełna miska na obczyźnie przesłania pamięć własnego społeczeństwa, — przeciwnie, myśl jego wracała ciągle do miejsca z którego wyszedł z tak poszarpaną duszą, i ciągle szukała przyjaznego echa.

W jednym z listów pisze:— „Czy naprawdę Chełmoński robi rzeczy dobre w kolorze? Interesuje mnie to i ze względu na niego, a także i dla tego, że czytałem sprawozdanie Czesława Jankowskiego, w którym mnie już w porównaniu jak psa traktuje. Za wcześnie. Nie tyle to biorę do serca, ile robię spostrzeżenie.

I znowu, spotkawszy się z taką o sobie wzmianką, cofa się ze wstrętem i pisze: — „Jakże lepiej jest pracować na wielkim świecie! Choćby się nie nigdy nie dostało, najmniejszy sukces robi przyjemność a baty mało boją, bo się jest wśród tylu takich dzielnych ludzi, którzy także je dostawali. Traci się tę obawę i niepewność, jaką się ma, żyjąc wśród głupstwa ludzkiego, które nie wiadomo z której strony zaczepić.

A jednak to całe wyrozumowanie, stwierdzanie, że jest lepiej, jest właściwie wmawianiem w siebie, jest teoretycznym określeniem zmiany stosunków w otoczeniu, stwierdzeniem istnienia pewnych materialnych faktów. Nie czuć w tem i niema wcale tego prostego, czystego, jasnego uczucia zgody, które jednym słowem wypowiada to, co stanowi istotę naprawdę szczęśliwego życia. Już to samo, że on potrzebnje pisać do kogoś w kraju, że się nie może tam żyć i pobratać, i to, co stanowi najistotniejszą, najgłębszą część życia, musi przesłać gdzieś pod Tatry, to samo wskazuje, że Gierymski, oceniając

jasno to, co go, jako artystę, dobrego w Paryżu spotyka, jako człowieka czujący, ciągle gdzieindziej szukać współczucia, bez którego żyć nie może, którego pochwała nie może zastąpić.

Jest to bardzo ciekawy i znamienity rys w życiu Gierymskiego i Chełmońskiego, że ta obca sfera, w której znaleźli, jako artyści, to wszystko, czego im nie chciało dać własne społeczeństwo, że ta obca sfera nie mogła ich do siebie przywiązać i całkowicie pochłonąć. Nie stało się z nimi jak się stało z tylu innymi, naszymi i nie naszymi artystami, którzy, ugrząźszy wszystkimi osobistymi więzami w Paryżu i Monachium, traktują kraj tylko jako kopalnię ciekawych i popłatnych na rynku sztuki motywów. Chełmoński, który od pierwszego występu w Paryżu staje się sławnym, który jest tam otoczony dobrobytem i czcią największych artystów, pozostaje ciągle tym dzikim z pól i lasów polskich człowiekiem, noszącym po Paryżu nieustanną tęsknotę za tem życiem wsi polskiej. Koło jego pracowni, na *Avenue l'Impératrice*, skowyczą sfory chartów i kundysów, przypominające psiarnię dworską jakiegoś zacieklego, ukraińskiego szczwacza. Jest on niezdolny do przyjęcia tych form istnienia, tych form cywilizacji, której jego talent staje się konieczną ozdobą. Podczas kiedy jego obrazy zajmują honorowe miejsca na ścianach rozmaitych wyrafinowanych bogaczy Paryża, Londynu, Nowego Yorku, on, który mógłby zabudować się w Parc Monceau i być jednym z potentatów kolonii artystycznej w Paryżu, on ciągle jest tym najemnym dziwakiem, któremu jeden z francuskich artystów pisze, chcąc go dotknąć: „Vous êtes un moujik“... Ale w Chełmońskim była rzeczywista pogarda dla tej cywilizacji, była istotna, elementarna siła „człowieka ziemi“, takiego, który, chociażby potrafił używać swego dobrobytu z cynizmem ludzi wyrafinowanych, wśród kultury wielkowiejskiej, nie przestaje gdzieś w głębi duszy słyszeć skowyczącą za skrawkiem płowego nieba tęsknotę, nie przestaje czuć, że nie tu, ale w jakiejś tam *W ó l c e*, jest najbliższy świat i najwłaściwsza forma bytu... Jego interesa materialne i egoizmy czepiają się koło Paryża, oplątują go, ale na to, żeby tam pozostać i dać się pochłonąć, trzeba innej natury, potrzeba pewnych pierwiastków kultury, których w nim niema. I ta niemożność współżycia z paryskimi stosunkami i ludźmi psuje to, co mu tam dają, podkopuje jego talent i ostatecznie wygania go do kraju, dzięki czemu i talent, i człowiek ocalał.

Gierymski przeciwnie, jako człowiek miejski, nie miał tych wszystkich pierwiastków dzikości człowieka czystego wiejskiego. Owszem, kultura, kultura właśnie taka, wielkiego, najbardziej wyrafinowanego miasta, była to właśnie sfera, w której on żyć potrzebował, którą jedynie jako najwłaściwsze dla siebie otoczenie uważał.

I w tem ognisku, skupiającem w sobie najwyższe szczyty artystycznego świata, największą sumę cywilizacyjnych promieni, w tem ognisku znajduje on wszystko, zdawało-by się, czego szukał: uznanie, dobrobyt, otoczenie artystyczne, cześć dla tego wszystkiego, co ponad brzegi przepelnia jego duszę.

I cóż stąd? Gierymski pozostaje tam obcym, nie umie on z tego korzystać, nie umie płynąć z tym szerokim prądem życia; nie umie gospodarzyć na swoim talencie, jak dobry i zaradny gospodarz na folwarku, nie umie swego warsztatu umieścić z odpowiednim szyldem, na właściwym punkcie i używać tak jak używają inni. On, z takim talentem, z taką szaloną umiejętnością malarską i wiedzą artystyczną, nie może sobie wykrajać tyle pewności jutra, tyle trwałych stosunków, ile ich mają małe talenty, inteligentnie i sprytnie przepychające się przez życie i zajmujące coraz poważniejsze stanowiska. Gierymski pozostaje ciągle tym samym niespokojnym, niepokodzonym, niezadowolonym człowiekiem, człowiekiem, który nigdy nie myśli, że już doszedł do kresu, że już jest poważnym panem, mogącym zająć miejsce po dawniejszych podragach i spokojnie odcinać kupony od sławy i powodzenia. Nie, on ciągle gdzieś się wyrывa, ciągle mu się zdaje, że trzeba iść dalej i czynić coraz lepiej. On ma tę ambycję, której natężenia nie rozluźnia pochwała i powodzenie. Są ludzie, którzy siebie szanują proporcjonalnie do szacunku, który im okazują inni—tacy „dochodzą“ i zostają z przyjemnością powagami. W Gierymskim nie było śladu tego. Cieszy się on powodzeniem, bo mu to daje chwilę przyjemności moralnej i spokoju materyalnego, ale szanuje swój obraz tylko za to, co sam wie, że w nim jest dobrego. Dla konwencyonalnej uznanej powagi miał on zawsze wstręt i pogardę, którą odczuwali ci, dla których ona była koroną życia. Odczuwali ten niepokój ciągłego porywu naprzód i bezwzględność krytycyzmu i nie mogli go znosić, a mówiąc o nim, nie używali innego epitetu tylko: „pyszalek“.

Nie miał on praktycznego zmysłu życia, nie miał wewnętrznego spokoju i łatwości współżycia z pierwszym lepszym człowiekiem; zdolności pogodzenia się z temi warakami życia, które, zaspakajając pewne i bardzo ważne jego pragnienia i potrzeby, nie zaspakajają jednak całkowicie. Był on za głęboko uczuciowym, zanadto poważnie brał życie, pomimo wszystkich cynicznych słów, które o niem wypowiadał, pomimo lekceważącej ironii, z jaką traktował te właśnie warunki życia, które mu były potrzebne najbardziej.

Ostatecznie na obczyźnie, jeżeli miał lepsze chwile, jeżeli gdzie czuł się wśród atmosfery bliższej i przyjemnej, to jedynie w domu A bakanowicza, u którego w ostatnich latach częściej roku zawsze spędzał

dzał, otoczony serdeczną, przyjaźną opieką. Śmierć Abakanowicza wywarła też na Gierymskim wstrząsające wrażenie i bardzo prawdopodobnie była przyczyną, która przyspieszyła koniec jego męczącego się życia.

Cokolwiek złego można powiedzieć o czasie i środowisku, w którym Gierymski żył, trzeba jednak stwierdzić, że, bądź co bądź, życie mogło mu dać więcej dobrego, — żeby on je umiał znieść, żeby nie fatalne wrodzone właściwości i ta zatajona, ludziom nieznana, przyczyna, dla której ciągle posądzał wszystkich o niechęć i pogardę dla siebie.

Los do wielu ludzi może powiedzieć to, co mówi Chochół w „Weselu“ Wyspiańskiego: — „Miałeś chamie złoty róg!...“ Lekkomysłność, nieuwaga, brak głębokiego i poważnego rozumienia wartości tego, co życie daje, jest przyczyną, że marnujemy skarby dobrych ludzkich wzruszeń, rzucając w błoto małych podrażnień wielkie uczucia i wzniosłe ofiary dusz, które się do nas garną. Każdy człowiek, w pewnej chwili życia, ma ten właśnie „Złoty róg“ zaczarowany, który mu może przywołać szczęście, i każdy prawie gubi go gdzieś na rozdrożach — i za późno szuka...

Biedny Gierymski był skazany przez swoją organizację psychiczną na to, żeby z tych dobrych, uaprawdę cennych porywów uczuć, które się do niego garnęły, tyle zmarnował, żeby z każdego jaśniejszego zdarzenia wyluskał treść gorzką i bolesną.

Przybyszewski mówi, że artysta żyje jak musi, nie jak chce. Ściśle biorąc, życie każdego człowieka jest wypadkowem ścieraniem się jego ja z otoczeniem, jest też koniecznością i musi być takim, jakim się w ostatecznym rezultacie okazuje. Świadomie jednak odczuwamy różnicę życia, kierowanego wolą, ku jakimś celom zewnętrznym, i życia, które jest zdane na wolę stanów wewnętrznych, każdorazowych poruszeń czucia, a takim jest właśnie po większej części życie artysty. Nie może on zadowolnić się obserwowaniem jedynie życia i odtwarzaniem tego, co widzi w innych ludziach, musi on samo życie przeżywać, gdyż ta suma wzruszeń, która przechodzi przez jego duszę, stanowi o charakterze, sile i rozmiarze jego twórczości. Ma on, musi mieć taką chwilę, w której musi się absolutnie oddać w moc tego wewnętrznego świata swojej duszy, nie kierować nią, nie wprzęgać w zewnętrzne cele, wynikające ze społecznego współżycia z resztą ludzi, tylko dać się nieść z absolutną szczerością najelementarniejszym, najbardziej indywidualnym swoim porywom, chociażby one miały go zniszczyć, lub, co najmniej, wytrącić ze społecznego środowiska. Otóż ta konieczność, ta potrzeba zupełnego rozpiętania się z otamowywań, to zawieszenie kierowniczej woli świadomej i odda-

nie się tylko koniecznemu, fatalnemu kojarzeniu się stanów psychicznych i wyobrażeń, powstających z ich treści, ta potrzeba wpływa na to, że życie artysty robi wrażenie bardziej zawisłego od całej sumy sił, niezależnych od jego woli, jego chęci, — że się zdaje być bardziej wynikiem musu. Zresztą sam cel, cel czynu: dzieło sztuki, samo w sobie już jest czemś, co się nie podporządkowuje pod te cele życia, których znaczenie jest dla wszystkich jasne, proste, wyraźne. Człowiek, który cierpi z powodu nieustosunkowania tonów barwnych, będzie zawsze wydawał się człowiekiem, którego trzyma jakaś niesamowita siła, którego cierpienie nie możemy ukoić żadnymi wiadomymi zewnętrznymi środkami.

Jak ukojenie może przyjść tylko po osiągnięciu zupełnej harmonii barwnej, podobnież w sferze uczuć ukojenie przychodzi tylko przy zupełnej ich zgodności niezależnej od faktów materialnych. Tej zgodności w życiu Gierymskiego nie było.

Nie wyrównało się jego nieporozumienie ze społeczeństwem, a w tej sferze, w której mógł znaleźć i naprawdę znajdował blizkich i kochających ludzi, psuła mu życie wewnętrzna rozterka, nieszczęsne ustosunkowanie władz psychicznych, fatalna, niezależna od nikogo i od niczego siła, która ostatecznie rozsadziła wiązania jego duszy i strąciła w obłąd, który był koniecznością, był nieuniknionym skutkiem całej sumy fatalnych, chorobliwych stanów.

Gierymski żył tak, jak musiał, i umarł tak, jak kazała wewnętrzna logika jego życia; zabiła go nie jakaś zaraza, napadająca z zewnątrz, tylko wewnętrzna istota jego *Ja*.

STANISŁAW WITKIEWICZ.

PLEMIĘ PIERWOTNE,

jego terytoryum, nazwa i odosobnienie.

(Z rzutem oka na stosunki pierwotne polskie).

I.

Terytoryum plemienne. — Obcoplemieniec nie posiada wstępu. — Granice i pasy ziemi neutralnej. — Przesieki w Polsce pierwotnej i knieje pograniczne pomiędzy plemionami polskimi — Rola dziejowa pasa pogranicznego.

Plemię pierwotne, tj. pewna liczba koczujących lub osiadłych gromad, poczuwających się do solidarności wzajemnej, posiada terytoryum, które uważa za swoją wyłączną własność i które troskliwie ochrania od wtargnięcia na nie kogokolwiek, nienależącego do plemienia. My, żyjący w otoczeniu społecznem, w którym możemy podróżować po krajach ościennych, przypatrywać się powabom cudzoziemskiej przyrody i korzystać z plodów obcej cywilizacji, nawet nie zdolni jesteśmy zdać sobie sprawy z tego, jak daleko pod tym względem odbiegliśmy od naszych przodków. Praojcowie nasi urodzeniem swoim byli przymocowani do pewnego obszaru, z którego granic nie mieli możności wydalać się, chyba z orężem w ręku niosąc mord i pożogę sąsiadom. Cywilizacja nowoczesna wcieliła w życie sporą część komunizmu międzynarodowego, w postaci dróg, po których obcokrajowcowi wolno chodzić, w formie prawa, które nam przysługuje, bez żadnego opowiadania się, przypatrywać się Niagarze, lub zwiedzać Alpy. Jedyne paszporty, wymagane w niektórych krajach, przedstawiają ostatnią puściznę dawnego odgraniczenia i nieufności.

W okresie dzikim i barbarzyńskim stosunki odznaczają się zgoła innym charakterem. Terytoryum plemienne jest świętością, na której nie może postać noga obcoplemieńca, jeśli nie otrzymał na to wyraźnego przyzwolenia. Dopiero Europejczyk stargał to odosobnienie,

istniejące w wielu punktach globu, tak samo, jak nie uszanował wielu innych zwyczajów kultury pierwotnej.

Przyjrzyjmy się faktom.

Juan de Costa, podróżujący po ziemi Wedów w r. 1639, pozostał opowiadanie o formalnościach, jakie musiał przechodzić, zanim przedostał się przez krainę tego szczepu. Zszedłszy z gór na terytorium wedawskie, został zatrzymany przez gromadę łuczników, z których jeden zadał mu pytanie, czego on tutaj szuka, dokąd chce udać się i w jakim celu. Musiał na pograniczu czekać dwie godziny, zanim zawiadomiono starostę dzielnicy. W towarzystwie jednego z łuczników przebył okolicę, aż do nowej przeszkody, w odległości 2—3 godzin drogi od pierwszej. Tutaj znowu musiał oczekiwać odpowiedzi od naczelnika nowej dzielnicy. Powierzono go nowemu przewodnikowi, ten oddał go trzeciemu, trzeci czwartemu, ogółem miał dwunastu przewodników, nim dostał się do prowincji Battikuloa. Nigdy z orszakiem swoim nie zaznał głodu, ponieważ Wedowie zaopatrywali go w żywność, ale żaden z nich nie przemówił ani jednego słówka, bo „tak wymagają ich zwyczaje“.

Dosłownie to samo powtarza się u Buszmenów.

Wyprawa, będąca pod kierownictwem J. Mackenziego, doszła do strumienia. „Nasi przewodnicy objaśnili nas, że jest to granica ich terytorium, i że jeśli potrzebują przewodników, to muszą nająć ich z pośród plemienia Bakhuretse, nielicznych szczątków potężnego ongi ludu... Dowiedziałem się, iż w tej okolicy obszary są ściśle podzielone pomiędzy Buszmenów i innych lenników. Mogą oni polować, szukać korzonków lub występować w charakterze przewodników tylko na swojej ziemi, lecz nie poza jej granicami. Powiedziano mi, że przejście granicy pociąga zatarg z sąsiadami. Żaden gajowy nie przestrzega surowiej praw swego pana do zwierzyny, niż to czynią Buszmeni w zakresie praw swoich względem danej części tej, tak strasznej, dzielnicy Afryki“. „Buszman — pisze d-r Schinz — trwożliwie unika wejścia na terytorium plemienia sąsiedniego.“

Te same wreszcie zwyczaje znajdujemy w Tasmanii i Nowej Holandii.

U Tasmańczyków wejść na terytorium obcego plemienia można było tylko z orężem w rękę.

W Australii krajowcy naturalnie „nie posiadają najmniejszego wyobrażenia o tem, kiedy powstało ich prawo władania, lub kiedy ktoś pierwszy zajął dane terytorium“; ojcowie ich przebywali tam przed nimi, przed ojcami dziadowie i pradziadowie. „Każde plemię jest posiadaczem gruntów swoich od niepamiętnych czasów“. Członkowie jego tam się rodzili i ziemią swoją władają wyłącznie.

Obszary plemienne wraz z granicami są uznane powszechnie przez każde plemię, a granice, chociaż nie są wyraźnie wyznaczone, przecież są o tyle znane, iż tworzą charakterystyczny pas, przechodzący w ziemie neutralne lub sporne. „Każde plemię siedzi na własnej ziemi, posiadającej tak samo dokładne granice, jak dominium w Anglii, obcy nie wchodzi na nie pod żadnym pozorem, bo to zagraża mu śmiercią“. „Każde plemię posiadało własne terytorium, t a u r a i, czyli grunta do polowania, zwykle wyznaczone za pomocą granic naturalnych (rzek, grzbietów górskich). Przejście tych granic uchodziło za *casus belli*, wewnątrz tego pasa każdy plemieniec mógł wędrować nie obawiając się nieprzyjaciół, którzy-by go wypędzili“.

Wogóle, każde plemię strzegło zazdrośnie swej wyłączności terytorjalnej: „nikt nie mógł wstąpić na obszary innego plemienia, nie narażając się na śmierć; w paru przypadkach, kiedy pojedynczy czarni weszli w towarzystwie białych na t a u r a i obcego plemienia, czatowano na nich i przeszywano dzirytami za wtargnięcie“. Zdarzało się, iż plemię karało gardłem swego członka za to, iż bez pozwolenia wprowadził białych na terytorium ojczyste, między innymi Howitt podaje, że dziki, który był jego przewodnikiem nad jeziorem Torrensa, został zamordowany na mocy wyroku starców. Powszechnie szanowano prawa sąsiadów, obcoplemienicy przekraczali granice tylko jako posłowie, odpowiednio przybrani, albo pokryjому, dla wykonania zemsty krwawej. Podczas pierwszych wypraw europejskich w głąb lądu, przewodnik towarzyszył im jedynie do granic swego terytorium plemiennego i doszedłszy tam, pozostawiał białych członkowi ościennej grupy. Nie będziemy mnożyli tego rodzaju przykładów, poprzestaniemy więc na czyjejs uwadze, iż czarni tubylcy N. Holandyi dopiero po przybyciu białych zaczęli wychylać się z wązkich granic obszaru plemiennego i poznawać wyspę, na której mieszkają. Najazd europejski zniósł odosobnienie wzajemne plemion australskich. Plemiona, które nigdy o sobie dotychczas nie słyszały, zetknęły się z sobą, a pojedyncze osoby zaczęły poznawać dzielnice lądu swego, w których granice nie odważyły-by się wejść poprzednio; naturalnie, kiedy towarzyszyli białym. Obecność i imię przybyszów stały się talizmanem, broniącym śmiałków.

W Kalifornii tubylec, „jak daleko mówią jego narzeczem, może bezkarnie błąkać się lub udawać się za interesem, zwłaszcza, gdy w charakterze posła idzie wypowiedzieć wojnę“. Ale tak bywa tylko w granicach wspólności językowej, tj. plemienniej. Natomiast „było niebezpiecznem dla Indyanina znaleźć się poza obrębem granic ple-

miennych“. Śmierć zagrażała każdemu, ktokolwiek polował na ziemi nie swego plemienia.

W Brazylii, „o ile rodziny pewnej gromady lub plemienia nie mieszkają na pewnym obszarze, ziemia ta, w oczach każdego, uchodzi za własność ogółu. Pojęcie to jest jasne i wyraźne w umyśle Indyanina. Wyobraża on sobie własność plemienną, jako mienie powszechne a niepodzielne, do żadnej pojedynczej osoby nienależące. Nie pozwoli, chyba pod naciskiem strachu, członkom plemienia sąsiedniego osiąść na tym gruncie, chociaż-by cenil kawałek ziemi bardzo nizko. Taki jasny pogląd na ziemię, jako na własność całego plemienia, wypływa głównie z konieczności posiadania pewnej części lasu, jako wyłącznej przestrzeni do polowania. Przesłupienie granic, to jeden z najczęstszych powodów wojny.“

Do tych faktów, zaczerpniętych wyłącznie z niższych okresów kultury, dodamy opis, malujący zapatrywania Arabów. Przekroczenie granicy plemienną pociąga u plemion tego szczepu pasterskiego śmierć za sobą, bo „nie należy mniemać, ażeby koczujący Arabowie błakali się wszecz i wzdłuż półwyspu. Każda grupa lub konfederacja grup posiada własne pastwiska, a tem bardziej własne wody. Przekroczyć poza te szranki niepodobna bez narażenia się na wojnę bezwzględną. Wewnątrz tych granic rodziny wędrują dowolnie ze swojemi namiotami i bydłem, tam, gdzie mogą znaleźć paszę i wodę“.

Słowem, terytoryum, zamieszkane przez plemię pierwotne, przedstawia całość, zamkniętą dla członków obcego plemienia, ponieważ świętość narodową. Noga osoby, która nie należy do danej grupy plemienną, nie może postać na jej ziemiach, a wszelkie przekroczenie tego zakazu sprowadza śmierć na śmiałka, który wtargnął nieproszony na cudze obszary. Takie nieposzanowanie jest tam istotnem „przestępstwem“. Terytoryum to, będące w Australii, a prawdopodobnie i gdzieindziej, w związku jaknajściślejszym z hydrografią kraju, pospolicie odznaczało się na swej przestrzeni jednolitym charakterem i dostarczało człowiekowi ograniczonej, monotonnej widowni doświadczenia codziennego i stykania się z przyrodą. Plemięcy, nawet z najdalszych krańców obszaru plemiennego, rzadko mieli do zakomunikowania rodakom swoim odmiennej natury fakty przyrodzone, a w takich warunkach zbory plemienną, miejsca jedyne wymiany s, ostrzeżeń, bardzo mało przyczyniały się do wzrostu dorobku technicznego: rozmowa, o ile dotykała podobnych pytań, obracała się około sposobów walki z przyrodą, rutynicznie przekazywanych z pokolenia w pokolenie.

Terytorium plemienne było zazwyczaj wyraźnie odgraniczone od obszarów ościennych. Często, chociaż prawdopodobnie nie zawsze, pomiędzy ziemią jednego a drugiego plemienia biegł pas neutralny, nienależący do żadnego z nich, albo sporny, — mówimy „nie zawsze,“ bo nie zawsze spotykamy w źródłach wzmiankę o istnieniu takiego przedziału; zwyczaj ów pozostawiania pasa wolnej, niezajętej ziemi spotykamy w wielu punktach globu i na różnych szczeblach rozwoju w okresie przedcywilizacyjnym.

„Podobnież, jak i inne plemiona (lądu północno-amerykańskiego), Czerokowie nie posiadają wyraźnej umowy z swoimi dzikimi sąsiadami, gdzie posiadłości jednych się kończą, drugich zaczynają. Moc ich roszczeń do określonego kawałka ziemi zmniejsza się w stosunku bezpośrednim do jego odległości od osady. Stąd wypływa, iż znaczne przestrzenie gruntów pomiędzy siedzibami dwóch potężnych plemion, chociaż do niego roszczą pretensje obie strony, uchodzą faktycznie za pas neutralny i za terytorium wspólne do polowania“.

Ten sam zwyczaj spotykamy u barbarzyńców Germanów z czasów Cezara.

Strategik rzymski pisze o potężnym plemienu Swewów, iż „opinia publiczna wśród tego ludu jak największą sławę znajdowała w tem, ażeby w pobliżu jego granic wszystka ziemia wzdłuż i wszerz leżała pustkowie“, i dodaje, iż z jednej strony siedzib tego możnego szczepu ciągnie się pustkowie szerokości 60 tysięcy kroków.

Mniemamy, iż Swewom chodziło o coś więcej, niż o sławę. Istniały względy praktyczne, nakazujące każdemu plemienu, w okresie barbarzyństwa, starać się o posiadanie szerokiego pasa pogranicznego. Rozmiary kniei pogranicznej rosły prawdopodobnie wraz z potęgą ludu, a im były rozleglejsze, tem bardziej pochlebiali jego dumie. O czynnikach, stwarzających puste przestrzenie pograniczne, dają dobre wyobrażenie dzieje Czech, oraz naszego własnego narodu.

Państwo Piastów powstało z połączenia kilku plemion, które były niegdyś niewątpliwie samodzielniemi całościami polityczno - społecznymi. W obrębie Szląska obecnego siedzieli Słężanie, Opolanie, Dziadoszanie, Bobrzanie; w Małopolsce plemiona Wiślan, nad Wartą Polanie, w sąsiedztwie Sieradzanie, Łęczanie i Kujawici, na Mazowszu Mazowszanie. Miejsca ich osiedlenia ciągnęły się wzdłuż wód, a puszcze, idące na działach wodnych, oraz wód rozlewy odgraniczały ziemię jednego plemienia od obszarów drugiego.

„Wód trzymało się przedewszystkiem pierwotne osiedlenie— pisze prof. St. Smolka —wśród gąszczu puszczy leśnych, które cały ten obszar zalegały, nad brzegami większych rzek tylko świeciły bezleśne polany, stosowne do wypasu bydła lub namulonym czarnoziemem do uprawy nęcące; rybne wody zresztą same żywności dostarczały, wodą na korabiach i w drogę łatwiej się było puszczać, niż przez borów gęstwiny. Nadbrzeża wielkich rzek stały się zatem głównymi ogniskami osiedlenia, później dopiero wzbily się jego fale w górę, w miarę rozrostu ludności, głównem korytem i łożyskami drobniejszych dopływów. Najdłużej ręką ludzką nietknięte pozostały pasma, ciągnące się po obu stronach działów wodnych, które w ten sposób stały się przyrodzonymi granicami rozmaitych grup osiedlenia. Ale woda, nietylko dobroczynnym będąc żywiołem, jak przeważnie ułatwiała drogę, tak znów niekiedy w roli nieprzyjaznego występując czynnika, nieprzewyciężone zrazu stawiała mu zapory. Gdzie zlewały się mianowicie większe, licznemi dopływami spotężniałe strumienie, tam szeroki rozlew obu wód wypełniał całą okolicę bagnami i trzęsawiskami, równie jak gęstwiny leśne na działach wód, trudnemi do przebycia. Rozlewy takie rozgraniczały zatem różne grupy osiedlenia, nad łożyskiem tej samej większej rzeki rozsiadłe.”

Między grupami czy pasami osad, zostających pod władzą jednego księcia, a osadami sąsiednich władców istniał zwykle pograniczny pas puszczy, bagien, do którego rościli sobie prawo obaj sąsiedzi. Nieliczna ludność takich obszarów, albo uchylała się od wszelkich powinności państwowych, albo też uznawała zwierzchność silniejszego sąsiada

Polanie siedzieli w obszarze środkowego biegu Warty. Na północo-zachodzie odpychał ich 'Odry bagnisty rozlew przy ujściu Warty; na południu lasy płaskowzgórze, które, od Karpat ku północy się ciągnąc, dwiema odnogami, pomiędzy Nerem a Prosną, klinem wbite mi, górny bieg Warty obejmuje. Prócz Warty, niziny Obry, Proсны i Welny stanowiły właściwy obszar osiedlenia Polan. Wschodnie jego krańce przypierały do wodnistych jeziorzysk górnego biegu Noteci z rozległym Gopłem. Na północy, po prawym brzegu Noteci, szła puszcza, oddzielająca krainę Polan od Pomorza, a w niej dział wodny pomiędzy Notecią a strumykami, spływającemi do Bałtyku. O ogromie kniei pomorskiej daje pojęcie kronika Herborda. Apostoł Pomorza, św. Otto, idzie w ciągu dni siedmiu przez „wielką knieję, pełną dużego zwierza“. Takie same puszcze oddzielały Polskę pierwotną od Niemiec. Wyprawa cesarza niemieckiego przeciw Polsce w r. 1029 nie powiodła się z tego powodu, iż „wojsko zostało zmęczo-

ne pochodem przez knieje bezdrożne i puste, błotniste, a niebezpieczne okolice". Puszcza służyła w tym razie za szaniec obronny, i właśnie jest to jedna z przyczyn, może najważniejsza, istnienia w okresie pierwotnym pasów pogranicznych, zwłaszcza jeśli w pobliżu siedział możniejsi sąsiad.

Pomiędzy Szląskiem a Wielkopolską, bagna i knieje Obry i Baryczy stanowiły przedział, długo spoczywający pustkowie. Puszcza pokrywała wyżynę szląską, ciągnącą się pomiędzy Małopolską a Szląskiem, lasy pokrywały stoki Sudetów i Karkonoszów. Plemiona szląskie, dość liczne, siedziały wzdłuż Odry i jej dopływów, a rąbki „liścia dębowego“, jakim jest pod względem swego ukształtowania topograficznego Szląsk, wznosiły się i niekiedy przechodziły w wyniosłe pasma górskie, porośnięte nieprzebytym gąszczem. Ochraniano troskliwie całości kniei pogranicznej. Księga fundacyi klasztoru Hendrychowskiego dostarcza nam w tej mierze ciekawych przyczynków. Dowiadujemy się naprzód, iż książęta nie pozwalali nikomu wrąbywać się do puszczy pogranicznej, czyli, jak ją nazywano, przesieki, a następnie znajdujemy tam inną ważną wiadomość, iż „za dni dawnych, a nawet i obecnie“ knieja taka otaczała ówczesny Szląsk, tj. ziemię plemienia Słężan, z każdej strony.

Jak Noteć w Odry, tak Pilica w systemie Wisły odgrywała podobną rolę. Jej brzegi bagniste, zwłaszcza przy uściu, gdzie równoległe, w odległości 2—3 mil, zmierza do Wisły Radomka, przedstawiały ongi pustkowie. Cały zakąt, ramionami tych rzek objęty, przez długie czasy musiał być jednym wielkim moczarem. Od tego wód rozlewu, ku dolnemu kabłąkowi Wisły, i po prawym jej brzegu, łożyskami dopływów, wartko spieszących, zaległy siedziby Wiślan. Punkt ciężkości spoczywał w nadbrzeżu Wisły od uścia Sanu, aż do działu wodnego, za którym rozpoczynały się dopływy górnej Odry. Fale osadnictwa zwolna posuwały się ku północy, opierając się czasami o moczaryzyste brzegi Pilicy, tam bowiem lesisty grzbiet płaskowzgórza, wysokim wałem gór świętokrzyskich nastrzępiony, nieprzebite zrazu stawał osiedleniu zapory. Z większemi jeszcze trudnościami przyszło łamać się przy uściach Baby, Dunajca i Wiśłoki. Na północ od uścia Sanu całe płaskowzgórze lubelskie w porzeczcu Wieprza przez długi czas pozostawało pustkowie na rozgraniczu Rusi i Polski.

Tak wyznacza siedziby pierwotne Wiślan prof. St. Smolka. K. Potkański zajął się niemi szczegółowiej, kładąc silny nacisk na rozgraniczające znaczenie gąszczów i pustkowi. „Główny pień osadniczy Wiślan trzymał się górnej Wisły i jej dopływów z lewej strony. Rozsiedli się oni gęsto i szeroko nad Nidą i Nidzią. Dopływy prawe, ja-

ko to Dunajec, Rabę i Skawę, pozostawili słabiej załudnione, przynajmniej w ich górnym biegu. Od tego pnia rozchodzili się w różnych czasach, jak z ula. Była to wielka przetrzebiona polana, na której było jaśniej i ludniej. Na północ od niej i na południe zaległy wielkie ostępy leśne i knieje, od zachodu znowu i wschodu przechodziła ona mniej silnie w kraj więcej leśny, więcej pusty, który zwykle oddzielał od siebie różne plemiona. Pasma gór Świętokrzyskich widocznie stanowiło niegdyś międzyplemienną puszcę. Grzbiet ich, najeżony gęstym czarnym lasem, długo dla obu plemion, Mazowszan i Wiślan niedostępny, podnosił się pusty i bezludny. „Beskid, podobnie jak góry Świętokrzyskie, musiał być długo zupełną pustką, głuchą też pustką były Tatry i Beskid zachodni. Zostawał więc bezludny pas pomiędzy Wiślanami a Chorwatami i Słowaczyczną. Była to południowa międzyszczepowa puszcza plemienna“.

Granice Mazowsza podobnej były natury, utykało ono tak samo w puszcze międzyplemienne. Życie plemion polskich, począwszy się nad wodami, zwolna krzewiło się z tych ognisk załudnienia pierwotnego. Karczowano puszcze międzyplemienne, idące wzdłuż działów wodnych. Zmiany w rozmieszczeniu ludności musiały wpłynąć i na rozmieszczenie targowisk i znaczenie dawnych centrów życia politycznego. Skupione poprzednio nad rzekami, położone przy grodach, dawne targowiska podupadają pod wpływem nowych ognisk, w których ześrodkowywać się zaczynają interesy sądowe i ekonomiczne, kościelne i szkolne. Stare grody i targowiska, jak Kruszwica, Ostróg, Giecz, Zbar, Spicymierz, znikają lub ubożeją, a natomiast rozwijają się nowe osady miejskie, już to w pobliżu starych grodów na suchszych miejscach zakładane, jak Poznań, Kalisz, bądź świeżo powstające, jak Pызdry, Nieszawa, Turek. Trakty lądowe ustalają się przy torowaniu dróg przez puszcze i trzymają się zwykle linii wododziałów, umożliwiając rozwój osad przemysłowo-handlowych wśród płaskowzgórzy, zdała od rzek spławnych, jak Piotrków, Radomsk, Wieluń.

Przykłady powyższe wykazały nam, jak, na zaraniu dziejowem, plemiona polskie siedziały, oddzielone od siebie międzyplemiennymi puszciami. O znaczeniu tych pasów pogranicznych, pustkowień leżących, pozostawił Kozma praski ciekawą wiadomość; pod r. 1082 zamieszcza on wzmiankę o wyprawie ks. Wratysława i brata jego, Konrada marawskiego, przeciw margradowi Luitpoldowi, przyczem robi uwagę o początkach waśni pomiędzy tymi książętami, którzy ongi żyli w najlepszej zgodzie. Pisze on: „granice obu krajów nie są przedzielone przez lasy ani przez góry, ani przez jakąkolwiek przeszkodę, tylko przez rzekę Dę, która płynie po równinie, oddziela je

wzajem. Dlatego w porze letniej niegodni ludzie robią nieustające wyprawy, uprowadzają bydło, pustoszą wioski i biorą łup ze strony obu narodów“. Między innymi dla tej-to przyczyny, granice plemienne, jak zaznacza Jakób Grimm, szły ongi nie wzdłuż rzek, ale ciągnęły się grzbietami górskimi i przez knieje, do tego stopnia, iż nazwa granicy łacińska, *marca*, stała się definicyą puszcz.

Z temi wynikami, zaczerpniętymi z naszych dziejów, zwracamy się do ludów, stojących na niższych szczeblach rozwoju.

U Fuegieńczyków, jak zapewnia K. Darwin, „każde plemię różniło się od sąsiadów ubiorem, narzeczem, barwą skóry, wzrostem, a było otoczone przez wrogie sobie szczepy, mówiące odmiennemi narzeczami, a oddzielone od nich przez bezwzględnie puste neutralne paśy terytoryum“.

U Australczyków istniały także, według wszelkiego prawdopodobieństwa, takie puste przestrzenie pograniczne. Mamy o nich wyraźną wzmiankę w opisie paru plemion, pozostawionym przez F. Palmę. Między innymi zaznacza on istnienie granic niezbyt wyraźnych, oraz przestrzeni neutralnych i spornych, pomiędzy ludami N. Holandyi. Jeszcze wyraźniej wspomina o nich E. Curr. We wschodniej części Australii środkowej, wzdłuż brzegów rzeki Gregory, istniała przestrzeń neutralna, długa na mil 150, a szeroka na 50. Plemiona ościenne, za wspólnem porozumieniem, wyznaczały ten obszar na miejsce zborów (igrzysk). Przypatrując się rozmieszczeniu plemion w N. Południowej Walii, spostrzegamy, że granice plemienne trzymają się zasad, wytkniętych przez J. Grimma dla Germanów. Rzeki rzadko tam odgraniczają jeden lud od drugiego, w większości wypadków plemię siedzi po obu jej brzegach, natomiast pasma górskie pospolicie stanowią granicę. Zdaje się, że to samo powtarzało się i w innych dzielnicach Nowej Holandyi, bo E. Curr, w przedmowie do swego dzieła, ogarniającego cały ląd kopalny, twierdzi stanowczo, iż „ponieważ rzeki były małych rozmiarów i posiadały bieg przerywany, to plemię powszechnie zamieszkuje oba brzegi, a języki zmieniają się mniej więcej co mil 50 (ang.), nieliczne zaś wyjątki od tej zasady znaleziono wzdłuż większych rzek“.

Z Kalifornii nie posiadamy takich wyraźnych świadectw o istnieniu pasów neutralnych pomiędzy plemionami. Przytoczymy przecież jeden ze zwyczajów tamtejszych na dowód, jak jednakowe potrzeby ujawniają się w jednakowych urządzeniach. Mamy na myśli wbijanie do głowy młodzieży plemiennej znajomości granic za pomocą chłosty—praktyka tak dobrze nam znana z różnych punktów Europy średniowiecznej! Granice plemienne w okolicy zatoki Humboldta,

rzeki Węgorzy i gdzieindziej poznawano za pośrednictwem strumieni, szczytów, wyniosłych drzew, źródeł, a każdy z tych naturalnych kopców posiadał nazwę. Kobiety uczyły dziatwę tych granic na pamięć, powtarzając im śpiew, który z możliwą szczegółowością opisywał znaki pograniczne wraz z przyległą okolicą, a kiedy chłopak podrósł, ojciec brał go, a oprowadzając, chłostał dla lepszego zapamiętania miejsc.

Nie mogąc twierdzić, ażeby pasy neutralne były zjawiskiem powszechnem, mniemamy przecież, iż były one urządzeniem bardzo częstem w pierwotnym okresie dziejów, zwłaszcza tam, gdzie obok możliwych przebywały słabe plemiona, lub gdzie obok osiadłego barbarzyńcy rolnika istniały grupy koczowniczo-najezdnicze. Pustkowia pograniczne przedstawiały naówczas rodzaj szańca przeciw wrogom. Grunta pograniczne odegrały doniosłą rolę w rozwoju stosunków międzyplemiennych. Tam odbywały się potyczki - pojedynki, to jest umówione bitwy pomiędzy sąsiadami, tam ukazały się pierwsze targi międzyplemienne, a raczej jarmarki, oraz połączone z nimi igrzyska. Stamtąd stosunki handlowe, nawiązane pomiędzy sąsiadami, przedostały się w głąb każdego plemienia i budowały pomost pokoju i wymiany ponad wrogością pierwotną i odosobnieniem i powoli usuwały wyłączość i zamknięcie plemienne pod względem kulturalnym.

II.

Synonimia plemienna.—Gradacye nazw.—Nazwy plemienne wewnątrz pobratymczej grupy plemion, różnice pomiędzy synonimią australską a amerykańską. — Nazwy plemienia własne i nadane przez sąsiadów. — Psychologia nazw plemiennych germańskich a słowiańskich. — Formacya nazw plemiennych słowiańskich pierwotna, a późniejsza geograficzna. — Początek nazwy Lechów.

Przedstawiliśmy plemię pierwotne, jako całość w sobie zamkniętą. Żyje ono własnym doświadczeniem, zwykle znajdując się na stopie wojennej z sąsiadami, nie wpuszcza obcoplemieńców na swe terytorjum pod żadnym pozorem.

Schemat ów tylko w sposób przybliżony odtwarza istniejące stosunki. Odpowiada on rzeczywistości jedynie wtedy, gdy dokoła plemienia przebywają ludy innej rodziny lingwistycznej lub zgoła odmiennej więzi obyczajowej. Jeśli siedzą w sąsiedztwie ludy mało różniące się pod względem mowy swojej i zwyczajów, naówczas wrogość posiada charakter nie tak ostry i nieprzejednany. Zamiast prostego a wyrazistego obrazu, podanego przez nas w przedstawieniu dotychczas-

sowem, otrzymujemy widok urozmaicony, a schemat nasz streszcza jedynie najogólniejsze zasady stosunku wzajemnego.

Rozmaitość stosunku, istniejącego pomiędzy plemionami, większej wrogości lub mniej napiętego odosobnienia, uwydatnia się wybitnie w nazwach plemiennych.

W budowie nazw plemiennych winniśmy wyróżnić dwa przypadki, znajdujące się na przeciwległych nawzajem biegunach, a mianowicie: jeden, gdy mamy do czynienia z grupami plemiennymi, wyodrębnionymi mocno pod względem politycznym i terytoryalnym, ale gdzie różnice językowe i zwyczajowe są nieznaczące, tak iż badane plemiona tworzą większą całość kulturalną, wyraźną a uświadamianą; drugi zaś, kiedy rozpatrujemy szczepy bardzo odmienne językiem swoim i kulturą.

Jednak gradacya nazw plemiennych jest rozleglejszą, niż ta, jaką zawarliśmy w tych dwóch przypadkach, a powyższe oba ogniwa zgoła jej nie wyczerpują.

Przykład realny najlepiej nam wyjaśni istniejącą złożoność.

Omahowie pospół z Ponkami, Kwapami i paru jeszcze plemionami stanowią dość charakterystyczny odłam Cegihów wśród siuskiej rodziny lingwistycznej. Wyraz „cegiha“ oznacza „lud tej (tj. naszej) ziemi“. Wszystkie wyszczególnione plemiona niegdyś trzymały się pospół, a przy rozejściu się jedne udały się w dół rzeki, inne w górę jej, stąd ich nazwy, w przekładzie polskim oznaczające: „lud z prądem rzeki“, „przeciw prądowi“ itd. Poczucie dawnej łączności pozostało nie tylko w tradycyi, ale i w życiu codziennem. Omaha, spotykany wśród mroku na ziemi swego plemienia, a zapytany kim jest, odpowie, iż jest Cegihańczykiem, tak samo odrzeknie Ponka, w obrębie swego terytoryum plemiennego. Ale, na cudzej ziemi, każdy z nich odpowie, że jest Ponką, Omahą, tj. uzna za stosowne szczegółowiej określić swe pochodzenie. Przypomina się ustęp z Nestora: „Słowianie owi, przyszedłszy nad Wisłę, przewali się Lęchami, a od tych Lęchów przewali się jedni Polanami, drudzy Lęchowiem Luticzami, inni Pomorzanami, inni Mazowszanami.“ W świadomości członka któregoś z wyliczonych plemion nasamprzód występuje formacya nazw plemiennych wewnątrz grupy Cegiskiej, dopiero po niej inna, odpowiadająca stosunkom w łonie całej rodziny siuskiej, której Cegihowie stanowili odłam, wreszcie jeszcze inna, gdy znikło wszelkie pokrewieństwo językowe, dostrzegane odrazu. Tak samo u nas ktoś był Polaninem wśród Lęchów, Lechitą w rodzinie Słowian, Słowianinem w przeciwstawieniu do Niemców.

Rzadko przecież spotykają się warunki, przeciwstawiające sobie nawzajem te różne szczeble pokrewieństwa w całej ich rozciągłości.

W zwykłym toku wypadków plemię graniczy z paru innymi, i tylko o tyle uświadamia sobie pokrewieństwo wzajemne lub odmiennosc pochodzenia, ile znajduje do tego przyczynki w swem sąsiedztwie bezpośrednim. Gradacya nazw plemiennych odpowiada rzeczywistym stosunkom jedynie w tym stopniu, w jakim dokładną jest owa świadomość pokrewieństwa i różnicy.

Rozbiór synonimii plemiennnej rozpoczniemy od prestszego przypadku, a mianowicie, kiedy istnieje świadomość wspólnego pochodzenia pomiędzy rozpatrywanymi ludami (i wogóle grupami).

Murzyn z Angoli nigdy nie powie o sobie, iż mówi po angolsku, ale wyrazi się, iż mówi po londzku, mbacku, ngulundzku, uwzględniając liczne a drobiazgowo różnice narzeczowe pomiędzy dzielnicami Angoli. Również nie nazwie siebie Angolczykiem, lecz, albo odróżni Murzynów wogóle i Europejczyków, albo zapaści się w drobiazgowo podziały miejscowe. W jego umyśle nasze pojęcie Angoli, jako kraju, w którego obrębie istnieje silna jednostajność lingwistyczna i obyczajowa, jest nieobecne.

„Ludność różnych części kraju naszego—pisze St. Ciszewski—na pozór najmniej różna pomiędzy sobą, przy bliższem badaniu wykazuje znaczne różnice. Różnic tych dopatrują się dość często sąsiedzi, bądź dotyczą one gwary, bądź jakichkolwiek cech zewnętrznych, i lubo często, uchwyciwszy jakąś wydatniejszą odrębność, na nią tylko zwracają uwagę, pomijając inne, tak są zazwyczaj trafni w obserwacyi, że najlepiej sami charakteryzują pewną grupę etnograficzną, chociaż charakterystyka ta zasadza się na jednej tylko pochwyconej odrębności, bardzo często językowej“.

Wzięliśmy kraj nasz, oraz Angolę. Pierwszy przedstawia dzielnicę jednolitą, gdzie zatarły się dawne odrębności plemienne, w Angoli zaś są one prawdopodobnie tak silne, jak w pierwotnym okresie powstawania naszego narodu, za pierwszych Piastów. W obu razach w głębi rozpatrzonych pojęć, pod warstwą różnic, istnieje świadomość o pewnem podobieństwie i wspólności. Zarówno w Angoli, jak na przestrzeni ziemi polskiej, mowa i zwyczaje są jedne. O tej mowie, tak podobnej mimo różnic gwarowych, członek któregoś z plemion germańskich za czasów Tacyty rzekł-by w obrębie swego szczepu, iż jest „diutisca tunga“, tj. zrozumiała, swoja, a sąsiedzi, posługujący się nią, są tym samym ludem, „diot“, nie zaś „welszami“. Polanin znówu o plemionach szczepu słowiańskiego powiedział-by, iż są wszystkie „słowiańskiem“ i umiał-by odróżnić je od „niemych“ ludów, a „niemym, niezrozumiałym był pierwotnie każdy obcy dla Słowianina, lecz w końcu ograniczył się nazwą niemych do tych obcych, z którymi najwięcej się i najściślej stykał“, a więc do Niemców. Pomiędzy „swoimi“ jedni uprawiali pola i dla tego słynęli u krewniaków sąsia-

dów, jako Polanie, inni, Kujawici, siedzieli na Kujawach, jeszcze inni byli Pomorzanami, bo żyli na wybrzeżu morza, lub Wętyczami, gdyż pod wodzą Wętka przybyli nad Okę. Dzisiaj odrębności plemiennie w naszym narodzie zatarły się, ale mieszkańcy dzielnic wiejskich jeszcze siebie odróżniają specjalnemi nazwami, jedni są zatem Lemkami, bo zamiast „tylko“, mówią „lem“, inni—Pichaczami, od okrzyku na koni: „picha“; Jackami, Jacakami i Giecakami, ponieważ w mowie używają ciągle wyrazu „jacy“, niekiedy w znaczeniu przysłówka „tylko“; Bobiarzami od sadzenia bobu; Parcieńcarzami od chodzenia w parcienkach. Są to znikające szczątki dawnych zwyczajów i odrębności.

Życie nowoczesne ujednostajnia psychikę ludów cywilizowanych i niszczy różnice w mowie i zwyczajach, służące za źródło wzajemnego przezywania (blason populaire). Obyczaj jest tak zakorzeniony, iż nawet w krajach najbardziej ujednostajnionych „mieszkańcy każdej dzielnicy i miasta, zręcznie przezywają i odróżniają siebie na podstawie odchyłeń kształtów fizycznych lub przymiotów, jakie są im przypisywane“. Materiału do przezwisk dostarczają to właściwości gwary, to jakoś pokarmów lub inna strona zwyczajów. Im dalej posuwamy się w przeszłość, tem były one częstsze i liczniejsze. Byłoby rzeczą zbyteczną udowodniać, iż istnieją, zaczawszy od najniższych szczebli kultury. Raczej chodzi o ujęcie ich obfitości w normy statystyczne, o zrozumienie wątków, z których czerpały one materiał. W tym celu zwrócimy się do Australii i Ameryki północnej, — okolic, dla których zgromadzono fakty, mimo swej szczupłości odznaczające się charakterem systematyczniejszym.

W Australii ponad innemi sposobami góruje zwyczaj tworzenia przezwiska od właściwości mowy. A więc przeczenie „nie“, zaimki „wy“ lub „co“, twierdzenie „tak“, dostarczają wątków przezwiskowych. Na olbrzymiej przestrzeni w Queenslandzie, N. Południowej Walii i w Wiktoryi, od rzek Dawsona i Mackensie w głąb lądu, aż do zlewu Darlinga z Murrayem, tj. na obszarze, wynoszącym w prostej linii 750 mil. ang., oraz na południe od zatoki port Philipp siedzą plemiona, biorące przydomki swoje od sposobu wymawiania przeczenia, co im zjednało w etnografii zbiorową nazwę „no-ers“, „les non-non“, w polskim przekładzie „Nięchów“. Nad rzeką Murrumbidgee i sąsiednimi częściami porzeczka Murray żyje naród (asocjacja plemion), złożony z licznych plemion. Nazwy ich brzmią Bura-bura, Baraba-baraba, Wathu-wathu, Lithy-lithy, Wiaky-wiaky, Darty-darty (Tatathy), Yairy-yairy, a są one nieczem innym, tylko zdwojeniem przeczenia, używanego przez każde z wyliczonych plemion. Wśród Nięchów rozsiadło się plemię Takowców, Pikambul, tak nazwane od używanego twierdzenie „pika“. W zachodnim

kącie Wiktoryi przebywa naród „Waszeciów“, złożony z kilku plemion, z których każde bierze nazwę swoją od wyrazu, służącego na oznaczenie zaimka „wy“. W północno-wschodniej dzielnicy N. Płd. Walii istnieją narzecza Minyung, Nyung i Ngauo, nazwane według wyrazów, jakimi oddają one nasze zaimki „co?“, „cokolwiek“, „kto?“ i „ktoś“. Obok każdej z rozpatrzonej formacyi nazw w tej samej grupie istnieje jeszcze równoległa druga, a nawet trzecia. W asocjacyi Nięchów, bliżej przez nas zbadanej, Tatathi słyną, jako lekkie usta (z powodu miękkiej wymowy), Wathi-wathi, jako Narinari, „ludzie“, nazwa nadawana sobie przez ten lud prawdopodobnie. Zwłaszcza obfity materiał o tej równoległości paru rzędów nazw posiadamy dla „Waszeciów“. Plemiona składające ten naród, odróżniają siebie, prócz terminów, zaczerpniętych od brzmienia zaimka „wy“, jeszcze na mocy akcentowania końcowych ustępów zdania; noszą one nadto, a przynajmniej ich gwary, przezwiska od ogólnego charakteru wymowy, takie, jak „miękkie usta“, „małe“, „surowe“ i inne, wreszcie posiadają jeszcze nazwy od miejsca pobytu, a więc geograficzne (np. Kolorgórcy).

Biorąc cztery narody australskie (asocjacje pokojowe plemion), dla których posiadamy systematyczniejszy spis przezwisk, otrzymamy następujące rezultaty:

Cztery grupy międzyplemienne, przezwisk ogółem 46, a w tej liczbie:

od sposobów wymowy	29 t. j.	6.3%
od wymowy, a może od przymiotów ducha	2 „	4.4%
geograficzne	9 „	19.5%
„ludzie“, „przedni“	4 „	8.7%
„włóczęgi“, a drugie niewyjaśnione	2 „	4.4%

Z australską synonimią plemienną warto zestawić amerykańską. Istnieje parę plemion czerwonoskórych, dla których posiadamy bardziej wyczerpujący spis przezwisk, pod jakimi słyną odłamy tego samego plemienia w stosunku wzajemnym.

Cztery plemiona czerwonoskóre, przezwisk ogółem 55, a w tej liczbie:

od sposobów wymawiania	1 t. j.	1.8%
„przedni“, „macierzyści“	3 „	5.4%
mitologiczne	3 „	5.4%
geograficzne	15 „	27.2%
od sprzętów, narzędzi i t. d.	4 „	7.2%
od sposobów budowania chat	2 „	3.8%
od cech i przymiotów fizycznych	6 „	10.9%
od potraw plemiennych	6 „	10.9%
„włóczęgi“, „obżartuchy“, „weseli“	12 „	25.8%
niezrozumiałe	3 „	5.4%

Starczy porównać obie te tablice, australską i amerykańską, ażeby niezwłocznie spostrzedz znaczną różnicę w charakterze przezwisk, będących w użyciu wewnątrz tej samej grupy związkowej. Materiał australski, z którego korzystamy, nie może wyczerpaniem przedmiotu współzawodniczyć z systematycznymi poszukiwaniami etnografów amerykańskich, ale niedokładności, jakie z tego powodu się wkradły do naszego obrazu, nie zachodzą jednak tak daleko, ażeby aż do gruntu oddziaływać na niego i przeobrazić zupełnie jego charakter. Usterki dotyczą przerwisk lingwistycznych (od wymowy), które w ten sposób są w tablicy może szczupiej reprezentowane, niż by należało; nie uwzględniliśmy klanów kurnajskich, jako zbyt drobnych poddziałów, a noszą one nazwy geograficzne i wodzonimiczne; może istnieją przerwiska od potraw plemiennych, może jeszcze inne, ale nie stanowią one chyba rysu znamiennego synonimii tamtejszej, bo o tem wspomniano-by przecież w źródłowych materiałach. W ostatecznym rezultacie, obraz synonimii australskiej przedstawia właściwości, które trudno położyć na karb przypadku. W Australii przeważają nazwy, zaczerpnięte od właściwości wymowy, co znajduje się w doskonałej harmonii z istniejącem tam rozdrobnieniem języków. Wśród wyliczonych czterech grup, ogółem nie przewyższających liczby 8—10 tysięcy głów, mamy na pewno 29 języków i narzeczy. Ludność rozpatrzonych w powyższem zestawieniu plemion czerwonoskórych w r. 1892/3, tj. wtedy, gdy zbierano ich synonimie, wynosiła w przybliżeniu nie więcej osób, ale naliczyliśmy tam tylko około 10 języków i narzeczy. Na lądzie więc amerykańskim nie działa jeden z czynników, rodzących obfitość przerwisk od sposobu wymowy. Wszystko to świadczy o ogromie rozstrzelenia społecznego na lądzie kopalnym, o tem, iż człowiek przebywa tam małemi gromadami, rzadko komunikującemi się z sobą. Stosunki pomiędzy oddzielnymi częściami plemion amerykańskich nie są tak zaniedbane, jak w Australii, działy tego samego plemienia spotykają się częściej, a to zapobiega tworzeniu się odchyłeń gwarowych. To po pierwsze. Po wtóre, technika materialna australska, w porównaniu z amerykańską, znajduje się w stopniu o wiele niższym, to jest, jest uboższa w oręż, sprzęty, itd., a więc jednostajniejsza. Wreszcie, i sama przyroda nie posiada tam nazbyt obfitego materiału do czerpania wątków przerwiskowych. Słowem, ubóstwo działów synonimii australskiej jest zarazem wynikiem, jako i dowodem niższości kulturalnej i większego rozstrzelenia społecznego, a wobec szczupłości innych, różnice językowe wyrastają na pierwszorzędnę. Przerwiska więc, będące w użyciu wewnątrz więzi społecznej, przedstawiają swoim charakterem formację pochodną, odzwierciadlającą w sobie poziom kultury.

Psychologia nazw plemiennych i wogóle stosunku ich wzajemnego kształtuje się według zasad zgoła odmiennych od tych, jakie wykazaliśmy, gdy zamiast plemion, tym samym związkim solidarności objętych, rozpatrujemy ludy, mówiące językami niezrozumiałemi. Wskutek zupełnej różnicy języka znikają przezwiska, pochodzące od właściwości mowy, takie jak Nięchów, Czakawców, Waszeciów, pojawiają się natomiast inne: „obcy“, „niemi“, „belkoczący“. Przeciwność pomiędzy tą kategorią nazw, a poprzednio zbadaną, ujawnia się w sposób charakterystyczny na niższych szczeblach kultury, na których subiektywizm plemienny jest najbardziej napięty.

Namowie (plemię hotentockie) zowie siebie Khoikhoi, tj. według Hahna „ludźmi najprzedniejszymi“, „ludźmi z ludzi“, „ludźmi nadludźmi“. Źródłosłów „khoi“ daje początek całemu szeregowi zwrotów, przewybornie malujących zarozumiałość plemienną. O człowieku dumnym i „dobrego“ (przyzwoitego) obejścia mówią oni „ten człowiek robi z siebie Hotentota“ (przewyższa siebie samego w godności). Nasze terminy „ludzkość“ i „przyjaźń“ oddają oni przez „khoisis“, co możemy przełożyć terminem „hotentockość“; „grzeczność“, „uprzejmość“, będą brzmiały „khikhasis“; bardzo zażyła przyjaźń — „khosigagus“; przyjaciel od serca — khoi akhoib, tj. „Hotentot nad Hotentotami“. Swoich szczepowych krewniaków, Damarów, którzy sami nazywają siebie także ludźmi, Namowie zowią „nieswoimi ludźmi“, „nie takimi ludźmi“, tj. bądź co bądź, przyznają im godność ludzką, tylko nie takiego rodzaju, jak sobie. Natomiast Buszmenom nadają pogardliwe miano Sa. „On nie jest khoikhoi, tylko Sa“, co znaczy tyle, iż Buszman nie jest człowiekiem, jeno czems znacznie gorszem.

Eskimowie przedstawiają rodzinę lingwistyczną i zarazem grupę kulturalną, wyraźnie wyodrębnioną od czerwonoskórych Ameryki Północnej. Nazywają siebie ludźmi, a oddzielne grupy, na jakie się rozpadają, odróżniają według miejsc pobytu. Są tam więc Rzeczanie, Niżowcy, Wschodniacy, Zachodniacy (dosłownie ludzie rzeki, zachodu itd.). Duńczycy słyną, jako Kablunak, — wyraz, posiadający bardzo obelżywe znaczenie, Indyanie noszą nazwę „wszarzy“. „O! nie warto o nich mówić, zrodzili się na zachodzie z gnidy wszy naszej!“ Niekiedy, zamiast nazwy, giestem oddają przymioty i nazwy innoplemieńców, są tam zatem ogoniaści, psie twarze, wielkie ognie, fajczarze (Rosyane od palenia fajki).

O Indyanach Ameryki północnej, J. W. Powell pisze: „Nie ma istoty bardziej patryotycznej nad Indyanina. Mniema on, iż jest dzieckiem specjalnego aktu stworzenia, dokonanego przez osobliwe, jego własne bóstwo, i uważa siebie za uprzywilejowaną rasę. Imię, jakim plemię odróżnia siebie od innych, świadczy o inuем jeszcze prze-

konaniu, amianowicie, iż jak Indyaninstoi wyżej od wszystkich jestestw stworzonych, tak samo każde poszczególne plemię jest wyniesione po nad resztę“. Pospolicie wszystkie te nazwy odpowiadają treści, jaką przywiązujemy do terminów: „jedyni ludzie“, „ludzie nad ludźmi“, „dzieci ziemi“, „szlachetni ludzie“. Nawet wewnątrz tego samego szczepu lingwistycznego pojedyncze plemiona przywłaszczają sobie miano „przednich“, i z pogardą patrzą na krewniaków, różniących się gwarą. Podanie Indyan „Zajęczych“ opowiada, jak, wskutek pojawienia się gwiazdy płonącej (komety), oddzieliły się od nich pobratymcze plemiona. Jedni udali się z zamiarem dotarcia do samego ognia,—od nich pochodzi plemię Czypewajanów—ale byli „to ludzie mało zdolni, nie mieli dużych strzał, a żony ich nie umiały wyszywać“. Za ich wzorem poszli przodkowie Dzindzów, lecz nie władali mową, a dlatego odeszli, byli to „nieponie“. Co zaś do Indyan „Zajęczych“, „jesteśmy przedni mi ludźmi i dlatego przysłowie powiada o dobrym człowieku, pielęgnującym przykazania dziadów: jak Indyanin Zajęczy!“ Natomiast nazwy udzielane sąsiadom są charakteru szydebnego, wydrwiwają one zwyczaje i osobliwości, właściwe sąsiadom. Tylko co przytoczeni Indyanie Zajęczy o Koloszach twierdzą, iż pochodzą od psów, i nazywają ich widmami, waryatami, nierządnikami. Wśród tych przezwisk zwłaszcza jedno powtarza się często: „wrogowie“ lub tego samego znaczenia: „węże“, „zli ludzie“, „złodzieje“. Wiedza etnograficzna zna ludy amerykańskie zwykle pod nazwami szydebnymi, a słownik imion plemiennych, figurujący w podręcznikach tej nauki, jest zbiorem obelg i wymyślań. Taki stan rzeczy wypływa zresztą z głębszych powodów. „Zwykle z wielką trudnością można otrzymać rzeczywistą nazwę plemienną, a to z obawy, iż będzie użyta ku szkodzie ludu z pomocą czarodziejstwa“.

Zatrzymamy się nieco nad statystyką nazw plemiennych u Indyan Ameryki północnej.

Każde plemię amerykańskie przywłaszcza sobie pewną nazwę niekiedy nawet dwie lub trzy. Jest to jego własne imię, którem się chlubi i które ceni. Biorąc siedem plemion, dla których J. Mooney opracował wyczerpująco synonimie, znajdziemy następujące znaczenia dla nazw, przez samo plemię do siebie stosowanych:

Lud („rzeczywisty“, „nasz“, „swój“), „swego rodu“	7
Wychodźcy (obie nazwy u tego samego ludu)	2
Sprzymierzeńcy, siedm ognisk	2
Znaczenie niepodane	1

Natomiast plemię rzadko u sąsiadów słynie pod własnymi nazwami, częściej pod przezwiskami. Ten Kate przytacza 18 nazw, uży-

wanych przez Komanczów względem sąsiadów. Z tej liczby dla czterech nie podaje znaczenia, jedna jest własną nazwą ludu, pozostałe zaś przezwiskami, zaczerpniętymi od charakteru lub przymiotów fizycznych, struktury chaty, a wiele z pośród nich nosi piętno wzgardy i dotyczy właściwości, o których zazwyczaj nie mówi się w towarzystwie. Każdy z sąsiadów pospolicie stwarza dla danego plemienia własny termin, wyrażający nieraz tę samą ideę, co nazwa, nadana przez innego sąsiada, to znowu podchwytyjący jakiś odmienny przymiot tych, którzy są wymieniani; przezwisko, u paru plemion posiadające tę samą treść, pospolicie oddaje ideę, zawartą w pantominie, używanej przez Indian w ich międzynarodowym języku gościów na oznaczenie danego plemienia. Takim znakiem dla Komanczów jest wąż (symbol wojowniczości, uwydatniającej się w cichem podejściu linią węzową).

Z pośród 11 znanych nam przezwisk Siuków oznaczają:

nie podano znaczenia	3
podrznacze gardła i pochodne od tej treści	6
długie strzały	1
węże	1
pantomina na oznaczenie Siuków: podrznacze gardła.	

Synonimia Komanczów zawiera w naszym spisie 17 przezwisk, a mianowicie:

nie podano znaczenia	7
łyse łby (pochodzenia francuskiego).	2
od narodowej potrawy	1
węże	4
wrogowie	3
pantomina plemienna: węże.	

Kaddowie posiadają w naszym spisie nazw 11. Są to:

przeróbki ich własnej nazwy plemiennej	4
przedziurawione nosy.	4
nie podano znaczenia.	3

Wreszcie Arapachowie mają 14 przezwisk. Z nich:

nie podano znaczenia	2
psiożercy	4
pośrednicy handlowi	2
łachmaniarze	1
chmurodzierzcy	2

Dla uzupełnienia obrazu subiektywizmu plemiennego i dobrego mniemania o sobie ludów na niższych szczeblach kultury, ujawniającego się w nazwach plemiennych, zatrzymamy się jeszcze nad Australią.

W chwili najazdu europejskiego stosunki plemienia ze światem otaczającym były bardzo ograniczone. „Ich idee o kształtach świata są oryginalne. Plemiona pomorskie prawdopodobnie przypuszczały, iż świat jest obszerniejszy, — bardziej niż zamieszkujące głąb lądu... Plemiona, z którymi poczyniłem doświadczenia osobiste, przebywają w głębi lądu. Ich zdaniem, świat przedstawia płaszczyznę, rozciągającą się około 200 mil (ang.) w każdym kierunku, kraj zaś ich był środkiem jego“. Z taką zacieśnioną widownią doświadczenia szedł w parze wygórowany subiektywizm plemienny. Kamilarojowie posiadają podanie, iż przodkowie wyrzucili z pośród siebie tych, którzy poženili się z siostrami. Wyrzutkom nie pozwolono używać nadal mowy, jaką posługiwał się „lud rzetelny“. Dlatego mieszkańcy północo - zachodu dzielnicy kamilarojskiej zowią siebie „prawym“, „rzetelnym ludem“, resztę zaś Australczyków uważają za „bękartów“. Również i plemiona Gippslandu, opisane przez Howitta, po czytują jedynie siebie za ludzi, „kurnajów“, inni czarni to „brajera-ki“, tj. barbarzyńcy, jedno zaś z narzeczy kurnajskich nosi miano „istotnego“, rzetelnego“. Plemię Narrinajerów przeciwstawia siebie, „ludzi“, pozostałym czarnym, „dzikusom“.

Nasz rozbiór uwzględnił psychologię stosunku wzajemnego pomiędzy plemionami, ujawniającą się w nazwach i przydomkach plemiennych, jedynie w zarysach najogólniejszych. Napięcie odosobnienia i towarzysząca mu większa lub mniejsza wrogość, dają początek odpowiedniej terminologii plemiennej, w której, jak w zwierciadle odbija się natura stosunku wzajemnego plemion, przymioty i zwyczaje ludów. Zjawisko to jest powszechnem na niższych szczeblach kultury, a powstawszy tam, trwa podczas barbarzyństwa osiadłego, acz zmienia swe oblicze, i znika na dobre, a przynajmniej wykazuje dążenie takie z nastaniem okresu wielkich miast i wymiany międzynarodowej produktów. Ogół nazw i przydomków (cała synonimia plemienia), zarówno tych, jakimi lud obrzuca sąsiadów, jako i tych, pod jakimi sam słynie w okolicy, dostarczyć może przy umiejętnem badaniu cennych wskazówek najrozmaitszego rodzaju.

„Znajomość synonimii etnicznej ludów, znajdujących się w stanie mniej lub więcej pierwotnym, — pisze Ten Kate — posiada nie najmniejszą doniosłość dla etnologii. Naprzód, przez charakterystyczne znaczenie nazw daje on wiadomość o rysach fizyognomii, zwyczajów i obyczajów ludu. Powtórę ujawnia stosunki historyczne i obecne,

plemion w zetknięciu wzajemnem i dostarcza idei o ich znajomości geografii.“

Ale synonimia plemienna, umiejętnie wyzyskana, dać może znacznie więcej, niż przypuszcza etnolog holenderski. Postaramy się to wykazać na przykładzie Germanów w okresie barbarzyństwa, oraz Słowian podczas tworzenia się wśród nich organizacji państwowej. U obu szczepów nazwy posiadają zgoła odmienny charakter i służą za przewyborną wskazówkę dla zrozumienia ich roli dziejowej i tego, co nazywają w nauce „duszą plemienia“.

Z nazw germańskich bierzemy tylko wymienione u Tacyta w jego opisie Germanii, słowiańskie zaś o tyle uwzględniamy, o ile zostały wymienione przez Geografa bawarskiego i Nestora. Pojmujemy dobrze całą trudność przedsiębranego zadania. O niewdzięczności takiej analizy świadczy rozbieżność zdań pomiędzy lingwistami niemieckimi, gdy chodzi o wyjaśnienie wielu nazw plemiennych ludów germańskich. Wprawdzie niektóre z tych imi n są ustalone w swem znaczeniu, jak mieczonośnych Szwerdonów, natomiast tłumaczenie znaczenia innych, oraz podawany rodowód wahają się w bardzo szerokich granicach. Nazwę Usipiów J. Grimm oddaje, jako mieszkańców łąk, Müllenhoff widzi w niej bezbożników, O. Schade włóczęgów, a może jeźdźców! Swewów imię Zeuss tłumaczy jako włóczęgów, Müllenhoff jako śpiochów, a Laistner jako rodaków, a nawet ludzi! Ale przecież ogół nazw, chociaż jedna i druga jest wytłumaczona niedokładnie, daje jasne pojęcie o przedmiocie i uwydatnia odmienną naturę duchową szczepu germańskiego w porównaniu ze słowiańskim.

Ludy germańskie, wyliczone przez Tacyta, można podzielić na dwie grupy: jedną, znajdującą się w obrębie wpływów rzymskich, osiadłą lub będącą w stosunku lennym, oraz drugą, niepodległą i bardziej koczowniczą. W obu tych razach charakter nazw plemiennych jest zgoła odmienny.

Dla pierwszej grupy, ludów osiadłych, z ogólnej sumy siedmiu plemion przypada na nazwy:

	Według Zeussa	Müllenhoffa
geograficzne . . .	5 t. j. 71%	6 t. j. 85%
„dzielni“ . . .	1 t. j. 14%	1 t. j. 14%
niewyjaśnione . . .	1 t. j. 14%	— t. j. —

Taką samą, t. j. przeważnie geograficzną, jest struktura nazw plemiennych słowiańskich „Siedli byli Słowianie nad Dunajem— pisze Nestor — gdzie dzisiaj ziemia węgierska i bułgarska, od tych Słowian rozeszli się po świecie i przezwali się mianami, gdzie siedli na jakim miejscu“. Kronikarz zaznacza tutaj fakt, którego doniosłość niebawem ocenimy. Wylicza on 24 ludy słowiańskie, a z pośród tych nazw przypada na:

końcówki topograficzne	16 t. j.	69.9 ⁰ / ₀
„patronimiczne“	2 „	8.7 ⁰ / ₀
prawdopodobnie przezwiska	5 „	21.8 ⁰ / ₀
niepewni (Krzyw cze).	1 „	4.2 ⁰ / ₀

Geograf bawarski wyszczególnia 57 ludów, z których 7 odrzucamy, jako nie słowiańskie. Z pozostałych nazw przypada na końcówki:

topograficzne	32 t. j.	64 ⁰ / ₀
warstwa społeczna jako plemię	1 „	2 ⁰ / ₀
nazwy pochodzenia niemieckiego.	6 „	12 ⁰ / ₀
przezwiska	1 „	2 ⁰ / ₀
niewyjaśnione	10 „	20 ⁰ / ₀

Zarówno ludy słowiańskie w okresie swego pojawienia się na stronach historii, jak i plemiona germańskie, osiadłe w granicach posiadłości rzymskich, przeważnie noszą nazwy, zaczerpnięte od miejsc zamieszkania. Nie wykluczało to naturalnie istnienia przezwisk, takich, jak dzisiejsi w południowej Słowiańszczyźnie Kajkawcy, Czakawcy i Sztakawcy, lub na Polesiu Sekały i Hesztaki, albo u nas Jackowie i Szastacy, Kurpie, Kaszubowie. Nazwy Dułębów, Łęchów i innych należą do nazw szydebnych prawdopodobnie.

Zgola inny widok przedstawiają niepodległe szczepy germańskie, wyliczone u Tacyta. „Z nazw tych nie sielanka słowiańska, lecz wojna i ruch zdobywczy do nas przemawiają... Od przejrzystości i jasności najznaczniejszej części nazwisk szczepowych słowiańskich odbija dziwnie zagadkowość i niezrozumiałość nazw niemieckich“. Z ogólnej liczby 38 ludów niemieckich, wymienionych u Tacyta, przypadało na nazwy:

	Müllenhoff	Zeuss
Geograficzne, lub możliwie geograficzne	6	6
Zupełnie niewyjaśnione.	5	8
„Dzielni“, „sławni“, „wrogowie“ !	11	11
Od zbroi, taktyki wojennej	6	5
Hieratyczne i t. d. !	3	1
Od właściwości duchowych (włóczęgi, spiochy itd.)	1	5
Od stroju, zarostu i t. d.	4	2
Patronimiczne	1	—
Przezwisko celtyckie	1	—

A zatem, jak widzimy, nazwy geograficzne stanowią zaledwie 15% ogółu nazw i przezwisk plemiennych u ludów germańskich, a charakter geograficzny blisko połowy z nich jeszcze jest wątpliwy nawet dla samych komentatorów, którzy przy swem wyjaśnianiu stawiają tam znaki pytania. „Dzielni“, „mieczonośni“, „sławni“, „sprzymierzeńcy“, „waleczni“ powtarzają się w różnych odmianach, a obec-

nością swoją świadczą o wojowniczym, zabórczym duchu szczepu, który na widowni historycznej pojawia się jako żywioł niezmiernie ruchliwy, organizatorski. Nazwy te nie odznaczają się statecznością: na powierzchni burzliwego morza niemyzyny ukazują się wciąż nowe imiona, a w paręset lat po Tacycie, w epoce wielkiej wędrówki ludów, ludy germańskie będą słyneły pod innymi nazwami; może będą to te same plemiona, które wymienia historyk rzymski, ale w ruchliwym swem życiu zmieniły swe przezwisko. Lecz i podczas wielkiej wędrówki pierwiastek ruchliwości i wojowniczności jest nieodłączny od synonimii plemienną germańskiej, a ujawnia się w nazwie Gotów („dzielnych“, nasz przymiotnik „gotowy“, jeszcze dzisiaj, po tysiącu lat przeszło, pokazuje, jak przodkowie nasi patrzyli na ten szczep germański), Wandalów, Sasów („mieczonośni“ od dużego może kamiennego pierwotnie noża), Franków („oszczeponośnych“). Ogół nazw germańskich swoim charakterem mocno przypomina synonimie plemienną czerwonoskórą takich Komanczów, Siuków. Nazwy ludów germańskich koczowniczych zarysowują się zwłaszcza silnie, a wyraźnie na tle nomenklatury plemienną, właściwej ludom tego szczepu, osiadłym w granicach państwa rzymskiego w okresie Tacyta, a także w takim samym stopniu są odmienne od nazw plemion słowiańskich, przeważnie geograficznych. Zestawienie wszystkich tych kategorii, a więc koczowniczej germańskiej, germańskiej osiadłej, słowiańskiej, dostarcza nowego dowodu, że nazwy plemienną kształtują się według warunków bytu i przedstawiają formację, powstającą i zmieniającą się pod działaniem trybu życia, prowadzonego przez rozpatrywany szczep, naturalnie, o ile, dzięki stosunkom historycznym, pewne nazwy nie utrwalają się, pozostając podczas epoki, która w swem samorzutnem a własnem działaniu nigdy-by ich sama nie wyłoniła. Duch, właściwy synonimii plemienną, zmienia się wraz ze źródłami utrzymania, a jest odmienny podczas każdej fazy rozwoju kulturalnego. Ale w jaki sposób przekształca się on przez różne szczeble kultury, o tem nie ośmielamy się wygłaszać stanowczego zdania, gdyż, bądź co bądź, materiał, jakim rozporządzamy, jest zbyt szczupły, ażeby na jego podstawie wyprowadzać zbyt rozległe wnioski. Jednak mniemamy, iż nazwy plemienną odznaczają się względnie charakterem jednostajnym podczas dzikości, urozmaicając wątki swe w okresie barbarzyństwa, wreszcie za czasów rolnictwa tracą swoją różnorodność, czerpiąc naówczas materiał swój od miejsc pobytu i wogóle zamieszkania. Na wyższych szczeblach rozwoju, prócz bezpośrednich wpływów realnego otoczenia społecznego, oddziaływać zaczyna i tradycja, przechowująca nazwy okresu ubiegłego, i w ten sposób pętająca żywe wpływy formacji, która nastąpiła.

Na zakończenie zatrzymamy się nieco nad nazwami plemion słowiańskich, specjalnie zaś nad nazwą Lęchów, która wywołała tyle polemik w czasach ostatnich i zrodziła całą nawet „lęchomanię“.

Zaznaczyliśmy, iż u Nestora, obok nazw niewątpliwie pochodzenia geograficznego, istnieją jeszcze inne, które poczytujemy za przewiska w znacznej mierze. Są to: Dulebowie, Chorwaci, Czesi, Lęchy i Serbowie, a do nich moglibyśmy dodać Weletów czyli Lutyków. Swojem ukształtowaniem nie przedstawiają one najmniejszych rysów rodowodu geograficznego. Możemy z wielkiem prawdopodobieństwem przypuścić, iż są one płodem tej samej formacji kulturalnej, jakiej twory oglądaliśmy w synonimii plemiennych niepodległych plemion germańskich. Germanie, tak ruchliwi i wojowniczy, osiadając za czasów Tacyta w granicach państwa rzymskiego, zaczynają słynąć pod nazwami geograficznymi — okoliczność, świadcząca, iż z przejściem do trybu osiadłego, rolniczego, dokonana jest spokojnie i niepostrzeżenie, zamiast nazw doby koczowniczej, pojawiają się inne, zaczerpnięte od miejsc osiedlenia. Taka sama zmiana zaszła prawdopodobnie w nazwach plemion słowiańskich. W okresie przedosiadłym istniały tam nazwy powszechnie przyjęte, bądź używane przez samo plemię (może np. Chorwaci), bądź będące przezwiskami, nadawanymi przez sąsiadów. Grupy pierwotne, rozmnażając się i mając się rolnictwa, zajmowały coraz rozleglejsze obszary ziemi, a osiadając tam, rozpadały się na poddziały, słynące pod nowego kalibru nazwami, — geograficznymi. Dawne nazwy z wolna zanikały, ustępując miejsca nazwom fazy osiadłej. Duleby zamieniają się na Wołyńców-Bużan. Lęchowie dawni mnożą się w liczne plemiona, biorące nazwy od miejsc osiedlenia. „Słowianie owi przyszedłszy siedli nad Wisłą, a od tych Lęchów przezwali się jedni Polanami, drudzy Lęchowie Lutyeczami, inni Mazowszanami, inni Pomorzanami“. Twierdzenie to kronikarza ruskiego uprawnia nas do wniosku, iż pewna grupa plemienna, słynąca pod nazwą Lęchów wśród pobratymczych sąsiadów, w miarę rozrastania się swego przybierała nowe nazwy, geograficzne, dawna zaś pozostała jako wspólna nomenklatura dla wszystkich poddziałów, które z biegiem czasu powstały z grupy pierwotnej. Zaciekania nad prastarem znaczeniem nazw plemiennych słowiańskich z okresu przedosiadłego pozostawiamy sławistom, którzy tak samo toczą spory o rodowód nazw Chorwatów, Serbów, Czechów, jak i badacze niemieccy o Swewów i Naharwałów. Zdania są podzielone: kiedy prof. Perwolf w imieniu Serbów widzi „krewniaków“, „towarzyszy“, to prof. A. Brückner w rozmowie ze mną gotów tę nazwę poczytywać za ogólną charakterystykę wymowy, t. j. przypisywał jej to samo znaczenie, jakie jest zawarte w australskim przezwisku plemiennym

„twarde usta“. Może w nazwie Chorwatów ukrywa się idea „towarzysza, „dzielnego“, w Weletach tkwi może pierwiastek siły fizycznej. Ale jest także możliwem, iż zagadki, do których dobieramy klucza z takim mozolem, bynajmniej nie są tak zawiślane, ale tylko utraciliśmy z łolność ich odcyfrowania. Takimi samemi łamigłówkami staliby się Giecaki, Lemki, gdybyśmy nie rozporządzali żyjącem jeszcze źródłem pochodzenia ich nazwy.

Z temi uwagami i wnioskami, zaczerpniętymi z etnologii, zwrócimy się do rozbioru nazwy plemion polskich, słynących u sąsiadów jako Łęchowie.

A. Małeckiemu należy się zasługa ustalenia tego faktu, iż nazwa Łęchów i pochodna o ł niej Lechitów jest obcego pochodzenia. Słyszeliśmy pod nią przedewszystkiem u Słowian ruskich, od których zapożyczyli ją prawdopodobnie Litwini i Węgrzy, bo co do Serbów południowych mniemam na przekór wymienionemu badaczowi, iż ich Ledjanin jest przeróbką późniejszą węgierskiego Lengyel. Nazwa Łęchów jest więc przewiskiem, nadanem przez sąsiadów tego samego szczepu językowego, a właśnie dlatego tkwił w niej prawdopodobnie odcień szyderyczy. Nastęrcza się pytanie, od czego ją wyprowadzono. O rodowodzie nazwy Łęchów zdania badaczy się dzielą. Kunig usiłuje dowieść, iż nazwa ta pochodzi od źródłosłowa „łęg“ i wiąże naszych przodków z ludem germańskim Lygjów; A. Małecki wyprowadza ją od źródłosłowu „łęd“, który przechował się w wyrazach „łęda“, „łada“, „łjadina“. „Łeda znaczy równinę w stanie pierwotnej natury, pole leżące jeszcze ugorem, pomiędzy Polanami, mieszkańcami pól, lub może polan, a Ledjanami, mieszkańcami łęd, była-by tylko względna, wiekowa czy kulturalna, różnica“. Myśl A. Małeckiego dalej rozwija K. Potkański. „Nazwa Lechów jest topograficzna... oznacza mieszkańca odłogów, pól, stepów, czyli kraj pierwotnych Łęchów musiał być krajem równym, stepowym i tem się musiał wyróżniać od innych sąsiednich, które tych fizyograficznych warunków nie posiadały“. Ale nawet jeśli przyjmujemy pochodzenie nazwy Łęchów od źródłosłowu, na jaki wskazuje A. Małecki, zaszło z jej znaczeniem nieporozumienie, wynikające stąd, iż zarówno ten badacz jak i K. Potkański poprzestali na słownikach, ale nie zaznajomili się z treścią, jaką wyraz „łjadina“ posiada w żywej mowie. Wyraz ten istnieje w ustach ludu białoruskiego, spotykamy go w Wielkorosyi; w literaturze rosyjskiej. Hleb Uspienskiy poświęcił jeden ze swoich szkiców opisowi łjadin gubernii Nowogrodzkiej. W tej żywej tradycyi, w dzielnicach skąd wyszła nazwa Łęchów, łjadina oznacza przedewszystkiem podmokłą nizinę leśną, a następnie polanę leśną oczyszczoną z pomocą ognia i zasianą, a dopiero w ostatecznym rozwoju,

pole spoczywające ugorem. Gospodarstwo ladowe istnieje w wielu punktach Rosyi, zwłaszcza na północy, a polega na stosowaniu zarzewia dla oczyszczenia ziemi od krzaków i drzew, i zarazem jej użyczenia. Według tych wzorów żyjących, Lęchami nazywano-by nie mieszkańców stepów, ale bagnistych, podmokłych nizin leśnych, a może pół-osiadłych rolników, których tryb gospodarowania polegał na wypalaniu gąszczu pod pole, a kiedy wytrzebione miejsce wyjałowiało, na przenoszeniu się na nowe sadyby i nowem oczyszczaniu gruntu z pomocą ognia. Nazwa ta w tym razie odpowiadała-by nazwie skandynawskich Suiones, których imię Müllenhof tłumaczy terminem „Waldbreuner“, a więc „ledjanin“, „wypalacz lasów“, jeśli domysł A. Małeckiego o pochodzeniu nazwy Lęchów od lędu jest słuszny.

Ale czy „Lęch“ w rzeczy samej pochodzi od „lędu? Czy nie jest to przymiotnik w rodzaju „Jacaków“, których początku szukano wśród Jazygów starożytnych, a których nazwa tłumaczy się bardzo prosto przez używanie zaimka „jaki“ w znaczeniu specjalnem“. Co do mnie osobiście, mniemam, iż wyjaśnienie nazwy Lechów jest związane z wytłumaczeniem imienia Czechów. Są to może biegunowo przeciwległe ogniwa niezrozumiałego dzisiaj dla nas pasma przymiotników. Już Fr. Prusik wskazywał, że nazwa Czechów jest nazwą wyrażającą pochodzenie od Czecha, Czech zaś jest skróceniem z Czaśława albo Cesława. K. Potkański rozwija tę myśl szczegółowiej. „Jest ono widocznie zepsute, ale w każdym razie nie jego zakończenie, ale początek“, a w dalszym ciągu stara się dowieść, iż „istnieje imię osobowe Lech, może ono być oderwaną końcówką takich imion jak Bolech, Żelech“. Jak w okolicach Sławkowa mieszkańców pewnej wioski nazywają Jędrkami od częstotliwości odpowiedniego imienia, tak samo Czechami i Lechami zostały-by plemiona, obfitujące w imienników Czecha i Lecha. Ale K. Potkański powstrzymuje się od tego wywodu i, jak mniemamy, słusznie. Prawdopodobniejszem mi się wydaje, że Lech i Czech są taką samą przeciwstawnością, jak Kajkawcy, Sztakawcy i Czakawcy, w Słowiańszczyźnie południowej, nazwani w ten sposób dlatego, iż zamiast „co“ jedni mówią „kaj“ drudzy „szto“, a trzeci „czto“. Takiej przeciwstawności dostarczają pytajniki „czy“ i „li“, z których ostatni ongi swoim użyciem w starodawnej polszczyźnie zdaje się przewyższał swego następcę, obecnie niemal jedynie występującego, a rozkrzewienie się pytajnika „czy“ może odbyło się pod wpływem czeskim, tak silnym w pewnej epoce dziejów naszej swojskiej cywilizacji. Lechami byli ci co „lechizowali“, Czechami, którzy „czechowali“. Stawiając to przypuszczenie, nie ośmielamy się jednak przy niem upierać, ostatnie słowo w tym względzie należy do sławistów.

III.

Odosobnienie życia wewnętrznego plemion.—Wygórowane pojęcie o sobie.—
Ojczyzna —środek świata.—Stronienie od cudzoziemców i ich produktów.—
Wylączność religii pierwotnej.

Rozbiór nazw i przezwisk plemiennych odsłonił przed nami napięcie uczuć nieprzychylnych, dzielących na zaraniu dziejowem plemiona ościenne.

Plemię, t. j. samodzielna i niezależna grupa etniczna i społeczna, posiada dla sąsiadów swoich tylko pogardę, w najlepszym razie lekceważenie. Gdybyśmy chcieli zapuszczać się w analizę jeszcze szczerzącej, np. zatrzymali się chociaż-by nad psychologią nazw szydebnych u ludu naszego, które niewątpliwie przedstawiają wytwór takich samych, a przynajmniej mocno pokrewnych stanów ducha, co i nazwy plemienne u ludów pierwotnych, to spostrzeżlibyśmy, że najdrobniejsza różnica zauważona w okolicy sąsiedniej, a dość charakterystyczna. staje się przedmiotem, dostarczającym wątku dla drwin: jedni od wołania na koni „picha“ są Pichaczami, innych przezwano „Bobiarzami“ od sadzenia bobów, jeszcze inni otrzymali przydomek Kaleciarzy od zwyczaju przewieszania torby przez plecy. A jakkolwiek przezwiska te bynajmniej nie przedstawiają płodu zbyt wygórowanego lekceważenia sąsiadów, przecież żądło ich dotkliwie razi tych, którzy są celem pocisku. „Tak się wyzywajom, to czem-żeby go jucha ugryzł!“. Pierwotne ludy, wobec większego subiektywizmu, odczuwają przedrzeźnianie głębiej, a zniewaga jest bolesniejszą. Jedno z plemion australskich powiada o swoich sąsiadach: „to obłąkani, na węża mówią ogień“, gdyż ten sam wyraz u jednych znaczy „węż“ u drugich zaś „ogień“, a w tem wyrzeczeniu kryje się niewątpliwie dotkliwa obelga, którą dosłyszawszy wydrwiwany czuje się jak „gdyby go jucha ugryzł!“

Przezwiska zawierają w sobie bodaj jeszcze najłagodniejszą formę zniewagi. Ponad tym objawem niechęci piętrzą się jeszcze inne, napiętnowane coraz nieprzyjaźniejszym uczuciem: zamiast szyderstwa słownego pojawia się lekceważenie cudzych zwyczajów, niechęć dla obcej kultury, nienawiść względem obcoplemieńca, pociągająca za sobą odpowiednie postęпки.

Przeżytki tych wszystkich stanów ducha znajdujemy u naszego włościanina, naturalnie w mocno złagodzonej formie. Jeszcze wnukom i prawnukom przybłądów lud nasz pamięta obce pochodzenie i wytyka przy okazji. Dla ludzi obcej wiary i obcego języka jest usposobiony bardzo niechętnie, a niektóre wyrazy, utworzone od

nazw plemiennych, takie jak „oszwabić“, „wycyganic“, „zżydziały“, oddają dobrze ducha, ożywiającego jedną grupę etniczną w stosunku jej do innych. A oddają go w dwojakim kierunku, po pierwsze: podejrzliwości względem obcych, których plemieniec zawsze posądza o odznaczenie się ujemnymi przymiotami moralnymi, powtóre: zachowania się członków innego szczepu, uważających zawsze za dozwoloną rzecz „oszwabić“ obcoplemieńca. Takie same świadectwo składają gminne pojęcia o dyable. U nas w podaniach pojawia się zawsze w ubiorze Niemca, tak samo jak u Małorusinów przybiera postać Polaka.

Kultura nowoczesna z właściwą sobie wymianą produktów i idei, zbliżeniem dzielnic i ludów, przytępiła już mocno patryotyzmy zaściankowe, przeciwstawiające „Jędrków“ „Jacakom“, oraz przekonała włościanina, że i Niemiec odznaczać się może uczciwością, a żyd jest takim samym jak i on człowiekiem, a nawet zniewoliła do przyznania niejednemu z nich wyższości moralnej i umysłowej. W okresach wcześniejszych niema takiej szkoły, przekonywującej plemieńca o popełnianej omyłce, kultura na olbrzymiej nieraz przestrzeni znajduje się na tym samym poziomie, jednakowo niskim, subiektywizm plemienny nie spotyka żadnego powściągu, który-by łagodził jego napięcie. Wygórowane wyobrażenie o wartości własnego plemienia stanowi tam konieczne a konsekwentne następstwo ogółu warunków, wśród których wypadło rodzić się, żyć i umierać przedstawicielowi pierwotnych okresów rozwoju cywilizacyjnego. Istota ludzka, znajdująca się na szczyblu dzikości, przebywa w obrębie niewielkiej dzielnicy, z której obszaru prawie nigdy nie wychodzi i na którą nie wpuszcza obcych. Rozległość jej doświadczenia codziennego i wogóle stykania się, nie mówię z obcą kulturą, ale nawet z obcoplemieńcami, jest bardzo nieznaczna. A jeśli widuje członków obcego plemienia, odrębnych mową i zwyczajami, zdarza się to tylko z orężem w ręku.

Tacy Australczycy, pomimo iż przechodzą nieustannie z miejsca na miejsce, koczują zwykle w granicach terytorium, posiadającego 50—60 mil angielskich w promieniu, gwary zaś zajmują takie same obszary. Terytorium plemienne bywa niekiedy znacznie większe, ale i wtedy, rozdzielone na klany, nie zna swobodnego koczowania wewnątrz ziemi plemiennej. Działy takiego większego plemienia nieraz, a może zawsze, niedowierzają sobie, jak to ma miejsce np. u Narinajerów. Meyer, wyliczywszy „plemiona“, t. j. klany tego ludu, powiada: „choć są krewniakami, przecież są względem siebie bardzo zazdrośni i podejrzliwi, prawie zawsze na stopie wojennej“.

W Kalifornii, Niszynamowie, jeśli któreś plemię przebywa od nich w odległości dwudziestu mil, nie są ciekawi cokolwiek wiedzieć o niem i faktycznie nic, a przynajmniej bardzo niewiele wiedzą.

Wedowie nilgalscy, acz oddaleni o 50 mil. ang. od binteńskich, nie podtrzymują pomiędzy sobą najmniejszych stosunków, a osoba, pochodząca z jednego terytorium, nigdy nie widuje współszczepowca, zrodzonego w granicach drugiego. W ogóle członkowie jednej wargi nie pielęgnują stosunku z członkami innej, zaledwie nawet posiadają niejasne pojęcie o istnieniu pozostałych grup swego szczepu. „Mogliśmy się o tem niejednokrotnie przekonać, Wedowie wawatańscy nic nie wiedzą o nilgalskich. Członkowie dwóch klanów przy spotkaniu są zmieszani widokiem siebie, do czego nie przywykli, wykazują wstręt do wejścia w obcowanie z sobą, podejrzliwość i zdziwienie.“

I nawet, gdy zwrócimy się do ludów melanezyjskich, znajdujących się na znacznie wyższym szczeblu uspołecznienia, granice doświadczenia oraz zetknięcia się plemiennego są tak samo ciasne. Codrington zaznacza, iż jest rzeczą niezmiernie trudną powziąć wiadomość o nazwie wyspy. Wielkie wyspy rzadko posiadają imię; poszukiwacz, który pyta o całą wyspę, dostaje nazwę dzielnicy, albo wioski, którą wskazał. To samą zaświadczyają inni podróżnicy, zaczynając od Cook'a. Plemiona ościenne znajdują się w nieprzyjaźni, pomiędzy nimi istnieją od pradziadów zawsze jakieś rachunki, panuje poniekąd nieustający nigdy stan zbrojny. Mężczyźni (na arch. Bismarcka) nie wychodzą z tego powodu poza granice wioski bez procy przynajmniej i kamieni; gdy udają się na targi, dokąd schodzą się mieszkańcy innych okręgów, wtedy zbroją się w dzidy, topory i maczugi. W Nowej Kaledonii plemię zawiera 500—2,000 członków, stosunki pomiędzy siołami tego samego plemienia są częste, ale rzadkie pomiędzy plemionami na głównej wyspie, normalnym stanem stosunków jest wojna nieprzerwana, a trzy plemiona, zamieszkujące wyspę Uwea, nadają jej każde inną nazwę.

W okresie barbarzyństwa poczucie solidarności wzajemnej, wspólność mowy i wspólne tło zwyczajów ogarniają większą liczbę osób, ale rozstrzelenie tej gromady jest bardzo znaczne. Człowiek przebywa w granicach gminy wioskowej (opola), obojętny na wszystko, co dzieje się poza jej obrębem, aż póki nie powstanie władza centralna, jednocząca rozpieczętę części ludu w całość polityczną. O tem rozdrobnieniu świadczą dzieje Polabszczyzny słowiańskiej, o niem opowiada każdy opis ustroju społecznego barbarzyńców, oraz historia początków ludów cywilizowanych. Poprzestaniemy tylko na paru przykładach, zaczerpniętych z niższych szczebli barbarzyństwa.

Nad dolnym i środkowym biegiem rz. Sacramento przebywa jeden z największych ludów Kalifornii, ale nadaremnie poszukiwalibyśmy tam śladów rządu wspólnego, a nawet ogólnej nazwy. Mówi on tym samym językiem z nieznacznymi odchyleniami, co jest zgoła naturalnem w obec zajmowanej a olbrzymiej przestrzeni, posiada jednaki zwyczaj, ale odznacza się tak małym poczuciem solidarności, iż pojedyncze działy jego są pomiędzy sobą w najzaciętszej rozterce.

W obwodzie Varagua istniejące tam grupy, chociaż oddawna stanowią jeden lud, dzielą się na mniejsze, zawsze wojujące plemionka.

Jak zaznaczyliśmy, każdy lud cywilizowany w początkowym okresie swego życia państwowego ukazuje się rozstrzelony na liczne ogniska patryotyzmu zaściankowego i uprzedzeń miejscowych. Grecya na widowni dziejowej występuje rozdzielona na mnóstwo drobnych dzielnic, uświadamiających sobie wspólność swoją, ale pomimo to znajdujących się w rozterce nieustającej. Nigdy nie wzniosła się ona do stworzenia jednolitej więzi społecznej, łączącej oddzielne grupy. Kraj nasz w tym względzie ją prześcignął, ale i u nas patryotyzm miejscowe odznaczały się wielką mocą nawet i wtedy, gdy wspólna organizacja zgarnęła krewniacze dzielnice w jednolitem państwie. „Przez długie czasy — pisze K. Szajnocha — nie było innej Polski, jak Wielkopolska. Reszta była Krakowem, Mazowszem, Sandomierzem, nie Polską. Do czasów Bolesława wstydlwego wyrażano się: Sandomierzanie, Mazury, Kujawici i Polacy. Jeszcze za czasów Jadwigi spostrzegają się Krakowianie na podszeptach Polaków. Król, nie posiadający Wielkopolski, był tylko „krakowskim królem“. Dawano Łokietkowi ten tytuł nie w żarcie i z szyderstwa, lecz w poważnych stosunkach dyplomatycznych, w traktatach z życzliwymi sprzymierzeńcami. Można było nawzajem być tylko „wielkopolskim królem“. W latach po Kazimierzu Wielkim nie przyjmowano w Wielkopolsce na urzędy obywateli małopolskich, jako nie ziemian, cudzoziemców. Jeszcze za Jagiełły zwał się tam każdy Małopolanin średnio-wiecznym terminem „gość“, t. j. tyle, co cudzoziemiec.“

W okresie pierwotnym człowiek przebywa w niewielkiej grupie i na nieznaczonej przestrzeni, odgrodzony od reszty świata uprzedzeniami i pojęciami, mową i zwyczajami. Jest on w całym znaczeniu *glebae adscriptus*, a jego obyczaje i wyobrażenia noszą jaskrawe piętno takiego przymocowania.

Mniema on, iż kraj jego jest środkiem świata, a on sam i jego tryb życia — wzorami doskonałości.

Jak wiemy już, plemiona australskie wyobrażają sobie, iż świat jest płaszczyną, rozciągającą się w przybliżeniu 200 mil ang. w każdym kierunku, kraj zaś ich znajduje się w pośrodku tej przestrzeni.

U plemion szczepu dakockiego kwestya starszeństwa jest przedmiotem częstych rozpraw. Mdewakantonwani mniemają, iż ujście rz. Minesoty leży akurat nad środkiem ziemi, a oni zajmują wrota, prowadzące do świata zachodniego. Taki pogląd podnosi ich bardzo w dobrem o sobie przeświadczeniu. Natomiast Sisitonwani i Ihonktowani twierdzą, iż żyją w miejscu, z którego strumienie rozchodzą się na wszystkie strony, i dlatego przypuszczają, iż ziemia ich jest środkiem świata, a więc roszczą sobie pretensye do pierwszeństwa. Jedyne Titotonwani nie posiadają takiej ambicyi i dobrowolnie ustępują starszeństwa jednemu w powyżej wymienionych odłamów szczepu dakockiego, a mówią o nim: to rzetelni ludzie! Taki sam spór wiodą Indianie z pueblów, każde pueblo mniema, iż środek świata leży w jego obrębie.

Wyspiarze arch. Banks'a sądzili, że świat cały składa się z ich własnej grupy, wysp arch. Torres, oraz 3—4 wysp z pośród Hebryd północnych, poza temi kawałkami ziemi rozciągał się ocean, a kiedy przybyły pierwsze okręty europejskie, mniemali, że to wróciły do ojczyzny duchy zmarłych przodków. Pogląd to bardzo rozpowszechniony wzdłuż i wszerz Polinezyi.

Jakuci spoglądają na kraj swój, jako na „pępek ziemi“.

Nie mnożąc przykładów z życia ludów pierwotnych, wspomnimy, iż Grecy umieszczali środek ziemi w świątyni delfickiej, iż w mitach Egipcyan znajdujemy pokrewne poglądy, naturalnie w zastosowaniu do własnego kraju. Nazwa Chin, jako mocarstwa środkowego, pochodzi z tego samego źródła.

Nietylko środek ziemi leży w ojczyźnie plemienia. Ono samo jest dziełem specjalnego aktu stworzenia, — najmądrzejszem. Poglądy synów Izraela, iż byli wybranym ludem Jehowy, bynajmniej nie są odosobnionem, ale raczej powszechnem zjawiskiem w rozwoju społecznym rodu ludzkiego.

Masajowie są we własnem mniemaniu wybranym ludem Ngaja, on oddał im na własność wszystkie bydło, i dlatego jedynie użytkują ze swego nieodłącznego prawa, gdy grabią je u sąsiadów. Wahabowie nadają wszystkim, prócz siebie, nazwę wrogów Boga. Murzyni, poznawszy wyższość Europejczyków, zrobili ustępstwo: nie mogą pogodzić się z myślą, ażeby był jeden Bóg dla wszystkich, przypuszczają, iż biali mają białego, oni zaś czarnego Boga. I znak, tatuowany na ciele przez plemieńców, jest w plemieniu doskonalszy niż gdzieindziej, a ozdobiony nim wyższy nad pozostałych ludzi. Kafrowie sztydzą z Buszmenów, Hotentotów i innych ludów, że są nie obrzezani, patrzą na nich jako na malców, nie pozwalają im usiąść w swojej obecności, ani nie jedzą pospołu z nimi. Nawet sprzęty, używa-

ne w plemienu, są lepsze niż gdzieindziej. Plemiona z nad rz. Nogoia i Dawson spotykają się niekiedy z plemionami z nad rz. Cape River, nigdy przecież nie używają ich wommery, acz mają mnóstwo trawia-
stych drzew do wyrobu lekkich dzi rytów, ani nie zaopatrują dzied
w brody. Przeważa tam, pomiędzy nimi, napięte podobieństwo zwy-
czajów, jednak większość plemion posiada właściwości, których się
trzyma z wielkim uporem.

Wszystkie te fakty świadczą o niezmiernej zarozumiałości każ-
dego plemienia o samem sobie w okresie pierwotnym cywilizacji.
Ale nie powinniśmy się zbytnio dziwić temu, tak wygórowanemu sub-
jektywizmowi. Różnice w budowie szalasu, w formie oręza, w znaku
plemiennym pomiędzy sąsiadami nie wynikły z rzetelnej wyższości
technicznej, ale pospolicie są tylko odmianami kunsztu, będącego
wszędzie na tym samym poziomie. Plemieniec nie widzi i faktycznie
nie ma najmniejszego powodu porzucić zwyczajów praojcowskich, ażeby
przybrać inne, nie zawierające w sobie ani racjonalniejszych, ani bar-
dziej udoskonalonych pierwiastków.

Wiązanka faktów, które podaliśmy, rzuca światło na podmioto-
wość i zarozumiałość plemienną, ale jeszcze nie daje dostatecznego
wyobrażenia o tem napięciu pogardy i nienawiści, jakie są właściwe
okresowi pierwotnemu w stosunku wzajemnym jednego plemienia
względem innych, nawet sprzymierzonych. Warto z bogatego zasobu
materiału etnologicznego podać parę obrazków, uzmysławiających
wrogość wzajemną, a w najlepszym razie nienfność.

Cztery plemiona australskie z pojezierza Eyre, sąsiadujące z Da-
jerami, rozumieją ich mowę i żyją z nimi na stopie przyjacielskiej, od-
wiedzają kolejno swoje uroczystości i wymieniają pomiędzy sobą pro-
dukty swoje, ale w głębi serca „pielęgnują najśmiertelniejszą niena-
wiść przeciw sobie, chociaż powiadają, iż pochodzą z tego samego pnia,
a nadto zawierają pomiędzy sobą związki małżeńskie“.

A jeśli pomiędzy grupami krewniaków-sprzymierzeńców istnieje
takie niedowierzanie, to o ileż uczucie to odznacza się silniejszym na-
pięciem wśród ościennych, ale obcych sobie plemion!

U Fidżyjczyków częstemi są wypadki rozbicia statków. Jeśli
rozbitkowie należeli do pokolenia przyjaznego, obchodzono się z nimi
ntościwie, ale statek stawał się własnością mieszkańców wioski, w któ-
rej pobliżu nieszczęście się zdarzyło. Lecz jeśli załoga pochodziła
z grupy nieznanej, albo wrogiej, mordowano ją bez miłosierdzia.

Pawnijczyk, gdy spotka Dakotę, albo innego Indyanina na pre-
ryach, obie strony bez żadnego wstępu i kłótni imają się oręza, a bój-
ka jest na śmierć i życie.

W Brazylii mowa określa i wyznacza modłę stosunku wzajemnego pomiędzy ludami, plemionami i hordami. Wspólna lub przynajmniej pokrewna mowa brata wogóle tych ludzi nieokrzesanych, a chociaż, mimo pokrewieństwa narzeczy, grupy często wojują pomiędzy sobą, to przecież zajście takie jest przejściowe. Plemiona, których języki nie wykazują pokrewieństwa, trwają w wiecznej wrogości i przy każdej okazji prześcigają siebie, jako śmiertelni przeciwnicy. Nienawiści dziedziczne jednych plemion względem innych zrosły się z duchem narodu; gdy chcemy od dzikiego Indyanina dowiedzieć się nazwy jego plemienia, niepytany wymienia często zarazem nazwisko swego zdecydowanego wroga plemiennego.

Skutki odosobnienia, nieufności wzajemnej i wrogości dziedzicznej odcisnęły się w mnóstwie zwyczajów i zapastrywań. Nawet samo dotknięcie obcoplemieńca, obcowanie z nim, użytkowanie z jego sprzętów plugawi człowieka. Poglądy ludu naszego, iż siła nieczysta pojawia się zawsze w ubiorze niemieckim, powstały z przeświadczenia, iż cudzoziemiec znajduje się zawsze w blizkich stosunkach z dyabłem. Przekonanie takie o obcoplemieńcach jest jeszcze bardzo żywotne u naszego włościanina. Powszechnie przypisuje on Cyganom, Żydom, Słowakom, Węgrom moc rzucania uroków i czarowania. U ludów pierwotnych to podejrzenie występuje z większą jeszcze mocą w skutek braku racjonalnych pojęć o prawach przyrody. Zdaniem człowieka pierwotnego, każdy, prócz zabitych na wojnie lub w innej potrzebie, umiera dlatego, że ktoś niechętny rzucił czary. Poszukuje on sprawców uroku (poza obszarem ziemi plemienną) tam gdzie od dziada-pradziada przyzwyczaił słę widzieć wrogów swego plemienia. A ponieważ ludzie ciągle umierają, przeto sąsiedzi zamieniają się dla Australczyka na potężnych czarowników, a nadto rozkołysana fantazyja ludu przypisuje im wszelkie możliwe ujemne przymioty i skłonności krwiożercze. Namowie wierzą, iż Buszmeni posiadają własność przemienienia się we lwy, hyeny i inne zwierzęta drapieżne. „W Australii południowej jeśli ktoś umrze, a przyjaciele jego nie znajdują przyczyny, skon przypisują czarodziejom Malaparom. Stosują tę nazwę do plemion z okolic Adelajdy oraz dzielnic, położonych bardziej na północ, i wierzą, iż wrogowie posiadają zdolność przybierania kształtów ptaków, drzew i t. d.; zarówno młodzi, jak i starzy obawiają się bardzo Melaparów.“ „Wierzą, iż odległe plemiona czarnych, a zwłaszcza Kukatowie, mają władzę zsyłania ślot, upałów i posuch, w ogóle klęsk, zabijających masowo inne plemiona“. „Magia, o którą posadzają obce plemiona, w ogóle wywiera bardzo wielki wpływ na umysł pospolitego Australczyka; wszystkie odleglejsze grupy są podejrzewane o lubowanie się w rzucaniu uroków i o posiadanie

tej umiejętności. U Bakairów wielkie klęski, szczególnie śmierć i choroby, przychodzą od obcych czarodziejów. W ogóle plemiona indyjskie pielęgnują pogląd, że cudzoziemcom, a osobliwie białym, to warzyszą złe duchy. W Gwatemali, tak samo jak w Chinach i u nas, obcy przychodziń, przedewszystkiem zaś cudzoziemiec, jest przyjmowany z nieufnością, gdyż posądzają go o posiadanie uroczych oczu: na co spojrzy, to zmarnieje. Nawet są nazwy plemienne, zapisane przez podróżników, a przyjęte przez etnografię, które oznaczają nie innego, tylko „czarodzieje“, do nich należy nazwa Gallów afrykańskich. Przesady Rzymian, posądzających cudzoziemców o podpalenie Rzymu, uprzedzenia średniowieczne przeciw żydom, jako sprawcom moru, poglądy, wypowiedane przez przywódców ruchu bokserów w Chinach oraz oskarżenia, drukowane w ich proklamacyach, jakoby Europejczycy byli ludożercami, brały i biorą swój początek w prastarych zapatrywaniach, przypisujących w szczerości swej a naiwności obcoplemiencowi nadprzyrodzone siły i wyjątkowo ujemne skłonności i instynkty.

Poglądy i uprzedzenia, zobrazowane w szkicu powyższym, zrodziły mnóstwo praktyk przesądnych i zwyczajów, które kładą piętno swoje na całe życie plemienne w jego stosunku do otaczających je innych grup etniczno-społecznych.

Powszechną jest chęć uniknięcia wszelkiego obcowania z cudzoziemcem; dotknięcie jego osoby, oręża, sprzętów plugawi człowieka.

Australczycy „niechętnie dotykają cudzoziemskich strzał i oręża, mniemają bowiem, iż zarażają one chorobą i mogą przyprawić o śmierć“. Z trudnością udało się skłonić tuziemców aby wzięli do ręki oręż, pochodzący z wysp Towarzyskich. W podaniu, plemieniec, opuszczający plemię swoje, ażeby odbyć długą wycieczkę, umiera niebawem po powrocie, gdyż „złamał przykazanie Bajamięgo, wychylając się z ojczystych terytoriów myśliwskich“.

Członek plemienia Pumów nie dotknie się nigdy swego śmiertelnego wroga, Apacha, chyba gdy trzeba mu w spotkaniu zadać cios ostatni. Ale i zamordowanie tego przeciwnika tradycyjnego, chociażby dokonane z odległości przez wypuszczenie śmiertelnej strzały, plugawi Pumijczyka; po zgładzeniu Apacha podlega on więc obowiązkowemu obrzędowi oczyszczenia. Niekiedy Pumijczyk poślubia Apaszkę, ale w większości wypadków branka staje się nierządnicą plemienną.

U Nawajów każdy plemieniec, powracający z niewoli, przebywa ceremonię oczyszczenia, która winna zdjąć z niego „obce substancye i wpływy“.

Beczuani po każdej podróży podlegają oczyszczeniu: gdyby nie dokonano tego, inni narazili by się, skutkiem czarów, na szkodliwe

a ujemne wpływy, przychodzące od cudzoziemców. Panujący w Kabongo, Loango, nie mogli dotykać towarów europejskich z wyjątkiem metali, broni, oraz przedmiotów zrobionych z drzewa i kości słoniowej, nawet zakaz wymagał, ażeby nie spoglądali na białego.

Santalowie nie są wybredni w jedzeniu, ale stronią od spożycia ryżu, przygotowanego przez Hindów, chociażby kuchtą był bramin. I sami Hindowie trzymają się tej samej zasady: ambasadorowie, wysłani do Anglii, po powrocie uchodzili za splugawionych, aż póki odbyciem symbolicznem powtórnego urodzenia nie zostali oczyszczeni. Wogóle, przepisy kastowe, niepozwalające członkowi jednej kasty poprzestawać z członkiem drugiej, jeść z jego naczyń, zaślubiać kobietę obcej kasty i t. d., wzięły początek w przesądach i uczuciach, dzielących ongi jedno plemię od drugiego, ustrój bowiem kastowy Indyi przedgangesowych powstał z połączenia przez podział pracy niezależnych grup etnicznych.

Plemię Orang Blandassów unika Malajów, każdy bowiem przedstawiciel tego szczepu, żyw czy martwy, jest uważany za podejrzanego.

Brytańczyk w Anglii nie pił z kubka, którego dotknęły usta Sasa, póki naczynie nie zostało wyszorowane piaskiem i popiołem.

Przesady, nakazujące plemieńcowi unikać sprzętów cudzoziemskich, poddawać się obrzędowi oczyszczenia, ilekroć powraca z obczyzny, wypływają niekiedy z przyczyn bardzo racjonalnych. Ludy pierwotne niejednokrotnie były dziesiątkowane skutkiem zarazków, przyniesionych przez towary europejskie, i własnych członków, którzy przebywali dłuższy przeciąg czasu w towarzystwie obcych. Ale przyczyny te zostały niewłaściwie pojęte: umysł pierwotny, nie obeznany z wynikami wiedzy naszej, w krzewiącej się zarazie spostrzegał płód czarów i ujemnych wpływów, idących od cudzoziemszczyzny, i jedynie utrwał się w zapatrywaniach swoich. Subiektywizm plemienny, w ostatecznym wyniku, jedynie rósł w siłę.

Działanie patryotyzmu plemiennego ujawnia się także jaskrawo w innym przypadku, wtedy mianowicie, gdy chodzi o związki małżeńskie pomiędzy członkiem danego plemienia a przybyszem.

U Indyan kobieta wychodzi za mąż zwykle we własnym plemienu, do cudzego wchodzi tylko jako branka. Ale zanim ktokolwiek ją tam poślubi, musi zostać usynowioną przez któryś z istniejących rodów. Mankowie np. nie pozwalają kobietom swoim na żadne stosunki z obcoplemieńcem, a zakaz ten stanowi jedno z zasadniczych praw pożycia społecznego. U Zuńczyków dziewczęciu pozostawiano najzupełniejszą swobodę, ale „względem obcych przestrzegano najsurowiej powściągliwości, a zawarcie związku małżeńskiego przez

przybysza w plemienu było tylko wtedy możliwe, gdy został usynowiony.“

Dziewczęta kanackie rozporządzają wdziękami swemi dowolnie. Ale kobieta zamężna surowo jest karana za cudzołóztwo, zwłaszcza jeśli oddała się cudzoziemcowi. Wszyscy mężczyźni plemienia wtedy z niej kolejno korzystają, poczem winowajczynię okaleczają w okrutny sposób głownią gorejącą.

U Kolów każdy mężczyzna ma prawo do każdej kobiety zamężnej, jeśli otrzymał przyzwolenie jej męża i urządził ucztę plemińcom, ale obcy są wykluczeni. Dziewczynie udzielono zupełnej swobody rozporządzania swemi powabami, ale wyrzucają ją z plemienia, jeśli oddała się obcemu.

Podaliśmy kilka przykładów, wybranych odpowiednio, mianowicie kiedy w plemienu istnieje zwyczaj niekrepowania woli i krewkości dziewczęcia. Ale wszędzie obyczaj zacieśnia kaprysy kobiety tylko gronem plemieńców, a karze ją surowo, ilekroć upodobała cudzoziemca. To ograniczanie związku małżeńskiego tylko członkami własnej grupy społecznej zaznaczyło licznymi śladami bytność swoją nawet u ludów cywilizowanych i półcywilizowanych. Jedną z najcięższych kar, jaka dotyka Dagiestańczyka, jest wydalenie z rodu, a jest ona stosowana względem mężczyzny, który toleruje stosunek swej żony z kimś innym, zwłaszcza zaś z cudzoziemcem. W Chinach nawet kurtyzantki nie miały siły i odwagi urągać wymaganiom opinii publicznej i unikały cudzoziemców. W Sparcie król mógł poślubić jedynie Spartankę, w Atenach ci jedynie byli obywatelami, którzy zrodzili się z obojga rodziców Ateńczyków. Jeśli sprzymierzeniec żył z Atenką w charakterze małżonka, mógł być sprzedany do niewoli, majątek jego konfiskowano, a takiej samej karze podlegał Ateńczyk, poślubiający nie Atenkę. W Irlandyi, syn zrodzony z obcoplemieńca, i to nawet za wiedzą i przyzwoleniem plemienia, uchodził za dziecko nieprawe i zarazem za obcego. W Hiszpanii poczytywano za grzech śmiertelny pocałunek, dany Maurowi.

Lecz zwłaszcza życie religijne było szczerze odgradzone od zetknięcia się z cudzoziemcami. „Cudzoziemcem był ten — pisze Fustel de Coulanges o społeczeństwach starożytnych — kto nie miał dostępu do kultu, kogo bogowie miasta nie ochraniaли, kto nie posiadał nawet prawa ich wzywać. Ci bogowie narodowi przyjmowali modły tylko od obywateli, odpychali cudzoziemców. Tym ostatnim wzbronionem było wejście do świątyni, obecność zaś podczas ceremonii uchodziła za świętokradztwo. Świadcstwo o tem starożytnem uczuciu wstępu doszło do nas zawarte w jednym z zasadniczych obrzędów rzymskich: pontifex podczas ceremonii pod otwartem niebem

zasłaniał twarz, ponieważ nie godziło się, ażeby w obliczu ognia świętego, podczas aktu religijnego, na twarzy cudzoziemca mogły spocząć oczy kapłana—wyrocznie doznałyby zakłócenia. Przedmiot święty, który chwilowo spoczął w rękę cudzoziemca, natychmiast ulegał splugawieniu, a odzyskać swój charakter religijny mógł dopiero po ceremonii pokutnej. Kiedy obywatele odzyskiwali miasto, którem owładnął nieprzyjaciół, należało przedewszystkiem oczyścić świątynię i odnowić zagasłe ogniska, splugawione obecnością cudzoziemców“.

Rzym i Grecya przedstawiają w swoich stosunkach jedynie obraz tego, co istniało i istnieje jeszcze powszechnie u ludów barbarzyńskich.

W styczniu nie wpuszczano cudzoziemców w mury miasta Guzco. Odprawiano tam uroczystość rozdzielania pomiędzy mieszkańców ciasta z mąki kukurydzowej, rozrabianej krwią ofiary ludzkiej. Spożywano je dla utrwalenia przymierza z Inkiem.

Na Nowy rok, w końcu stycznia, Mahsowie obchodzą w ciągu dni pięciu swe doroczne święto. Wioska jest wtedy odosobnioną od reszty świata. Wszereż ścieżek stoją zagrody z bambusu i znaki, ostrzegające obcych od wejścia w obręb sióła. Ktokolwiek przekroczy zakaz, rozbierają go i nagiego wypędzają.

Jęliśmy się rozbiórki stosunku międzyplemiennego, rozpoczynając od stanu pierwotnego, kiedy cudzoziemiec nie miał dostępu na terytorium plemienne, a zamknęliśmy obraz nasz wyłącznością religijną, właściwą ludom okresu cywilizacyjnego. Są to ogniwa tego samego pasma uczuć i widnokręgów. Pierwsze z nich toną w pomroku najwcześniejszych stanów kultury, których zaledwie przeżytki dochowały się w życiu obecnych ludów pierwotnych, ostatnie zaś występują skapane w świetle pomników historii pisanej. Ale wszystkie jednakowo są przeplecione względem obcych uprzedzeniami, nienawiścią i zarożumiałością: zasady moralności, t. j. prawa zwyczajowego, regulującego stosunki społeczne, obowiązują tylko w zastosowaniu do rodaków, a przestają wpływ swój wywierać, gdy plemieniec stanie wobec cudzoziemca. Czyny, uchodzące za zbrodnię, gdy są popełnione względem ziomka, są nie tylko dozwolone, ale poczytywane nadto za bohaterstwo i objaw mądrości, kiedy ofiarą ich jest obcy. Mord i rozbój, podejście i kradzież, oszustwo i kłamstwo—oto zasady „moralne“ plemienia w stosunku do obcych. Puścizna ta zamierzchłych czasów ciąży na cywilizacji, a chociaż w niej postęp uspołecznienia wiele zwyczajów osłabił i wogóle znacznie uszczuplił dziedzictwa, przecież to, co pozostało, odznacza się jeszcze bardzo okazałymi rozmiarami...

IV.

Uwagi ogólne.

W ostatecznym wyniku analizy dotychczasowej, plemię w okresie pierwotnym przedstawiło się oczom naszym, jako całość, wyraźnie zamknięta, żyjąca własnem samodzielnem życiem i dorobkiem, innemi słowy: jako wyodrębniona jedność kulturalna. Odgródzone często passem neutralnym od najbliższych sąsiadów, w normalnym, codziennym biegu życia nikogo nie wpuszcza na swoje terytorium, ani też żaden z członków jego nie bywa na ziemi sąsiadów. Taki stan rzeczy przybiera zwłaszcza ostre rysy, gdy obok siebie siedzą ludy, mówiące niezrozumiałemi językami i prawdopodobnie będące od pierwszego zetknięcia się z sobą na stopie wojennej, a rachunki, prowadzone w ciągu wieków, jedynie wzmocniły prastare uczucia zemsty i nienawiści. Natomiast, w przypadku plemion, pielęgnujących w tradycyi swojej pamięć o wspólnem pochodzeniu, a tembardziej posługujących się rzeczami tego samego języka, wrogość wzajemna utraci niejednokrotnie swoje napięcie, sąsiedztwo przeradza się w milczący sojusz, z którego może zrodzić się z biegiem czasu wyższa forma stosunku, — naród. Skutkiem zacieśnienia widnokręgów umysłowych w obrębie jednostajnego doświadczenia nieznacznej liczby osób, poglądy na świat noszą na sobie piętno krańcowo wygórowanego subiektywizmu: w ojczyźnie plemienia leży środek ziemi, ono samo jest wzorem ludów, „ludem nad ludami“, jego zwyczaje, sprzęty są najdoskonalszemi. Nienawiści wzajemne i uprzedzenia, krzewiące się bujnie na takim gruncie, rodzą nieufność do ludzi wogóle obcego pochodzenia: plemieniec podejrzewa ich o czary i chęć nieustającą szkodzenia, oraz mniema, że jest względem nich zwolniony od wszelkich więzów moralności.

Taki stan umysłów stawił nieprzeparte trudności na drodze uspołecznienia międzyplemiennego, zwłaszcza w okresie najwcześniejszym, gdy ludy znajdowały się na jednakowo niskim poziomie. Tor stosunków międzyplemiennych rozszerza się zwolna, ale, ażeby wejść nań, pojedyncze grupy rodu ludzkiego musiały pozbyć się zbyt wygórowanych stanów subiektywizmu plemiennego, a pozbyć się mogły jedynie pod naciskiem warunków przedmiotowych. Albowiem, póki brakło takiej pobudki, w życiu wewnętrznem, duchowem, nie było najmniejszych pierwiastków, gotowych ułatwić zbudowanie pomostu nad nienawiścią i uprzedzeniem. Musiały pojawić się potęgi zewnętrzne, mocą swego utylitaryzmu przynaglające jedno plemię do zawiązania

statych stosunków z drugim, i to na przekór pogardzie i lekceważeniu. W charakterze takiej siły przedmiotowej, pomimo nienawiści, wiążącej wrogie plemiona, występuje wymiana produktów materialnych.

Wygórowany subiektywizm plemienny, wzmocniony przez zasadę rodową ustrojów pierwotnych, przedstawia siłę dziejową, którą nieodzownie musimy uwzględnić, jeśli pragniemy zrozumieć późniejsze przejścia dziejowe. Ukazanie się niewolnictwa i pańszczyzny, dzieje Rzplitych starożytnych z właściwą im walką patrycyuszów z plebejuszami, wreszcie ustrój kastowy, wszystkie te formy stosunku człowieka do człowieka, oraz odpowiadające im ustroje więzi społecznej tylko wtedy uchylają przed badaczem pokrywającą je zasłonę, gdy podejdziesz ku nim, uzbrojony w pojmowanie pierwotnych subiektywizmów i odrębności plemiennych.

L. KRZYWICKI.

Pan Balcer w Brazylii.¹⁾

III.

Tak my zapadli w te porzeczne nize,
W stu ruczajami poprute żuławy.
Par mokry, świerszczów całe wojsko strzyże
W tępe nożyce bławatów postawy;
Tu, tam, brunatne zabłysną się krzyże
Stadlisk bawolich, skroś trzciny i trawy,
A rzeka szumi, a gędzi, a radzi,
I jak sierp cisnął — do morza prowadzi.

Rzeźkość powiała na mnie od tej wody,
Co była właśnie podobną do Buga,
Kiedy za letniej, wesołej pogody,
Niby się marszczy, a słońkiem precz mruga...
I także szумы miała, także chody,
I tak się samo kwieciła u ługa,
W kolory tkając majowe zabrzeża,
Bystra, donośna, ogromna i świeża.

Lecz jako tabor cygański się wlecze,
Kotły i bryki stoczywszy na sznury,
Tak piętrząc czuby skalne i zasieczce,

¹⁾ Patrz zeszyt listopadowy, str 336, z roku 1900

Od wschodu wlokły się za nami góry
Tu ci z nich potok buchnie i uciecze
Z głazów na głazy, jaskółczemi pióry,
Tu ci, jak ręką przesiany dzieciny,
W krople się sypie i w srebrne szruciny

Aż gdzie się nadmiar zbiją one szklane
Żyły, tam rzeka z wysoka uderza
Z takim impetem, że mija, het, ścianę,
W powietrze skacze, w obrus się rozszerza,
I szlaki mając tęczami przetkane,
Jak na bielniku wisi u blachmiarza...
A my zaś pod nią, niby pod namiotem,
Oprzyskiwani perłami i złotem.

A coraz siwe dymy wałą z darni
Nakrywających murzyńskie lepianki.
Zajdziem, wnet ciągną mięsiwa z suszarni,
Mleka bawolic wnet dźwigają dzbanki,
Zaś nas otoczą, wrzaskliwi i czarni,
Właśnie, jak kawek rozkrzyczane wianki,
I biją w uda, przepijając dynią.
A nie wiem, z jakiej uciechy tak czynią.

Ale, że lud nasz, choć już nie mdał z głodu,
Nie mógł wykrzesać z siebie dobrej siły.
Żar ciężki duszę wypalał z narodu,
Ognie się jakieś po ciele rzuciły...
Nawet te chłopcy twardego zawodu,
Bandys, Zatrata, grzbiet niosą pochyły,
I jedna tylko moc porusza niemi:
Iść, a iść, póki nie dojdą swej ziemi.

.

Tymczasem kłęsnął kraj. Skroś bujnych trawie
Sino oświtły okrągłe kołbiele,
Czyniące pozór pogańskich tych łzawic,
Co je nasz proboszcz ustawił w kościele.
Na rzece żwirów przybrało i ławie
Zaraszczających w gaj szumny i w ziele,
Skąd gęsto były w słoneczny dzień złoty
Krzyki małp, papug świsty i rechoty.

Aż patrzym my raz, a tu one drzewa
Dygotać poczną i trząść się, jak w febrze.
Gaj drży, zaś mdleje, obwisa, poziewa,
Blednie, i złotą zieleń topi w srebrze.
Zaczem ta boża na nim przyodziewa,
Pada w łachmany, jak dziada, co żebrze,
A z pod piór onych i kiści, od góry
Sterczą obrane, dziadowskie kosztury.

Tak my otwarli gęby, i zdaleka
Stoim, na dziw ten wytrzeszczywszy oczy,
Gdy w tem liść z gaju zrywa się, ucieka,
Pędzi, szaleje, po ziemi się toczy,
Wzbiera, jak wielka obłąkana rzeka,
Co jej nie przejdzie w bród i nie przeskoczy...
Tak krzyknę: Mrowie! Mrówki! Jak stał który,
Tak w wodę! A już waliły ich chmury.

Kolumna była ze dwa staja frontu,
Zieleni jasnej unosząca łupy.
Trzask suchy, cichy, lecz żadnego mątu,
Jak na komendę, tak szły one kupy.
Żeby armaty jeszcze, błyski lontu,
Orły i sztywne, zamarżnięte trupy,

Tobys mógł przysiądz na krzyża ramiona,
 Że to wielkiego armja Napoljona!

A gaj, co szumiał dopiero zielony,
 Zczerniał, jakby go otrzęsła wichura.
 A co był strojny kwiecistemi grony,
 I malowany w róże, w pawie pióra,
 Stał teraz martwy, szary, wytrzebiony
 Z żywej zieleni, a cichość ponura
 Chodziła po nim, jak po własnym dworze,
 Iż był, jak miasto zgłuchłe po pomorze.

A w tem niż rzeki rozpełznął się w bagno,
 Które nas ledwie, że na sobie zniosło.
 Właśnie, jak bywa kra przed świętą Jagną,
 Kiedy już z zimy stronami ochrosło,
 Więc ku środkowi gdy się brzegi zagną,
 Nie chcesz li do dna, to chwytaj za wiosła,
 A miej się, jako cap, do skoku bacznie,
 A chybuj, kiedy z cicha trzeszczeć zaczniesz!

Tam pelikany z gardły obwisłemi,
 Tam czarne krakwy chmurą się nam rwały,
 Tam modry żóraw, utkwiwszy dziób w ziemi,
 Czekał, aż czerwem napelni się cały...
 Tam czaple białe, chwiejąc perłowemi
 Kity, po kępach zadumane stały,
 A na podniebiu błyskały sokoły,
 I zimorodek krzyk puszczał wesoly.

Lecz my, śpieszący ile w kościach ducha,
 Szli przez te kraje wpół głusi, wpół ślepi,
 Rzeki się dzierzając siniego rańtucha,
 Jak dziecko, kiedy pilno się uczepli

Matczynej świtki. Więc ta zawierucha
 Farb, błysków, lotów, z której Bóg tam lepi
 Te światy, płonnie mijała przed nami,
 Jak tęcza, kiedy mdleje pod chmurami.

Dziwo, bo dziwo! Alie nas ni grzeje,
 Ni ziębi w one serce bolejące...
 A każdy w sobie takie ma zawieje
 Łez, że jak przez mgły patrzy w ono słońce.
 — Otwórzcie nam się dalekie wierzeje
 Miłej krainy! Przybądźcież nam gońce
 Wschodowej zorzy! Wy, morskie tchy słońce,
 Przybądźcie! Nieście nas w ojczystą stronę!

.....

Ktoby mi dał to, iżbym tę gromadę
 Mógł wymalować ku ludzkiej pamięci!
 — Idą... Dech świszczy... Zczerniałe i blade
 Twarze... Pod węzłkami idą zgięci,
 Stopy ich broczą krwią... Tu więc ja kładę
 Rękę na onych krwawników pieczęci,
 Żeby nabrała koloru tej męki,
 Choć wiem, że nigdy już nie zmyję ręki.

Zaś wymaluję lud ten i wypiszę,
 Aż do ostatka tułaczów tych drogi,
 Bo mi się serce na wichrach kołysze,
 Jak sęp rybołów nad morskie rozłogi...
 Ode dna wielkie głosy biją w ciszę
 Narzekające, i widać tłum mnogi
 Mar, z których każda wspomnienia żąda
 I śniadą twarzą skroś fali przegląda.

A ja, na mary owe patrząc z góry,
 I jęku głosów miawszy pełną duszę,

Rozciągam skrzydła, zakrzywiam pazury,
 I pierze—rdzawe krwią—na piersiach puszę,
 Zaś spadam, błyskiem biję w cieniów chmury,
 Grzmiący w szerokich lotów zawierusze,
 A ile chwycić i unieść mam mocy,
 Tyle ich fali wyrywam i nocy.

Lecz one, wisząc u piór moich końca,
 Ociekające deszczami srebrnemi,
 Wołają:— „Ty nasz zbawca! Ty obrońca!
 Ty imię nasze zachowasz na ziemi,
 Iż wygładzone nie będzie z pod słońca!“
 A w tem je smętność grobowa oniemi,
 Bo wiedzą, że się zaś nie wrócą żywo,
 Lecz jak rozwiane echo i słów szkliwo.

.

Drugi już miesiąc na niebie się młodził,
 Odkąd my zeszli z gór w porzeczne drogi,
 A żaden bocian tak pilnie nie brodził
 Przez grzęzawice i mokre murogi...
 Do raj-u-by już ścieżkę wynachodził,
 I Pana Boga obłapił za nogi,
 A my precz szli, a szli, pod żarem słońca
 Omdlewający, i nie było końca.

To się zdawało dawniej—Częstochowa!
 Świat! Od niedzieli człek szedł do niedzieli.
 A teraz tutaj—gdzie! Niech Bóg zachowa!
 Czego nie przeszlim! Czego nie widzieli!..
 Jaka nam w uszach nie brząkała mowa!
 Jakie my gwiazdy nad sobą już mieli!
 Jakie pod sobą ziemię! Jakie wody!

.

.. Hał wicher pędzi i niesie narody...

.

Cichość. Żar. Dziecko zbudzi się, zapłacze,
I przerażone uśnie. A w cichości
Tej słyhać, jak śmierć po czaszkach kołacze,
Jak słońce drąży mózg i suszy kości.
Nigdy ja dni tych ciężkich nie zabaczę,
Gdy my tak szli i szli, a tu precz cośi
Jakby wołało na nas:— Dalej! Dalej!
Bo się zapada świat! Bo świat się wali!..

Więc, jak w gorączce, śpieszyli my kroku,
Różne widzenia mający na niebie...
To o zachodzie, na łunach obłoku,
Wielki się okręt przez nami kolebie,
Skoś morza płynąc krwi; to znów w otoku
Monstrancyi słońca, utajony w chlebie,
Chrystus Pan patrzy się na nas z opłatka,
A lzy przez srebrne lica płyną zrzadka...

Niewiasty zwłaszcza zachwycenia miały,
Które je niosły, jako pióra ptasie.
To ci Jasieńko w płótniance swej biały
Na złotych rajszych łąkach owce pasie.
To martwe główki dzieciątek usiały
Drogę do nieba.—To po małym czasie
Las sztyków skrami ognia się zapali,
I srogie wojsko prosto na nie wali.

Tak szedł ów naród, jakby oczadzony,
W powietrznej onej grążąc się topieli.

Widzę ja—złe jest! Trza tutaj obrony!
 Zatrząsnąć ludźmi trza, coby przecknęli.
 Więc tyłkom patrzył, gdzie i z której strony,
 Piorun mi jaki na pomoc wystrzeli,
 I one żywe letargniki ruszy,
 Co prawie własnej odbiegły już duszy.

Bo dobrze to jest, gdy się na Bielanych
 Książd kameduła w niebie zapamięta!
 A niech przeleży i dzień na kolanach,
 Owszem, ja sam powiadam—rzecz jest święta.
 Lecz lud, co ledwo w tych zdartych łachmanach
 Ciało, trzyma dusze, drżące jak ptaszęta,
 Takiemu nadto poddawać nie trzeba
 Rajskich słodkości tych i tego nieba.

Kto je żyjący, i żyć chce do pory,
 Musi stać twardo, aż zluźni czata.
 A one duszne muzyki, kolory,
 Jak wiatr są, ziemię co z pod nóg wymiata.
 Ja wiem, że idę przez lasy, przez bory,
 Gdzie mi ojczysta kraina i chata.
 Ciężko, lecz onej ciężkości nie zbędę,
 Choć się zaslucham w janielską kolędę.

Lud, co swą duszę na inszy świat zenie,
 We własnych kopcach nie ustrzeże trawy
 A toć i we mszy nie wciąż podniesienie,
 Ale też insze do tego są sprawy.
 Z ziemi Bóg pojął narodów nasienie,
 A niebo dodał jeno dla przyprawy,
 Jak ów, co strawę jałową posola...
 Miałby inaczej chcieć—toć jego wola.

Jeśli źle mówię, niechaj mi przebaczy
 Pan Jezus, a zaś człek—niech mnie przekona:
 Sam Pan Bóg z rajn wygonił oraczy,
 Boby im zmierzła płużyca i brona!
 A choćby ptaszę?.. Któż rankiem nie baczy
 Skowronka, kiedy wytryśnie z zagona,
 I prawie że się w modrości zatraca...
 — Toć tam nie siedzi w niebie! W gniazdo wraca!

Dziękaż ci, Panie, i dziękaż ci Chryste,
 Żeś mnie na niskim postawił ugorze,
 A przecie w piersi dał serce strzeliste,
 Co—pługa patrząc—uwielbić Cię może!
 Dziękaż ci, żeś swe światło wiekuiste,
 Tuż nad zagonem moim, nalał w zorzę!
 I za toć dzięki, że mi aż do nieba,
 By w pobliżkości Boga mieć—nie trzeba!

.

MARYA KONOPNICKA.

ROZMAITOŚCI.

„Prace Sekeyi Gruźliczej IX-go Zjazdu przyrodników i lekarzy polskich w Krakowie, w roku 1900“. Warszawa, 1901.

Pod tym tytułem opuścił niedawno prasę spory tom, o 16-tu arkuszach druku, zawierający zbiorowe prace lekarzy polskich w kwestyi palącej i żywo interesującej wszystkie społeczeństwa cywilizowanego świata. Utworzona z inicjatywy d-ra T. Janiszewskiego, lekarza stacyi klimatycznej w Zakopanem, po raz pierwszy osobna sekeya dla gruźlicy na „IX Zjeździe przyrodników i lekarzy polskich“, znalazła żywe uznanie wśród ogółu lekarzy naszych, za dowód czego służyć może wyczerpujące, wszechstronne opracowanie przedmiotu. Zarówno teoretyczna, jak i praktyczna strona kwestyi została szeroko uwzględniona. W zakresie teoryi spotykamy szereg referatów, pod względem naukowym bardzo sumiennie opracowanych. Prof. Badzyński ze Lwowa podał rzecz: „O współczesnym stanie nauki o prątku gruźliczym i zakażeniu gruźliczem“ i dotknął w niej ze ścisłością uczonego badacza naukowe prace w tym kierunku, dokonane w ciągu ostatnich kilkadziesiąt lat.

Dr A. Sokołowski poruszył wielce ważną i dotąd jeszcze nierozstrzygniętą kwestyę dziedziczności w etiologii suchot płucnych. Opierając się na obfitym materiale klinicznym z własnej praktyki, a dotyczącym w ciągu piętnastu lat przeszło 8,000 chorych, przychodzi on do wniosku, że ilość obciążonych dziedzicznie suchotników, tak zwana przez niego konstytucjonalna postać suchot, stanowi w ogólnej liczbie 25⁰/₀, gdy suchoty nabyte wynoszą 75⁰/₀.

Dr Hewelke w bardzo interesującej pracy: „Usposobienie do gruźlicy“, wobec prądów, przypisujących zakażeniu przez prątek gruźliczy jedynie decydującą rolę, a mianowicie, „że w każdym ustroju ludzkim lasecznik gruźliczy zdolny jest jednako się rozwijać“, występuje w obronie oddawna uznawanych zasad, uwzględniających odporność i usposobienie w rozwoju gruźlicy. Słusznie też zaznacza, że odporność i usposobienie są to dwa pojęcia, znajdujące się w takim stosunku do siebie, że mogą istnieć tylko razem. Dr E. Zieliński, na podstawie osobistych bardzo licznych spostrzeżeń, przedstawił referat:

„O zбочeniach w budowie ciała suchotników“, zawierający wiele ciekawych i specjalistę interesujących szczegółów.

Dr A. Krukiewicz zakomunikował wielce ciekawe z punktu anatomo-patologicznego wyniki swych badań, oparte na 2,713 sekeyach. Okazuje się z nich, że gruźlicę napotykał w 789 wypadkach, czyli 29% wszystkich sekeyi na trepach. Dodaje przytem, że u dorosłych w 91% wypadkach gruźlicy punktem wyjścia są płuca. Bardzo wybitne miejsce zajmuje statystyka śmiertelności na gruźlicę u nas. Poświęcono jej dziewięć referatów, w których podane są cyfry śmiertelności nietylko w odrębnych dzielnicach, lecz w poszczególnych powiatach, miastach i szpitalach. Spotykamy w niej cyfry zarówno smutne, jak i pocieszające. Dr J. Merunowicz, rozpatrując statystykę śmiertelności w Galicyi, która wynosi 6.7 na tysiąc ludności wogóle, powiada, „iż w szeregu krajów koronnych monarchii austryackiej zajmuje ona miejsce bardzo niekorzystne, gdyż oprócz miasta Wiednia (z śmiertelnością 7.5 na tysiąc) tylko w jednych Morawach spostrzegamy wyższą śmiertelność 6.8%“. Z drugiej znów strony dr Karwowski w bardzo pouczającym referacie, dotyczącym Poznańskiego, wykazuje nam, iż śmiertelność w ciągu ostatnich kilkunastu lat zmniejszyła się w regencyi Poznańskiej o całe 24%. Jeśli dotkniemy poszczególnych miast, statystyka śmiertelności wygląda bardzo ponuro. We Lwowie naprzykład umierało na gruźlicę przeciętnie w ciągu czterech lat (1876 — 1879) 11.05 na 1,000 mieszkańców wogóle, w Krakowie 13.02; jest to cyfra bardzo wysoka. Jeszcze gorzej przedstawia się rzecz, gdy zajrzemy do cyfr, zebranych w szpitalach. Wypada z nich (referat d-ra Sterlinga), że w 39 szpitalach prowincjonalnych Królestwa Polskiego na 3,784 dotkniętych suchotami płuc zmarło 1,484, czyli 39%. Statystyka, zebrana przez d-ra Tehórznickiego w siedmiu szpitalach warszawskich, jest nieco lepszą, gdyż procent śmiertelności wśród suchotników wynosi 30%.

Wreszcie poświęcono sporo pracy sprawie najważniejszej w chwili obecnej, a mianowicie zapobieganiu i zwalczaniu gruźlicy w imię interesów całego naszego społeczeństwa na podstawie doświadczenia, zdobytego nauką i doświadczeniem. Prof. Bujwid w referacie swym kruszy kopiję o niszczenie płwocin, jako źródła zarazy, o popularyzowanie za pomocą broszur, wykładów i t. d., i t. d. wśród ogółu społeczeństwa kwestyi zaraźliwości gruźlicy, wreszcie domaga się, aby nie przyjmowano do zbiorowisk, jak szkoły, urzędy itd., osobników, dotkniętych gruźlicą. Profesor Grabowski domaga się szczepienia bydła tuberkuliną, jako środka rozpoznawczego, i różnych zarządzeń ze strony wysokiego rządu, mających na celu tłumienie bydła, chorego na gruźlicę.

Cały szereg referatów dotyka organizacji walki z gruźlicą w szerokich zakresach, na jakie stać nasze społeczeństwo, jeśli nie chce pozostać w tyle za swoimi sasiadami zachodnimi. Dr Sterling zaznajamia nas z rozmaitemi typami zakładów w cywilizowanych krajach, a więc: sanatoria dla dzieci gruźliczych, zakłady dla rekonwalescentów szpitalnych, specjalne szpitale

i polikliniki dla suchotników. D-rowie: Jarnutowski, Wroński i Dłuski traktują o sanatoryach dla niezamożnych i zamożnych, przedstawiając urządzenia, sposób funkcyonowania sanatoryów zagranicznych i zdobyte w nich rezultaty. Nakoniec d-rowie Dobrzycki i Janiszewski kładą nacisk na sprawę bardzo ważną, a mianowicie na profilaktykę w zdrojowiskach i uzdrowiskach w Królestwie Polskiem i w Galicyi, gdzie się zbierają w porze letniej takie ogromne ilości chorych, wystawionych na niebezpieczeństwo wzajemnego zakażenia. Niestety, na dziewięć miejscowości w Królestwie Polskiem, „tylko w Otwocku, Nałęczowie i Sławucie—powiada dr Dobrzycki — stosują się środki profilaktyczne, celem zabezpieczenia osób zdrowych od zarażania się suchotami“. Jeszcze gorzej rzecz przedstawia się w Galicyi. „Z jedenastu miejscowości — zaznacza dr Janiszewski—tylko w *dwóch* miejscowe władze sanitarne wydały odpowiednie przepisy, dotyczące zapobiegania gruźlicy“, a potem dalej dodaje: „Jedna tylko miejscowość ma dobrze urządzone wodociągi, w trzech innych znajdujemy po prostu nie urządzone. Należyce urządzonej kanalizacyi niema w żadnem uzdrowisku“. Tenże sam autor w referacie: „Projekt organizacyi walki z gruźlicą“ podnosi kwestyę wielkiej doniosłości, która już od lat kilku została rozstrzygniętą w Niemczech, Szwajcaryi, Francyi i t. d., i t. d., a mianowicie, budowę sanatoryów ludowych u nas, uważając ją za pierwszą pozycyę do obsadzenia w tej walce na całej linii, jaką wypowiedzieć powinniśmy gruźlicy. Jednocześnie na podstawie bardzo dokładnych obliczeń wykazuje, że kasy chorych, towarzystwa ubezpieczeń na życie, wreszcie instytucye autonomiczne, mają własny interes w tem, aby zakładać sanatoria ludowe, jak to się dzieje w Niemczech. Chcemy wierzyć, że społeczeństwo nasze nie pozostanie obojętnem na głos walki, która wre na Zachodzie, i pójdzie za nim w imię prawa postępu.

Na zakończenie dodamy, że cenne to wydawnictwo zbiorowe, będące pierwszym u nas, nie będzie ostatniem. Rozpoczęło ono pracę na polu walki z gruźlicą, zarówno pożyteczną pod względem teoretycznym, jak i praktycznym: teoretycznym dla tego, że da pochoł i impuls do badań i poszukiwań w dziedzinie gruźlicy, a tych, niestety, było u nas bardzo niewiele. Za teorią zaś pójdzie praktyka; teoretyczne rootrząsania doprowadzą do urzeczywistnienia najbardziej naglących postulatów z chwili obecnej, wskazując społeczeństwu naszemu, że ze wspólnym wrogiem, który — jak powiedział prof. Leyden—nie szczędzi ani wspaniałego palacu, ani biednej chaty, powinno ono dzielnie i solidarnie waleczyć.

Dr K. D.

PIŚMIENNICTWO.

„Memoires du comte Ferrand ministre d'état sous Louis XVIII“, Publiés pour la Société d'Historie Contemporaine par le vicomte De Broc. XVI, 313 (Paris, Picard et fils).

„Towarzystwo Historji Spółczesnej“ jest jedną z wielu podobnych instytucji, kwitnących dziś za granicą, a będących poniekąd wyrazem i miarą nadzwyczajnego postępu, jaki tam dokonał się i dokonywa ostatnimi czasy w specjalnym zakresie dziejów nowożytnych, — postępu, niedostrzegalnego, niestety, ani w tym, ani nawet w przybliżonym stopniu, na równoległym terenie nauki historycznej polskiej. „Towarzystwo“ paryskie, w ciągu kilkoletniego swego istnienia, wydało szereg nowych i zajmujących przyczynków źródłowych, odnoszących się do historii francuskiej XIX wieku, a ogłaszanych naogół w nader starannej szacie edytorskiej. Jeden z ostatnich tomów obejmuje: „Pamiętniki Ferranda“. Rzecz ta nie może być i dla nas całkiem obojętna, nietyle już dla samej swojej treści, ile ze względu na osobę autora. Należy on albowiem do szczupłego grona uczonych francuskich, którzy szczegółowiej trudnili się dziejami polskimi. Jest to mianowicie nikt inny, jak pisarz trytomowego dzieła o „Trzech podziałach“, ogłoszonego przed ośmdziesięciu laty. Nie będzie chyba od rzeczy, z powodu niniejszych nowych „Pamiętników“ bourbońskiego ministra, poznać nieco bliżej starego historyka spraw podziałowych polskich.

Klaudyusz Ferrand, w przededniu rewolucji, był rozpoczął karierę pisarską od kilku lichych tragedji, wystawionych w „Teatrze Francuskim“, a karierę publiczną od kilku opozycyjnych przemówień, wygłoszonych w parlamencie paryskim. Kiedy jednak, po zwołaniu Stanów Generalnych, zaniosło się na poważniejsze zatargi z Koroną, przerzucił się z opozycji do stronnictwa czysto dworskiego, zaś niebawem, jeden z najpierwszych, już w 1789 roku, emigrował z kraju. Stawił się wnet w Turynie, głównej kwaterze emigranckiej, u bo-

ku braci królewskich. Zaskarbił sobie ich ufność, ogłaszając pamflet przeciw Zgromadzeniu Narodowemu paryskiemu, ozdobiony znamienym wergilowym epigrafem: *monstrum horrendum, cui lumen ademptum*. Przeniósłszy się z książętami do Koblencji, służył w armii Kondeusza przeciw armiom Rewolucyi; po ścięciu Ludwika wszedł do książęcej Rady regencyjnej. Nie zaniedbując pióra, ogłaszał w tym czasie rozliczne pisma polityczne w obronie sprawy bourbońskiej. Najciekawsze z nich, pod tytułem: „Duch historii“, zawierało osobliwsze napomnienie dla Bonapartego, ażeby, nie zwlekając dłużej, sprowadził z powrotem na tron ojcowski wygnanego Ludwika XVIII, jak ongi sprowadzono w tryumfie wygnanego — Chilperyka. Gdy pierwszy Konsul oczywiście nie poszedł za tą historyozoficzną wskazówką, Ferrand wolał skorzystać sam z amnestyi, udzielonej emigrantom, i wrócił do kraju bez swego Chilperyka. O tym okresie swego życia pod rządami „Korsykanina“ jak najkrócej napomyka w swoich „Pamiętnikach“. Skądinąd jednak posiadamy wskazówkę, że w tym-to właśnie czasie, dostawszy się do puścizny pisarskiej po Rulhierze, rozpoczął swoje prace nad historią polską, i nawet, jak się zdaje, wtedy, na przymusowych wczasach politycznych, wykończył w pełnym zarysie, jeśli nie w ostatecznej redakcyi, swoje obszerne dzieło o trzech rozbiorach byleż Rzpltej.

Dlaczego jednak książka Ferranda o Polsce, skoro istotnie była gotowa już w 1808 roku, nie ukazała się z druku zaraz wówczas, lecz jeszcze przez lat kilkanaście pozostała w rękopisie? Powody tego opóźnienia dosyć są ciekawe. Rzucają one pewne szczególniejsze światło i na książkę, i na autora. Zaś skądinąd, ze strony dość niespodzianej, uwydatnia się raz jeszcze i przy tej okazji wszechobecna czujność cesarza Napoleona.

Rzecz tak się miała. Podczas trwania „pierwszej kampanii polskiej“ w 1806 i 1807 roku, Napoleon, stawiony wobec konieczności podniesienia sprawy polskiej w obszernym zakresie wojennym i politycznym, uznał za właściwe podnieść ją równocześnie w zakresie historycznym i naukowym. Szczegół to ze wszech miar nauczający. Wielki wódz i polityk, jak wiadomo, przy swojej intytulacyi urzędowej, zaraz obok godności „Cesarza Francuzów“, nakazywał umieszczać godność „*membre de l'Institut*“: nikt lepiej od niego, najpotężniejszego reprezentanta siły materyjalnej, nie zdawał sobie sprawy z niezmiernego znaczenia siły duchowej. Wtedy też zwrócił uwagę na ogromną pracę Rulhière'a, inicjonowaną jeszcze niegdyś przez Choiseuła, kontynuowaną przez autora w ciągu lat trzydziestu, a po jego śmierci przechowywaną w rękopisie w Archiwum francuskiego ministerjum spraw zagranicznych. Dzieło Rulhière'a, jak wiadomo

przeniknione najczystsą sympatyą dla spraw polskich, zostało tedy, na rozkaz Napoleona wydobyte z archiwalnej kryjówki, i staraniem członka Instytutu, Dannou, a na koszt rządu, ogłoszone drukiem w 1807 roku pod tytułem: „*Histoire de l'anarchie de Pologne et du démembrement de cette République*“. Owóz czterotomowa książka Rulhière'a w tej pierwotnej postaci doprowadzoną została dopiero do 1769 roku, to jest do przedwstępnych rokowań, dotyczących pierwszego podziału. Zostały się jednak w puściźnie autora całe stosy najszacowniejszych materyałów, zbieranych przez niego aż do śmierci (to jest do 1792 roku), i obejmujących dalsze dzieje Rzpltej aż do Sejmu Czteroletniego włącznie. Do tych mianowicie papierów dobrał się Ferrand, ułożył z nich kontynuację pracy Rulhière'a aż do trzeciego podziału, to jest do 1795 roku i, widocznie zachwycony nadzwyczajnem powodzeniem, jakim cieszyła się świeżo wydana „*Historia anarchii polskiej*“, zamierzał niezwłocznie po jej ukazaniu się ogłosić swoją własną dalszą kompilację. Kiedy jednak złożył ją, wedle ówczesnych przepisów, paryskiej cenzurze, wtedy—jak sam użala się z gorczyzą — „napotkał pewne przeszkody“. „Przeszkody“ sprowadzały się do tego, że cenzura cesarska, zapewne z inspiracji samego Napoleona, zwróciła uwagę Ferranda na tę okoliczność, że nader jest pożądanem, ażeby w jego dziele, podobnie jak u Rulhière'a, została należycie uwydatnioną strona prawnopaństwowa i dziejowomoralna opisywanych przez niego wypadków. Była to okoliczność, na którą, oczywiście, nie mógł być naówczas obojętny Napoleon, twórca i protektor Księstwa Warszawskiego. Lecz była to także okoliczność, która mniej była na rękę Ferrandowi, ex-emigrantowi, legitymiście, budującemu przyszłość swoją i bourbońską na współdziałaniu i pomocy Europy koalicyjnej. Wśród takich to warunków, pomiędzy autorem a cenzorem, — którzy w tym wypadku wyjątkowym jak gdyby zamienili swoje role, — nie mogło, rzecz prosta, dojść do porozumienia, i w ten sposób osobliwszy książka o „Trzech podziałach nie mogła na razie dostać się do tłoczni drukarskich, i musiała cierpliwie oczekiwać się swojej kolei aż dopiero po Lipsku i Waterloo. Tak nieraz małe rzeczy wiążą się i wikłają z wielkimi 1).

1) Ferrand, Avertissement à l'Histoire i t. d., 20: „mon ouvrage avait été fait il y a plus de douze ans; j'avais pensé alors à l'imprimer: je rencontrais d'abord quelques obstacles, et je ne tardai pas à m'apercevoir que ces obstacles se leveraient aisément, si je voulais dans mon récit appuyer davantage sur l'injuste politique qui avait dévasté, démembré et supprimé la Pologne... Dans la confusion, où était alors (to jest w 1808 roku) l'Europe, je ne voulais

Upadek Napoleona wyprowadził znowu Ferranda na scenę polityczną. W 1814 roku miał on sobie powierzoną, razem z Chateaubriandem, misję polityczną do zwycięskiego Aleksandra I, z wymownem wstawiennictwem za restauracją Bourbonów. Obsypany nagrodami i zaszczytami przez restaurowanego Ludwika XVIII, został Ferrand w jednej chwili ministrem stanu, dyrektorem poczt, Komandorem Ducha Św., kawalerem Św. Ludwika, parem i hrabią, a nawet, z nominacyi królewskiej, członkiem Akademii Francuskiej. Zdany widocznie do wszystkiego, został niebawem ministrem — marynarki. W tym charakterze zajął się gorliwie urządzeniem nadzoru nad wyspą Elbą za pomocą umyślnego krzyżownika, — lecz, jak się wnet miało okazać, marynarskie uzdolnienie uczonego akademika nie było wystarczającym, aby zapobiedz tryumfalnemu powrotowi więzionego cesarza. Podczas Stu Dni ulotnił się rzeczywiście z kraju, zaś za drugiej Restauracyi, skompromitowany nieco swoją ministeryjalno-marynarską dekonfiturą, nie obejmował już żadnego stanowiska czynnego w wyższej administracyi. Podczas procesów o zdradę stanu, wytoczonych współwinnym doby Studniowej, występował z wielką zaciętością, w szczególności oburzył na siebie opinię publiczną swoim nie-nawistnem i obciążającym zeznaniem w charakterze świadka w głośnym procesie przeciw generałowi Lavalette, któremu też i w niniejszych „Pamiętnikach“ nie szczędzi zaciekłych inwektyw. Wegetował odtąd beczynnym na parowskim fotelu, w najlepszych aż do końca osobistych stosunkach ze swoim królewskim dobroczyńcą, Ludwikiem XVIII, który, — jak powiada wydawca w przedmowie do „Pamiętników“ niniejszych, — „mądrością swego panowania zasłużył sobie na pochwałę historii“. Nie możemy, oczywiście, razem z wydawcą ani rozczulać się nad dworacką układnością Ferranda, ani unosić nad „mądrością“ ostatniego Ludwika. Zaznaczamy tylko nawiasowo, że legitymistyczne i wicehrabiowskie upodobania p. De Broca nazbyt jednostronnie występują w przedmowie do niniejszego wydawnictwa, co niewątpliwie też odbiło się na zbyt pochlebnym i apologetycznym sądzie wydawcy o samym pamiętnikarzu. Ferrand w późnym wieku zmarł w 1825 roku.

Wracamy jeszcze w paru słowach do punktu wyjścia obecnego sprawozdania, do Ferrandowej „*Histoire des trois démembremens pour faire suite à l'histoire de l'anarchie de la Pologne par Rulhière*“ (Paris, 1820). Ta książka doczekała się drugiej, nader starannej edycyi, kola-

point remuer d'anciens éléments de haine et de dissension, dont la malveillance n'aurait pas manqué de s'emparer. J'ai donc dû attendre“.

cyonowanej z rękopisem, staraniem Ostrowskiego w 1865 roku. Otóż wtedy dopiero wykazana została przez Ostrowskiego cała osobliwsza metoda pisarska Ferranda. Okazało się mianowicie, że Ferrand po prostu zrabował nieboszczyka Rulhiëra, że nie tylko wyzyskał w całości nagromadzone przez niego olbrzymie i jedynie drogocenne materiały źródłowe, sam od siebie nic literalnie nie dodawszy, oprócz bezwartościowych, z trzeciej ręki, wyciągów i wypisów ze starych druków i gazet; lecz, co gorsza, że przepisał bądź całkiem dosłownie, bądź też z lekką zaledwie parafrazą, całe gotowe rozdziały, zupełnie już w ostatecznej redakcyi wykończone przez Rulhiëra. Tak więc na przykład pierwsza księga „pracy“ Ferranda, gdzie mowa o rokowaniach podziałowych między Fryderykiem II a Józefem II w Nisie i Nowem Mieście w 1769 i 1770 roku, albo o misyi ks. Henryka pruskiego do Petersburga, jest to ani mniej, ani więcej, jak tylko ostatnie, nieogłoszone przez Dannou, może przez niego prześlępione, rozdziały księgi XII „Historyi Anarchii polskiej“. Wprawdzie Ferrand w słowie wstępnem do swojej książki i w licznych notach nie żałował ogólnikowych pochwał dla Rulhiëra, wygłaszanych protekcyjnym tonem akademickiej i ministeryalnej wyższości; lecz zapomniał zupełnie uprzedzić czytelników, jakim to właściwie szczególniejszym sposobem „identyfikował się“ z pracą chwalonego poprzednika. W ogólności, przepisał, co się dało, a resztę skompiłował dość zręcznie, lecz wszędzie w takim duchu, iż wszelkie momenty „drażliwe“ uległy znacznemu, ministeryalno - akademickiemu, złagodzeniu. Nie chcemy przez to powiedzieć, aby Ferrand nie żywił, lub nawet nie okazywał pewnej sympatyi dla traktowanych przez siebie nieszczęsnych dziejów polskich. Miał on zapewne wewnętrzne poczucie prawdy i słuszności. Ale, charakter i umysł jednakowo słaby, legitymista i dygnitarz przedewszystkiem, był on z natury rzeczy jak najmniej powołany do podejmowanego przez siebie zadania. W istocie, jakże były pamphleciasta, uderzający na Zgromadzenie Narodowe paryskie, mógł należycie ocenić Sejm Czteroletni warszawski? Jakże były emigrant francuski mógł należycie sądzić emigrantów polskich? Jakże były członek Rady Regencyjnej w Koblencyi mógł należycie wyrokować o Radzie Konfederackiej w Targowicy? To też żadną miarą niepodobna mu przyznać jakiegokolwiek istotnej kompetencyi w doniosłych sprawach historycznych, które opisać sobie przedsięwziął. Niestety, — rzecz nieprawdopodobna, a jednak prawdziwa, — jego książka po dziś dzień, po ośmdziesięciu latach, jest jedynem monograficznem opracowaniem doby trójpodziałowej. Jedynem, nie tylko w piśmiennictwie zagranicznym, lecz oraz i w polskim. Tem to gorzej, im mniejsza jest wartość tej „monografii“ zarówno pod wzglę-

dem swego ducha, jakoteż metody naukowej. Pod obydwo ma temi względami trzeba raz na zawsze ustalić kapitalną różnicę pomiędzy pisarzem „Anarchii polskiej“, a jego „kontynuatorem“, pisarzem „Trzech podziałów“. Rulhière, tylekroć karcony za rzekomą swoją powierzchowność, był naprawdę wielkim historykiem. Ferrand, tylekroć wychwalany za rzekomą swoją powagę, był naprawdę małym kompilatorem. Ale jakże to być może? Wszak pierwszy tryska dowcipem i daje się czytać z przyjemnością? Wszak drugi jest przykładnie nudny i pisze stylem dosyć usypiającym, jak na akademika - ministra przystało? To prawda. Lecz ponieważ niema reguły bez wyjątku, trzeba tedy pogodzić się z tym gorszącym wyjątkiem: że można czasem, jak Rulhière, być dowcipnym, a jednak uczonym, i że można także niekiedy, jak Ferrand, być nudnym, a jednak nieukiem.

A.

D-r Dany „Les idées politiques et l'esprit public en Pologne à la fin du XVIII siècle. La constitution du 3 mai 1791“. Paris. 1901.

Autor posiłkował się głównie w swej pracy dziełami uczonych i statystów polskich. Wymienił on na czele tytuły spożytkowanych rozpraw, z których się pokazuje, że potrafił się orientować w naszej literaturze i odszukał prawie wszystkie ważniejsze monografie, dotyczące badanego przezeń przedmiotu. Spotykamy się zaraz na wstępie z nazwiskami tej miary, jak Kalinka, Korzon, Balzer, Szujski, Smoleński, Askenazy, Ulanowski, Tarnowski i wielu innych. D-r Dany uczynił jednak bardzo słusznie, nie ograniczając się wyłącznie spożytkowaniem prac polskich. Uwzględnił on również i prace rossyjskich historyków, jak Sołowjewa, Kostomarowa i Karejewa, oraz niemieckich i francuskich dziejopisów, którzy tej epoce przeszłości polskiej poświęcali gruntowne swe studia. Ze względu na przeznaczenie rozprawy d-ra Dany, która napisaną była dla cudzoziemców, oparł się autor na dość bogatym materiale i zdołał sobie na tej podstawie wyrobić zarówno o działalności, jak i o prawodawczem dziele sejmu czteroletniego sąd jasny, trzeźwy i wolny od wszelkiej tendencyjnej jednostronności lub przesady. Autor, zapoznawszy się z literaturą polityczno-historyczną polską, zyskał dużo na przedmiotowości w swych badaniach i pozbył się dyletantyzmu, płytkości oraz powierzchowności w swych sądach. Literatura polska z końca XVIII i początku XIX w. stanowiła głos strony słabszej i lekceważonej, której usprawiedliwian się, skarg, długo słuchać nie chciano. D-r Da-

ny zrozumiał, że podstawą wszelkiego wymiaru sprawiedliwości, a przedewszystkiem wszelkiego wyrokowania, jest zasada: *audiatur et altera pars*. Przesłuchał więc ową stronę, która dotychczas przez historyków zachodu wysłuchaną nie była, porównał jej obronę z zarzutami stawianymi przez przeciwników i na podstawie dość pewnego materiału naukowego przedstawił przebieg spraw sejmu czteroletniego, wygłaszając swój pogląd na znaczenie dzieła prawodawczego, które sejm czteroletni po sobie pozostawił.

D-r Dany miał w literaturze francuskiej poprzednika, który również poświęcił uwagę pracom sejmu czteroletniego. Poprzednikiem d-ra Dany był historyk rozgłośnego imienia, Albert Sorel. W dziele swem obszernem, p. t. „Europa i rewolucya francuska“ porównał on reformy sejmu czteroletniego z pracami stworzonymi przez rewolucyę francuską i doszedł do przekonań tak ogólnikowych i powierzchniowych, iż wątpić należy, ażeby one polskiego historyka lub czytelnika przekonać zdołały. Sorela jednak o złą wolę w określeniu naszej przeszłości podejrzewać nie można było. Raczej z dzieła jego wiała pewnego rodzaju życzliwość, ale nie przydała się nam ona na wiele, albowiem Sorel nie znał wcale literatury, w której tkwiła nasza historyczna obrona i jedynie przystępnymi były dlań źródła zakazane skrajną nienawiścią dla naszej przeszłości. Porównyując też poglądy Sorela i d-ra Dany, widzimy niezmierną różnicę co do gruntowności badania, co do ścisłości historycznego opowiadania, a przedewszystkiem, co do kryterjów historyzoficznych, wolnych od tendencyjności. D-r Dany, na podstawie pełnego, wszechstronnego materiału naukowego, nie potrzebował manifestować żadnej dla nas życzliwości. Opowiedział jedynie zdarzenia, przytoczył uchwały takimi, jakimi były, a sąd jego samodzielny wypłynął jakby sam z siebie, nie krępowany bynajmniej żadną napuszystą lub kwiecistą paradoksalnością.

Na wstępie d-r Dany zaznajamia czytelnika z organizacją społeczną i polityczną Polski przed sejmem czteroletnim, oraz prądami reformatorskimi, które w drugiej połowie XVIII wieku budziły społeczeństwo polskie z odrętwienia i były niejako wstępem do wielkiej reformy prawodawczej sejmu czteroletniego. Autor wskazał główne wady toczące organizm rzeczypospolitej, przyczem nie omieszkał korzystać z prac Pawińskiego o rządach sejmikowych w Polsce. Omawiając dążenia reformatorskie w drugiej połowie XVIII wieku, d-r Dany cofnął się do XVI wieku i przedstawił w zarysie ducha dzieł Modrzewskiego, Skargi, króla Stanisława Leszczyńskiego, Konarskiego i wielu pomniejszych pisarzy politycznych oraz ekonomicznych. Następnie znajdujemy poświęconą uwagę komisji eduka-

cyjnej i Radzie nieustającej, przyczem autor wyraził sąd trzeźwy i zapoznanie się należyte z polską literaturą.

W następnym rozdziale d-r Dany przedstawił życie polityczne w Polsce podczas sejmu czteroletniego, uwzględniając nietylko dzieło Kalinki. Autor scharakteryzował ówczesne stronnictwa polityczne i zaznaczył, że w ferworze ścierania się politycznych opinii zapomniano o głębokiej maksymie politycznej La Rochefoucauld'a, która brzmiała: życie z waszymi przyjaciółmi tak, jakby się mogli jutro stać waszymi wrogami, a z wrogami tak, jakby się mogli stać jutro waszymi przyjaciółmi. W stronnictwach politycznych autor zauważył dwa odcienie prądów reformatorskich: jeden pragnął radykalnej zmiany dawnego ustroju Rzeczypospolitej w celu odrodzenia społecznego i politycznego kraju, drugi zaś zachował konserwatywny charakter, pragnący reformować przestarzałe instytucje, nie przeistaczając ich nagle i nie burząc doszczętnie.

Ważniejsze projekta reformatorów przedstawił d-r Dany w osobnym rozdziale, poświęcając na czele uwagę Kołłątajowi. Po nim następuje Staszyc, Łoborzewski, Rzewuski i wielu innych. Kwestyę finansową i militarną na sejmie i wobec opinii kraju przedstawił d-r Dany obszerniej, uwzględniając wszystkie illuzje co do możliwości wytworzenia statysięcznej armii. Politykę zagraniczną przedstawił d-r Dany szczegółowo, trzymając się w tym względzie wzorowych wyjaśnień Kalinki. Podstępne zabiegi Prus o przymierze i o spokojne a cenne nabytki terytoryalne odtworzył autor dokładnie, wykazując, że wśród stronnictw polskich byli tacy, co doradzali ostrożność i niezaspokajanie się w wyszukiwaniu sprzymierzeńców.

W obszernym rozdziale uwzględnił autor sprawę tronu dziedzicznego. Opozycyjne głosy, pragnące utrzymania elekcyjnego, a więc bezsilnego monarchizmu, były d-rowi Dany dobrze znanymi. Wszystkie ważniejsze broszury, podnoszące kwestyę powyższą, począwszy od Seweryna Rzewuskiego, zostały uwzględnione i nie można autorowi odmówić dużej pracowitości w zbadaniu powyższego przedmiotu. Kwestya mieszczańska na sejmie czteroletnim została również przez d-ra Dany szczegółowo przedstawiona. Autor zaprzeczył kategorycznie rewolucyjnemu usposobieniu lub rewolucyjnym celom stanu miejskiego i przytoczył dowody lojalnego ich usposobienia dla rządu, a gorącego przywiązania do kraju. Wszystkie głosy przychylnie dla reformy miejskiej zostały przez d-ra Dany zaznaczonemi, przez co uwydatniła się życzliwość szlachty dla mieszczan. Jednem słowem, praca d-ra Dany daje dokładne pojęcie o sprawie miejskiej, poruszanej prawodawczo na sejmie czteroletnim. Po miastach autor rozpatrzył sprawę włościan, nadmieniając, że było-by to

dla Polski sławą nieśmiertelną, gdyby mogła była wówczas rozwiązać sprawę włościan w sposób bezpośredni i zadawalniający. Ale zdaniem d-ra Dany rozwiązanie takie kwestyi włościańskiej było wówczas niepodobnem do urzeczywistnienia i wszyscy publicyści, najprzychylniejsi doli włościan, byli tego zdania, że jedynie stopniowa reforma w stanowisku ich społecznem przeprowadzoną być może. Jedynie garstka magnatów dała przykład osobisty, przeprowadzając rozległe reformy w swoich rozległych posiadłościach, a przykład powyższy nie pozostał bez dodatniego wpływu i na resztę społeczeństwa szlacheckiego.

Następnie opisanym został przez d-ra Dany przebieg czynności sejmowych w dniu 3 maja. Autor stara się być jaknajbardziej przedmiotowym i trzymał silnie na wodzy swą wyobraźnię, nie pozwalając jej zbaczać na manowce tendencji. Wszystkie zatem kroki opozycyjne, którym przewodniczył Suchorzewski, zostały opisane z tą samą ścisłością, co i działalność reformatorskiego stronnictwa, tak, że praca d-ra Dany daje nam pełny obraz, odznaczający się wiernością i dokładnością przedstawienia. W końcu swej rozprawy zawarł d-r Dany konkluzje, w których przypomniał sądy znamienitszych mężów współczesnych o doniosłości i wartości konstytucyi 3 maja, a następnie wypowiedział swój pogląd osobisty. Ponieważ znanemi są literaturze nasze poglądy mężów stanu europejskich na konstytucyę z d. 3 maja, przeto przytoczę jedynie to, co autor wyraził w swoim imieniu o powyższym akcie prawodawczym dawnej Polski. Zdaniem więc d-ra Dany, w prawodawstwie z r. 1791 panuje przedewszystkiem duch rozważli i umiarkowania. Reforma z tej doby nie nosi bynajmniej charakteru zamachu stanu i gdyby nie stosunki zewnętrzne, społeczeństwo polskie mogło-by się spokojnie rozwijać pod opieką powyższego prawodawstwa.

Studjum d-ra Dany napisanem zostało przedewszystkiem dla społeczeństwa francuskiego, a tem samem i dla całego zachodniego, cywilizowanego świata. Z tego też jedynie punktu widzenia należy krytykować pracę pisarza francuskiego, poświęconą działalności naszego sejmu czteroletniego. Ponieważ d-r Dany złożył dowody niezwykłej pracowitości i staranności w swej książce, przeto było-by do życzenia, aby był nie pominął pracy Pr. Starzyńskiego, konstytucyi 3 maja poświęconej, oraz aby się był zapoznał z pracami Lengnicha, Skrzetuskiego, Hoffmanna, (o rządzie w Polsce), traktującemi o dawnem prawie państwowem polskiem. Również nie było-by bez korzyści dla autora, gdyby był się zaznajomił z Dyaryuszem sejmu czteroletniego, coby mu o wykształceniu politycznem ówczesnego szlacheckiego społeczeństwa dało dokładniejsze wyobrażenie. Co się

tycze poszczególnych spraw sejmowych, to pomimo, że tu i owdzie znaleźć można jakiś brak, wogóle jednak przyznać należy, że opowieść historyczna jest dokładna i dobrze informująca. D-r Dany skończył jednak na konstytucyi z d. 3 maja, kiedy jeszcze akty prawodawcze z 1792 r. uzupełniały ustrój konstytucyjny przez niego opisywany. Tak się rzecz miała z ustawą miejską, na którą się składały uchwały z 1791 i z 1792 r.

Najważniejszym jednak przymiotem pracy d-ra Dany jest ten, iż napisaną została w dobrej wierze, jako monografia historyczna, dążąca do odtworzenia prawdy, a nie jako broszura publicystyczna, mająca tendencje polityczne na pierwszym względzie. Jako monografia napisana dla obcych zyskuje praca d-ra Dany pełne nasze uznanie. Społeczeństwo polskie pozostanie autorowi zawsze wdzięcznem za to, że nie szedł torami urzędowych historyografów pruskich, że nie plwał kłamstwem i oszczerstwem na przeszłość naszą, ale prawdziwie i poczciwie opisał usiłowania dźwignięcia kraju przez sejm czteroletni.

Bertha von Suttner: „Die Haager Friedens - Conferenz“. Tagebuchblätter 1900 roku.

Znana i rozgłosna agitatorka na rzecz wiecznego pokoju, baronowa Suttner, wydała dziennik osobisty, opisujący wrażenia, jakie odniosła na konferencyi pokojowej w Hadze, której się przysłuchiwać było jej dozwolonem. Autorka, znająca dość dobrze wielkoświatowe stosunki, i to nietylko dyplomatyczne, ale naukowe i artystyczne, zanotowała w swym dzienniku nietylko rezultaty obrad urzędowych delegatów, ale odtworzyła całą agitację pozaurzędową inteligencji europejskiej w kierunku zreformowania prawa międzynarodowego w duchu pokojowym. Baronowa Suttner uwzględniła zatem wszystkie sesye prywatne, odczyty więcej znanych osobistości, a nawet rozmowy, jakie jej się udało mieć z wybitniejszymi, bądź naukowymi, bądź urzędowymi osobistościami. Jakkolwiek w dzienniku baronowej Suttner znalazł się niejeden interesujący szczegół, do reformy prawa międzynarodowego odnoszący się, w każdym razie autorka główny nacisk położyła na światowe rozrywki, które dla niej miały powab niepospolity. Czytającemu jej dziennik wydaje się niekiedy, iż ma przed sobą sprawozdanie z epoki karnawałowej, w której wszelka reforma prawodawstwa zepchnięta została na stopień podrzędny.

Baronowa Suttner skreśliła przytem w swym dzienniku galerję sylwetek mężów nauki, sztuki, dyplomacyi, jacy się przed nią przesunęli podczas obrad pokojowych w Hadze. Jedno z wybitniejszych miejsc zajmuje w dzienniku baronowej Suttner Jan Bloch. Autorka uderzona została jego niezwykłą inteligencją, jeszcze niezwyklejszą wiedzą i umiała wypowiedzieć dużo szczegółów o przychylnem przyjęciu w Petersburgu dzieła Blocha, przyszej wojnie poświęconego Dziennik baronowej Suttner nie ogranicza się jednak na tem; powiadania on troskliwie czytelnika o tem, jakie ma oczy Bloch, jak nosi brodę, a o talii, tualecie, twarzy i tym podobnych rzeczach wszystkich znakomitości w Hadze, możemy się od autorki dowiedzieć więcej i dokładniej, aniżeli o właściwej konferencyi pokojowej.

Do spraw międzynarodowych, poruszanych na konferencyi pokojowej, odnosi się baronowa Suttner bezkrytycznie, zaznaczając jedynie kierunek, z którym sympatyzuje i w którego zwycięstwo zdaje się mocno wierzyć. Na ów sentymentalizm prawno-międzynarodowy wpływa u autorki bardzo małe wykształcenie, nietylko polityczne, ale wogóle i historyczne. Braki owe naukowe sprawiają, że baronowa Suttner wierzy w możliwość nagłych reform porządku międzynarodowego, w przeistoczenie się natury państwowej a nawet istoty samego społeczeństwa i wszelka różnica pomiędzy ideą a rzeczywistością zaciera się w jej umyśle. Skutkiem niedostateczności naukowego podkładu, wszelkie uwagi osobiste baronowej Suttner, poruszające kwestye reformy prawodawczej, noszą piętno jakiegoś poczciwej naiwności, jakiejś wiary w cuda nadprzyrodzone, które się z przeszkodami ziemskiej rzeczywistości bynajmniej liczyć nie potrzebują. W oceniu też kwestyi poruszanych na konferencyi pokojowej uczuciowość i fantazyja główną rolę odgrywają u baronowej Suttner i to ze szkodą nauki i rozumu politycznego.

Autorka opowiada w swym dzienniku o dłuższej rozmowie z hr. Murawiewem i przekonana jest prawdopodobnie, że podała rossyjskiemu ministrowi myśl ważną i doniosłą utworzenia „ministrów pokojowych.“ Pomysły jej jednak są co najwyżej produktami naiwności, z którymi mógł wystąpić tylko ten, komu zupełnie była obcą nauka prawa. Historycznego wykształcenia nie posiadała baronowa Suttner również, ani nawet zmysłu historycznego, który-by jej pozwolił odróżnić niemożliwą baśń od wydarzenia noszącego cechy prawdopodobieństwa. To, co baronowa Suttner opowiedziała, a raczej powtórzyła z dobrą wiarą, co jej doniesiono o wypadkach w Warszawie w 1863, grzeszy naiwnością nie do uwierzenia i łatwowiernością przechodzącą wszelkie granice.

Wogóle dziennik baronowej Suttner zdaje się być napisanym dla płci pięknej. Dla tych czytelniczek bowiem opisy zabaw, strojów, wycieczek i postaci słynnych, choć nie młodych, mężów stanu, wiedzy i talentu, mogą przedstawiać pewien interes. Kto jednak szuka pierwiastków naukowych, reform prawodawczych i krytycznego poglądu na dyskutowane projekta, ten winien udać się do innych sprawozdawców, których na szczęście nie brakło. Dziennik baronowej Suttner świadczy o autorce, iż jest wielkoświatową damą, że podjęła się misji, czy apostołstwa pokoju w tem przekonaniu, iż do jej urzeczywistnienia niepotrzeba żadnego rozumu stanu. Uposażony w sporą dozę naiwności i łatwowierności Dziennik jej dowodzić wreszcie nie przestanie, iż w sferze reform prawa międzynarodowego dobre chęci i sentymentalizm stwarzają jedynie utopie, które są błędnymi ognikami, a nie światłem prawdy.

A. R.

Eliza Orzeszkowa: „Chwile“. Warszawa, Kraków, 1901.

Ostatni zbiorek mniejszych opowiadań i obrazków Orzeszkowej nie ma tak jednolitego charakteru, jaki posiadały, w pewnej mierze przynajmniej, cykle „Iskier“, lub „Melancholików“. Tam idee poszczególnych utworów bez wyjątku prawie zakreślały koła spółśrodkowe, gdyż wychodziły z tej samej pobudki twórczej, gdyż łączyła je wspólna myśl i nastrój uczuciowy. Obecnie mamy odosobnione „Chwile“, i o każdej z nich wypadnie rzec słówko. Jedna z nich: „Kiedy u nas o zmroku...“ — to jakby nowa „Iskra“ Australczykowskiego cyklu, gdyż na nowo spotykamy się z tym samym problematem rozbieżności między sprzecznymi siłami, popychającymi „Australczyków“ na różne ścieżki żywota. Z jednej strony usiłowanie zadosyćczynienia naturalnym zresztą instynktom, pragnienie dobrobytu, rozpęd ambicji, z drugiej — zgłuszone szepty, potęgujące się niekiedy do ostrego krzyku, które nieraz odbierają całą wartość moralną materyalnym zdobyczom, a nawet, niewysłuchane, zostawiają po sobie osad cierpkiej goryczy i próżni. To niezgaszona tęsknota ku takim chwilom, jak „kiedy u nas o zmroku na Anioł Pański dzwonią“, to może cichy wyrzut sumienia, że się złamało przyrodzone ogniwa, łączące nas z ziemią rodzinną. Śpiewacze z „Momentu“ może nie wśród „Australczyków“, lecz „Melancholików“ wyznaczyli-byśmy miejsce, gdyż podstawowym motywem jej pieśni jest „od zachodu własnej zorzy na wschód

wszechzycia obróć lico". Do tej „chwili“ różnemi stronami, acz nie ściśle, przylegają opowiadania „Z różnych dróg“, i oto taki obrazek. Kogoś, ugodzonego ciosem nieszczęścia tak głęboko, że wszystkie sprawy, dotychczas stanowiące oś jego duchowego życia, naraz istnieć przestały, „melancholika“ tego budzi z odrętwienia rosnące przy oknie rozgwarzone drzewo. „Co mówił klon...“. Cóż mówił? Może forma nie jest całkiem poetyczna i zadawalająca, gdyż klon nie żyje, tylko rezonuje, posłuchajmy jednak jego gawędy aż do owej radosnej wizji wiosennych obrazów, kiedy samotnik zapytuje siebie ze zmartwieniem: „Co mam mniemać o bezdenności mego smutku, którego dno znalazły kotki wierzbowe, podługowate, mięciuchne, srebrnawe“. Jak widzimy, to nie jakaś nauka moralna, czy przepis postępowania dla „melancholików“, to tylko błogosławione wzmoczenie się sił wewnętrznych, to głośne upomnienie się o swe prawa tej części istoty ludzkiej, która współczuje życiu na zewnątrz siebie. „Kotki“ wierzbowe przypominają nam, że wśród innych obrazów istnieją w książce dwa, w których na widowni pozostają wyłącznie obywatele państwa roślinnego, a poniekąd i zwierzęcego (a bynajmniej nie w alegorycznym zamiarze): „Wśród kwiatów“ i znane czytelnikom „Biblioteki“ — „Wesele Wiesiołka“. Jest to pewną niespodzianką u Orzeszkowej, a jednak autorka wyznacza roślinom wydatną rolę w dwu innych jeszcze opowiadaniach: „Dymy“ (len) i „Porcelanka“ (nazwa kwiatu). I jedno, i drugie, sprawiają wrażenie bezpretensjonalnych staroświeckich malowideł, które już od czasu pociemniały, i którym nie jedno zarzucić można, ale które są zarazem tak jakoś „znajome“ w każdym szczególe i w kolorycie, że oko z przyjemnością na nich spoczywa. A wreszcie mamy w książce całkiem psychologiczną „Zagadkę“. Poeta, Bohdan Olski, dla którego oddawna już płonie „lampa“ w osobie Janiny Skierskiej, znakomitej malarzki, spotyka wypadkiem na swej drodze skromny kwiat polny, dziewczęcą zagrody wiejskiej, i... otóż i „zagadka“ serca ludzkiego.

Rozmaitość więc „chwil“ w ostatnim zbiorze jest znaczna. Co do sposobu przedstawienia, nie możemy dopatrywać się ani oczekiwać jakichś niezwykłych znamion; spostrzegamy te same zalety i wady, co w innych utworach Orzeszkowej ubiegłego dziesięciolecia. Jest tu pewne lekceważenie realnej strony zjawisk i otoczenia, często nawet pewna sztuczność w sytuacjach, zawiele retoryki i deklamacyjnego tonu, wreszcie dość wyraźny schematyzm w falowaniach uczuć i nastrojów. „Moment“ naprzykład daje śliczny opis wrażeń, wywoływanych przez śpiew, lecz skutki jego są jakoś zbyt piorunująco dobroczynne, kiedy naprzykład pani Mendlowa zaczyna rozmarzać się wi-

dokiem księżycy i oznajmia mężowi: „już ja z tobą, Mendlu, chcę pogodzić się“, — lub kiedy Chaim Cygler postanawia wstrzymać się z subhastą dłużniczki przez cały miesiąc, a jego żona termin ten przedłuża aż do dwu miesięcy. Wszelako obok tych ujemnych rysów panuje tu wielka serdeczność nastroju i głęboka prawda w tem, co jest rdzeniem i istotą pewnego charakteru, uczucia, położenia. Sprawdzić to możemy i na cudownej rozmowie we śnie śpiewaczki („Moment“), i na najsilniejszym z zawartych w książce utworów „kiedy u nas o zmroku“ i na najwykwintniejszej, najpołyskliwszej „Zagadce“. Wolimy jednak poświęcić kilka słów tym kartkom, które są u Orzeszkowej względną nowością, gdzie występuje świat roślinny. Unikniemy tu przykrego rozczarowania, jeżeli uwzględnić zechcemy intencje autorki. Ani „Wesele Wiesiołka“, ani „Wśród kwiatów“, nie miały być wylewem lirycznym. Kto znowu będzie wymagał szerszego krajobrazu, w którym szczegóły zespalają się w całość podług praw perspektywy i wzajemnego oddziaływania barw, tego także spotka zawód, ten ze swego stanowiska będzie miał słuszność, jeżeli powie, iż autorka, zamiast obrazu, ułożyła wcale nieestetyczny zielnik. Tak jednakże nie jest. Pragnęła ona zbliżyć niejako do oczu naszych każdą roślinę i kwiat; pisząc, widziała nie zespół, lecz raczej życie dnia łąki i lasu. To też przekładałam nawet zupełnie na pozór odosobnione malutkie obrazki i opisy „Wśród kwiatów“, niż „Wesele Wiesiołka“, kędy autorka wprowadziła pewien dramatyczny pierwiastek, i stworzyła jednolitą akcję, w której cały ludek zielny, ptasi i owadzi bierze czynny udział, zapominając o swoich własnych, udziałach w sprawach. Musimy w przeszłości swej mieć i w przeszłości swej odszukać te chwile, kiedy, swobodnie rozciągnąwszy się u stóp drzewa, dobrowolnie ograniczyliśmy swą widownię jakimś łokciem kwadratowym murawy, kiedy ze wzrastającym zaciekawieniem śledziliśmy powolne pełzanie bożej krówki, przemykanie się pajęczka, śpieszną krętaninę mrówek, lub walkę ich z jakąś biedną, zabłąkaną gąsienniczką; te chwile, kiedy zaczynaliśmy uświadamiać sobie, że ta płatanina ździebeł, łądyg, listków, z wielkim mazołem przez to, lub owo żyjątko wymijanych, to przecież gęsty las, to puszcza może, a łądyzka, którą oddech nasz chwiewie, to dąb, lub sosna w tej puszczy. Wtedy braliśmy do rąk jakiś kwiat, by sprawdzić, ile różnaitości zawierać może każdy płatek jego korony. wówczas drobiazgi, dotąd wprost dla nas nieistniejące, indywidualizowały się w swym kształcie i ruchu, w odrębności swego życia, swych celów od reszty wszechświata. I trzeba odszukać w sobie ów nastrój uczuciowy, który tym przemianom świadomości towarzyszył, by zrozumieć, ile umiłowania serdecznego włożyła autorka w swe skromne opisy, umiłowania nie

„przyrody“ w jej efektach, lecz wprost świata roślinnego w jego szczegółach, by ocenić, jak ona uczy patrzeć, i uczy uczyć patrzeć. Trzeba samemu cokolwiek tej słodyczy patrzenia zakosztować, by i w takim „zielniku“ wyczuć subtelne tony piękna. O ile jednak mnie pamięć nie myli, autorka w wydaniu książkowym opuściła parę piękniejszych ustępów, i to właśnie tych, które dla obrazków jej utworzyły-by odpowiednie tło i perspektywę. Jeszcze jedna uwaga. Oprowadzając nas po łące i lesie, autorka wstępuje w dziedzinę, która dotychczas była wyłączną niemal własnością Dygasińskiego. Znać to tu i owdzie. Przynajmniej walkę wron z jastrzębiem oglądaliśmy już „W puszczy“.

Wiosenne gody Wiesiołka przerwał dźwięk kosi śmierci. Wspólny to los wszystkich istot żyjących. Oto już koniec lata, czy początek jesieni. „Powietrze ciepłe jest jeszcze, lecz tylko z wierzchu, a na dnie ma chłodek rzeźwy“. Słońce zachodzi, a w oświetleniu tem „pojedyncze pni sosen... stały się podobne do słupów, umoczonych w roztopionem złocie“. Spójrzmy w dal, „gdzie każde źdźbło słomy na ścierniskach świeci zosobna, jak zapalona świeczka“. Zbliźmy się jeszcze do jaru, by posłuchać, jak „czasem na dnie odzywa się dźwięk metaliczny“, kiedy struga wodna przepływa wśród kamieni. To są rysy, których spodziewali-byśmy się i wymagali od młodszej falangi pisarzy, zwłaszcza Żeromskiego, — to błyskawiczne schwytywanie zjawisk w ich konkretnych objawach, jak się one bezpośrednio w świadomości naszej odbijają.

Na zakończenie jeszcze słów kilka o „Zagadce“, która mi się wydaje prawdziwą ozdobą zbiorku i dowodem niepożytości talentu znakomitej autorki. Sam przez się rebus psychologiczny osobliwością żadną nie jest, nie imponuje też nam zgoła chmurna artystka, Janina Skierska; poeta zaś cokolwiek za dużo i za płynnie mówi. Ale natomiast Cecylia, to niby młodsza, tylko szczęśliwsza, siostra Klary Wygryczówny z „Pieśni przerwanej“. Natura szczerą i prawdziwą w każdym drgnieniu swego serca, z duszą jasną i czystą, z oczyma promienistemi, ma ona w sobie woń i świeżość polnych kwiatów, i urokowi jej oprzec się niepodobna. Z tem wrażeniem świeżości i majowości rozstaniemy się na teraz z autorką „Chwil“.

A. DROGOSZEWSKI.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Wszelka filantropia rozwija się u nas zazwyczaj na gruncie gojenia ran, bardzo już rozjątrzonych. Złu społecznemu nie zapobiegamy, nie usiłujemy badać przyczyn nędzy i nieszczęść ludzkich u źródła, nie usuwamy ich zgodnie z wymaganiami profilaktyki, ale to zło dostrzegamy dopiero wówczas, kiedy się ono już rozrosło bujnie i wydało owoce, kiedy sił braknie na zwalczenie go, a środki, które mi rozporządzamy, pozwalają tylko na stosowanie paliatywów.

Tak się dzieje u nas zwykle i dla tego tem większe uznanie należy się tym, co z myślą zapobiegania złemu czynią dobrze. Do tych, nielicznych u nas jeszcze, a pożądanых—należy niewątpliwie Michał hr. Tyszkiewicz, którego znana fundacya uzyskała świeżo zatwierdzenie władzy. Nawskroś humanitarna w idei swojej, niezmiernie potrzebna i w nieobliczonych skutkach swoich dobroczynna, fundacya hrabiego Tyszkiewicza ma na celu znużonym pracą lub schorzałym artystom wszelkich kierunków twórczości ułatwić pobyt we Włoszech przez danie im schronienia w specjalnie na ten cel nabytej willi. Depomódz jakiemu bądź człowiekowi choremu do odzyskania zdrowia—to zdaje się być dobrodziejstwem najwyższem, *maximum*, jakie można wobec niego uczynić; powrócić jednak zdrowie artyście, dać mu wypoczynek i możność do pracy, a przytem wszystkim dostarczyć całego szeregu bodźców w postaci wrażeń, związanych z pobytym na ziemi Włoskiej—to jest więcej jeszcze, to znaczy przysporzyć w niejednym może wypadku sztuce narodowej dzieło wielkie, dzieło, które może-by w inych warunkach nie powstało, lub na którego wykonanie nie starczyło-by sił fizycznych artyście.

Powszechnie wiadomą jest rzeczą, z jakim trudem zdobywa się u nas chleb w dziedzinie sztuki, jak ciężką i trudną jest walka o byt dla tych, którzy nie zdobyli jeszcze głośnego imienia i na których moda, największy wróg twórczości prawej, niezależnej, a pierwszy stopień do powodzenia materyjalnego, nie nadeszła jeszcze. Imię tych,

co giną jak Podkowiński lub Kurzawa, jest legion, tych, co giną bezimiennie, i nie wie o nich nikt jeszcze, prócz garstki blizkich, prócz tych głów zapalonych i serc gorących, co z niezmiernem ukochaniem idei w duszy z nimi razem podnosili się z nizin i szli ku wyżynom w płomiennych marzeniach, w wizjach i halucynacjach, w gorących rzutach wyobraźni, podsycanej treścią długich dysput koleżeńskich, gdzieś w nieopalanym pokoiku, na czwartem piętrze. A że tam z tej garstki zapaleńców, która wchodziła ledwie w życie, ubył potem jeden i drugi, z tego powaliły suchoty, innego zabił nieżyty kiszek, wywołany chronicznem złem odżywianiem się — to społeczeństwa nie obchodzi. Zostali silniejsi i ci poszli dalej, aż się dowiedziano o nich i zaczęto ich cenić. Ale została za nimi młodość smutna, zostały lata borykania się z nędzą, został cały szereg wspomnień bolesnych, i to wszystko odbija się na ich nastroju wewnętrznym, odzywa się jakąś utajoną chorobą w ich organizmie, woła o wypoczynek dla znużonych nerwów, dla zmęczonej duszy, dla wątłego ciała. I już tych głosów żar młodzieńczych fantazyi nie przytłumi, będzie ona zniżała skrzydła, aż przypadnie do ziemi, jak to bywa często — i wtedy poczyną się mówić o zwichnięciu talentu. A zwichnęło go, nieco innego, jeno coraz mniejsza wytrzymałość na głód i chłód. Młody malarz zaczął malować dla *kunsthändlerów* podlejszego gatunku, zaczął sprzedawać obrazy tanio, tworzyć je zgodnie z wymaganiami rynku, według gustu właściciela sklepu, swego komisanta i jego burżuazyjnych klientów. Młody poeta zaczął pisać wiersze okolicznościowe, został współpracownikiem dziennika, sprawozdawcą z przedstawień w teatrzykach ogródkowych. Rzeźbiarz przerzucił się do kamieniarstwa i ma powodzenie w stawianiu nagrobków. Muzyk zasiadł do pulpitu w teatrze i grywa walce sentymentalne i dziarskie mazury podczas antraktów i t. d. A przecież niejednen z tych zwichniętych miał talent prawdziwy i utrzymał-by się na poziomie sztuki czystej, gdyby mu w porę podano rękę, gdyby mógł wypocząć i nabrać sił, gdyby miał czas spojrzeć w głąb duszy własnej, wyrwać się z dławiącej go atmosfery, wydobyć się z jarzma nienawistnej walki choćby na chwilę. I ktowie, czy kilkomiesięczny pobyt we Włoszech nie odrodził-by go zupełnie i nie natchnął taką siłą twórczą, że stanął-by on znów w rzędzie tych, co tworzą, a nie zniżał się ku tym, co bawią i sprzedają się „dla chleba“.

Dla tego cieszyć się należy bardzo z tego początku, który uczynił hr. Tyszkiewicz. Nazywamy to początkiem, wolno bowiem ufać, że filantropia nasza w tym nowym dla siebie kierunku stopniowo dokona więcej, i że wogóle społeczeństwo nasze, a zwłaszcza

cza ci wśród niego, którzy mogą wiele, obróć swoje oczy na potrzeby sztuki, żywiej zacząć się zajmować losem tych, co dla niej chcą istnieć i pracować.

Dotychczas w tej dziedzinie panowały stosunki iście opłakane, gorsze daleko od tych, jakie są udziałem młodych uczonych, techników i przemysłowców, rzemieślników nawet. Kandydaci wszystkich wymienionych wyżej zawodów mogą korzystać z nielicznych ale istniejących stypendyów, wśród których jest kilka poważnych, jak stypendyum im. Gałęzowskiego, któremu zawdzięcza wiedzę wyższą i specjalną niejednen z młodych przyrodników. Artyści natomiast stypendyów takich nie mają, a jeżeli są one, to tak śmiesznie małe, wobec najelementarniejszych potrzeb najskromniejszej egzystencji, że mówić o nich nie można, w dodatku—stały się one wyłącznym nie małym przywilejem młodych malarzy. Natomiast muzycy i literaci, jeśli chcą za granicą wiadomości zdobywać, widnokreśli swoje rozszerzać i kształcić się u źródeł sztuki—muszą iść o własnych siłach, co wobec braku, w większości wypadków, majątku osobistego, trudne jest do urzeczywistnienia i nieraz przez życie całe pozostaje marzeniem niewcielonym. I dzieje się to dzisiaj, kiedy w czterdzieści kilka godzin przebywamy przestrzeń dzielącą nas od Paryża i Rzymu, a w niecałą dobę możemy być w Wiedniu i Berlinie! Jak wobec tego wygląda ta młodzież polska, która XV i XVI wieku, w niewytrzymujących żadnego porównania warunkach, docierała do Padwy i Bolonii i zapisywała się w poczet uczniów tamtejszych akademii, aby potem krajowi przysporzyć imion słynnych i dla niego pracować z pożytkiem na rozmaitych polach?

Hr. Tyszkiewicz pomyślał obecnie o chorych i wyczerpanych, ale obok nich stoją szeregi zdrowych i mocnych, utalentowanych i pełnych nadziei, którym ułatwić podróż za granicę również stanowiłoby wiele dla zaniedbanej i ubogiej sztuki naszej. Czy o nich nikt nie pomyśli? Czy się nie znajdą ofiarodawcy i nie złożą sum odpowiednich na ustanowienie kilku chociaż-by stypendyów w tym celu, któremi z całą kompetencją mogła-by zarządzać Kasa przeczności dla literatów i dziennikarzy, Towarzystwo muzyczne lub Towarzystwo artystyczne, stosownie do ściślejszego ich przeznaczenia.

Sądźmy iż jest to tylko kwestya czasu. Sprawy tego rodzaju, co niniejsza, w każdym społeczeństwie dojrzałym muszą się doczekać swojej kolei, a zdaje się, że i u nas już na nie ta kolej nadchodzi!

Warszawa nie należy wprawdzie do wielkich ognisk przemysłowych, liczy jednakże sporo ludności rzemieślniczej, zatrudnionej bądź w fabrykach, bądź w warsztatach kolejowych i prywatnych. Ludność to, w przeważnej swojej części, inteligentna, nie posiadająca wprawdzie wiedzy wyższej, ale wykształcona nie tylko zawodowo i bardzo często obejmująca dość szerokie widnokreśli życia umysłowego. Przedstawiciele jej — ślusarze, krawcy, stolarze, szewcy i t. d. inteligencją mogą nieraz korzystnie współzawodniczyć z talangą drobnych urzędników, posiadających cztero lub pięcioklasowe wykształcenie, a przez rutyniczne pełnienie jednych i tych samych czynności nie tylko nie rozszerzających swej wiedzy początkowej, ale zagrożonych w omdleniu i apatii umysłowej. Tych jednak urzędników hierarchia społeczna kwalifikuje wyżej; rzemieślnik tymczasem, który przy warsztacie swoim nie usypia, ale w ustawicznej czynności i sprawności trzymając swój umysł, zwolna się wyrabia, dojrzewa, uspołecznia, rozwija — wciąż jeszcze zajmuje w tej hierarchii stopień niższy. Oczywiście, że powinno być zgoła przeciwnie, i gdy z czasem opinia w tej mierze ulegnie zmianie, nie będzie wahać się w wyborze zawodu wśród tych, którzy dla nierozumnej fikcyi woła dziś przepisywać papiery przy biurku za 500 rb. rocznego wynagrodzenia i nosić za to tytuł urzędnika kolejowego lub bankowego, niż przy własnym pracować warsztacie i zarabiać dwa, trzy i cztery razy więcej. Wtedy też niewątpliwie podniesie się stan rzemieślniczy u nas i nie zabraknie wśród niego nawet ludzi prawdziwie wykształconych.

Że już i dzisiaj ku temu zbliżamy się zwolna, świadczy dojrzewający obecnie projekt założenia w Warszawie „Stowarzyszenia majstrów cechowych“, instytucji na wzór angielskich resurs rzemieślniczych i niemieckich Handwerker Musse. Instytucję podobną powołać do bytu i utrzymać mogą tylko inteligentni rzemieślnicy; jeśli więc ona powstaje w Warszawie, to dowód, że w pochodzie naszym cywilizacyjnym stan rzemieślniczy czyni poważny krok naprzód, że dojrzał on do życia zbiorowego poza warsztatem i knajpą, że rozumie swoje potrzeby towarzyskie i stara się je w sposób godziwy zastąpić.

Opracowana już przez inicjatorów ustawa nowego stowarzyszenia przedstawiona zastała do zatwierdzenia władzom odnośnym, które, zdaje się, przychylnie na rzecz całą patrzą.

Ustawa ta określa w niżej podany sposób cele stowarzyszenia:

a) Spółdziałanie ku zbliżeniu się rzemieślników między sobą, rozwój ich wspólnych celów, spółzawodnictwo między rzemieślnikami,

zaznajamianie ich ze wszelkimi nowościami, dotyczącymi rzemiosł i ulepszeniami, wprowadzaniem do rzemiosł za granicą;

b) podniesienie poziomu wiadomości rzemieślniczo-technicznych, gorliwości i postępów w rzemiosłach pomiędzy majstrami, czeladnikami i uczniami, ku czemu może być urządzona (kosztem stowarzyszenia i ofiar dobrowolnych) biblioteka dzieł rzemieślniczo - technicznych i ogólnie użytecznych, jak również zbiory modeli, rysunków i t. p. w celu praktycznego zapoznania się z wyrobami rzemieślniczo technicznymi, gwoli wyrobieniu poglądu estetycznego;

c) urządzenie konkursów na tematy wybrane;

d) urządzenie odczytów i pogadanek z zakresu rzemiosł, jako też innych gałęzi wiedzy, opracowanych możliwie popularnie i przystępnie z dołączeniem modeli i rysunków;

e) urządzenie wieczorów rodzinnych, muzycznych i tanecznych, przedstawień dramatycznych i innych, oraz balów maskowych i t. p. rozrywek.

Widzimy więc, że starano się tu połączyć czysto towarzyskie zadania Klubu z pożytkiem, płynącym ze wspólnego omawiania spraw fachowych, oraz z kształceniem się, rozszerzaniem i uzupełnianiem wiadomości z rozmaitych dziedzin.

Członkami rzeczywistymi stowarzyszenia mogą być według projektowanej ustawy tylko majstrowie cechowi wyznania chrześcijańskiego. Nie mogą zaś być członkami: kobiety (?), niepełnoletni, z wyjątkiem osób, posiadających rangi klasowe (?), wychowawcy zakładów naukowych, szeregowcy i junkrowie, chociażby byli pełnoletni, członkowie raz wykreśleni na podstawie ustawy i wszyszczy ograniczeni w prawach z mocy wyroku sądowego.

Prócz członków rzeczywistych ustawa przewiduje zwykłym trybem rzeczy członków honorowych i członków protektorów. Wybór tych członków, po przedstawieniu ich przez radę gospodarzów, odbywać się będzie na walnem zgromadzeniu, przyczem do wyboru potrzeba większości $\frac{2}{3}$ głosów; członkowie honorowi i protektorowie korzystają ze wszystkich praw narówni z członkami rzeczywistymi, z tą tylko różnicą, że uwolnieni są od obowiązkowego wnoszenia składek.

Członkami rzeczywistymi, jak to widzieliśmy wyżej, mogą być tylko majstrowie cechowi. Tkwiłby w tem zasadniczy błąd ustawy, gdyby nie wyjaśnienie, jakie spotykamy niżej, a dotyczące ce prawa wprowadzania gości. Każdemu z członków przysługuje to prawo, pod warunkiem jednakże, aby własnoręcznie zapisał nazwisko i stanowisko gościa w oddzielnej książce, w tym celu założonej i pozostającej u szwajcara lokalu, tudzież, aby przyjął na siebie odpowie-

działność za postępowanie gościa w obrębie stowarzyszenia. W ten sposób majstrowie cechowi będą mogli wprowadzać do resursy swych współpracowników, czeladników a nawet uczniów. Wytworzy to pożądaną między nimi spójnię i w kształceniu młodzieży rzemieślniczej odegra rolę wybitną. Młody czeladnik poza godzinami pracy pozostawiony jest samemu sobie, a szukając rozrywek wiekowi swojemu właściwych, poddaje się częstokroć złym wpływom, marnuje siły i zdolności. Uchroni go od tego obcowanie ze starszymi i światlejszymi majstrami, uchroni towarzystwo, wieczory i zabawy, spędzane jakby w gronie rodzinnem, uchronią wreszcie kształcące pogadanki i odczyty. Oczywiście — wyobrażamy sobie organizację nowego klubu jaknajbardziej i wykluczamy możliwość zaprawiania się w nim do gry w karty, tak charakterystycznej dla wszystkich naszych stowarzyszeń.

Reszta artykułów projektowanej ustawy dotyczy wewnętrznego ustroju stowarzyszenia, opartego przeważnie na ustawach stowarzyszenia majstrów cechowych w Petersburgu, oraz na ustawie warszawskiego stowarzyszenia techników.

Resursa w dzisiejszych stosunkach naszych ma do zrobienia niejedno, oby więc jaknajrychlej powstała i ziściła te nadzieje, jakie w niej pokładają założyciele i ci wszyscy, dla których nie jest obojętną kwestya ogólnego postępu, rządności, pracowitości i światła w jaknajszerszych kołach społeczeństwa.

Mamy przed sobą sprawozdanie z działalności stowarzyszeń współdzielczych u nas za rok 1900, opracowane i ogłoszone przez gorącego ich zwolennika i wyznawcę idei samopomocy ekonomicznej, p. Nikodema Krakowskiego.

Autor zaznacza na wstępie, iż w ostatnich latach kilku na polu naszej kooperacji kredytowej powstał ruch bardzo ożywiony. Pocięszający ten objaw, zdaniem jego, zawdzięczać należy pomocy, jakiej bank Państwa udziela chętnie stowarzyszeniom współdzielczym, oraz ułatwieniom, wprowadzonym w ministerjum finansow przy wyjednywaniu zatwierdzenia ustaw w ogólności, ustawy zaś normalnej w szczególności. Z uznaniem też zaznaczyć potrzeba, że idea samopomocy bezustannie czyni u nas postępy, pomimo hamulców zakładanych na nią w formie zebrania reprezentantów.

Nasze sfery pracujące, czytamy w sprawozdaniu, już się przekonały, że mogą byt swój poprawić i bez filantropii, że połączonemi siłami utworzyć mogą potęgę, a przy pomocy stowarzyszeń współdziel-

czych stworzyć mogą dla siebie ożywcze źródło kredytu i bez hypoteki, portfeli wekslowego, lub zastawów.

Niedawno temu nasze stowarzyszenia kredytowe współdzielcze policzyć można było, z końcem roku 1899 było ich już 23, a w roku 1900 przybyły:

1) Towarzystwa wzajemnego kredytu: w Będzinie, Żyrardowie, Ciecchanowie, Kielcach, Siedlcach, Płońsku i na Pradze pod Warszawą.

2) Towarzystwa pożyczkowe: w Warszawie (drugie już dla rzemieślników, z udziałem po 50 kop.), w Olkusz, Nieszawie, Koziennicach, Ostrołęce, Lublinie, Rypinie, Płońsku, Zduńskiej Woli, Zamościu, Żyrardowie, Dąbrowie, Będzinie, Koninie, Łodzi, Ozorkowie, Łęczycy, Włocławku, Sierpcu, Bodzanowie, Wyszogrodzie, Bieżuniu, Nowem Mieście, Mławie, Bielsku, Szczuczynie i Jabłonie.

Prócz tego z górą trzydzieści ustaw wysłano w okresie tym do zatwierdzenia.

Zastanawiając się nad ważniejszymi objawami życia i działalności naszych stowarzyszeń współdzielczych w roku ubiegłym, stwierdza p. Krakowski fakty następujące:

1) że stowarzyszenia współdzielcze dowiodły faktami, iż ziemianie (rolnicy) przestrzegają terminów jak najakuratniej;

2) że stowarzyszenia prowincjonalne czynny biorą udział w instytucjach społecznych, filantropijnych, w tworzeniu lub wspieraniu szkół, oraz zakładaniu kas przezorności dla swoich urzędników.

Do smutnych natomiast objawów zalicza sprawozdawca:

1) germanizację naszych stowarzyszeń w Łodzi, Tomaszowie R. i Zgierzu, oraz

2) nadużycia i nieporządki, zaszłe w stowarzyszeniu Kieleckiem.

Z tabeli, ilustrującej stan i obroty stowarzyszeń, wynika, iż w roku sprawozdawczym było w kraju 25 stowarzyszeń czynnych, w tej liczbie: 6 kas pożyczkowych dawnego typu, 7 Towarzystw pożyczkowych i oszczędnościowych i 12 Towarzystw wzajemnego kredytu.

W tych 25 stowarzyszeniach liczba członków po dzień 31 grudnia 1900 r. wynosiła 35 165 z kapitałem udziałowym 5 246 806 rb. 14 kop. Kapitał rezerwowy stowarzyszeń tych osiągnął kwoty rb. 1 250 204 kop. 50. Pożyczek w roku sprawozdawczym udzielono rb. 52 996 670 kop. 45, a przyjęto jednocześnie kapitału na lokację rb. 14 330 146 kop. 68. Zysk stowarzyszeń wynosił rb. 615 431 k. 73.

Są to rezultaty skromne, zwłaszcza w zestawieniu z tem, co się osiąga gdzieindziej, choćby w sąsiednich prowincjach—w Poznańskiem i w Galicyi. W W. Ks. Poznańskiem istnieje 119 stowarzy-

szeń, patronat ich z ks. Wawrzyniakiem ze Śremu na czele, oraz Bank Związkowy, służący specjalnie interesom stowarzyszeń, do patronatu należących, który przy kapitale zakładowym, wynoszącym 500 000 marek, dokonał obrotów na 15 693 845 marek. Liczba członków w stowarzyszeniach poznańskich dochodzi do 46 430 (w tem rolników 25 908). Pożyczek udzieliły stowarzyszenia tamtejsze na 38 937 725 mk., a oszczędności przyjęły 32 162 861 mk. Cyfry te, jeśli wziąć na uwagę ludność i rozwój ekonomiczny, zwłaszcza przemysłowy obydwóch dzielnic—wymownie świadczą na korzyść Poznańskiego. Jeszcze lepiej dzieje się w Galicyi, która także posiada Związek stowarzyszeń, na którego czele niegdyś stał St. Szczepanowski, a obecnie stoją W. Biechoński, burmistrz z Gorlic, i poseł Tadeusz Romanowicz, i która także niezadługo posiadzie Bank Związkowy, opóźniony w powstaniu swem jedynie niedawnem przesileniem pieniężnem i katastrofą Kasy oszczędności we Lwowie. Stowarzyszeń w Galicyi istnieje 550, a liczba ich członków wynosi 387 769, z kapitałem udziałowym 20 742 273 koron i funduszem rezerwowym 6 174 772 kor. Pożyczek udzielono na 199 298 327 kor., oszczędności zaś przyjęto na 12 788 605 kor. Czysty zysk wyniósł 1 676 951 kor.

Pięćdziesięcioletnie doświadczenie przekonało, mówi p. Krakowski w utyskiwaniach i żalach swoich, któremi sprawozdanie poprzedził, że stowarzyszenia współdzielcze pomyślnie rozwijają się tylko w tych krajach, gdzie istnieją patronaty, opiekujące się ich zakładaniem, rozwojem i wogóle popularyzowaniem stowarzyszeń, opartych na samopomocy. Anglia zawdzięcza swoje stowarzyszenia (około 1500!) patronatowi „Cooperative Extension Society“. Niemcy nie posiadały-by dzisiaj przeszło 10 000 stowarzyszeń, gdyby nie ich „Anwaltschaft Deutscher Genossenschaften“, w Austrii, Węgrzech, w Galicyi, na Szląsku, na Morawach i w Czechach nie było-by 2 757 stowarzyszeń bez ich federacyi, a i Włochy nie miałyby przeszło 700 stowarzyszeń współdzielczych bez ich „L'associatione fra le banche popolari“. Patronatów niema tylko u nas, w lekkomyślnej Francyi i hołdującej filantropii Hiszpanii, nareszcie w Turcyi, Serbii i t. d.

Pojmując doniosłość takiego patronatu dla naszych stowarzyszeń, p. Krakowski od r. 1885 czynił starania, ażeby w łonie warszawskiego Towarzystwa popierania przemysłu i handlu zorganizować w jakikolwiek sposób Biuro centralne dla spraw kooperacyi. Usiłowania te jednak spełzły na niczem. W r. 1885 wydelegowano wprawdzie specjalną komisję w celu zbadania tej kwestyi, komisya ta zatwierdziła nawet przedstawiony sobie projekt i uznała nagłość tej sprawy, pomimo to przecież prezydyum V sekcyi odłożyło rzecz całą ad acta. W r. 1889 wskutek nowych zabiegów... wybrano dru-

giego wice-prezesa Sekcyi. W r. 1892 znowu apelował p. Kr. do Sekcyi V. Tym razem projekt przyjęto jednogłośnie do wiadomości. Zabiegi roku 1897 pomyślnym uwieńczone zostały skutkiem, utworzono bowiem delegację kooperacyjną przy Sekcyi V, Sekcyja V jednak tak usilnie popierała usiłowania nowej delegacji, że od r. 1897 do 1900 odbyły się cztery posiedzenia i na tem koniec. Biuro centralne nie powstało.

Wobec tej nagannej, jak ją nazywa p. Kr., bezczynności, zabrał się on do pracy sam, napisał, wydrukował własnym kosztem i rozdał bezpłatnie podręcznik, niezbęduy dla organizatorów nowych stowarzyszeń, udzielał informacji, drukował broszury w danym przedmiocie, oraz roczne sprawozdania z działalności naszych stowarzyszeń kredytowych współdzielczych, z trudem gromadząc potrzebny do tego materyał. Ale praca to zbyt wielka. Przenosi ona siły i środki jednostki. Niezbędne tu jest istotnie należycie zorganizowane biuro, którego zakres działania byłby następujący:

- 1) Peryodyczne ogłaszanie o istnieniu i celach tego biura;
- 2) Wydrukowanie w znaczniejszej liczbie egzemplarzy nowozatwierdzonej ustawy normalnej, w celu bezpłatnego rozdawania jej żądającym;
- 3) Prowadzenie stałej statystyki i drukowanie sprawozdań rocznych z działalności stowarzyszeń;
- 4) Wyjednywanie zatwierdzania ustaw nowoorganizujących się stowarzyszeń;
- 5) Współdziałanie przy ich organizacyi;
- 6) Zwolywanie zjazdów przedstawicieli naszych stowarzyszeń w celu ujednostajnienia ich administracyi i rachunkowości oraz obmyślenia środków, zmierzających do dalszego ich rozwoju i zachęty do tworzenia nowych stowarzyszeń;
- 7) Badanie rozwoju kooperacyi w Europie i korzystanie z owoców zdobytego tam doświadczenia;
- 8) Udzielanie informacji w danym przedmiocie i kwestyach, w związku z nim będących, materyałów organizacyjnych, wzorów ustaw, schematów potrzebnych, instrukcyi administracyjnych i rachunkowych etc.
- 9) Rozstrzyganie kwestyi spornych;
- 10) Wywalczanie przywilejów, ułatwień i kredytu zdrowego dla nowych stowarzyszeń.

Biuro takie oddało-by niewątpliwie usługi wielkie sprawie stowarzyszeń współdzielczych u nas i wraz z p. Krakowskim życzyć sobie należy, aby powstało ono jaknajprędzej, mając wzory oddawna już gotowe w patronacie poznańskim i w Związku stowarzyszeń za-

robkowych i gospodarczych we Lwowie. Czyżby jednak, naprawdę, brak było jeszcze u nas dobrej woli? A o nią tu tylko idzie.

Ktokolwiek zwiedzał w Krakowie słynny park Jordana, to dzieło wielkiego uczucia i owoc prawdziwie a wyjątkowo obywatelskiego stosunku jednostki do społeczeństwa, ten nie mógł bez wzruszenia, wróciwszy do Warszawy, patrzeć na jej dziatwę, pozbawioną powietrza i zieloności, anemiczną i powolną, fizycznie wątłą i zdegenerowaną, temu mimowoli stawały przed oczyma boiska jordanowskie, ćwicząca się na nich w gimnastyce dziatwa i młodzież o wesołych, rumianych twarzach. U nas nic podobnego nie było — Warszawa nie miała dotąd swojego Jordana; obecnie, dzięki wspaniałym zapisom ś. p. Wilhelma Raua, powstają ogródki do zabaw dla dzieci. Nie są to parki w wielkim stylu, ale „ogródki“, i one jednak są już dla nas nabytkiem bardzo pożądanym i bardzo pożytecznym.

Nieraz już na tem miejscu pisaliśmy o brakach Warszawy, wysuwając na plan pierwszy brak ogrodów publicznych, tem dotkliwszy przy ciasnem zabudowaniu i zupełnym niedostatku obszerniejszych placów. Ogródki Rau'a braków tych nie pokryją, nie powstają one bowiem na przestrzeniach nowych i z wyjątkiem placyku w Ogrodzie Saskim, oddawna przeznaczonego dla dzieci, zbyt są oddalone od śródmieścia, ale uczynią one wiele dla fizycznego rozwoju rosnącego pokolenia, rozwoju, który przez naszych rodziców zaniedbany jest więcej, niż gdziekolwiek indziej. Zabawy i gry na świeżem powietrzu, pod przewodnictwem światłych i wytrawnych opiekunów nie dadzą się zastąpić niczem. Im-to zawdzięcza swoją dzielność młodzież angielska i skandynawska. One też przyzwyczajają zawczasu dziatwę do wzajemnego towarzyskiego obcowania, do koleżeńkiego stosunku, do ustępstw wzajemnych, nawet w najpierwotniejszej formie każdego współżycia niezbędnych. Z radością też powitać należy trzy dostępne już dla dzieci naszych ogródki. Niech się tam one bawią, rosną i rozwijają, a każde z nich w przyszłości z pewnością wdzięcznem sercem wspomni imię zapisodawcy.

Wdzięczności takiej, niestety, nie będą miały przyszłe pokolenia dla swego miasta rodzinnego, które o nich nie myśli. Dobrze jest wiele rzeczy zostawiać inicjatywie prywatnej, ale nie można zostawiać najważniejszych, nie można czekać na ofiary tam, gdzie są pilne do załatwienia potrzeby. Miasto tymczasem, pochłonięte całkowicie sprawą kanalizacyi, zapomina o wszystkim, co jej nie dotyczy i w gospodarce swojej niejedyn już przez to błąd popełniło. Dzięki temu np. tam, gdzie powinien był powstać park obszerny i cienisty — stanął

nowy szpital Dzieciątka Jezus, dzięki temu zapewne i ogród pomologiczny ulegnie parcelacyi i plac mokotowski z czasem zabuduje się szaremi, jednostajnymi kamienicami. Ludność się zwiększa, ruch budowlany rośnie, granice miejskie muszą się rozszerzać i trzeba zawczasu wydierać spekulacyi każdą wolną piędź ziemi, bo potem będzie już zapóźno. Ściśnięci pierścieniem kamiennym—nie znajdziemy dostatecznej ilości powietrza dla płuc, i mimo kanalizacyi, wodociągów i bruków drewnianych, przeklinać będziemy miasto, które nie myślało o ogrodach i zieloności, nawet o wysadzeniu ulic drzewami. I wtedy zacznie się z konieczności burzenie domów i na ich gruzach powstaną dopiero parki tam, gdzie się one już dzisiaj znajdować powinny. Tylko—nie my tego dokonamy...

Wiadomości bibliograficzne.

— Nakładem Akademii Umiejętności w Krakowie wyszedł z druku tom trzydziesty piąty prac Komisji fizyograficznej, obejmujący pogląd na czynności Komisji, dokonane w ciągu roku 1899, oraz „Materyały do fizyografii krajowej“. Część I-sza książki, poświęcona materyałom, zebranych przez Sekcyę meteorologiczną, zawiera prace: O gradach w Galicyi w roku 1860, przez ś. p. d-ra D. Wierzbickiego, O piorunach w Galicyi w roku 1899 przez tegoż. Spostrzeżenia pojawów w świecie roślinnym i zwierzęcym w latach 1897, 1898 1899 i Wyniki spostrzeżeń magnetycznych, dokonanych w Krakowie w roku 1899. W części II-giej, poświęconej sekcyom: zoologicznej, botanicznej i geologicznej, spotykamy rozprawy: R. Gutwińskiego: „Głony Suchy i Makowa“ Fryderyka Schille: „Fauna lepidopteryczna doliny Popradu i jego dopływów“: d-ra Niezabitowskiego: „Materyały do fauny złotek“; J. Łomnickiego: „Otwornice miocenu Pokucia“; Rybińskiego: „*Trechus fontinalis*“; St. Smreczyńskiego: „Przyczynek do fauny galicyjskich szarańczaków“; R. Gutwińskiego: „Materyały do fauny śluzowców“, dr St. Klemensiewicza: „O nowych i mało znanych gatunkach motyli fauny galicyjskiej“; d-ra E. Niezabitowskiego: „Przyczynek do fauny kręgowców Gylicyi“. Na część III-cią wreszcie obszernego tomu złożyły się materyały, zebrane przez Sekcyę rolniczą, jak oto: „Analiza siana łąkowego w okolicy Bobrka koło Oświęcima“ (dr Józef Góral); „Wydatność drzewostanów w naszym lasach w chwili ich sprzętu“ (Aleksander Nowicki); „Łąki w okolicach Liszek i Mnikowa (Seweryn Krzemieniewski).

— Zeszyt sierpniowy wydawanego we Lwowie: „Przeglądu sądowego i administracyjnego“ wyszedł z druku i zawiera: Studya do historii sądownictwa w Polsce. I. Ostatni wiek wieców krakowskich (dokończenie)—przez d-ra St. Kutrzebę; „Egzekucya wobec rewizyi“, —przez d-ra W. Godlewskiego; „Prawny charakter subskrypcyi akcyi“, —przez d-ra A. Dolińskiego, tudzież bogaty dział sprawozdań literackich, bibliografię czasopism i kronikę.

— Jako 192 i 193 tomy „Biblioteki dzieł wyborowych“ ukazała się powieść Pawła Bourget'a, pod tytułem: „Widmo“, w pięknym przekładzie Bronisławy Neufeldówny.

-- P. Matylda Kobryner wydała po francusku w Genewie nakładem „Revue helvétique“, miniaturowy zbiorek ulotnych poezyi, pod tytułem: „Bulles de Savon“.

— Nakładem „Księgarni Polskiej“ J. Sikorskiej wyszły następujące dziełka popularne: „Słowacy“, — przez Antoninę Smiskową (Antoszkę), cena 15 kop.; „Z niedzieli do środy“, — przez K. Krzywickiego, cena 20 kop.; „Drzewa przy drogach“, — przez Edmunda Jankowskiego, cena 8 kop.; „O szkodliwych chwastach“, — przez Z. Skrzyńskiego, cena 15 kop.

— P. Tadeusz Czaykowski wydał w Tarnowie: „Praktyczny poradnik przy wyrobie win owocowych i jagodowych“.

— Katalogu literatury naukowej polskiej, wydawanego przez komisję bibliograficzną Wydziału matematyczno-przyrodniczego Akademii Umiejętności w Krakowie, wyszedł z druku zeszyt I-szy, i zawiera spis wydawnictw peryodycznych naukowych polskich, tudzież registrację prac naukowych, tamże zawartych, lub ogłoszonych oddzielnie.

— „Biblioteki dzieł chrześcijańskich“ ukazał się zeszyt za miesiąc sierpień i zawiera tom I-szy „Studyów estetycznych“, ks. Karola Niedziałkowskiego, biskupa Łucko-Żytomierskiego. Obszerniejszą ocenę dzieła tego podamy w swoim czasie. Na razie zaznaczamy, że treść tomu I-go stanowią rozprawy: „Czy można określić sztukę?“, „Naleciałości renesansowe w sztuce religijnej“ i „Nagość“ w sztuce pod względem etycznym i estetycznym“.

— Nadesłane nam za miesiąc sierpień dwa zeszyty czasopisma: „La Revue“, zawierają między innymi następujące prace: „Les artistes maudits“, — przez Maryę Krysińską, „Le roman japonais moderne“, — przez M. J. Tébla i „L'amour chez les enfants“, — przez Lino Ferriani, prokuratora królewskiego w Côme, znanego z prac w dziedzinie psychologii kryminalnej.

— Książd Feliks Leliwa Józefowicz wydał we Lwowie broszurkę pod tytułem: „Przyczyny moralnego zepsucia młodzieży szkolnej i środki zaradcze“.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca

ADAM hr. KRASIŃSKI.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE TRZECIM

Z ROKU 1901.

Historya.

	<i>Stron.</i>
EPILOG STANÓW GALICYJSKICH. I. OSTATNIE SESYE SEJMU STANOWEGO. II. ABDYKACYA STANÓW, — przez d-ra Bronisława Łozińskiego.	105 i 414
NA PRZEŁOMIE DZIEJOWYM. (Z ruchu umysłowego w epoce Antoninów), — przez Adama Miodońskiego.	295

Szkice etnologiczne.

PLEMIĘ PIERWOTNE, JEGO TERYTORXUM, NAZWA I ODOŚBNIENIE. (Z rzutem oka na stosunki pierwotne polskie), — przez Ludwika Krzywickiego.	509
---	-----

Literatura.

NIEZNANY DRAMAT ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO, — poprzedzony słowem wstępem Adama Krasińskiego.	1
Z NIEZNANYCH RĘKOPISÓW ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO, — z objaśnieniem Józefa Kallenbacha.	197 i 389
SPRAWA DOŁĘGI, powieść (dokończenie), — przez Józefa Weysenhoffa.	59
ŚLADEM TESKNOTY. Powieść, — przez Tadeusza Konczyńskiego.	236 i 446
PAN BALCÉR W BRAZYLII (poemat), — przez Maryę Konopnicką.	547

Studia i szkice literackie i artystyczne.

„MANRU“. Opera Ignacego Józefa Paderewskiego, — przez Stanisława Niewiadomskiego.	87
POLEMIKA O WAWEL, — przez Stefana Fuchsa.	137
NA TARASIE (Ze wspomnień dawnego sporu), — przez Mags.	313
ALEKSANDER GIERYMSKI, — przez Stanisława Witkiewicza.	478

Sprawy społeczne, prawne i ekonomiczne.

WYCHODZTWO WŁOSCIAN Z KRÓLESTWA NA ZAROBKI, — przez S. Krzeczковского.	47
STOSUNKI SPOŁECZNE W POZNANSKIEM, — przez Poznańczyka.	222
WRAŻENIA Z WYSTAWY LUBELSKIEJ, — przez Henryka Radziszewskiego.	256

Korespondencye.

RZYMSKA. — przez Romanusa. Wzmoczenie się walki przeciw Kościołowi na początku wieku. — Angielscy pątnicy jubileuszowi i książę Norfolk. — List księcia w „Trybunie“ i słowa jego na posłuchaniu u Leona XIII-go. — Kwestya rzymska, jako legat przeszłości. — Postępy socjalizmu we Włoszech — Postawa rządu wobec socyalistów. — Ministerium Saracca i gabinet Zanardello. — Jak wobec propagandy socyalistycznej zachowują się katolicy półwyspu?	339
---	-----

Rozmaitości.

	<i>Stron.</i>
NAD STAREMI DRUKAMI Z BIBLIOTEKI J. E. KS. BISKUPA HR. JERZEGO SZEMBEKA, — przez Mieczysława Offmańskiego . . .	156
„Prace Sekcyi Gruźliczej IX-go Zjazdu przyrodników i lekarzy polskich w Krakowie, w roku 1900“. Warszawa, 1901, — przez d-ra K. D. . . .	556

K r y t y k a .

Maryan Dubiecki: „Karol Prozor. Monografia, oparta na podstawie źródeł archiwalnych“. Kraków, 1897;—Von Boguslawski: „85 Jahre preussischer Regierungspolitik in Posen und Westpreussen von 1815 bis 1900“. Geschichtliche Skizze, 1901;—dr Bronisław Łoziński: „Agenor hrabia Gołuchowski w okresie rządów swoich 1846 — 1859“; — Henry Houssaye: „1814“ (1900, 36 wyd.); — dr Dany: „Les idées politiques et l'esprit public en Pologne a la fin du XVIII siècle, La constitution du 3 mai 1781“. Paris, 1901; — Bertha von Suttner: „Die Haager Friedens - Conferenz“. Tagebuchblätter, 1900, — przez A. R.	168, 362 i 564
Emde: Symfonia „Do niej“. Warszawa, 1900;—Eliza Orzeszkowa: „Chwile“, Warszawa, Kraków, 1901, — przez A. Drogoszewskiego . . .	178 i 538
Maurice Tourneux: „Diderot et Cathérine II“. Avec un portrait en heliogravure. Pp. III, 601. Paris, Calmann Levy, 1899; — Le docteur Rimler Gyula: „De la nécessité d'une alliance franco - russe - austro-hongroise“. Préface par Alfred Duquet chevalier de la Légion d'honneur.—„Von der Nothwendigkeit einer Franco-Russo-Austro-Ungarischen Allianz. Geheime diplomatische Verhandlungen zwischen Herrn Delcassé und ungarischen Patrioten, 1899—1901“. Von Julius Rimler, ungarischer Diplomat. Pp. 148. Paris, A. Charles Editeur, 1901;—Mémoires du comte Ferrand ministre d'état sous Louis XVIII“. Publiés pour la Société d'Histoire Contemporaine par le vicomte De Broc. XVI, 313 (Paris, Picard et fils), — przez A. . . .	354 i 559

Kronika miesięczna.

LIPIEC. „Ateneum“.—Kolonie letnie półpłatne i brak do nich kandydatów. — Rozestetyczone społeczeństwo a estetyka —Uzdrowotnienie miast małych. — Nowy szpital Dzieciątka Jezus i Dom wychowawczy. — Sprostowanie	180
SIERPIEŃ. Reforma szkoły średniej.—Rewizya ustawy uniwersyteckiej i głos komisyi warszawskiej.—Kolej Warszawsko-Radomska. — Upadek publicystyki. — Rozbiórka starego szpitala Dzieciątka Jezus. — Ś. p. Edward Leo. — Ś. p. Jan Rutkowski	369
WRZESIEŃ. Kilka słów z powodu fundacyi hr. Michała Tyszkiewicza.—Stowarzyszenie majstrów cechowych w Warszawie —Stan i działalność stowarzyszeń kredytowych współdziałających u nas w roku 1900.—Ogródki dla dzieci	574

Wiadomości bibliograficzne.

LIPIEC	197
SIERPIEŃ	387
WRZESIEŃ	487

Spółka Wydawnicza Polska w Krakowie

poleca następujące własne wydawnictwa:

- Antoniewicz Karol ks.** „Poezye religijne“, kop. 90.
w pięknej oprawie rub. 1 kop. 80.
— „Poezye religijne i świeckie“. Wydał ksiądz Jan Badeni. Wydanie trzecie, z licznymi winiętami. rub. 1 kop. 80, w starannej oprawie rub. 3.
- Bakowski Klemens** „Posażna panna“, powieść, rub. 1 kop. 25.
- Bilczewski ks. arcybiskup.** Eucharystya w świetle najdawniejszych pomników piśmiennych, ikonograficznych i epigraficznych. Wydanie luksusowe w wielkim formacie, str. 328 z 47 rycinami i tablicą w heliogravurze. Dzieło, odznaczone nagrodą Akademii umiejętności, rub. 4 kop. 50, w starannej oprawie rub. 6.
- Chołoniewski Stanisław ks.** „Kazania niedzielne i świąteczne“, 2 tomy, wydał ks. Jan Badeni, rub. 3 kop. 60.
- Coppée Fr.** „Dobre cierpienie“, szereg przepięknych szkiców znakomitego autora, kop. 75.
- Czermak Wiktor dr.** „Studia historyczne“.
Treść: Na dworze Władysława IV. — Młodość Jerzego Lubomirskiego (1616 — 1636). — Wojna Smoleńska z roku 1633 — 1634 w świetle nowych źródeł. — Polska wobec wojny 30-letniej. — Kilka słów o pamiętnikach polskich XVII wieku. — Miłostki królewskie — Przyczynek do biogr. Zimorowicza. — Przyczynek do dziejów siedemnastego wieku z archiwów prywatnych, rub. 2 kop. 70.
- Dostojewski T.** „Wspomnienia z martwego domu“ (W katordze), przełożył prof. Tretiak, drugie polskie wydanie, rub. 1 kop. 50.
- Fogazzaro Antonio** „Dawny światek“ (Piccolo mondo antico). Autoryzowane tłum. rozgłoszonej powieści znakomitego pisarza włoskiego, rub. kop. 80.
- Gide K.** „Zasady ekonomii społecznej“, drugie polskie wydanie, świeżo opracowane i rozszerzone przez d-ra W. Czerkawskiego, rub. 4 kop. 50.
- Gloger Zygmunt.** „Geografia historyczna dawnej Polski“, z dodaniem mapy Rzeszypospolitej J. Babireckiego. W tekście 64 autentycznych rycin, rub. 3.
- Golian Zygmunt ks.** „Kazania niedzielne i świąteczne“, rub. 1 kop. 80.
- Górski Konstanty.** „Historia jazdy polskiej na podstawie nieużytkowanych dotąd źródeł, z trzema tablicami litografowanymi, str. 363, rub. 3 kop. 60.
- „Hygiena palenia“.** Studium fizjologiczno-lekarskie, kop. 56.
- Kalinka Waleryan ks.** „Sejm czteroletni“, wyd. ezwarne w 4 częściach rb. 6 kp. 50.
— „Ustawa trzeciego maja“, kop. 50.
- Karbowiak B. prof.** „Szkola katedralna krakowska w wiekach średnich“, kop. 60.
- Kołaczkowski Klemens, generał.** „Wspomnienia od roku 1793—1830“, przyozdobione 27 rycinami, trzy tomy po rub. 1.
- Korolenko Wł.** „Niewidomy muzyk“, przekład z ros. St. M., kop. 90.
— „Szkice i opowiadania“. (At Dawan. — Za obrazem. — Zaćmienie słońca. — Cienie. — W noey. — Może. — Sądny dzień), rub. 1 kop. 80.
- Kostomarov N J.** „Kudejar“, powieść historyczna z czasów Iwana Groźnego. Tłumaczył **, rub. 1 kop. 60.
- Kowerska Z.** „Z pamiętnika ornitologa“, rub. 1 kop. 35
— „Powieści“ (Dla Anusi — Z życia Jasia — Na noclegu. — Wydalenie) r. 1 k 50.
- „Książeczka do modlitwy dla mężczyzn ze sfer inteligentnych“.** Nowa ta książeczka, w formacie łatwym do wsunięcia w kieszeń, z modlitwami koseielnemi w języku łacińskim i polskim, dobranemi ze znajomością rzeczy i wielką troskliwością, odpowie odczuwanej oddawna rzeczywistej potrzebie.
- Oprawy wykonano w pierwszorzędnym zakładzie krakowskim starannie i gustownie od rub. 1 do do 5.
- Macaulay T. M.** „Szkice i rozprawy historyczne“, 2 tomy, tłumaczył Stan. Tarnowski, rub. 2 kop. 70.
- Manteuffel G.** „Cywilizacya, literatura i sztuka w kolonii polskiej nad Bałtykiem“, ozdobione 23 rycinami, rub. 1 kop. 10.
- Mickiewicz Adam.** „Wybór listów“, ułożył dr Józef Kallenbach, profesor uniwersytetu fryburskiego, rub. 7, kop. 80.
- Wybór ten zawiera ważniejsze listy poety, w których przebijają się duchowerysy nie tylko twórcy „Pana Tadeusza“, ale człowieka-obywatela, brata, męża, ojca rodziny i serdecznego przyjaciela.

Neumanowa A. „Baśnie i legendy Wschodu“, kop. 55.

Pawlicki Stefan ks. dr. „Żywot i dzieła Ernesta Renana“, rub. 1 kop. 70.

Pelczar Józef, ks., dr., biskup przem. „Zarys dziejów kaznodziejstwa w Kościele katolickim.

Część I. Kaznodzieje greccy do IX w. i łacińscy do XVI w., rub. 1 kod. 25.

Część II stanowi dla siebie całość pod tytułem: „Kaznodzieje polscy“, str. 401, rub. 2 kop. 70.

Część III. „Kaznodzieje ludów słowiańskich, romańskich i armeńskich“, obszerny tom o 476 stronicach wraz z indeksem do całego dzieła, r. 2. k. 70.

— Kazania na uroczystości i święta N. M. Panny. Wyd. nowe, 2 t. rub. 4 k. 50.

— Prawo małżeńskie katolickie z uwzględnieniem prawa cywilnego, obowiązującego w Austrii, Prusiech i w Królestwie Polskiem“, trzy tomy, 75 arkuszy starannego druku, rub. 7 kop. 20.

— „Rozmyślenia o życiu kapłańskim, czyli ascetyka kapłańska“. Wydanie drugie, pomnożone, dwa tomy, rub. 5 kop. 40.

Sarnecki Zygmunt. „Historja literatury francuskiej“, ułożona podług najświeższych źródeł i opracowań obcych, rub. 2 kop. 70.

Schnür-Peplowski Stanisław. „Cudzoziemcy w Galicyi“ (1788—1944), r. 2 k. 20.

Sewer. „Bajecznie kolorowa“, powieść na tle życia artystów krakowskich, r. 1 k. 35.

— „W kleszczach“, „Magdusia“ dwie nowele, rub. 1 kop. 50.

Sokołowski Maryan, dr prof. uniw „Studia i szkice z dziejów sztuki i cywilizacyi“. Str. 531, w tekście 47 prześlicznie odbitych, autentycznych rycin, rub. 4, w oprawie starannej rubli 6.

Treść. I. Starożytność i wieki średnie.—Poszukiwania archeologiczne w Azji Mniejszej.—Z podróży na Wschód.—Wazy greckie w naszych zbiorach.—Zbiór gmuoglyptyczny Muzeum Narodowego.—Restauracya Sukiennic. II. Włochy i odrodzenie.—Wspomnienie o Rafaelu Sanzio.—Palazzo Colonna w Rzymie.—Gołuchów. III. Bizanecjum i Ruś.—Bizanetyńska i ruska średniowieczna kultura.—Badania archeologiczne na Rusi Galicyjskiej.—Sztuka cerkiew. na Rusi.

Spis Stanisław, ks, prof. uniw Jag. „Święta Teresa od Jezusa“, reformator-ka zakonu karmelitańskiego.

Wydanie wykwentne na wzór belgijskich, rb. 1 kp. 10, w pięć. opr. rb. 2 k. 20.

Szajnocha Karol. „Pisma“, dwa tomy, rub. 2 kop. 20.

Szczedrin-Sałtykow. „Nowele“ (Karaś idealista—Wierny Trezor), kop. 30.

Tarnowski Stanisław. „Dworzanin Górnickiego“, studjum literackie, kop. 70.

Tarnowski St. 1. „Komedye Al hr. Fredry“. II. „O pośmiertnych komedyach Fredry“, rub. 1 kop. 80.

— „Studia do history literatury polskiej“. Wiek XIX. Tom IV. (Co u nas o Koelanowskim pisano.—Szekspir w Polsce.—„Koryolan“ Szekspira) rub. 2 kop. 70.

— „Henryk Sienkiewicz“. Historia rozwoju zawodu pisarskiego H. Sienkiewicza, zestawiona w 25-letni jubileusz jego działalności, rub. kop. 80.

Tołstoj L. „Anna Karenina“, powieść, przekład z siódmego wydania, trzy tomy, rub. 4 kop. 50.

Trapszo Anastazy. Dyrektor szkoły dramatycznej w Warszawie, artysta sceny warszawskiej i krakowskiej. „Podręcznik sztuki dramatycznej“, r. 1 k. 60.

Tretiak Józef, prof. uniw. „Szkice literackie, ser. II, obszerny tom, rub. 2 kp. 70.

Wodzicka Teresa. „Eliza Radziwiłłówna i Wilhelm I“, z 3 portr., kop. 40.

„Zwyczaj towarzyskie“ (Le savoir vivre) wraz z nauką życia. Poglądy na zachowanie się w ważniejszych okolicznościach życia towarzyskiego. Wydanie trzecie. Najlepszy, nader dokładny i najstaranniej wydany podręcznik, rub. 1 kop. 20, oprawny w płótno rub. 1 kop. 30.

„Z niedawnych czasów“. Wspomnienia z Wilanowa. Wydanie wykwentne z portretami pań: Augustowej, Cecylii i Teresy Potockich, Adamowej Bychoweowej i Wiktorowej Czackiej, rub. 1 kop. 35.

Dla uniknięcia pomyłek, prosimy przy zamówieniu dodawać zawsze:

„Wydanie Spółki Wydawniczej w Krakowie“.

Skład główny w księgarni GEBETHNERA i WOLFFA w Warszawie.

Do nabycia w każdej znaczniejszej księgarni.

Akademia Umiejętności w Krakowie

ogłasza konkurs imienia

ks. ADAMA JAKUBOWSKIEGO,

na następujące dwa temata:

- a) Monografia wsi jakiegokolwiek na terytorium dawnej Polski w XIX stuleciu. Pożądany wstęp historyczny.
- b) Monografia któregoś z opactw benedyktyńskich, lub cysterskich w Wielkopolsce, w epoce średniowiecznej.

Nagroda 1,400 koron zostanie ewentualnie rozdzieloną na dwie, których wysokość będzie po rozstrzygnięciu konkursu oznaczoną stosownie do objętości nagrodzonych prac.

Termin konkursu 31 grudnia 1901 roku.

Na powyższy konkurs nadsyłać należy prace konkursowe do Akademii Umiejętności w Krakowie, bezimiennie, pod godłem, wybranem przez autora, z dołączeniem koperty opieczętowanej, mieszczącej wewnątrz nazwisko autora, a tem samem godłem zaopatrzonej.

Według § 18 Regulaminu Akademii wypłata wielkich nagród konkursowych następuje dopiero po ogłoszeniu pracy, uwieńczonej nagrodą.

POGLĄD NA ŚWIAT

MIESIĘCZNIK,

poświęcony zagadnieniom wykształcenia, czytelnictwa i wyrobienia ideowego;

pod kierunkiem literackim **W. M. Kozłowskiego**,

- 1) Artykuły zasadnicze, poświęcone zagadnieniom dotychczas bieżącej.
- 2) Sprawozdanie z ruchu umysłowego współczesnego w szeregu artykułów aktualnych.
- 3) Programy czytelnictwa i studjów w rozmaitych zakresach.
- 4) Korespondencje z czytelnikami.
- 5) Sprawozdania z nowych książek i bibliografja w obcych językach.

Cena rocznie rub. 3, półrocznie rub. 1.50.

Adres: w Krakowie — **Stachowskiego 82**. Filja administracji w Warszawie — **Erywańska 12** W. P. Adam Mickiewicz w Banku Racwicza (osobiście od 3—6 po poł.).

W r. 1901 rozpocznie się wydawnictwo *Biblioteki Samouków* od następujących działów: Freeman, *Historja Europy*; Jebb, *Historja literatury greckiej*; W. M. Kozłowski, *Literatura powszechna*, tegoż *Historja filozofji* i t. d.

Cena *Biblioteki Samouków* będzie tak uregulowana, aby ułatwić jej nabycie prenumeratom.

Biblioteka Warszawska

PISMO MIESIĘCZNE,
poświęcone nauce, literaturze, sztukom
i sprawom społecznym.

rozpoczyna z rokiem 1901—szym sześćdziesiąty pierwszy rok swojej działalności naukowo-literackiej
i wychodzi w zeszytach
najmniej dwunasto-arkuszowych.

Zreorganizowawszy wydawnictwo „**BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ**“, Redakcyja i w dalszym ciągu dokładać będzie usiłowań, polegających na starannym doborze poważnych prac naukowych, wytwornych dzieł literackich i artykułów, do potrzeb dzisiejszych zastosowanych. Coraz liczniejszy zastęp współpracowników zapewnia dalszy rozwój pismu, a znacznie w ciągu ostatnich dziesięciu lat zwiększona liczba prenumeratorów daje otuchę Redakcyi, że jej usilne starania znajdują w szerszych jeszcze kołach czytelników życzliwe poparcie.

PROGRAM „**BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ**“

zawiera następujące działy:

- I. **Filozofia.** Rozbiór systemów i kierunków badań filozoficznych.
- II. **Historya.** Dzieje powszechnie i własne
- III. **Kwestye społeczne, prawne i ekonomiczne.**
- IV. **Studia z nauk przyrodniczych.**
- V. **Studia pedagogiczne i lingwistyczne.**
- VI. **Literatura.** Utwory oryginalne wierszem i prozą.
- VII. **Studia literackie.**
- VIII. **Krytyka** utworów piśmiennictwa polskiego i zagranicznego. — Przeglądy literatury beletrystycznej i rozbiory dzieł naukowych.
- IX. **Studia artystyczne, oceny dzieł sztuki.**
- X. **Kronika zagraniczna** o ruchu umysłowym (artystycznym, społecznym i ekonomicznym).
- XI. **Kronika miesięczna.**
- XII. **Wiadomości bibliograficzne.**

Warunki prenumeraty

„**BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ**“:

W guberniach całego Państwa, oraz we wszystkich krajach, należących do związku pocztowego: Rocznie rubli **10**, półrocznie rubli **5**. **W Warszawie:** Rocznie rubli **9**, półrocznie rubli **4** kopiejek **50**, kwartalnie rubli **2** kopiejek **25**. Cena pojedynczego zeszytu rub. **1**.

Prenumeratorów zamiejscowych upraszamy o przesyłanie wprost do **Redakcyi „BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ“**, ulica **Warecka Nr 14**, gdyż to zapewnią najlepiej akuratną ekspedycję pisma.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w Państwie.

Opłata za ogłoszenia w „Bibliotece Warszawskiej“ wynosi:

Za ogłoszenie, zapelniające jedną stronicę formatu „Biblioteki Warszawskiej“, rubli **5**. Za ogłoszenie, zapelniające pół stronicę, rubli **3**. I za ogłoszenie, zapelniające $\frac{1}{4}$ formatu, rubli **2**.

Дозволено Цензурою. Варшава, 21 Августа 1901 г.

W drukarni Józefa Sikorskiego Warecka 14.